



ASSASSIN'S CREED

BRACTWO



OLIVER BOWDEN

Oliver Bowden
Assassin's Creed
BRACTWO

przełożył
Przemysław Bieliński

Tytuł oryginału
Assassin's Creed: Brotherhood

First published in English in 2010 by Penguin Group
Penguin Books Ltd, 80 Strand, London WC2R 0RL, England
www.penguin.com

Copyright © Ubisoft Entertainment. All Rights Reserved.
Assassin's Creed, Ubisoft, Ubi.com and the Ubisoft logo are trademarks of Ubisoft
Entertainment in the U.S. and/or other countries.

Przekład
Przemysław Bieliński

Redakcja
Tomasz Brzozowski

Korekta
Lidia Kowalczyk
Dominika Pycińska

Copyright © for this edition
Insignis Media, Kraków 2011, 2012.

Wszelkie prawa zastrzeżone.

ISBN-13: 978-83-61428-76-3



Insignis Media
ul. Sereno Fenna 6/10, 31-143 Kraków
telefon / fax +48 (12) 636 01 90
biuro@insignis.pl
www.insignis.pl
facebook.com/Wydawnictwo.Insignis

Prolog

Wydarzenia ostatnich, niezwykle piętnastu minut – które równie dobrze mogły być piętnastoma godzinami, a nawet dniami, tak długo zdały się trwać – przebiegły przez myśli Ezia raz jeszcze, gdy oszołomiony, zataczając się, opuszczał kryptę pod Kaplicą Sykstyńską.

Przypomniawszy sobie, choć wydawało mu się, że to sen, iż w czeluściach krypty ujrzał ogromny sarkofag, zrobiony z tworzywa przypominającego granit. Gdy podszedł bliżej, sarkofag rozświetlił się. Emanujący z niego blask miał w sobie coś zachęcającego.

Ezio dotknął wieka sarkofagu, które otworzyło się z niesłychaną lekkością. Wnętrze wypełniło się żółtym, ciepłym światłem. W jego blasku stanęła jakaś sylwetka, której rysów Ezio nie mógł rozpoznać, choć wiedział, że patrzy na kobietę. Kobietę o nienaturalnym wzroście, z hełmem na głowie i sową siedzącą na prawym ramieniu.

Bijąca od niej poświata oślepiła go.

– Witaj, Proroku – powiedziała, zwracając się do niego określeniem, które zostało mu przypisane w tak tajemniczych okolicznościach. – Czekałam na ciebie przez dziesięć milionów pór.

Ezio nie odważył się podnieść wzroku.

– Pokaż mi Jabłko.

Ezio pokornie podał jej artefakt.

– Och. – Jej dłoń gładziła powietrze nad Jabłkiem, lecz go nie dotykała. Jabłko jaśniało pulsującą poświatą. W końcu utkwiała wzrok w Ezio. – Musimy porozmawiać. – Przechyliła głowę, jakby zastanawiała się nad czymś, a Ezio, który spojrzał na jej opalizującą twarz, zdało się, że widzi

na niej cień uśmiechu.

– Kim jesteś?

– Och, wiele mam imion. Kiedy... umarłam, byłam Minerwą.

Ezio znał to imię.

– Bogini mądrości. Sowa na twym ramieniu. Hełm. Oczywiście. – Pochylił głowę w ukłonie.

– Teraz już nas nie ma. Nie ma już bogów, których czcili twoi przodkowie. Nie ma Junony, królowej bogów, i mojego ojca, Jowisza, ich króla, który zrodził mnie ze swej głowy. Byłam córką, ale nie z łędźwi jego, lecz z umysłu!

Na twarzy Ezia malowało się osłupienie. Spojrzał na rozstawione pod ścianami posągi. Wenus. Merkury. Wulkan. Mars...

Dał się słyszeć dźwięk przypominający odgłos tłuczonego w oddali szkła albo szmer, jaki może wydawać spadająca gwiazda – tak brzmiał jej śmiech.

– Nie, nie jesteśmy bogami. Po prostu przybyliśmy tu wcześniej. Nawet gdy przemierzaliśmy świat, ludzkość z trudem ogarniała nasze istnienie. Po prostu wyprzedzaliśmy czas. – Przerwała na chwilę. – Lecz nawet jeśli nas nie pojmujecie, musicie przyjąć nasze ostrzeżenie.

– Nie rozumiem.

– Nie bój się. Chcę mówić do ciebie, ale i przez ciebie. Jesteś Wybrańcem na wasze czasy. Prorokiem.

Ezio poczuł, jak ogrania go matczyne ciepło, wypierając znużenie. Minerwa uniosła ręce i sklepienie krypty zmieniło się w firmament. Jej mieniąca się twarz przybrała wyraz niewysłowionego smutku.

– Słuchaj i patrz.

Ezio z trudem znosił obrazy przywoływane teraz przez pamięć; ujrzał bowiem całą Ziemię i otaczające ją niebiosa, aż po granice Mlecznej Drogi, a jego umysł ledwo pojmował to, co widziały oczy. Zobaczył świat – swój świat – zniszczony przez Człowieka, i smaganą wiatrami, pustą równinę. Potem pojawili się ludzie – wyniszczeni, słabi, ale nie poddający się.

– Daliśmy wam Eden – rzekła Minerwa – a on zmienił się w Hades. Świat spalił się i nie zostało na nim nic prócz prochów. Ale my stworzyliśmy was na nasz obraz; stworzyliśmy was, niezależnie od tego, co zrobiliście i ile wyniszczającego zła w sobie macie, z wyboru, bo daliśmy wam wybór, byście mogli przetrwać. Wszystko odbudowaliśmy. Po spustoszeniu odbudowaliśmy świat, a on po upływie eonów stał się światem, który znacie i zamieszkujecie. Zrobiliśmy wszystko, by niedopuszczyć już nigdy do podobnej tragedii.

Ezio znów spojrzał na niebo. Zobaczył horyzont. Na nim świątynie i rozmaite kształty, złobienia w kamieniach przypominające pismo, biblioteki pełne zwojów, statki, miasta, muzykę i taniec. Dzieła starożytnych cywilizacji, których nie znał, ale wiedział, że stworzyli je jego bliźni.

– Lecz teraz moi ludzie umierają – ciągnęła Minerwa – a czas działa na naszą niekorzyść... Prawda stanie się ledwie mitem i legendą. Ezio, Proroku, Przywódcu, nawet jeśli twe fizyczne siły są ledwie siłami człowieka, twa wola ma moc naszej i w tobie zachowam me słowa.

Ezio wpatrywał się w nią urzeczony.

– Niech słowa me niosą nadzieję – mówiła Minerwa. – Musisz jednak działać szybko, gdyż czasu jest mało. Strzeż się Borgii. Strzeż się Krzyża Templariuszy.

Wnętrze krypty przygasło. Minerwa i Ezio byli sami, skąpani w gasnącym blasku ciepłego światła.

– Moi ludzie muszą teraz odejść z tego świata. Ale przesłanie zostało przekazane. Od tej chwili wszystko zależy od ciebie. My już nic więcej nie możemy zrobić.

Potem nastąpiła ciemność i cisza, a krypta zmieniła się na powrót w zwykłą, podziemną, zupełnie pustą komnatę.

Ezio podążył do wyjścia. Spojrzał na ciało Rodriga Borgii, Hiszpana, papieża Aleksandra VI, przywódcy templariuszy – wiło się, skąpane we krwi, w śmiertelnej agonii. Nie mógł już teraz zdobyć się na zadanie ostatecznego

ciosu, *coup de grâce*. Ten człowiek zdawał się umierać na własne życzenie. Z tego, jak wyglądał, widać było, że zażył truciznę, bez wątpienia *cantarellę*, którą uraczył tak wielu swoich wrogów. Cóż, niechże zatem sam odnajdzie drogę do *Inferno*. Ezio nie obdarzy go łaską szybkiej, łatwej śmierci.

Wyłonił się w końcu z mroków Kaplicy Sykstyńskiej na światło słońca. Już z portyku zauważył swoich przyjaciół asasynów, członków Bractwa, u boku których przeżył tak wiele przygód i dzięki którym wyszedł cało z licznych niebezpieczeństw. Czekali na niego.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Zapewne, nie można jeszcze nazwać dzielnością mordowania obywateli, zdradzania przyjaciół, braku wierności, człowieczeństwa i bogobojności; takimi sposobami można zdobyć władzę, ale nie chwałę.

Niccolò Machiavelli, *Księżę*

1

Ezio przez jakiś czas trwał w bezruchu, otępiały i zdezorientowany. Gdzie się znajdował? Cóż to za miejsce? Gdy z wolna zaczął odzyskiwać władzę nad zmysłami, zobaczył wuja Maria, który odłączył się od grupy asasynów. Po chwili stał już przy nim i trzymał go za rękę.

– Ezio... Wszystko w porządku?

– Walczyłem... walczyłem... z papieżem, z Rodrigem Borgia. Zostawiłem go, by dokonał żywota.

Ezio zadrżał gwałtownie. Nie mógł się opanować. Czy to wszystko dzieje się naprawdę? Kilka minut wcześniej – choć zdawało się, że wieki temu – bił się na śmierć i życie z mężczyzną, którego najbardziej ze wszystkich nienawidził i najbardziej ze wszystkich się obawiał: z przywódcą templariuszy, bezwzględnej organizacji, dążącej do zniszczenia świata, w którego obronie Ezio i jego przyjaciele z Bractwa Asasynów tak zacięcie walczyli.

Lecz Ezio pokonał ich. Skorzystał z mocy tajemnego artefaktu, Jabłka, uświęconej Części Edenu, powierzonej mu przez bogów minionych dziejów, którzy w ten sposób chcieli sprawić, by ich zaangażowania w stworzenie ludzkiej razy nie pochłonął rozlew krwi i ocean nieprawości. Teraz Ezio mógł już święcić swój triumf.

Doprawdy?

Cóż przed chwilą powiedział? „Zostawiłem go, by dokonał żywota”? I w rzeczy samej, Rodrigo Borgia, stary nikczemnik, który przedarł się na szczyty hierarchii Kościoła i rządził nim jako papież, faktycznie zdawał się konać. Zażył przecież truciznę.

Ezia ogarnęła teraz jakaś fatalna wątpliwość. Czy okazując miłosierdzie, miłosierdzie, które leżało u podstaw Credo Asasyna i które – jak dobrze wiedział – powinno być należne wszystkim, poza tymi, których życie zagrażało ludzkości, nie okazał tak naprawdę swojej słabości?

Jeśli tak było, nie mógł teraz dać tego po sobie poznać, nawet przed wujem Mariem, przywódcą Bractwa. Wyprostował ramiona. Pozostawił starca, by ten skonał z własnej woli. Pozostawił go z czasem na modlitwę. Nie przeszył ostrzem jego serca, by być pewnym jego śmierci.

Ezio poczuł w sercu lodowaty uścisk, a wyraźny głos w jego myślach rzekł: „Powinieneś być go zabić”.

Otrząsnął się, chcąc pozbyć się demonów, tak jak pies otrząsa się z wody. Lecz jego myśli wciąż skupiały się na zdumiewających wydarzeniach w krypcie pod Kaplicą Sykstyńską, budowlą, z której przed chwilą wyszedł na uderzająco jasne, tak obce mu światło słońca. Wszystko wokół niego wydawało mu się osobliwie spokojne i zwyczajne – budynki Watykanu stały na swoim miejscu, jak zawsze olśniewające, skąpane w słonecznym blasku. Pamięć tego, co przed chwilą zdarzyło się w krypcie, powracała do niego spiętrzonymi falami, zalewającymi jego świadomość trudnym do zniesienia naporem. Miał wizję, miał spotkanie z boginią – bo nie potrafił inaczej opisać tej istoty – która przedstawiła mu się jako Minerwa, rzymskie bóstwo mądrości. Pokazała mu zarówno zamierzchną przeszłość, jak i daleką przyszłość, i to tak, że nie mógł zdzierżyć odpowiedzialności, którą na jego barki złożyła wiedza zdobyta podczas widzenia.

Z kim mógłby się nią podzielić? Jak zdołałby wyjaśnić cokolwiek z tego, co ujrzał? Wszystko zdawało się tak nierzeczywiste...

Jedno, czego był pewny po swoich przeżyciach – choć trafniej byłoby nazwać je ciężką próbą – to fakt, że walka jeszcze się nie skończyła.

Być może kiedyś nadejdzie dzień, gdy będzie mógł powrócić do swojego rodzinnego miasta, Florencji, gdzie zasiądzie nad swymi księgami, gdzie będzie pił z przyjaciółmi zimą i polował z nimi jesienią, gdzie wiosną będzie

uganiał się za dziewczętami, a latem doglądał zbiorów na swoich włościach.

Kiedyś... ale jeszcze nie teraz.

W głębi jego serca tliła się świadomość, że templariusze wciąż stanowią zagrożenie. Że został wystawiony na pojedynek z potworem, który miał więcej głów niż Hydra, i że podobnie jak u tejże bestii, którą zgładzić mógł tylko Herakles, jedna z głów była nieśmiertelna.

– Ezio!

Głos wuja zabrzmiał szorstko, ale pomógł mu wyrwać się z pułapki złych myśli. Musiał wziąć się w garść i zacząć jasno myśleć. W jego głowie szalały płomienie. Dla własnej otuchy wymówił swoje imię:

– Jestem Ezio Auditore da Firenze. Jestem silny, jestem mistrzem tradycji zakonu asasynów.

I znów zderzył się z tym samym problemem: nie wiedział, czy to sen, czy jawa. Nauki i objawienie bogini w krypcie wstrząsnęły fundamentami jego wierzeń i przekonań. Miał wrażenie, że czas stanął na głowie. Wychodząc z Kaplicy Sykstyńskiej, gdzie pozostawił nikczemnika, papieża Aleksandra VI, który wedle wszelkich oznak kończył swoje życie, w ostrym świetle słońca znowu zmrużył oczy. Otoczyli go zaraz jego przyjaciele asasyni; ich twarze były poważne i zacięte z determinacji.

Wciąż dręczyła go myśl: czy nie powinien był zabić Rodriga? Czy nie powinien był upewnić się, że starzec nie żyje? Wtedy postanowił, że tego nie zrobi, bo nikczemnik, po swoim ostatecznym fiasku, najwyraźniej sam chciał odebrać sobie życie. Ale ów wyraźny głos wciąż rozbrzmiewał w jego myślach. Co więcej, jakaś dziwna siła zdawała się wciągać go na powrót do kaplicy – czuł, że nie doprowadził czegoś do końca. I nie chodziło tu o Rodriga. Nie tylko o Rodriga, choć teraz na pewno skończyłby z nim. Czuł, że jest coś jeszcze.

– O co chodzi? – spytał Mario.

– Muszę tam wrócić – odrzekł Ezio, uświadamiając sobie ze ściśniętym żołądkiem, że gra jeszcze się nie skończyła i że Jabłko nie powinno

opuszczać jego rąk. Jak tylko ta myśl zaświtała mu w głowie, zawładnęła nim nieodparta, nagląca potrzeba powrotu. Wyrwał się z opiekuńczych ramion wuja i szybko zniknął w ciemnościach. Mario, poleciwszy pozostałym trwać na straży przed kaplicą, podążył za Eziem.

Ezio szybko dotarł do miejsca, w którym pozostawił umierającego Rodriga Borgię – lecz jego tam nie było! Bogato zdobiona, papieska damasceńska kapa, cała w plamach zakrzepłej krwi, leżała bezładnie na podłodze, a jej właściciel zniknął. Jakaś dłoń przyodziana w rękawicę z lodowatej stali ponownie ścisnęła mu serce, jakby chciała je zmiążdżyć.

Ukryte drzwi prowadzące do krypty były zamknięte i praktycznie niewidoczne, lecz gdy Ezio zbliżył się do miejsca, które zapamiętał, otwarły się na oścież pod jego delikatnym dotykiem. Odwrócił się do wuja i ze zdziwieniem dostrzegł na jego twarzy strach.

– Cóż tam jest? – zapytał Mario, usiłując zachować w głosie opanowanie.

– Tajemnica – odrzekł Ezio.

Pozostawiwszy Maria na progu, Ezio poszedł słabo oświetlonym korytarzem, mając nadzieję, że Minerwa przewidziała taki rozwój wydarzeń i okaże mu litość. Rodrigo z pewnością nie mógł tu wejść. Mimo to Ezio trzymał w gotowości odziedziczone po ojcu ukryte ostrze.

W krypcie wielkie ludzkie, a może raczej nadludzkie sylwetki – czy były to posągi? – stojąc, trzymały Pastorała.

Jedną z Części Edenu.

Pastorał sprawiał wrażenie zespolonego z jedną z postaci i gdy Ezio próbował go wydostać z jej uchwytu, postać jeszcze bardziej zacieśniła uścisk i rozświetliła się, a wraz z nią runiczne inskrypcje na ścianach krypty.

Ezio przypominał sobie wtedy, że ludzka dłoń nie powinna nigdy dotykać Jabłka bez należytej ochrony. Postaci odwróciły się i zniknęły w podłodze, pozostawiając kryptę pustą, nie licząc wielkiego sarkofagu i otaczających go posągów.

Ezio zrobił krok do tyłu, omiatając kryptę wzrokiem i ociągając się przed

ostatecznym – z czego zdawał sobie sprawę – odejściem z tego miejsca.

Czego się spodziewał? Czy myślał, że Minerwa objawi mu się raz jeszcze? Lecz czy nie powiedziała mu wszystkiego, co miała do powiedzenia? Albo przynajmniej tego, co uważała za bezpieczną dla niego wiedzę?

Powierzono mu Jabłko. W połączeniu z Jabłkiem pozostałe części Edenu dawały Rodrigowi władzę, której tak łaknął, a Ezio przekonał się już, że skoncentrowana moc artefaktów jest dla człowieka zbyt niebezpieczna.

– Wszystko w porządku? – głos Maria, wciąż nienaturalnie nerwowy, dobiegł jego uszu.

– Wszystko w porządku – odpowiedział Ezio, ociągając się ze skierowaniem swych kroków w stronę wpadającego przez wyjście światła.

Gdy znalazł się przy wuju, nie mówiąc ani słowa, pokazał mu Jabłko.

– A pastorał? – zapytał Mario.

Ezio pokręcił głową.

– Lepiej, że spoczął w ziemi, niż miałby pozostać w rękach człowieka – rzekł Mario, zrozumiawszy od razu, co Ezio miał na myśli. – Nie musisz mi o tym mówić. Chodź, nie powinniśmy dłużej zwlekać.

– Skąd ten pośpiech?

– Musimy się spieszyć. Myślisz, że Rodrigo będzie czekał spokojnie, aż wyjdziemy stąd spacerowym krokiem?

– Zostawiłem go, by skonał.

– To chyba nie to samo, co zostawić go martwego na dobre, nieprawdaż? No, chodź już!

Opuścili kryptę najszybciej, jak mogli; zmierzając ku wyjściu, odnieśli wrażenie, że podążył za nimi podmuch zimnego wiatru.

2

– Dokąd poszli pozostali? – zapytał Maria Ezio, choć jego myśli wciąż błądziły wokół niedawnych doświadczeń. Opuszczali właśnie Kaplicę Sykstyńską jej główną nawą. Asasynów już tam nie było.

– Poleciałem im odejść. Paola wróci do Florencji; Teodora i Antonio do Wenecji. Musimy się ubezpieczać w całej Italii. Templariusze są rozbici, ale nie zniszczeni. Powstaną, jeśli Bractwo Asasynów nie zachowa czujności. Czujności na wieki. Reszta udała się do naszej głównej kwatery do Monteriggioni i tam będzie nas oczekiwać.

– Wydawało mi się, że mieli trzymać wartę.

– I trzymali, aż do chwili, gdy uznali, że spełnili już swój obowiązek. Ezio, nie mamy czasu do stracenia. Wszyscy to wiemy – Mario był bardzo poważny.

– Powinienem był upewnić się, że Rodrigo Borgia nie żyje.

– Czy zadał ci rany podczas walki?

– Moja zbroja uchroniła mnie przed nimi.

Mario poklepał Ezia po plecach.

– To, co powiedziałem ci wcześniej, było zbyt pochopne. Uważam, że miałeś rację, nie zabijając bez wyraźnej potrzeby. Zawsze zalecam powściągliwość. Uznałeś, że Borgia sam zadał sobie śmierć. Ale kto wie? Może udawał, a może nie zdołał zaaplikować sobie śmiertelnej dawki? Tak czy inaczej, musimy zmierzyć się z tym, co zastaliśmy, a nie tracić energię na roztrząsanie, co by było, gdyby... Pamiętaj, że wysłaliśmy cię w pojedynkę przeciwko zastępom templariuszy. Ze swojej misji wywiązałeś się lepiej niż dobrze. A ja jestem twoim starym wujem i martwię się o ciebie. Chodź, Ezio.

Musimy stąd odejść. Mamy zadanie do wykonania i ostatnie, czego nam trzeba, to dać się osaczyć gwardzistom Borgii.

– Nie dałbyś wiary rzeczom, które ujrzałem, wuju.

– Postaraj się więc tylko, by pozostać przy życiu, a może kiedyś dane mi będzie o nich usłyszeć. A teraz posłuchaj: w stajni tuż za Bazyliką św. Piotra, ale już poza obszarem Stolicy Piotrowej, mam kilka koni. Jak tylko się tam znajdziemy, będziemy mogli bezpiecznie opuścić to miejsce.

– Podejrzewam, że żołnierze Borgii będą próbowali nas zatrzymać.

Mario uśmiechnął się szeroko.

– Oczywiście, że będą... ale spodziewam się, że jeśli do tego dojdzie, dziś wieczorem będą opłakiwać liczne straty!

Jeszcze w kaplicy Ezio i jego wuj ze zdumieniem stanęli twarzą w twarz z kapłanami, którzy powrócili, by dokończyć mszę przerwana przez walkę Ezia z papieżem o Części Edenu.

Księża, wyraźnie źli, otoczyli ich i podnieśli zgiełk.

– *Che cosa fate 'qui?* Co tu robicie? – krzyczeli. Zbzechściliście święte miejsce! *Assassini!* Bóg zadba, byście zapłacili za swoje występki!

Jak tylko Mario i Ezio przedarli się przez pełną gniewu grupę, z bazyliki dobiegł ich dźwięk bijących na alarm dzwonów.

– Potępiasz coś, czego nie rozumiesz – rzekł Ezio do kapłana, który usiłował zagrozić im drogę. Dotknięcie jego miękkiego ciała napełniło Ezia odrazą; odepchnął go na bok tak delikatnie, jak tylko potrafił.

– Musimy zmykać, Ezio – ponaglił asasy na Mario. – Teraz!

– Ten głos to głos szatana! – rozległ się okrzyk jeszcze innego księdza.

– Odwróćcie się od nich! – dodał kolejny.

Ezio i Mario przecisnęli się przez tłum i wypadli na rozległy kościelny dziedziniec, prosto w morze purpuratów. Najprawdopodobniej zebrali się tu całe kolegium kardynalskie, którego członkowie, choć wyraźnie zdezorientowani, wciąż podlegali papieżowi Aleksandrowi VI, Rodrigowi Borgii, przywódcy Związku Templariuszy.

– Nie toczymy bowiem walki przeciw krwi i ciału – recytowali śpiewnie kardynałowie – lecz przeciw Zwierzchnościom, przeciw Władzom, przeciw rządcom świata tych ciemności, przeciw pierwiastkom duchowym zła na wyżynach niebieskich. Dlatego weźcie na siebie pełną zbroję Bożą, abyście w dzień zły zdołali się przeciwstawić i ostać, zwalczwszy wszystko.

– O co im chodzi? – zapytał Ezio.

– Pogubili się. Szukają przewodnika – odrzekł ponuro Mario. – Chodź, musimy stąd zniknąć, zanim gwardziści Borgii zauważą naszą obecność.

Obejrzał się za siebie na budynki Watykanu. Dostrzegł odbłask słońca w zbroi.

– Za późno. Zaraz tu będą. Szybko!

3

Szaty kłębiących się kardynałów były jak morze purpury, które rozstało się, gdy czterech gwardzistów Borgii zaczęło przedzierać się przez nie w pościgu za Eziem i Mariem. W tłumie wybuchła panika – słychać było okrzyki pełne strachu i trwogi, a Ezio wraz z wujem znaleźli się w środku koła, jakie wokół nich uformowali purpuraci. Kardynałowie, nie wiedząc, w którą stronę mają się zwrócić, zupełnie nieumyślnie stanęli tak, by zagrozić im drogę; być może podświadomie odwagi dodało im pojawienie się ciężkozbrojnych gwardzistów z błyszczącymi w słońcu napierśnikami. Czterej żołnierze Borgii wyciągnęli z pochew swoje miecze i weszli do koła, stając twarzą w twarz z Eziem i Mariem, którzy również dobyli swoich ostrzy.

– Złóżcie broń, asasyni, i poddajcie się. Jesteście otoczeni i w mniejszości!
– zawołał dowódca gwardzistów, występując naprzód.

Zanim zdążył wypowiedzieć kolejne słowo, Ezio poczuł, że w jego zmęczone ciało na powrót wstępuje energia i zerwał się skokiem z miejsca, w którym stał. Żołnierz nie miał nawet czasu, by zareagować, nie spodziewał się bowiem, że jego przeciwnik w obliczu miażdżącej przewagi wykaże się taką śmiałością. Ostrze miecza Ezia zakreśliło błyszczący łuk, przecinając ze świstem powietrze. Gwardzista próbował unieść swój miecz, by odparować atak, ale ruchy Ezia były po prostu zbyt szybkie. Miecz asasyńska dosięgnął celu z absolutną precyzją, przecinając odsłoniętą szyję żołnierza i dobywając z niej pióropusz krwi. Pozostali gwardziści stali w bezruchu, zaskoczeni szybkością Ezia; stojąc twarzą w twarz z tak wyszkolonym wrogiem, poczuli się niepewnie. Ich śmierć była już tylko kwestią najbliższych chwil. Miecz Ezia nie zatoczył jeszcze do końca swojego śmiercionośnego łuku, gdy ten

uniósł swoją lewą dłoń. Dał się wtedy słyszeć szcęk ukrytego mechanizmu i z rękawa Ezia wysunęło się śmiertcionośne ostrze. Wbił je między oczy drugiego gwardzisty, nim ten zdążył poruszyć w obronie jakimkolwiek mięśniem.

Tymczasem Mario niepostrzeżenie zrobił dwa kroki w bok, zachodząc dwóch pozostałych gwardzistów, których uwaga pozostawała wciąż całkowicie skupiona na szokującym pokazie brutalności. Kolejne dwa kroki i znalazł się w zasięgu ataku. Wbił miecz pod napierśnik najbliższego stojącego żołnierza; sztych wszedł z mdlącym odgłosem w korpus gwardzisty. Twarz jego wykrzywiła się w grymasie zaskoczenia i bólu. Pozostał tylko jeden. Z grozą w oczach odwrócił się, jakby do ucieczki – ale za późno. Ostrze Ezia uderzyło go w prawy bok, a miecz Maria rozciął jego udo. Gwardzista z chrząknięciem upadł na kolana. Mario obalił go kopnięciem.

Dwaj asasyni rozejrzeli się dookoła – krew żołnierza rozlewała się po bruku i wsiąkała w szkarłatne brzegi kardynalskich szat.

– Chodźmy, zanim nadejdzie więcej ludzi Borgii.

Potrząsnęli mieczami, strasząc przerażonych duchownych, którzy szybko uciekli przed asasynami, usuwając się z drogi wychodzącej z Watykanu. Zabójcy usłyszeli tętent zbliżających się koni – bez wątpienia kolejnych żołnierzy. Przepychając się, ruszyli na południowy wschód i przebiegli pędem przez otwarty plac, uciekając w kierunku Tybru. Konie, które zorganizował Mario z myślą o ucieczce, uwiązane były tuż za granicami Stolicy Apostolskiej. Najpierw jednak musieli stawić czoła Gwardii Papieskiej, która ścigała ich konno i szybko się zbliżała; łoskot kopyt na bruku odbijał się echem od murów. Swoimi falchionami Ezio i Mario zdołali odbić godzące w nich halabardy.

Mario ściał jednego z gwardzistów, który właśnie miał dźgnąć Ezia w plecy włócznią.

– Nieźle, jak na twój wiek – zawołał Ezio z wdzięcznością.

– Spodziewam się wzajemności – odparł jego wuj. – I mniej docinków

w kwestii wieku!

– Nie zapomniałem, czego mnie nauczyłeś.

– Mam nadzieję. Uważaj!

Ezio zawirował na pięcie w samą porę, by podciąć nogi konia gwardzisty nadjeżdżającego z wrednie wyglądającą maczugą.

– *Buona questa!* – zawołał Mario. – Nieźle!

Ezio uskoczył w bok, uchylając się przed dwoma kolejnymi prześladowcami i wysadzając ich obu z siodła, gdy go mijali w pędzie. Mario, cięższy i starszy, wolał stać w miejscu i ciąć wrogów, a potem uskakiwać poza ich zasięg. Kiedy jednak dotarli na skraj dużego placu przed Bazyliką św. Piotra, obaj asasyni szybko znaleźli bezpieczne schronienie na dachach – wspięli się po kruszejących ścianach budynków zwinnie jak jaszczurki i popędzili przed siebie, przeskakując nad kanionami ulic. Nie zawsze było to łatwe i w pewnym momencie Mario o mało nie spadł, chwytając się palcami rynny. Zdyszany Ezio zawrócił i wciągnął go na dach, w ostatniej chwili, zanim w niebo obok nich świsnęły nieszkodliwie bełty z kusz, wystrzelone przez ich prześladowców.

Asasyni poruszali się o wiele szybciej niż gwardziści, którzy – ciężej opancerzeni i pozbawieni ich umiejętności – daremnie próbowali dotrzymać im kroku, biegnąc ulicami w dole; żołnierze coraz bardziej pozostawali w tyle, aż zawrócili.

Mario i Ezio wyhamowali na dachu nad niewielkim placem na skraju Zatybrza. Przy drzwiach podle wyglądającej gospody stały osiodłane i gotowe do jazdy dwa kasztanki, masywne i silne. Poobijany szyld nad wejściem oznajmiał, że gospoda zwie się Pod Śpiącym Lisem. Koni pilnował zezowaty garbus z sumiastym wąsem.

– Gianni! – syknął Mario.

Mężczyzna spojrział w górę i natychmiast odwiązał wodze, którymi konie uwiązane były do olbrzymiego, żelaznego pierścienia wprawionego w ścianę gospody. Mario zeskoczył z dachu, lądując na ugiętych nogach, a potem

jednym susem wskoczył na siodło bliżej stojącego i większego z wierzchowców. Koń zarżał i zatupał kopytami w zdenerwowaniu.

– *Ćśśś, campione* – szepnął Mario do zwierzęcia, a potem spojrział na Ezia, wciąż stojącego na skraju dachu. – Dalej! – krzyknął. – Na co czekasz?

– Jedną chwilę, *zio* – odparł Ezio, odwracając się do dwóch gwardzistów Borgii, którym udało się wgramolić na dach i którzy mierzyli do niego – ku jego osłupieniu – z pistoletów nieznanego mu dotąd typu. Skąd, u diabła, je wzięli? Nie była to jednak pora na pytania; Ezio skoczył ku nim w piruecie, wysunął ukryte ostrze i przeciął im obu tętnice szyjne, zanim zdążyli wystrzelić.

– Imponujące – pochwalił go Mario, ściągając wodze niecierpliwie się konia. – A teraz rusz się! *Cosa diavolo aspetti?*

Ezio rzucił się z dachu i wylądował blisko drugiego wierzchowca, którego trzymał mocno garbus, a potem odbił się od ziemi i wskoczył na siodło. Koń stanął dęba pod jego ciężarem, ale Ezio natychmiast nad nim zapanował i zawrócił go za wujem, który już galopował w kierunku Tybru. Gianni tymczasem zniknął w gospodzie, a z za rogu na plac wypadł oddział jazdy Borgiów. Wbijając pięty w boki konia, Ezio popędził za wujem; na złamanie karku pognali zapuszczonymi uliczkami Rzymu w stronę brudnej, leniwie płynącej rzeki. Za sobą słyszeli krzyki żołnierzy, przeklinających swoje ofiary; galopowali labiryntem starożytnych ulic, powoli zostawiając pościg w tyle.

Dotarwszy do wyspy Tyber przekroczyli rzekę po chwiejącym się moście, który dygotał pod kopytami ich koni, a potem skręcili na północ, w główną ulicę wychodzącą z zapuszczonego, małego miasta, które kiedyś było stolicą cywilizowanego świata. Zatrzymali się dopiero daleko za nim, kiedy mieli już pewność, że uciekli poza zasięg pościgu.

W pobliżu osady Settebagni, w cieniu rozłożystego wiązu przy pylistej drodze biegnącej wzdłuż rzeki, ściągnęli wodze koniom i przystanęli, by złapać oddech.

– Niewiele brakowało, wuju.

Starszy mężczyzna wzruszył ramionami i uśmiechnął się nieco boleśnie. Z torby przy siodle wyciągnął skórzany bukłak z mocnym, czerwonym winem i podał go bratankowi.

– Masz – powiedział, powoli uspokajając oddech. – Dobrze ci zrobi.

Ezio napił się i skrzywił.

– Skąd to wzięłeś?

– To najlepsze, co mają w Śpiącym Lisie – odparł Mario z szerokim uśmiechem. – Ale kiedy dotrzemy do Monteriggioni, dostaniesz coś lepszego.

Ezio uśmiechnął się i oddał bukłak wujowi, ale zaraz potem spochmurniał.

– O co chodzi? – spytał Mario łagodniejszym tonem.

Ezio powoli wyjął Jabłko z sakwy, w której je trzymał.

– O to. Co mam z tym zrobić?

Mario sposepniał.

– To ciężkie brzemię. Ale musisz je nieść sam.

– Jak?

– A co ci podpowiada serce?

– Serce mówi mi, żebym się tego pozbył. Ale głowa...

– Zostało ci powierzone... przez moce, które spotkałeś w krypcie – powiedział Mario z powagą. – Nie oddałyby go z powrotem śmiertelnikom, gdyby nie miały w tym jakiegoś celu.

– Jest zbyt niebezpieczne. Gdyby znów wpadło w niepowołane ręce...

Ezio zerknął złowieszczo na leniwy nurt rzeki. Mario patrzył na niego wyczekująco.

Ezio zważył Jabłko w prawej dłoni. Wciąż jednak się wahał. Wiedział, że nie mógłby wyrzucić tak wielkiego skarbu; do tego słowa wuja zachwiały jego zdecydowaniem. Przecież Minerwa nie pozwoliłaby mu zabrać Jabłka z powrotem bez powodu.

– Decyzję musisz podjąć sam – powiedział Mario. – Ale jeśli nie podoba ci

się, że Jabłko pozostaje w twojej pieczy, oddaj mi je na przechowanie. Odbierzesz je później, kiedy będziesz spokojniejszy.

Ezio wciąż się wahał, ale nagle obaj usłyszeli w oddali tętent kopyt i ujadanie psów.

– Ci dranie łatwo się nie poddają – wycedził Mario przez zęby. – Dalej, daj mi je.

Ezio westchnął, ale włożył Jabłko z powrotem do sakwy i rzucił ją wujowi, a ten szybko schował ją w jukach przy siodle.

– A teraz – rzekł – musimy skoczyć do rzeki i przepłynąć na drugi brzeg. Te przekłete psy zgubią w ten sposób nasz trop, a nawet jeśli pościg będzie na tyle sprytny, by też się przeprawić, zgubimy go w lasach po drugiej stronie. Chodź. Jutro o tej porze chcę być w Monteriggioni.

– Jak ostro zamierzasz jechać?

Mario kopnął piętami boki wierzchowca, który stanął dęba, tocząc pianę z pyska.

– Bardzo ostro – odparł. – Bo od tej chwili będziemy się mierzyć nie tylko z Rodrigem. Są z nim jego syn i córka – Cesare i Lukrecja.

– Są niebezpieczni?

– To najgroźniejsi ludzie, jakich kiedykolwiek będziesz miał okazję spotkać.

4

Po południu następnego dnia na wzgórzu na horyzoncie zobaczyli małe, otoczone murami miasto Monteriggioni, nad którym górowała *rocca* Maria. Dotarli tu szybciej niż się spodziewali, więc zwolnili tempo, żeby dać odetchnąć koniom.

– ...a wtedy Minerwa powiedziała mi o słońcu – mówił Ezio. – Opowiadała o katastrofie, która wydarzyła się dawno temu, i przepowiedziała następną, mającą nadejść...

– Ale dopiero w przyszłości, *vero*? – spytał Mario. – W takim razie nie musimy się tym przejmować.

– *Si* – odparł Ezio. – Zastanawiam się, ile zostało nam jeszcze pracy. – Przerwał w zamyśleniu. – Może niedługo ją skończymy.

– To chyba dobrze?

Ezio już miał odpowiedzieć, kiedy przerwał mu huk eksplozji: wystrzał z działa, dobiegający od strony miasta. Dobył miecza i podniósł się w siodle, żeby lepiej widzieć blanki.

– Nie przejmuj się – roześmiał się serdecznie Mario. – To tylko ćwiczenia. Wzbogaciliśmy nasz arsenał i wzdłuż całych umocnień rozstawiliśmy nowe armaty. Teraz codziennie ćwiczymy.

– Żeby tylko nie celowali w nas.

– Nie przejmuj się – powtórzył Mario. – Owszem, niektórzy muszą dopiero wyrobić sobie oko, ale mają dość rozumu, żeby nie strzelać do swojego dowódcy!

Niedługo potem wjechali przez otwartą bramę miasta na główną ulicę, prowadzącą do cytadeli. Po obu stronach zebrały się tłumy ludzi, wpatrzone

w Ezia wzrokiem pełnym szacunku, podziwu i uwielbienia.

– Witaj z powrotem, Ezio! – zawołała jakaś kobieta.

– *Grazie, madonna.* – Ezio uśmiechnął się i skinął jej głową.

– Po trzykroć hurra na cześć Ezia! – krzyknął dziecięcy głosik.

– *Buongiorno, fratellino* – powiedział Ezio. Odwrócił się do Maria i dodał:
– Dobrze być znów w domu.

– No proszę, cieszą się chyba bardziej na twój widok – rzekł Mario, ale na twarzy miał uśmiech; zresztą duża część wiwatów, zwłaszcza starszych mieszczan, była wznoszona właśnie na jego cześć.

– Nie mogę się doczekać, aż znów zobaczę starą rodową siedzibę – powiedział Ezio. – Dawno tam nie byłem.

– Rzeczywiście. Jest tam parę osób, które nie mogą się z kolei doczekać, aż zobaczą ciebie.

– Kto?

– Nie domyślasz się? Niemożliwe, żebyś był aż tak pochłonięty obowiązkami wobec Bractwa.

– Oczywiście. Mówisz o mojej matce i siostrze. Co u nich?

– Cóż, twoja siostra była bardzo nieszczęśliwa, kiedy zmarł jej mąż, ale czas leczy rany i teraz chyba ma się o wiele lepiej. A właśnie, otóż i ona.

Wjechali na dziedziniec ufortyfikowanej rezydencji Maria; kiedy zsiadali z koni, siostra Ezia, Claudia, pojawiła się na szczycie marmurowych schodów prowadzących do głównego wejścia i zbiegła po nich wprost w objęcia brata.

– Bracie! – zawołała, tuląc go. – Twój powrót do domu to najlepszy prezent urodzinowy, o jakim mogłabym marzyć.

– Claudio, najdroższa – Ezio uścisnął ją mocno. – Jak to dobrze wrócić. Co u matki?

– Cóż, dzięki niech będą Najwyższemu. Umiera z tęsknoty za tobą – siedziałyśmy jak na szpilkach, odkąd doszły nas wieści, że wracasz. A twoja sława cię wyprzedza.

– Chodźmy do środka – poprosił Mario.

– Jest tam ktoś jeszcze, kto ucieszy się na twój widok – ciągnęła Claudia, biorąc Ezia pod ramię i prowadząc go po schodach. – Księżna Forlí.

– Caterina? Tutaj? – Ezio z trudem hamował podniecenie w głosie.

– Nie wiedziałyśmy, kiedy dokładnie przyjedziesz. Ona i matka są u ksieni, ale będą tu przez zmrokiem.

– Najpierw obowiązki – powiedział trzeźwo Mario. – Zwołam tu dziś wieczór zebranie Rady Bractwa. Wiem, że zwłaszcza Machiavelli bardzo chce z tobą porozmawiać.

– A więc to koniec? – spytała z przejęciem Claudia. – Hiszpan rzeczywiście nie żyje?

Spojrzenie szarych oczu Ezia stwardniało.

– Wszystko wyjaśnię wieczorem na naradzie – odrzekł szorstko.

– Dobrze – odparła Claudia, ale kiedy odchodziła, w jej oczach widać było troskę.

– Przekaż, proszę, moje pozdrowienia księżnej, kiedy wróci – zawołał za nią Ezio. – Zobaczę się z nią i z matką wieczorem. Najpierw muszę załatwić z Mariem kilka spraw niecierpiących zwłoki.

Kiedy zostali sami, Mario spowaźniał.

– Musisz się dobrze przygotować na dzisiejszy wieczór, Ezio. Machiavelli będzie tu o zmroku i wiem, że ma do ciebie dużo pytań. Teraz wszystko omówimy, a potem, radzę ci, odpocznij trochę – nie zaszkodzi, jeśli odświeżysz znajomość z miastem.

Po długiej i poważnej rozmowie z Mariem w jego gabinecie, Ezio wyszedł z powrotem na ulice Monteriggioni. Kwestia przeżycia papieża wisiła nad nim jak gradowa chmura i chciał się od niej oderwać. Mario zasugerował mu wizytę u krawca i zamówienie nowych ubrań na miejsce znoszonych w podróży, więc w pierwszej kolejności Ezio udał się właśnie tam. Zastał krawca siedzącego przy jego krawieckim stole i szyjącego brokatowy płaszcz w kolorze nasyconej, szmaragdowej zieleni.

Ezio lubił tego dobrodusznego mężczyznę, niewiele starszego niż on sam. Krawiec przywitał go serdecznie.

– Czemu zawdzięczam ten zaszczyt? – zapytał.

– Myślę, że przydałoby mi się nowe ubranie – powiedział Ezio strapiony. – Powiedz, co o tym sądzisz. Tylko szczerze.

– Nawet gdybym nie zarabiał na życie sprzedawaniem ubrań, *signore*, musiałbym rzec, że nowy komplet wyszedłby ci tylko na dobre.

– Tak też myślałem! Dobrze więc!

– Zdejmę miarę. Potem wybierzesz kolory.

Ezio poddał się krawieckim zabiegom i wybrał dyskretny, ciemnoszary aksamit na dublet oraz wełniane nogawice w takim samym kolorze.

– Czy ubranie będzie gotowe na dziś wieczór?

Krawiec uśmiechnął się.

– Nie, jeśli ma być zrobione dobrze, *signore*. Ale możemy się umówić na mierzenie jutro około południa.

– Niech tak będzie – odparł Ezio, mając nadzieję, że wieczorne spotkanie nie zakończy się przymusem natychmiastowego wyjazdu z Monteriggioni.

Szedł właśnie w stronę głównego placu miasta, kiedy zauważył atrakcyjną kobietę, męczącą się z nieporęczną skrzynką czerwonych i żółtych kwiatów, wyraźnie zbyt ciężką dla niej. O tej porze dnia nie kręciło się tu zbyt wielu ludzi, a Ezio nigdy nie potrafił się powstrzymać, by nie ruszyć na ratunek damie w opałach.

– Może pomóc? – spytał, podchodząc.

Kobieta uśmiechnęła się do niego.

– Tak, właśnie kogoś takiego mi potrzeba. Miał je dla mnie odebrać mój ogrodnik, ale żona mu się rozchorowała, więc musiał iść do domu. Przechodziłam tędy i pomyślałam, że wezmę je sama, ale ta skrzynka jest dla mnie o wiele za ciężka. Myślisz, że mógłbyś?...

– Oczywiście. – Ezio schylił się i zarzucił skrzynkę na ramię. – Tyle kwiatów. Szczęśliwa z ciebie kobieta.

– Tym szczęśliwsza, że cię spotkałam.

Nie ulegało wątpliwości, że z nim flirtowała.

– Mogłaś poprosić męża, żeby ci je przyniósł, albo któregoś ze sług – powiedział Ezio.

– Moja jedyna służka jest jeszcze słabsza niż ja – odparła kobieta. – A co do męża – nie mam go.

– Rozumiem.

– Zamówiłam te kwiaty na urodziny Claudii Auditore.

– Zapowiada się dobra zabawa.

– Owszem. – Przerwała. – Właściwie, gdybyś był skłonny pomóc mi w czymś jeszcze... Szukam kogoś z klasą, kto poszedłby ze mną na przyjęcie.

– Uważasz, że mam tej klasy wystarczająco dużo?

Kobieta była coraz śmielsza.

– Tak! Nikt w całym mieście nie nosi się wspanialej niż ty, panie. Jestem pewna, że zrobiłbyś wrażenie na bracie Claudii, samym Eziu.

Ezio uśmiechnął się.

– Pochlebiasz mi. Ale co wiesz o tym całym Eziu?

– Claudia, która jest moją bardzo dobrą przyjaciółką, ceni go najbardziej na świecie. Ale on rzadko ją odwiedza i z tego, co słyszałam, jest raczej niedostępny.

Ezio uznał, że pora się ujawnić.

– To prawda, niestety, bywałem... niedostępny.

Zaskoczona kobieta głośno wciągnęła powietrze.

– O nie! To ty jesteś Ezio! Nie do wiary, Claudia mówiła, że spodziewa się twojego powrotu. Przyjęcie miało być dla niej niespodzianką. Przyrzeknij, że nic jej nie powiesz.

– Lepiej ty mi powiedz, kim jesteś.

– Och, oczywiście. Jestem Angelina Ceresa. A teraz przyrzeknij.

– Co zrobisz, żebym milczał?

Angelina spojrzała na Ezia wyniośle.

– Och, z pewnością kilka pomysłów przyjdzie mi do głowy.

– Nie mogę się doczekać, żeby je usłyszeć.

Dotarli akurat pod drzwi domu Angeliny. Starsza gospodyni otworzyła je przed nimi, a Ezio postawił skrzynkę z kwiatami na kamiennej ławie na dziedzińcu. Odwrócił się do Angeliny i uśmiechnął.

– Powiesz mi?

– Później.

– Czemu nie teraz?

– *Signore*, zapewniam, że nie pożałujesz czekania.

Żadne z nich nie wiedziało, że rozwój wydarzeń zniweczy ich plany i że więcej się nie zobaczą. Ezio wyszedł i widząc, że dzień ma się ku końcowi, skierował kroki z powrotem do cytadeli. Kiedy zbliżył się do stajni, zauważył małą dziewczynkę kręcącą się na środku ulicy, najwyraźniej samą. Już miał się do niej odezwać, kiedy usłyszał gorączkowe krzyki i grzmot końskich kopyt. Szybciej niż pomyślał chwycił dziecko i skoczył pod osłonę wnęki drzwi. W ostatniej chwili – z za rogu bowiem wybiegł galopem olbrzymi rumak bojowy, w pełnym oporządzeniu, lecz bez jeźdźca. Za nim, na piechotę i nieprzesadnie szybko, biegł stajenny Maria, starszy mężczyzna imieniem Federico, którego Ezio znał.

– *Torna qui, maledetto cavallo!* – wrzasnął bezsilnie Federico za znikającym koniem. Widząc Ezia, poprosił: – Możesz mi pomóc, panie? To ulubiony rumak twojego wuja. Właśnie miałem go rozsiodłać i wyszczotkować, ale coś musiało go spłoszyć; jest bardzo przerażony.

– Nie martw się, spróbuję ci go odprowadzić.

– Dziękuję, panie, dziękuję. – Federico otarł czoło. – Robię się na to za stary.

– Nie przejmuj się. Zostań tu i przypilnuj tej dziewczynki, chyba się zgubiła.

– Oczywiście.

Ezio pobiegł za koniem i odnalazł go bez trudu. Zwierzę uspokoiło się i skubało siano, załadowane na stojący wóz. Rumak przestraszył się trochę podchodzącego Ezia, potem jednak go rozpoznał i nie uciekł. Ezio delikatnie położył mu dłoń na szyi i poklepał dla dodania otuchy, a potem wziął wodze i łagodnie poprowadził z powrotem.

Po drodze miał sposobność zrobić jeszcze jeden dobry uczynek, gdy napotkał szalejącą z niepokoju młodą kobietę, która okazała się być matką zagubionej dziewczynki. Ezio wytłumaczył jej, co się stało, umniejszając przy tym niebezpieczeństwo, w jakim dziecko się znalazło. Kiedy powiedział kobiecie, gdzie jest dziewczynka, ta pobiegła przodem, wykrzykując imię córki – „Sophia! Sophia!” – a Ezio usłyszał, jak dziecko w odpowiedzi woła „Mama!”. Kilka chwil później dołączył do małego zbiegowiska i przekazał wodze Federicowi, który, jeszcze raz mu dziękując, błagał, by nie wspominać o incydencie Mariowi. Ezio obiecał, że tego nie zrobi, a stajenny odprowadził konia z powrotem do stajni.

Matka wciąż czekała z córką; Ezio odwrócił się do nich z uśmiechem.

– Chce ci podziękować, panie – powiedziała kobieta.

– Dziękuję – wyrecytowała posłusznie Sophia, patrząc na Ezia z podziwem i lękiem.

– Na przyszłość trzymaj się mamy – poradził łagodnie Ezio. – Nie odchodź tak od niej, *capisco*?

Dziewczynka w milczeniu pokiwała głową.

– Zginęlibyśmy bez ciebie i twojej rodziny, która nas chroni, *signore* – powiedziała matka.

– Robimy, co w naszej mocy – odparł Ezio, ale do cytadeli wszedł zatroskany. Chociaż był przekonany, że sobie poradzi, do spotkania z Machiavellim wcale nie było mu spieszno.

Do spotkania zostało jeszcze sporo czasu, by więc uniknąć ponurych rozmyślań o jego przebiegu, a także z wrodzonej ciekawości, Ezio wspiął się na mury, żeby obejrzeć nowe armaty, które Mario rozmieścił na blankach

i z których był tak dumny. Było ich kilka, wszystkie odlane z brązu i przepięknie grawerowane; przy każdej leżały ułożone w schludny stos żelazne kule. Największe działa miały lufy długie na dziesięć stóp; Mario mówił, że ważyły prawie dziesięć ton, ale między nimi stały też lżejsze, łatwiejsze w obsłudze kolubryny. W basztach murów ustawiono sakery na łożach z lanego żelaza, a także lekkie falkonety na drewnianych wózkach.

Ezio podszedł do grupy kanonierów, zebranych wokół jednej z większych armat.

– Piękne bestie – powiedział, przesuając dłonią po złożonych grawerunkach wokół otworu zapłonowego.

– W rzeczy samej, *messer* Ezio – odparł przywódca grupy, ogorzały sierżant, którego Ezio pamiętał ze swojej pierwszej wizyty w Monteriggioni jeszcze jako młodego mężczyznę.

– Wcześniej słyszałem, jak ćwiczyliście. Mogę spróbować wystrzelić?

– Możesz, panie, ale wcześniej próbowaliśmy mniejszych armat. Te bydlaki są nowe. Jeszcze nie opanowaliśmy ich ładowania, a zbrojmistrz odpowiedzialny za ich instalację gdzieś zniknął.

– Posłaliście za nim ludzi?

– W rzeczy samej, panie, ale jak dotąd nic.

– Ja też się rozejrzę. W końcu te działa nie stoją tu dla ozdoby, a nigdy nie wiadomo, kiedy będą nam potrzebne.

Ezio odszedł, kontynuując obchód murów. Nie uszedł dalej niż dwadzieścia czy trzydzieści kroków, kiedy usłyszał głośne chrząkanie z drewnianej szopy, którą wzniesiono na szczycie jednej z baszt. Nieopodal wejścia leżała skrzynka z narzędziami, a kiedy Ezio podszedł bliżej, chrząkanie okazało się chrapaniem.

W szopie było ciemno i duszno, a w powietrzu unosił się przykry odór zwiędłego wina. Kiedy wzrok przyzwyczał się do półmroku, Ezio szybko zauważył postać zwalistego mężczyzny w niezbyt czystej bieliźnie, rozciągniętego na stercie słomy. Kopnął go lekko, ale wskórał tylko tyle, że

tamten się zakrztusił, na wpół ocknął, a potem odwrócił na bok, twarzą do ściany.

– *Salve, messere* – powiedział Ezio, szturchając go jeszcze raz, tym razem mniej delikatnie, czubkiem buta.

Ten obrócił głowę w jego stronę i otworzył jedno oko.

– O co chodzi, przyjacielu?

– Jesteś nam potrzebny, żeby rozstawić nowe armaty na murach.

– Nie dzisiaj, kolego. Z samego rana.

– Czyżbyś był zbyt pijany, żeby robić to, za co ci płacą? Kapitan Mario chyba nie będzie zadowolony, kiedy się o tym dowie.

– Na dziś koniec roboty.

– Ale przecież nie jest jeszcze późno. Wiesz, która godzina?

– Nie. I nie obchodzi mnie to. Armaty robię, nie zegary.

Ezio przykucnął, żeby porozmawiać z mężczyzną, który z kolei podciągnął się do pozycji siedzącej i z zadowoleniem beknął, racząc go powiewem swojego oddechu, śmierdzącego czosnkiem i tanim montalcino.

Ezio wstał.

– Te armaty muszą być gotowe do strzału i to już – powiedział. – Mam poszukać do tej roboty kogoś, kto się do niej nadaje lepiej od ciebie?

Mężczyzna podniósł się z trudem na nogi.

– Nie tak szybko, przyjacielu. Nikt oprócz mnie nie będzie dotykał moich armat. – Nachylił się do Ezia, łapiąc oddech. – Nie wiesz, jak to jest... Niektórzy z tych żołnierzy nie mają w ogóle szacunku dla artylerii. Dla wielu z nich to nowość, pewnie, ale na litość... Wszyscy myślą, że armata działa jak czary, ot i już! Nie ma się co spodziewać, że będą umieli się z nimi obejść.

– Możemy porozmawiać po drodze? – spytał Ezio. – Czas nie stoi w miejscu, wiesz.

– Coś ci powiem – ciągnął zbrojmistrz. – Te, które tu mamy, są klasą samą dla siebie. Dla kapitana Mario tylko to, co najlepsze – ale i tak to stosunkowo

proste konstrukcje. Zdobyłem francuski projekt ręcznej puszki. Mówią na nią: morderca z kutego żelaza. Bardzo sprytne. Pomyśl tylko, ręczna puszka! Oto jest przyszłość, kolego.

Zbliżali się do grupy otaczającej armatę.

– Możesz odwołać łowy – rzekł wesoło Ezio. – Oto i on.

Sierżant przyjrzał się surowo zbrojmistrzowi.

– Poradzi sobie?

– Może i jestem trochę nie w formie – odparował zbrojmistrz – ale w sercu spokojny ze mnie człowiek. W czasach takich jak te, pokrzepianie śpiącego w moich bebechach wojownika to jedyny sposób, by trzymać się przy życiu. Dlatego picie to mój obowiązek. – Odepchnął sierżanta na bok. – Zobaczmy, co my tu mamy...

Po krótkich oględzinach odwrócił się do żołnierzy.

– Coście tu robili? Grzebaliście przy nich, prawda? Dzięki Bogu, że żadnej nie odpaliliście, mogliście nas wszystkich pozabijać. Nie są jeszcze gotowe. Najpierw trzeba porządnie przeczyścić lufy.

– Może mając ciebie, nie będziemy w ogóle potrzebowali armat – odparł sierżant. – Wystarczy, że będziesz chuchał na wroga!

Ale zbrojmistrz był już zajęty wyciorem i kłębem szorstkiej, naoliwionej bawełny. Kiedy skończył, wyprostował się i pomasaował krzyż.

– Proszę, gotowe – powiedział i odwrócił się do Ezia. – Niech jeden z nich ją naładuje – to akurat potrafią, chociaż Bóg mi świadkiem, długo się uczyli – i można strzelać. Popatrz tam, panie, na to wzgórze. Ustawiliśmy parę celów na poziomie armaty. Zacznij od celowania w coś na tym samym poziomie, wtedy, jeśli armata wybuchnie, przynajmniej nie urwie ci głowy.

– Bardzo to pokrzepiające – rzekł Ezio.

– Spróbuj, *messere*. Oto lont.

Ezio przyłożył lont do zapалу. Przez długą chwilę nic się nie działo; potem nagle odskoczył w tył, kiedy armata szarpnęła i ryknęła. Spojrzał na cele; zobaczył, że jego kula roztrzaskała jeden z nich.

– Dobra robota – pochwalił go zbrojmistrz. – *Perfetto!* Przynajmniej jeden z tu obecnych, nie licząc mnie, potrafi strzelać.

Ezio kazał żołnierzom znów naładować armatę i znów strzelił, ale tym razem chybił.

– Wszystkich się nie trafi – pocieszył go zbrojmistrz. – Wróc o świcie, panie. Będziemy wtedy znów ćwiczyć i damy ci okazję podszkolić oko.

– Przyjdę – odparł Ezio, nieświadom zupełnie, że kiedy następnym razem przyjdzie mu strzelać z armaty, będzie to robił śmiertelnie serio.

5

Kiedy Ezio wszedł do wielkiego holu cytadeli Maria, wieczorne cienie już gęstniały, a służba zaczęła zapalać pochodnie i świece, by rozpędzić mrok. Ciemność pasowała do nastroju Ezia, który w miarę zbliżania się godziny spotkania coraz bardziej pochmurniał.

Był tak pochłonięty swoimi myślami, że w pierwszej chwili nie zauważył osoby stojącej przy wielkim kominku; jej smukła, lecz silna sylwetka wydawała się mikra przy olbrzymich kariatydach po obu stronach paleniska. Dlatego też przestraszył się, kiedy kobieta podeszła do niego i dotknęła jego ręki. Kiedy tylko ją rozpoznał, na twarzy Ezia zagościł wyraz czystej przyjemności.

– *Buonasera*, Ezio – powiedziała; pomyślał, że nieco nieśmiało jak na nią.

– *Buonasera*, Caterino – odparł, kłaniając się księżnej Forlí.

Ich uprzednia zażyłość odeszła w przeszłość, choć żadne z nich jej nie zapomniało, i kiedy księżna dotknęła ręki asasyna, oboje, jak domyślał się Ezio, poczuli urok chwili. – Claudia mówiła mi, że tu jesteś, i cieszyłem się na spotkanie z tobą. Ale... – zawahał się. – Monteriggioni jest daleko od Forlí i...

– Nie pochlebiaj sobie, że przejechałam taki kawał drogi wyłącznie z twojego powodu – przerwała mu Caterina z echem dawnego ostrego tonu w głosie, choć po jej uśmiechu widać było, że nie jest do końca poważna. Dopiero wtedy Ezio uświadomił sobie, że ta niezależna i niebezpieczna kobieta wciąż go pociąga.

– Zawsze chętnie ci usłużę, *madonna* – w każdy możliwy sposób... – odrzekł poważnie.

– Niektóre sposoby są trudniejsze niż inne – odparowała i tym razem w jej głosie pojawiła się nuta surowości.

– Co się stało?

– To nieprosta sprawa – ciągnęła Caterina Sforza. – Przyjechałam szukać sojuszu.

– Opowiedz mi coś więcej.

– Obawiam się, że twoja praca nie dobiegła jeszcze końca, Ezio. Na Forlì maszerują papieskie armie. Moja domena jest mała, ale szczęśliwie – czy nieszczęśliwie, jak dla mnie – leży na obszarze o najwyższym strategicznym znaczeniu dla każdego, kto go kontroluje.

– I potrzebna ci moja pomoc?

– Moje siły są słabe, a wasi *condottieri* bardzo by mi pomogli.

– Będę to musiał omówić z Mariem.

– On mi nie odmówi.

– I ja też nie.

– Wasza pomoc byłaby nie tylko zwykłym dobrym uczynkiem; przeciwstawiłbyś się siłom zła, przeciw którym od zawsze się jednoczyliśmy.

Kiedy rozmawiali, zjawił się Mario.

– Ezio, *contessa*... Zebraliśmy się już i czekamy na was – powiedział z niezwykle poważną miną.

– Pomówimy o tym potem – obiecał Caterinie Ezio. – Muszę iść na spotkanie, które zorganizował wuj. Myślę, że będę musiał się bardzo tłumaczyć. Ale umówmy się na później.

– Spotkanie dotyczy także i mnie – powiedziała Caterina. – Wejdziemy?

6

Sala była Eziowi bardzo dobrze znana. Na odsłoniętej teraz wewnętrznej ścianie wisiały ułożone w kolejności karty z Wielkiego Kodeksu. Biurko, zazwyczaj zasłane mapami, zostało uprzątnięte, a wokół niego, na prostych, twardych krzesłach z ciemnego drewna siedzieli członkowie Bractwa Asasynów, którzy zjechali do Monteriggioni, oraz wtajemniczeni członkowie rodziny Auditore. Za biurkiem siedział Mario, a u szczytu – poważny, ubrany na ciemno mężczyzna, wciąż młodo wyglądający, ale z głębokimi bruzdami troski na czole; mężczyzna, który stał się jednym z najbliższych współpracowników Ezia i zarazem jego najsurowszym krytykiem: Niccolò Machiavelli. Obaj nieznacznie skinęli do siebie głowami, kiedy Ezio witał się z Claudią i matką, Marią Auditore, matriarchinią rodziny od śmierci ojca. Maria uścisnęła swojego jedyne ocalałego syna, jakby zależało od tego jej życie; nie odrywała od niego rozognionego wzroku, kiedy odsunął się i usiadł obok Cateriny, naprzeciwko Machiavellego.

Ten wstał i spojrzał na Ezia pytającym wzrokiem. Najwyraźniej zamierzał przejść do tematu spotkania bez zbędnych uprzejmości i wstępów.

– W pierwszym rzędzie, być może, jestem ci winien przeprosiny – zaczął Machiavelli. – Nie byłem obecny w krypcie i pilne sprawy zaprowadziły mnie do Florencji, zanim zdążyłem dobrze przeanalizować to, co się tam stało. Mario zdał nam relację, ale tylko twoja może być pełna.

Ezio wstał i zaczął opowiadać, wprost i bez ogródek.

– Dostałem się do Watykanu, gdzie spotkałem Rodriga Borgię, papieża Aleksandra VI, i stawilem mu czoła. Był w posiadaniu jednej z Części Edenu, Pastorału, i użył jej przeciwko mnie. Udało mi się go pokonać

i wykorzystując połączone moce Pastorału i Jabłka, dostałem się do tajemnej krypty, zostawiając go na zewnątrz. Był zrozpaczony i błagał, bym go zabił. Nie zrobiłem tego.

Ezio przerwał.

– Co potem? – ponaglił go Machiavelli. Pozostali przyglądali się w milczeniu.

– W krypcie znajdowało się wiele osobliwych rzeczy – rzeczy, o których nikomu z naszego świata nawet się nie śniło. – Wyraźnie poruszony, Ezio zmusił się, by mówić dalej spokojnym tonem. – Pojawiła się przede mną wizja bogini Minerwy. Opowiedziała mi o straszliwej tragedii, która spotka rodzaj ludzki w przyszłości, ale mówiła też o zaginionych świątyniach, które – gdybyśmy je znaleźli – mogłyby nam pomóc i zapewnić jakiś rodzaj odkupienia. Minerwa zdawała się przemawiać do jakiejś zjawy, blisko ze mną powiązanej, ale co to było dokładnie, nie umiem powiedzieć. Kiedy opowiedziała o przepowiedniach i ostrzeżeniach, zniknęła. Wyszedłem z krypty i zobaczyłem, że papież umiera – a przynajmniej takie odniosłem wrażenie, gdyż wyglądał, jakby zażył truciznę. Później coś skłoniło mnie do powrotu. Zabrałem Jabłko, ale Pastorał, który mógł być kolejną Częścią Edenu, został pochłonięty przez ziemię. Cieszę się z tego; samo Jabłko, które oddałem na przechowanie Mariowi, to i tak zbyt wielka – moim zdaniem – odpowiedzialność.

– Niesłychane! – wykrzyknęła Caterina.

– Nie mogę sobie nawet wyobrazić tych cudów – dodała Claudia.

– A więc w krypcie nie znajdowała się żadna straszliwa broń, której się obawialiśmy – a przynajmniej nie zdobyli jej templariusze. Chociaż to jedno jest dobrą wiadomością – powiedział Machiavelli spokojnie.

– A ta bogini, Minerwa? – spytała Claudia. – Czy wyglądała... jak my?

– Wygląd miała ludzki, ale zarazem nadludzki – odparł Ezio. – Jej słowa były dowodem, że należała do rasy o wiele starszej i potężniejszej niż nasza. Reszta jej pobratymców wymarła wiele wieków temu. Ona sama bardzo

długo czekała na tę chwilę. Żałuję, że nie znam słów, którymi mógłbym opisać czary, jakich dokonywała.

– Co to za świątynie, o których mówiła? – wtrącił Mario.

– Nie wiem.

– Czy mówiła, że mamy je znaleźć? Skąd mamy wiedzieć, czego szukać?

– Może nasze nowe zadanie wskaże nam drogę.

– Zadania trzeba się podjąć – powiedział cierpko Machiavelli. – Ale najpierw musimy utorować mu drogę. Opowiedz nam o papieżu. Mówisz, że nie umarł?

– Kiedy wróciłem do krypty, na podłodze kaplicy leżała jego kapa. On sam zniknął.

– Czy coś obiecywał? Okazał skruchę?

– Ani jedno, ani drugie. Był zdeterminowany zdobyć Władzę. Kiedy zobaczył, że mu się to nie uda, padł.

– A ty zostawiłeś go na śmierć.

– Nie chciałem, by zginął z mojej ręki.

– Powinieneś był go zabić.

– Nie przyszedłem tu dyskutować o przeszłości. Nie żałuję swojej decyzji. Teraz porozmawiajmy o przyszłości. O tym, co mamy zrobić.

– To, co mamy zrobić, jest tym pilniejsze, że nie zabiłeś przywódcy templariuszy, kiedy miałeś okazję. – Machiavelli odetchnął głęboko, ale potem nieco się rozluźnił. – Dobrze, Ezio. Wiesz, jak wysoko cię wszyscy cenimy. Nie zaszlibyśmy tak daleko, gdyby nie dwadzieścia lat poświęcenia, które okazałeś Bractwu Asasynów i naszemu Credo. Po części sam pochwałam twoją decyzję o niezadawaniu śmierci, kiedy uznałeś to za niekonieczne. Tak dyktuje nasz honorowy kodeks. Ale popełniłeś błąd w ocenie, przyjacielu, a to oznacza, że stoi przed nami rychłe i niebezpieczne zadanie. – Przerwał i powiódł orlim spojrzeniem po zebranych. – Nasi szpiedzy w Rzymie donoszą, że zagrożenie ze strony Rodriga faktycznie zmalało. Przynajmniej trochę podupadł na duchu. Jest powiedzenie, że lepiej

walczyć z małym lewkiem, niż ze starym, zdychającym lwem; ale w przypadku Borgiów sytuacja jest akurat odwrotna. Syn Rodriga, Cesare – oto człowiek, z którym musimy się teraz zmierzyć. Dysponujący olbrzymim majątkiem, zgromadzonym przez Borgiów uczciwymi i nieuczciwymi sposobami – głównie nieuczciwymi – tu Machiavelli pozwolił sobie na kpiący uśmieszek – utrzymuje dużą armię świetnie wyszkolonych żołnierzy i zamierza podbić całą Italię, cały półwysep, nie poprzestając na granicach Królestwa Neapolu.

– Nie ośmieliłby się... nie zrobiłby tego! – zaryczał Mario.

– Ośmieli się i zrobi to – uciął Machiavelli. – Jest zły do szpiku kości, do tego tak samo oddany sprawie templariuszy, jak jego ojciec papież; jednak jest świetnym i całkowicie bezwzględny żołnierzem. Zawsze chciał nim być, nawet wtedy, gdy w wieku zaledwie siedemnastu lat został mianowany przez ojca na kardynała Walencji. Jak wszyscy wiemy, Cesare zrezygnował z tego stanowiska, jako pierwszy kardynał w historii Kościoła. Borgiowie traktują nasz kraj i Watykan jak swoje prywatne lenno. Cesare planuje najpierw zgnieść północ, podporządkować sobie Romanię i odizolować Wenecję. Zamierza też wybić nas wszystkich – pozostałych przy życiu asasynów – bo wie, że jesteśmy tak naprawdę jedynymi ludźmi, którzy mogą go powstrzymać. „*Aut Cesar, aut nihil*”, oto jego motto – „Albo jesteście ze mną, albo jesteście martwi”. I wiedz, że moim zdaniem ten szalenciec naprawdę w to wierzy.

– Wuj wspominał mi jeszcze o jego siostrze – zaczął Ezio.

Machiavelli odwrócił się do niego.

– Tak, Lukrecja. Ona i Cesare są... jak to powiedzieć? Bardzo blisko. Więzy rodzinne są u nich niezwykle mocne; kiedy nie zabijają innych braci i sióstr, mężów i żon, którzy są dla nich niewygodni, mają w zwyczaju... spółkować ze sobą.

Maria Auditore nie zdołała pohamować okrzyku obrzydzenia.

– Musimy zachować wobec nich najwyższą ostrożność, jak przy gnieździe

zmij – zakończył Machiavelli. – Bóg jeden wie, gdzie i kiedy znów uderzą. – Przerwał i wypił pół kieliszka wina. – Teraz, Mario, opuszczę was. Ezio, ufam, że niedługo znów się spotkamy.

– Wyjeżdżasz dziś wieczorem?

– Czas jest bardzo cenny, mój szlachetny Mario. Jeszcze dziś wyruszam do Rzymu. Żegnajcie.

Kiedy Machiavelli wyszedł, w pomieszczeniu zapadła cisza.

– Ma do mnie pretensje, że nie zabiłem Rodriga, kiedy miałem sposobność – rzekł w końcu z goryczą Ezio. Rozejrzał się po pozostałych. – Wszyscy macie.

– Każde z nas mogło podjąć taką samą decyzję, jak ty – powiedziała jego matka. – Byłeś przekonany, że już kona.

Mario podszedł i objął go ramieniem.

– Machiavelli zna twoją wartość; wszyscy ją znamy. Zresztą nawet gdybyś usunął nam z drogi papieża, wciąż musielibyśmy uporać się z jego potomstwem.

– Ale czy ciało by przeżyło, gdybym odrąbał głowę?

– Musimy sobie radzić z sytuacją taką, jaka jest, mój dobry Ezio, a nie z taką, jaka mogłaby być. – Mario klepnął go w plecy. – A teraz, skoro jutro czeka nas pracowity dzień, proponuję zjeść wiesz i przygotować się na wczesny spoczynek!

Caterina spojrzała Eziowi w oczy. Wyobraził to sobie, czy w jej oczach rzeczywiście dostrzegł błysk pożądania? W duchu wzruszył ramionami. Może to tylko wyobraźnia.

7

Ezio zjadł lekką kolację – tylko *pollo ripieno* z pieczonymi warzywami, a chianti pił pół na pół z wodą. Przy jedzeniu toczyły się rozmowy; odpowiadał na ciąg pytań matki grzecznie, lecz zdawkowo. Po napięciu, które trzymało go przed spotkaniem i które wreszcie go opuściło, czuł się bardzo zmęczony. Od momentu opuszczenia Rzymu nie miał chwili odpoczynku, a teraz zapowiadało się na to, że znów minie dużo czasu, zanim będzie mógł zrealizować swoje długo hołubione marzenie powrotu do dawnego domostwa we Florencji, czytania i spacerowania po okolicznych łagodnych wzgórzach.

Kiedy tylko zasady dobrego wychowania na to pozwoliły, Ezio przeprosił towarzystwo i udał się do swojej sypialni – dużego, cichego, pogrążonego w półmroku pomieszczenia na jednym z górnych pięter, z widokiem na okoliczne pola i lasy zamiast miasta. Kiedy tam dotarł i odprawił służącego, pozwolił sobie na rozluźnienie sztywnej postawy, którą utrzymywał cały dzień; zgarbił się i zaczął chodzić swobodniejszym krokiem. Poruszał się powoli i z rozmysłem. Przeszedł przez salę do kąpieli, którą przygotował mu już służący. Ściągnął buty, rozebrał się i stanął nagi, ze zmiętym ubraniem w rękę, przed wysokim lustrem na stojaku obok miedzianej wanny. Znużony popatrzył na swoje odbicie. Gdzie się podziało ostatnie czterdzieści długich lat? Wyprostował się. Był starszy, nawet silniejszy, z pewnością mądrzejszy, ale nie mógł się wyzbyć głębokiego zmęczenia, jakie przez cały czas odczuwał.

Rzucił ubranie na łóżko. Pod nim, w zamkniętej na klucz wiązowej szkatule, znajdowały się tajne bronie z Kodeksu, które sporządził dla niego

Leonardo da Vinci. Zamierzał obejrzeć je z samego rana, po naradzie wojennej z wujem. Pierwotnego ukrytego ostrza nigdy nie zdejmował, chyba że rozbierał się do naga, ale nawet wtedy trzymał je w zasięgu ręki. Nosił je tak długo, aż stało się niemal częścią jego ciała.

Ezio wśliznął się do kąpieli. Zanurzony po szyję w gorącej wodzie, wdychając parę delikatnie zaprawioną pachnidłami, zamknął oczy i wydał z siebie przeciągłe westchnienie ulgi. W końcu spokój. Lepiej dobrze wykorzystać te kilka krótkich godzin, które przed sobą miał.

Właśnie się zdrzemnął i zaczął śnić, kiedy obudził go cichutki odgłos otwierania i zamykania drzwi za ciężką, gobelinową kotarą. Natychmiast stał się czujny jak dzikie zwierzę. Bezgłośnie namacał ręką ostrze i wyćwiczonym ruchem umocował je na nadgarstku. Potem, jednym płynnym ruchem, odwrócił się i wstał. Był gotów do działania, patrzył w kierunku drzwi.

– No, no – powiedziała Caterina, podchodząc doń z szerokim uśmiechem. – Z biegiem lat nie straciłeś ani centymetra.

– Masz nade mną przewagę, *contessa* – uśmiechnął się Ezio. – Jesteś w pełni ubrana.

– Spodziewam się, że coś w tej sprawie zrobimy. Ale wciąż czekam.

– Na co?

– Aż powiesz, że nie musisz się przekonywać na własne oczy. Aż powiesz, że dobrze wiesz, nawet nie widząc mego nagiego ciała, że Natura była dla mnie równie łaskawa, jeśli nie łaskawsza, co dla ciebie. – Ku zakłopotaniu Ezia jej uśmiech stał się jeszcze szerszy. – Pamiętam jednak, że w prawieniu komplementów nigdy nie byłeś tak dobry, jak w oczyszczaniu świata z templariuszy.

– Chodź tu!

Ezio przyciągnął ją do siebie za pasek sukni. Jej palce skoczyły najpierw do jego ostrza, odpinając je, a potem do sznurowań gorsetu. Chwilę później Ezio wziął ją na ręce i włożył do wanny. Ich usta wpiły się w siebie, a nagie

kończyny splotły.

Nie byli długo w kąpiel; wkrótce wyszli, wycierając się nawzajem szorstkimi, lnianymi ręcznikami, które zostawił służący. Caterina przyniosła ze sobą fiolkę perfumowanego olejku do masażu, którą wyjęła z kieszeni sukni.

– A teraz kładź się na łóżku – powiedziała. – Chcę mieć pewność, że jesteś na mnie gotowy.

– Przecież widzisz, że jestem.

– Zrób mi tę przyjemność. Zrób sobie tę przyjemność.

Ezio uśmiechnął się. To było lepsze niż sen. Sen mógł zaczekać.

Jak się okazało, sen musiał poczekać trzy godziny, po których Caterina zwinęła się w kłębek w ramionach Ezia. Zasnęła wcześniej niż on. Przez jakiś czas przyglądał się jej. Natura rzeczywiście była dla niej łaskawa. Jej smukłe, lecz kształtne ciało o wąskich biodrach, szerokich ramionach i małych, ale idealnych piersiach wciąż mogło należeć do dwudziestolatki, a chmura delikatnych, jasnorudych włosów, łaskoczących go w pierś, na której złożyła głowę, wciąż miała ten sam zapach, doprowadzający go do szaleństwa tyle lat temu. Raz czy dwa budził się w nocy i widział, że się od niej odsunął, a kiedy znów brał ją w ramiona, tuliła się do niego przez sen, wzdychając cicho z radości i zaciskając dłoń na jego przedramieniu. Ezio zastanawiał się później, czy nie była to najlepsza noc w jego życiu.

Oczywiście zaspali, ale Ezio nie zamierzał przedkładać ćwiczeń kanonierskich nad jeszcze jeden akt miłości, choć w głębi ducha sam się za to karcił. W tle, w oddali słyszał odgłos maszerujących oddziałów – chrzęst żołnierzy przemieszczających się biegiem – wykrzykiwane rozkazy i huk działa.

– Ćwiczenia z nową armatą – powiedział, kiedy Caterina znieruchomiała na chwilę i popatrzyła na niego pytająco. – Manewry. Mario to wymagający dowódca.

Ciężkie, brokatowe zasłony na oknach nie wpuszczały światła i pokój

pozostawał spowity przyjemnym półmrokiem; żaden służący nie nadszedł i nie zmącił ich spokoju. Wkrótce jęki rozkoszy Cateriny zagłuszyły Eziowi wszystkie inne odgłosy. Zaciśnął dłonie na jej silnych pośladkach, a ona przyciągnęła go gorączkowo do siebie, kiedy nagle ich miłość przerwało coś więcej niż tylko huk armat.

Spokój sypialni rozprysnął się na kawałki. Okna wyleciały z ogromnym trzaskiem, zabierając ze sobą duży fragment kamiennego muru, a do środka wpadła, lądując tuż przy łóżku, olbrzymia, rozgrzana armatnia kula. Podłoga ugięła się pod jej ciężarem.

Na pierwszy znak zagrożenia Ezio odruchowo przykrył sobą Caterinę i w tym momencie kochankowie zmienili się w zawodowców i partnerów – jeśli mieli pozostać kochankami, musieli najpierw przeżyć.

Wyskoczyli z łóżka i narzucili na siebie ubrania. Ezio zauważył, że oprócz fiolki olejku Caterina pod spódnicami miała bardzo praktyczny sztylet o zębatym ostrzu.

– Co u diabła?... – krzyknął.

– Idź, znajdź Maria – powiedziała nagle.

Do środka wpadła następna kula, miażdżąc belki stropu nad dopiero co opuszczonym przez nich łóżkiem i rozwalając je na kawałki.

– Moi żołnierze są na głównym dziedzińcu – rzuciła Caterina. – Znajdę ich i poprowadzę dookoła cytadeli od tyłu, zobaczę, czy uda mi się zająć ich z flanki. Powiedz Mariowi, że tak postanowiłam.

– Dziękuję – odparł Ezio. – Nie rzucaj się w oczy.

– Szkoda, że nie mam czasu się przebrać. – Roześmiała się. – Następnym razem lepiej będzie wynająć pokój w *albergo*, co?

– Zadbajmy, żeby w ogóle doszło do następnego razu – rzucił Ezio, też się śmiejąc, ale nerwowo. Przypasał miecz.

– Żebyś wiedział! *Arrivederci!* – zawołała Caterina i wybiegła z komnaty, nie zapomniawszy posłać mu jeszcze całusa.

Ezio obejrzał się na szczątki łóżka. Bronie z Kodeksu – podwójne ostrze,

sztylet z trucizną i pistolet – spoczywały pogrzebane pod nimi, najprawdopodobniej zniszczone. Przynajmniej wciąż miał jeszcze swoje ukryte ostrze. Nawet *in extremis* nigdy by o nim nie zapomniał – o ostatniej spuściźnie zamordowanego ojca.

8

Ezio nie miał pojęcia, która jest godzina, ale doświadczenie mówiło mu, że szturm z reguły rozpoczynają się o świcie, kiedy ofiary są zdezorientowane i zaspane. Miał szczęście, że jego wyszkolenie zapewniło mu, nawet w wieku czterdziestu lat, czujność i zręczność dzikiego kota.

Kiedy tylko znalazł się na murach, rozejrzał się po okolicy. Wiele dzielnic miasta stało w płomieniach. Spozrzegł, że płonie pracownia krawca i dom Angeliny. Biedna Claudia, nie będzie wieczorem bawić się na swoich urodzinach.

Uchylił się, kiedy kolejna armatnia kula uderzyła w mur. Na miłość boską, jakich armat używali napastnicy? Jak mogli przeładowywać i strzelać tak szybko? I kto za tym stał?

Przez dym i kurz zobaczył Maria, biegnącego w jego stronę między stertami gruzu. Ezio zeskoczył z blanków, wylądował w przysiadzie i podbiegł do wuja.

– Wuju! *Che diavolo?*...

Mario splunął.

– Zaskoczyli nas nieprzygotowanych. To Borgia!

– *Fottere!*

– Nie doceniliśmy Cesare. Musieli nocą zebrać się na wschodzie.

– Co mamy robić?

– Najważniejsze to wyprowadzić mieszczan – tych, którzy jeszcze nie zginęli. Musimy wytrwać, dopóki tego nie zrobimy. Jeśli zajmą miasto z ludźmi, wszystkich pozabijają: każdy w Monteriggioni jest w ich oczach albo asasynem, albo asasynów wspiera.

– Znam drogę za miasto. Zostaw to mnie.

– Dobry z ciebie chłopak. Zbiorę obrońców i pokażę im, na co nas stać. – Mario przerwał. – Posłuchaj. Najpierw się im odgryźmy. Idź objąć komendę nad armatą na blankach.

– A ty?

– Ja poprowadzę frontalne natarcie. Damy łajdakom zasmakować stali.

– Caterina zamierza spróbować zejść ich z flanki ze swoimi siłami.

– Dobrze, a więc będziemy mieli szansę. A teraz spiesz się!

– Zaczekaj!

– O co chodzi?

Ezio ściszył głos.

– Gdzie jest Jabłko?

Nie powiedział wujowi, że bronie z Kodeksu zostały zniszczone w jednej z pierwszych salw. Modlił się w duchu, by dane mu było jakimś cudem spotkać się jeszcze kiedyś z Leonardem, bo nie wątpił, że mistrz wszelkich sztuk i nauk pomoże mu w razie potrzeby je odtworzyć. Póki co, wciąż miał ukryte ostrze i po mistrzowsku posługiwał się bronią konwencjonalną.

– Jabłko jest bezpieczne – zapewnił go Mario. – Teraz idź. A jeśli zobaczysz, że Borgiowie mają najmniejszą choćby szansę sforsowania murów, zajmij się ewakuacją miasta. Rozumiesz?

– *Si, zio mio.*

Mario chwycił Ezia za ramiona i przez dłuższą chwilę przyglądał się mu posępnym wzrokiem.

– Nasz los tylko częściowo spoczywa w naszych rękach. Możemy nim kierować tylko w niewielkim zakresie. Nie zapominaj jednak nigdy, przenigdy, bratanku, że cokolwiek stanie się dziś z tobą czy ze mną, nawet piórko z najmniejszego wróbla nie spada bez Bożej woli.

– Rozumiem, *capitano.*

Zapadła krótka chwila ciszy, potem Mario wyciągnął dłoń.

– *Insieme per la vittoria!*

Ezio chwycił rękę wuja i energicznie nią potrząsnął.

– *Insieme!*

Mario odwrócił się.

– *Capitano!* – krzyknął Ezio. – Uważaj na siebie.

Mario ponuro kiwnął głową.

– Zrobię, co w mojej mocy. A ty bierz mojego najlepszego konia i pędź co siłą do zewnętrznych murów.

Dobyl miecza i zwołując swoich ludzi potężnym bojowym okrzykiem, pobiegł w stronę wroga. Ezio popatrzył za nim, a potem pognął do stajni, gdzie czekał stary stajenny, któremu poprzedniego dnia odprowadził zbiegłego rumaka. Olbrzymia kasztanowata klacz była już osiodłana i gotowa.

– *Maestro* Mario przysłał rozkazy – powiedział starzec. – Może nie jestem już najmłodszy, ale nikt nigdy nie mógł mi zarzucić opieszałości. *Ma attenzione*, ten koń ma charakter!

– Wczoraj go poskromiłem, pozna mnie i dziś.

– To prawda. *Buona fortuna*. Wszyscy na ciebie liczymy.

Ezio wskoczył na siodło i popędził zniecierpliwionego konia w stronę zewnętrznych murów.

Jechał przez zniszczone już miasto. Krawiec leżał martwy i zmasakrowany przed swoją pracownią – czy kiedykolwiek wyrządził komuś jakąkolwiek krzywdę? Angelina płakała przed zgliszczami swego domu; dlaczego nie okazano jej miłosierdzia?

Wojna – taka właśnie jest. Okrutna i bezlitosna. Zawzięta i dziecinna. Eziowi żółć podeszła do gardła.

Wolność, miłosierdzie i miłość – to były jedyne rzeczy, za które warto było walczyć i zabijać – i były to podstawowe wartości Credo Asasyna. Wartości Bractwa.

Jadąc przez płonące miasto, Ezio widział sceny okrutnego zniszczenia. Otaczały go ruiny i chaos.

– Moje dzieci! Gdzie są moje dzieci? – wrzeszczała młoda matka, gdy bezradnie ją mijał.

– Niech to szlag, moja noga! Urwało mi nogę! – krzyczał jakiś mieszczanin.

– Dokąd mamy uciekać? – zawadzili ludzie biegający w kółko w panice.

– Nie mogę znaleźć mamy! Mama! Mama! – rozlegał się głos małego dziecka.

Ezio musiał uzbroić swoje serce. Nie mógł ratować pojedynczych osób – nie było na to czasu – ale gdyby udało mu się należycie zorganizować obronę, mógłby ocalić więcej ludzi.

– *Aiuto! Aiuto!* – wołała nastoletnia dziewczyna, którą żołnierze Borgiów obalali na ziemię.

Ezio zawzięcie pędził naprzód. Pozabijałby ich. Pozabijałby ich wszystkich, gdyby tylko mógł. Kim był ten bezduszny Cesare Borgia? Czy mógł być gorszy niż sam papież? Czy w ogóle mógł istnieć podlejszy od niego templariusz?

– Wody! Wody! Dajcie wody! – ryczał jakiś zrozpaczony mężczyzna. – Wszystko się pali!

– Gdzie jesteś, proszę, o Boże! Gdzie jesteś, Marcello? – rozległ się głos kobiety.

Ezio jechał dalej, zaciskając usta w zaciętym grymasie, ale w uszach wciąż dźwięczały mu wołania o pomoc.

– *Comè usciamo di qui?*

– Uciekać! Uciekać!

Ludzie przekrzykiwali huk bombardowania. Rozlegały się wrzaski i płacze, rozpaczliwe prośby o pomoc, o wskazanie drogi ucieczki z miasta, zasypywanego armatnimi salwami przez bezlitosnych żołnierzy Borgiów.

Proszę, Boże, niech tylko nie sforsują murów, zanim nie przygotujemy naszych własnych armat – pomyślał Ezio; choć słyszał kanonadę sakerów i falkonetów, plujących ogniem w napastników, nie dobiegł go jeszcze huk wielkich kolubryn, które widział poprzedniego dnia, jedynych, które mogły

zniszczyć olbrzymie, drewniane wieże oblężnicze, pchane przez żołdaków Borgiów w stronę miejskich obwarowań.

– Łajdacy – mruknął. Czy jednak ktokolwiek mógł przewidzieć szybkość i – nawet Ezio musiał to przyznać – mistrzowskie przygotowanie ataku?

– Ognia! – krzyknął ogorzały sierżant, który dowodził pierwszą kolubryną. Wielka armata ryknęła i skoczyła w tył, ale kula poleciała bokiem i odłupała jedynie trochę desek z krawędzi dachu wieży oblężniczej.

– Macie trafić tę pieprzoną wieżę, głupcy! – wrzasnął sierżant.

– Potrzebujemy więcej kul i prochu!

– To biegiem do magazynów! Patrzcie! Szturmują bramę!

Tymczasem druga armata z rykiem plunęła ogniem. Ku swojemu zadowoleniu Ezio zobaczył, że cały szereg napastników ginie w rozbryzgu krwi i kości.

– Ładuj! – wrzasnął sierżant. – Strzelać na mój rozkaz!

– Zaczekajcie, aż wieża będzie bliżej – polecił Ezio – a potem celujcie w jej dół. Cała się wtedy zawali. Nasi kusznicy wykończą ocalałych.

– Tak jest, panie.

Podszedł do nich zbrojmistrz.

– Szybko się uczysz taktyki – powiedział do Ezia.

– To instynkt.

– Dobry instynkt wart jest setki ludzi w polu – odparł zbrojmistrz. – Ale rano nie byłeś na ćwiczeniach. A na to nie ma usprawiedliwienia.

– A ty? – spytał Ezio.

– Chodź – wyszczerzył zęby w uśmiechu tamten. – Mamy jeszcze jedną taką armatę na lewej flance, a dowódca jej załogi nie żyje: dostał bełtem z kuszy w samo czoło. Był martwy, zanim upadł. Ty przejmiesz dowodzenie. Ja muszę pilnować, żeby żadna armata nie przegrzała się ani nie pękła.

– Dobrze.

– Ale uważaj, w kogo celujesz. Żołnierze twojej lubej walczą z Borgiami. Nie chcielibyśmy ich pokiereszować.

– Jakiej znów lubej?

Zbrojmistrz puścił do niego oko.

– Proszę cię, Ezio. To bardzo małe miasto.

Ezio ruszył do drugiej kolubryny. Jeden kanonier wycierał ją mokrą gąbką, by schłodziła się po strzale, a drugi ładował lufę ubitym prochem i pięćdziesięciofuntową, żelazną kulą. Trzeci przygotowywał lont, podpalając go z obu stron, by nie tracić czasu, gdyby jeden koniec przypadkiem zgasł w chwili odpalania.

– Dalej – powiedział Ezio, podchodząc do nich.

– *Signore!*

Ezio rozejrzał się po polu za murem. Zieleń trawy była zbryzgana krwią, wśród łąnów zboża leżeli zabici. Widział żółto-czarno-niebieskie barwy żołnierzy Cateriny wymieszane z bordowo-żółtymi tunikami Borgiów.

– Niech mniejsze armaty wystrzelają tych pojedynczych. Każcie im celować w czerń i złoto – warknął. – A tę obróćcie w kierunku tamtej wieży oblężniczej. Za blisko podjechała, musimy ją zniszczyć.

Kanonierzy obrócili armatę i opuścili lufę, tak by celowała w podstawę zbliżającej się wieży, oddalonej od murów już zaledwie o trzydzieści sążni.

Ezio skupił się właśnie na celowaniu, kiedy trafiono pobliski saker. Armata wybuchła, siejąc na wszystkie strony rozżarzoną do czerwoności brązem. Odłamki oberwały głowę i ramiona kanonierowi Ezia, stojącemu tuż obok niego. Na ziemię upadły ręce, zaraz za nimi reszta ciała, tryskając fontanną krwi. Nozdrza Ezia wypełnił ostry smród palonego mięsa.

– Nie panikować! – krzyknął asasyn do reszty załogi, skacząc na miejsce kanoniera. Popatrzył wzdłuż lufy. – Spokojnie... i... ognia!

Armata zagrzmiała, a Ezio odskoczył na bok i zobaczył, że kula uderza w podstawę wieży. Czy jeden strzał wystarczy? Wieża zakołysała się ciężko, na chwilę jakby odzyskała równowagę, a potem – na Boga! – runęła na ziemię, niemal w zwolnionym tempie, wyrzucając na zewnątrz część przewożonych żołnierzy i miażdżąc innych. Ryki poranionych mułów, które

ją ciągnęły, powiększyły jeszcze kakofonię paniki i śmierci – nieodłącznych towarzyszek każdej bitwy. Ezio patrzył, jak żołnierze Cateriny sprawnie dorzynają rannych i zdezorientowanych ludzi Borgiów. Sama Caterina biegła na przedzie, jej srebrny napierśnik błyskał w zimnym świetle słońca. Ezio zobaczył, jak wbiła miecz przez prawe oko kapitana Borgiów – prosto w jego mózg. Żołnierz przez długą chwilę trzepotał się w męczarniach, bezskutecznie usiłując wyrwać mocno trzymane ostrze.

Nie było jednak czasu cieszyć się tryumfem Cateriny ani spoczywać na laurach. Patrząc z blanków w dół, Ezio widział żołnierzy Borgiów, ciągnących do głównej bramy wielki taran; jednocześnie usłyszał ostrzegawczy krzyk Cateriny. Poślemy tysiąc ludzi do Forlí, żeby wspomóc ją przeciwko temu łotrowi Cesare – pomyślał.

– Jeśli dostaną się do środka, zabiją nas wszystkich – powiedział głos obok niego. Ezio odwrócił się i zobaczył starego sierżanta. Żołnierz stracił hełm, a z paskudnej rany na jego głowie płynęła krew.

– Musimy wyprowadzić ludzi. Natychmiast.

– Niektórzy zdołali już uciec, ale ci mniej zaradni są uwięzieni.

– Zajmę się tym – odrzekł Ezio, wspominając polecenia Maria. – Przejmij tu dowodzenie, Ruggiero. Patrz! Tam! Przystawili wieżę do murów! Ich ludzie szturmują mur! Poślij tam więcej naszych, zanim nas pokonają.

– Tak jest!

Sierżant odbiegł, wykrzykując rozkazy, na czele plutonu, który zebrał się szybko pod jego komendą i który po kilku chwilach zderzył się w walce wręcz z zaciętymi najemnikami Borgiów.

Ezio, z mieczem w dłoni, tnąc nadbiegających żołnierzy wroga, zbiegł na dół, do miasta. Szybko zorganizował grupę ludzi Cateriny, którzy musieli wycofać się za mury, gdy szale bitwy przechyliły się znów na stronę Borgii, i zrobił, co mógł, by zebrać resztki mieszczan i zaprowadzić ich do stosunkowo bezpiecznej cytadeli. Kiedy kończył, dołączyła do niego Caterina.

– Jakie wieści? – spytał ją.

– Złe – odparła. – Rozbili główną bramę. Wchodzą do miasta.

– Nie mamy chwili do stracenia. Musimy wszyscy wycofać się do cytadeli.

– Zbiorę resztę swoich ludzi.

– Zrób to szybko. Widziałaś Maria?

– Walczył za murami.

– A pozostali?

– Twoja matka i siostra są już w cytadeli. Prowadziły mieszczan tunelem ewakuacyjnym wiodącym na północ, za mury, w bezpieczne miejsce.

– Dobrze. Idę do nich. Dołącz do nas, kiedy tylko będziesz mogła. Musimy się wycofać.

– Zabić ich wszystkich! – wrzasnął sierżant Borgiów, wybiegając zza rogu na czele małego oddziału. Żołnierze dzierżyli zakrwawione miecze, jeden trzymał pikę, na której zatknął głowę dziewczyny. Eziowi zaschło w gardle, kiedy rozpoznał jej twarz – była to Angelina. Z rykiem wściekłości spadł na żołnierzy. Sześciu na jednego nic dla niego nie znaczyło. Ciął i dźgał; po kilku chwilach stał już w kręgu pokaleczonych i umierających ludzi, a jego pierś unosiła się i opadała w rytm ciężkiego oddechu.

Czerwona mgła zeszła mu z oczu. Cateriny nie było. Ocierając z twarzy pot, krew i brud, Ezio wrócił do cytadeli, rozkazując żołnierzom pilnującym bramy, by otworzyli ją tylko dla Maria i Cateriny. Wspiął się na wewnętrzną wieżę i spojrzał na płonące miasto.

Nie licząc trzasku płomieni i sporadycznych jęków rannych i umierających, wszędzie panowała złowroga cisza.

9

Cisza nie trwała jednak długo. Gdy Ezio sprawdzał, czy armata na murze jest odpowiednio ustawiona i nabita, potężna eksplozja odrzuciła w bok grubą bramę cytadeli, ciskając obrońców na dziedziniec pod Eziem i wielu z nich zabijając.

Kiedy opadł dym i kurz, Ezio zobaczył stojącą w przejściu grupę ludzi. Jego wuj Mario wydawał się stać na ich czele, ale najwyraźniej było z nim bardzo źle. Twarz miał poszarzałą i bezkrwistą. Wyglądał też o wiele starszej niż na swoje sześćdziesiąt dwa lata. Spojrzał w oczy Eziowi, gdy ten zeskoczył z blanków, by stawić czoła nowemu zagrożeniu. Mario padł na kolana, a potem na twarz. Usiłował się podnieść, ale spomiędzy łopatek sterczał mu długi, cienki rapier do pchnięć – bilbo. Młody mężczyzna stojący za nim pchnął go z powrotem na żwir obcasem czarnego buta. Z kącika ust wuja popłynęła strużka krwi.

Nieznajomy odziany był w czerń, a jego zaciętą twarz częściowo zakrywała czarna maska. Ezio dostrzegł na jego skórze pęcherze Nowej Zarazy. Zadrżał w duchu. Nie miał wątpliwości, kto przed nim stoi.

Obok człowieka w czerni dojrzał innych, obu w średnim wieku, oraz piękną blondynkę o okrutnych ustach. W pewnym oddaleniu, nieco z boku, stał jeszcze jeden mężczyzna w czarnym stroju. W prawym ręku trzymał zakrwawiony falchion, a w lewym łańcuch, przymocowany do grubego kołnierza na szyi Cateriny Sforzy, związanej i zakneblowanej. W jej oczach błyskał niepowstrzymany gniew i opór. Serce Ezia na moment przestało bić – nie mógł uwierzyć, że jeszcze dziś rano trzymał ją w ramionach, podczas gdy teraz była w rękach okrutnego przywódcy Borgiów. Jak mogło do tego

dojść? Ich spojrzenia spotkały się przelotnie nad dziedzińcem; Ezio przekazał ukochanej wzrokiem obietnicę, że nie pozostanie długo uwięziona.

Nie miał czasu na zastanowienie, co się wokół niego dzieje; zawładnął nim instynkt żołnierza. Musiał działać natychmiast, inaczej mógł wszystko stracić. Zrobił krok do przodu i zeskoczył z muru, powiewając peleryną – był to skok wiary na dziedziniec w dół. Z wyćwiczoną gracją wylądował i wyprostował się dumnie przed wrogami, z wyrytą na twarzy lodowatą determinacją.

Podszedł do niego zbrojmistrz, utykający na zranioną nogę.

– Co to za ludzie? – wysapał.

– Och – powiedział młody mężczyzna w czerni – nie przedstawiliśmy się. Cóż to za nieuprzejmość z naszej strony. Ale ja oczywiście znam ciebie, Ezio Auditore, choćby z reputacji. To ogromny zaszczyt. W końcu będę mógł usunąć najgorszy cień z mego boku. Oczywiście po twoim drogim wuju.

– Odsuń się od niego, Cesare!

Mężczyzna uniósł brew, a w jego przystojnej, choć skażonej chorobą twarzy zapłonęły ciemne oczy.

– Och, pochlebiasz mi niezmiernie, odgadując moje imię. Pozwól jednak, że przedstawię ci moją siostrę Lukrecję.

Odwrócił się i otarł o nią w zupełnie niebraterski sposób, ona zaś ścisnęła go za ramię i przycisnęła wargi niebezpiecznie blisko jego ust.

– Poznaj także moich bliskich współpracowników: Juana Borgię, kuzyna i przyjaciela; mojego drogiego francuskiego sprzymierzeńca, generała Octaviana de Valoisa, oraz, jako ostatniego, lecz wcale nie najmniej ważnego, Micheletta Corellę, moją niezastąpioną prawą rękę. Cóż ja bym począł bez moich przyjaciół?

– I pieniędzy ojca.

– Kiepski żart, przyjacielu.

Kiedy Cesare mówił, jego żołnierze niczym duchy wślizgiwali się do cytadeli. Ezio nie mógł ich powstrzymać; jego ludzie, w obliczu tak

beznadziejnej przewagi liczebnej, zostali szybko rozbrojeni.

– Jestem dobrym żołnierzem, a zabawa polega też na wyborze skutecznego wsparcia – ciągnął Cesare. – Muszę przyznać, że nie sądziłem, iż będziesz takim popychadłem. W końcu jednak nie robisz się coraz młodszy, prawda?

– Zabiję cię – powiedział Ezio spokojnie. – Zetrę ciebie i twój ród z oblicza ziemi.

– Nie dziś, niestety – odparł Cesare z uśmiechem. – I popatrz tylko, co dostałem od twojego wuja!

Dłoń w rękawicy zanurzyła się w sakwie przy boku i wyjęła z niej, ku zgrozie Ezia, Jabłko!

– Przydatny drobiazg – powiedział Cesare, uśmiechając się nieznacznie. – Leonardo da Vinci, mój nowy doradca wojskowy, mówi, że już sporo o nim wie, mam więc nadzieję, że oświeci mnie jeszcze bardziej, co na pewno zrobi, jeśli chce zachować głowę na karku. Artyści! Tania zgraja, z pewnością się zgodzisz.

Lukrecja parsknęła bezdusznym śmiechem.

Ezio popatrzył na starego przyjaciela, ale da Vinci nie chciał spojrzeć mu w oczy.

Leżący na ziemi Mario jęknął i poruszył się. Cesare butem wcisnął mu twarz w piach i wydobył pistolet – nowy model, który Ezio natychmiast rozpoznał, po raz kolejny ubolewając nad zniszczeniem większości swoich broni z Kodeksu na samym początku szturm.

– To nie jest zamek lontowy – powiedział przytomnie zbrojmistrz.

– To zamek kołowy – odparł Cesare. – Widać, żeś niegłupi – dodał pod adresem zbrojmistrza. – Jest o wiele bardziej przewidywalny i skuteczny niż poprzednie. Zaprojektował go dla mnie Leonardo. Szybko się też przeładowuje. Życzycie sobie, by wam zademonstrować?

– Oczywiście! – odpowiedział zbrojmistrz; jego zawodowe zainteresowanie przewyciężyło wszelkie inne instynkty.

– Proszę najuprzejmiej – zakpił Cesare, wycelował w niego pistolet

i zastrzelił go. – Przeładuj, proszę – ciągnął, wręczając broń generałowi Octavienowi i wyciągając zza pasa drugi, taki sam.

– Tyle już rozlaliśmy krwi – mówił – niemiła jest więc myśl, że czeka nas jeszcze trochę sprzątania. Nieważne. Ezio, chciałbym, żebyś przyjął ten gest jako dar mojej rodziny dla twojej.

Nachylając się lekko i stawiając stopę na środku pleców Maria, wyciągnął rapier. Polała się krew. Mario z bólu szeroko otworzył oczy i spróbował poczołgać się do bratanka.

Cesare pochylił się i z przyłożenia wypalił z pistoletu w jego potylicę. Tył czaszki Maria rozbryznął się.

– Nie! – krzyknął Ezio, a przed oczami mignęło mu wspomnienie okrutnej śmierci jego ojca i braci. – Nie!

Rzucił się na Cesare, ogarnięty nieopanowaną męką straty.

Generał Octavien, który przeładował już pistolet, wystrzelił. Ezio zatoczył się do tyłu, zakrztusił i cały jego świat spowiła czerń.

10

Kiedy się ocknął, koleje bitwy znów się odwróciły i napastnicy zostali wyparci za mury cytadeli. Ktoś ciągnął go w bezpieczne miejsce; żołnierze, którzy odbili *rocca*, zatarasowali wysadzoną bramę barykadą, zebrali w jej murach wszystkich ocalałych mieszkańców Monteriggioni i zaczęli organizować ich ucieczkę za miasto. Nikt nie wiedział, jak długo zdołają stawiać opór zdeterminowanym wojskom Borgiów, których siły zdawały się niewyczerpane.

Wszystkiego Ezio dowiedział się od starego sierżanta, kiedy dochodził do siebie.

– Nie ruszaj się, panie.

– Gdzie jestem?

– Na noszach. Zabieramy cię w bezpieczne miejsce, do naszej kryjówki. Nikt cię tam nie dostanie.

– Postawcie mnie. Mogę iść.

– Musimy opatrzyć ranę.

Ignorując go, Ezio krzyknął na noszowych. Kiedy jednak wstał, zakręciło mu się w głowie.

– Nie mogę walczyć w takim stanie.

– O Boże, znów nadciągają! – ryknął sierżant, kiedy wieża oblężnicza uderzyła w mury cytadeli, wypływając z siebie nowe zastępy żołnierzy Borgiów.

Ezio odwrócił się, by stawić im czoła; powoli przejaśniało mu się w głowie, a stalowa samokontrola pokonała przeszywający ból rany postrzałowej. *Condottieri* asasynów szybko go otoczyli i odparli ludzi Cesare. Udało się im

oderwać przy niewielkich stratach, ale kiedy cofali się w głąb zamku, z progu krzyknęła Claudia, chcąc dowiedzieć się o stan brata. Kiedy wyszła na otwartą przestrzeń, podbiegł w jej stronę kapitan Borgiów z zakrwawionym mieczem w ręku. Ezio patrzył zdjęty grozą, ale zapanował nad sobą wystarczająco, by wezwać swoich ludzi. Dwaj asasyni pobiegli ku jego siostrze, w ostatniej chwili odgradzając ją od błyskającego ostrza borgiowego mordercy. Posypały się iskry, gdy starły się trzy miecze; obaj obrońcy jednocześnie unieśli broń, by zablokować śmiertelny cios. Claudia potknęła się i upadła, otwierając usta w bezgłośnym krzyku. Silniejszy z żołnierzy, sierżant, odepchnął miecz kapitana w górę, zakleszczając swój jelec o osłonę dłoni tamtego, a drugi asasyn z zamachu wbił swoje ostrze w brzuch wroga. Claudia odzyskała panowanie nad sobą i powoli wstała. Oślaniana przez asasynów, pobiegła do Ezia, odrywając ze spódnicy pas bawełny i przyciskając mu go do ramienia; biały materiał szybko zakwitł czerwienią krwi z rany.

– Do diabła! Nie ryzykuj tak! – rzucił jej Ezio, dziękując sierżantowi, którego ludzie odepchnęli przeciwników, część strącając z murów, część zmuszając do ucieczki.

– Musimy cię zaprowadzić w bezpieczne miejsce – zawołała Claudia. – Chodź!

Ezio znów pozwolił się nieść – stracił dużo krwi. Tymczasem pozostali mieszkańcy miasta, którzy nie zdołali jeszcze uciec, stłoczyli się wokół nich. Monteriggioni było opuszczone, całkowicie opanowane przez siły Borgiów. Tylko cytadela pozostawała w rękach asasynów.

W końcu dotarli do celu: przestronnego, umocnionego pomieszczenia pod północnym murem zamku, połączonego z głównym budynkiem tajnym przejściem z biblioteki Maria. Udało się im w ostatniej chwili. Jeden z ich ludzi, wenecki złodziej zwany Paganino, służący niegdyś pod Antoniem Magianisem, zamykał właśnie sekretne drzwi na schody za ostatnimi uciekinierami.

- Myśleliśmy, że zginąłeś, ser Ezio! – zawołał.
 - Jeszcze mnie nie dopadli – odparł Ezio ponuro.
 - Nie wiem, co robić. Dokąd prowadzi to przejście?
 - Na północ, za mury.
 - A więc to prawda. Zawsze myśleliśmy, że to legenda.
 - No to teraz już wiecie – odparł Ezio, patrząc na mężczyznę i zastanawiając się, czy w gorączce chwili nie powiedział zbyt wiele człowiekowi, którego tak mało znał. Rozkazał sierżantowi zamknąć drzwi, ale w ostatniej chwili Paganino prześlizgnął się przez nie z powrotem do głównego budynku.
 - Dokąd idziesz?
 - Muszę pomóc obrońcom. Bez obaw, przyprowadzę ich tu.
 - Muszę zaryglować te drzwi za nami. Jeśli nie pójdziesz z nami teraz, będziesz musiał radzić sobie sam.
 - Poradzę sobie, panie. Zawsze sobie radzę.
 - A więc idź z Bogiem. Ja muszę zapewnić bezpieczeństwo tym ludziom.
- Ezio popatrzył na zebrany w azylu tłum. W półmroku wśród uciekinierów rozpoznał twarz nie tylko Claudii, ale też matki. W duchu odetchnął z ulgą.
- Nie ma czasu do stracenia – powiedział, barykadując drzwi za nimi pokazną, żelazną sztabą.

11

Matka i siostra Ezia szybko opatrzyły i obandażowały starannie jego ranę, stawiając go na nogi; potem Ezio rozkazał sierżantowi przekręcić ukrytą dźwignię wbudowaną w posąg Mistrza Asasynów Leoniusa, stojący obok wielkiego kominka na środku północnej ściany. Otworzyły się ukryte drzwi, ukazując korytarz, przez który ludzie mogli wydostać się bezpiecznie z miasta, wychodząc spod ziemi pół mili za jego obrębem.

Claudia i Maria stały przy wejściu, zapędzając do niego ocalałych. Sierżant poszedł przodem ze swoim oddziałem, niosąc pochodnie, by prowadzić i chronić uciekinierów w drodze.

– Szybciej! – Ezio popędzał mieszczan znikających w ciemnej paszczy tunelu. – Bez paniki. Idźcie szybko, ale nie biegnijcie. Lepiej, żebyście się nie potratowali w tym korytarzu.

– A co z nami? Co z Mariem? – spytała jego matka.

– Mario... jak mam ci to powiedzieć? Mario został zabity. Ty i Claudia macie wracać do naszego domu we Florencji.

– Mario nie żyje? – krzyknęła Maria.

– Co nas czeka we Florencji? – spytała Claudia.

Ezio rozłożył ręce.

– Nasz dom. Lorenzo Medici i jego syn podjęli się odnowienia dla nas rezydencji Auditore i dotrzyмали słowa. Teraz miasto znów kontroluje *Signoria* i wiem, że gubernator Soderini dobrze o nie dba. Wracajcie do domu. Niech się wami zaopiekują Paola i Annetta. Dołączę do was, jak tylko będę mógł.

– Jesteś pewny? Dotarły do nas zupełnie inne wieści o naszym domu.

Messere Soderini nie zdążył go uratować. Tak czy inaczej, chcemy zostać z tobą. Żeby ci pomóc.

Ostatni mieszczanie wchodzili właśnie do tunelu; na drzwi oddzielające schronienie od zewnętrznego świata spadły uderzenia młotów.

– Co to?

– Żołnierze Borgiów. Szybko! Szybko!

Ezio popędził swoją rodzinę do tunelu, zamykając pochód z kilkoma ocalałymi żołnierzami asasynów.

Droga przez tajemne przejście była ciężka; w połowie tunelu Ezio usłyszał huk – to ludzie Borgiów wyważyli drzwi prowadzące do kryjówki. Wkrótce mieli się wdrzeć do tunelu. Ponaglił swoich podopiecznych, krzyżąc na maruderów, by się pospieszyli. Usłyszał tupot biegnących za nimi opancerzonych żołnierzy. Kiedy cała grupa minęła furtę zamykającą ten odcinek tunelu, Ezio chwycił wystającą ze ściany dźwignię i gdy przebiegł ostatni uciekinier, pociągnął za nią mocno, zwalniając kratę. Pierwszy żołnierz pościgu dopadł jej w chwili, gdy spadała; ciężka, żelazna konstrukcja przygwoździła go do podłogi. Tunel wypełniły jego krzyki. Ezio biegł już dalej, wiedząc, że kupił swoim ludziom dość czasu, by bezpiecznie uciekli.

Po zdawałoby się godzinach, które jednak mogły być zaledwie minutami, pochylenie podłoża zmieniło się – podłoga się wyrównała, a potem zaczęła lekko wznosić. W powietrzu zelżał zapach stęchlizny. W tym momencie usłyszeli niski grzmot ciągłego ognia armat – Borgiowie musieli użyć swojej artylerii na cytadeli w ostatecznym akcie zbezczeszczenia. Tunel zadygotał, ze sklepienia posypał się kurz; dało się słyszeć trzeszczenie kamieni, z początku ciche, ale złowrogo narastające.

– *Dio, ti prego, salvaci* – sufit się wali! – załkała jedna z mieszczek. Pozostali zbiegowie zaczęli krzyżeć – wszystkich ogarnął strach przed pogrzebaniem żywcem.

Nagle sklepienie tunelu jakby się otworzyło i w dół runęła kaskada gruzu.

Zbiegowie rzucili się naprzód, uciekając przed spadającymi kamieniami, ale Claudia zareagowała zbyt wolno i znikła w chmurze kurzu. Zaalarmowany Ezio zawrócił w miejscu, słysząc krzyk siostry, ale nie mogąc jej zobaczyć.

– Claudia! – zawołał z paniką w głosie.

– Ezio! – nadeszła odpowiedź i gdy kurz nieco opadł, asasyn zobaczył Claudię, ostrożnie idącą ku niemu przez osuwisko.

– Dzięki Bogu, że nic ci nie jest. Nie uderzył cię żaden kamień? – spytał.

– Nie, jestem cała. Co z matką?

– Nic mi się nie stało – odparła Maria.

Otrzepli się, dziękując Bogu, że wciąż żyją, i ruszyli ostatnim odcinkiem tunelu. W końcu wyszli na powietrze. Trawa i ziemia nigdy nie pachniały równie słodko.

Wyjście z korytarza od dalszej okolicy dzielił ciąg wiszących linowych mostów, kołyszących się nad rozpadlinami. Mario zaprojektował je jako część planu ewakuacyjnego. Monteriggioni miało przeżyć zbezczeszczenie przez Borgiów. Kiedy zrównaliby je już z ziemią, przestaliby się nim interesować, a Ezio w odpowiednim czasie powróciłby i odbudował je na nowo, jako dumną twierdzę asasynów. Tego był pewien. Więcej nawet, obiecał sobie; byłby to pomnik postawiony jego szlachetnemu wujowi, którego tak okrutnie zgładzono.

Dość już miał krzywd wyrządzonych jego rodzinie przez ślepią nikczemność.

Ezio planował odcinać mosty za uciekającymi, ale ludzie szli powoli, czekając na starców i rannych. Z tyłu dobiegły krzyki i tupot zbliżającego się szybko pościgu. Ezio nie był w stanie nieść nikogo na plecach, ale udało mu się podeprzeć zdrowym ramieniem kobietę, której noga odmówiła posłuszeństwa, i przeszedł pierwszym linowym mostem, który zakołysał się groźnie pod jego ciężarem.

– Szybciej! – krzyknął, dodając otuchy tylnej straży, która już starła się z żołnierzami Borgiów. Zaczekał na drugim brzegu rozpadliny, aż ostatni

z jego ludzi bezpiecznie przebiegł, ale razem z nim przedostało się dwóch najemników. Ezio zastąpił im drogę i trzymając miecz w zdrowej ręce, rzucił się na wroga. Nawet osłabiony raną górował umiejętnościami nad przeciwnikami; jego miecz rozmył się w niebieskostatową smugę, parując ciosy ich obu ostrzy jednocześnie. Ezio zrobił krok w bok, przykucnął pod zamaszystym cięciem jednego z żołnierzy i ciął go w szczelinę zbroi pod kolanem. Mężczyzna runął z bezwładną lewą nogą. Drugi napastnik pchnął w dół, myśląc, że Ezio stracił równowagę, ale ten odtoczył się spod ostrza, które zadźwięczało na kamieniach, sypiąc w rozpadlinę ich odłamkami. Żołnierz skrzywił się, gdy od wibracji zadygotały mu kości dłoni i ręki. Ezio dostrzegł szansę; poderwał się i ciął mieczem nad opuszczoną ręką napastnika, na ukos przez twarz. Mężczyzna padł, a Ezio jednym płynnym ruchem spuścił klingę na liny podtrzymujące most. Te natychmiast pękły, strzelając niczym bicze i uciekając do tyłu nad rozpadliną. Most złożył się jak harmonijka, a żołnierze Borgiów, którzy zdążyli na niego wbiec, z krzykiem runęli w przepaść.

Na drugim brzegu wąwozu Ezio zobaczył Cesare. Obok niego stała Caterina, wciąż w łańcuchach, które trzymała wykrzywiona wściekle Lukrecja. Juan Borgia, śmiertelnie blady Micheletto i spocony Francuz, generał Octavien, stali obok.

Cesare wymachiwał czymś w stronę Ezia.

– Ty będziesz następny! – wrzasnął z furją.

Ezio zobaczył, że tym czymś jest głowa jego wuja.

12

Ezio mógł udać się teraz tylko w jedno miejsce. Żołnierze Cesare mieli odciętą drogę, a obejście rozpadliny i dogonienie ocalałych asasynów zajęłoby im wiele dni. Ezio pokierował uciekinierów do miast pozostających poza władzą Borgiów, przynajmniej póki co – Sieny, San Gimignano, Pizy, Lukki, Pistoji i Florencji – gdzie powinni znaleźć schronienie. Próbował także przekonać siostrę i matkę, że powrót do bezpiecznej Florencji jest rozsądnym wyjściem, niezależnie od tego, co stało się z Villa Auditore i mimo smutnych wspomnień, które to miasto w nich budziło. Było to tym trudniejsze, że obiema kobietami owładnęło obsesyjne pragnienie pomszczenia śmierci Maria.

Sam Ezio zmierzał do Rzymu, gdzie, jak wiedział, zamierzał się przegrupować Cesare. Być może nawet Borgia w swojej arogancji uznałby, że Ezio został pokonany lub zginął gdzieś po drodze. Asasynowi wyszłoby to tylko na korzyść. Spokoju nie dawało mu jednak coś innego. Wraz ze śmiercią Maria Bractwo straciło przywódcę. Machiavelli miał w nim ogromne wpływy, a w obecnej chwili nie wydawał się być do Ezia przyjaźnie nastawiony. Tę sprawę trzeba było załatwić.

Uratowani mieszczenie prowadzili ze sobą także trochę zwierząt, wśród nich olbrzymiego, kasztanowego rumaka, którego tak kochał Mario. Ezio wsiadł na konia, przytrzymywanego przez starego stajennego; starzec również zdołał zbiec, choć większość jego koni wpadła w ręce Borgiów.

Ściągnął wodze i pożegnał się z matką i siostrą.

– Naprawdę musisz jechać do Rzymu? – spytała Maria.

– Matko, jedyny sposób, by wygrać tę wojnę, to zmierzyć się z wrogiem na

jego terenie.

– Ale jak możesz zwyciężyć z siłami Borgiów?

– Nie jestem ich jedynym przeciwnikiem. Poza tym jest tam już Machiavelli. Muszę się z nim pogodzić i zacząć współpracować.

– Cesare ma Jabłko – zauważyła przytomnie Claudia.

– Musimy się modlić, żeby nie zapanował nad jego mocami – odparł Ezio, choć w duchu żywił wielkie obawy. Leonardo był na liście płac Cesare, a Ezio dobrze znał geniusz swojego byłego przyjaciela. Gdyby da Vinci wyjawiał Cesare tajemnice Jabłka – albo, co gorsza, gdyby znów wpadło w ręce Rodriga...

Pokręcił głową, by pozbyć się tych myśli. Będzie miał dość czasu na zmierzenie się z mocą Jabłka, kiedy je odzyska.

– Nie powinienes jechać już teraz. Rzym leży wiele mil na południe. Nie możesz poczekać choćby dzień czy dwa? – spytała Claudia.

– Borgiowie nie spoczną, a towarzyszy im zły duch templariuszy – odparł sucho Ezio. – Nikt nie będzie mógł spać spokojnie, dopóki ich potęga nie zostanie złamana.

– A jeśli nigdy do tego nie dojdzie?

– Nie wolno się nam poddawać. Chwila, kiedy to zrobimy, będzie chwilą naszej klęski.

– *È vero*. – Jego siostra zgarbiła się, ale potem znów wyprostowała. – Nie wolno się nam nigdy poddać – powiedziała stanowczo.

– Aż do śmierci – przytaknął Ezio.

– Aż do śmierci.

– Uważajcie na siebie w drodze.

– Ty też uważaj.

Ezio nachylił się w siodle, by pocałować matkę i siostrę, a potem zawrócił konia i ruszył drogą na południe. Głowa bolała go od rany i od wysiłku. Gorszy jednak ból czuł w sercu i duszy po stracie Maria i pojmaniu Cateriny. Zadrzał, myśląc o niej w szponach diabolicznych Borgiów; wiedział aż za

dobrze, jaki los mógł ją spotkać. Musiał unikać oddziałów wroga, ale serce podpowiadało mu, że osiągnąwszy swój główny cel – zniszczenie twierdzy asasynów – Cesare ruszył do domu. Pozostawała także kwestia bezpieczeństwa Cateriny, choć Ezio wiedział, że akurat ona na pewno nie podda się bez walki.

Najważniejszą rzeczą było przekłuć wrzód rosnący na ciele Italii, i to szybko, nim zakazi cały kraj.

Ezio mocno kopnął piętami boki konia i pogalopował na południe pylistą drogą.

W głowie kręciło mu się z wyczerpania, ale siłą woli zachowywał przytomność. Poprzysiągł, że nie spocznie, dopóki nie dotrze do podupadłej stolicy swojego udręczonego kraju; że musi przejechać jeszcze wiele mil, zanim pozwoli sobie na sen.

13

Był głupi, jadąc tak długo z ciężką raną i tak daleko na południe, zatrzymując się tylko po to, by dać odpocząć koniowi. Koń pocztowy byłby lepszy, ale kasztanka, Agnella, była ostatnią rzeczą, jaka wiązała go z Mariem.

Gdzie był? Pamiętał walące się, zapuszczone przedmieście, a potem wznoszący się nad nim, niegdyś majestatyczny łuk z żółtego kamienia, dawną bramę we wspaniałych swego czasu miejskich murach.

W pierwszym odruchu Ezio chciał odnaleźć Machiavellego – by z jego pomocą naprawić błąd, który popełnił, nie upewniając się, że Rodrigo Borgia nie żyje.

Ale, na Boga, był taki zmęczony.

Leżał teraz na plecach na deskach, na których się ocknął. Czuł zapach świeżego siana, z lekką nutką krowiego łajna.

Gdzie był?

Nagle przed oczami stanęła mu Caterina. Musiał ją uwolnić. Musieli się w końcu połączyć.

Ale być może powinien także uwolnić od niej siebie, choć coś w sercu mówiło mu, że nie tego tak naprawdę pragnie. Czy mógł jej zaufać? Jak zwykły mężczyzna miałby pojąć subtelne labirynty kobiecego umysłu? Niestety, udręki miłości z wiekiem wcale nie malały.

A może po prostu go wykorzystywała?

Ezio zawsze trzymał w swoim sercu sekretne pomieszczenie, *sanctum sanctorum* zamknięte nawet przed najbliższymi przyjaciółmi, matką – która wiedziała o tym i szanowała to – siostrą i nieżyjącymi braćmi oraz ojcem.

Czyżby Caterina się tam włamała? Ezio nie potrafił zapobiec śmierci

swojego ojca i braci, ale, na Chrystusa i Krzyż, zrobił, co w jego mocy, by ochronić Marię i Claudię.

Caterina potrafiła sama o siebie zadbać – była jak zamknięta księga, a mimo to... mimo to, jakże bardzo chciał ją przeczytać.

„Kocham cię” – krzyczało do niej serce wbrew jego woli. Wreszcie kobieta, o której śnił, tak późno w życiu. Ale najpierw obowiązek – powiedział sobie – a Caterina... Caterina nigdy tak naprawdę nie odkryła swoich kart. Jej enigmatyczne piwne oczy, jej uśmiech, to, jak potrafiła owinąć go sobie wokół długich, zręcznych paluszków... Ta bliskość... Ta bliskość. Ale też głęboka cisza jej włosów, które zawsze pachniały wanilią i różami...

Nie wiedział, czy może jej ufać, nawet kiedy składał głowę na jej piersi po namiętnej miłości, kiedy tak bardzo chciał poczuć się bezpiecznie.

Nie! Bractwo. Bractwo. Bractwo! Jego zadanie i jego przeznaczenie.

Jestem martwy – powiedział do siebie Ezio. – W duchu jestem już martwy, ale dokończę to, czego się podjąłem.

Sen rozplynął się i Ezio powoli otworzył oczy. Zobaczył przed sobą obfity, choć nie pierwszej młodości biust, pod którego ciężarem suknia kobiety rozstępowała się niczym Morze Czerwone.

Pospiesznie usiadł. Jego rana była należycie opatrzona, a ból zelżał do tego stopnia, że prawie dało się o nim zapomnieć. Kiedy wzrok Ezia wyostrzył się, asasyn rozejrzał się po małym pomieszczeniu o ścianach z grubo ciosanego kamienia. Małe okna zakryte były zasłonami z szorstkiej bawełny, a w kącie w żelaznym piecyku palił się ogień; rozżarzone węgle w jego otwartych drzwiczkach były jedynym źródłem światła. Drzwi komnaty zamknięto, ale ktoś, kto był tu razem z Eziem, zapalił ogarek.

Obok niego, na skraju jego pola widzenia, klęczała kobieta w średnim wieku, o wyglądzie wieśniaczki. Z łagodnym wyrazem twarzy zajmowała się jego raną, poprawiając opatrunek i bandażę.

Rana była niezagojona! Ezio skrzywił się z bólu.

– *Calmatevi* – powiedziała kobieta. – Ból niedługo minie.

– Gdzie mój koń? Gdzie *campione*?

– Klacz jest bezpieczna. Odpoczywa. Bóg świadkiem, że tego potrzebuje. Krwawiła z pyska. Taki dobry koń. Dlaczego jej to zrobiłeś?

Kobieta odstawiła miskę z wodą i wstała.

– Gdzie jestem?

– W Rzymie, mój drogi. *Messer Machiavelli* znalazł cię omdlewającego w siodle, na spienionym koniu, i przyprowadził tutaj. Nie martw się, zapłacił dobrze mnie i mojemu mężowi, żebyśmy się wami zaopiekowali. I parę groszy dorzucił za dyskrecję. Znasz *messer Machiavellego* – sprzeciwić mu się można tylko na własne ryzyko. Zresztą takie przysługi waszej organizacji świadczyliśmy już wcześniej.

– Zostawił mi jakąś wiadomość?

– O tak. Masz się z nim spotkać, kiedy tylko powrócą ci siły, w Mauzoleum Augusta. Wiesz, gdzie to jest?

– To jedna z ruin, prawda?

– Święta prawda. Chociaż mauzoleum nie popadło w ruinę bardziej niż większość tego okropnego miasta w dzisiejszych czasach. Pomyśleć tylko, że kiedyś był to sam środek świata. Popatrz teraz – mniejsze niż Florencja, o połowę mniejsze niż Wenecja. Ale z jednego możemy być dumni – zarechotała.

– Z czego?

– W tym nędznym mieście, które kiedyś z dumą zwało się Rzymem, mieszka zaledwie pięćdziesiąt tysięcy dusz, a siedem tysięcy z nich to prostytutki. To chyba najlepszy wynik w całej Italii! – Znów się zaśmiała. – Nic dziwnego, że wszyscy cierpią na Nową Zarazę. Nie sypiaj tu z nikim – dodała – jeśli nie chcesz, żeby cię zżarły krosty. Nawet kardynałowie ją mają, a mówią, że i papież, i jego syn.

Ezio pamiętał Rzym jak ze snu. Dziś było to dziwne miejsce, jego starożytne, rozsypujące się obecnie mury zaprojektowano dla miliona mieszkańców. Teraz większość terenów zajęły uprawy.

Pamiętał też ruiny na placu, który w starożytności był Wielkim Forum, a gdzie teraz pasły się owce i kozy. Ludzie kradli starożytne marmurowe rzeźby i porfiry, porozrzucane w trawie, by budować z nich chlewy lub ścierać je na wapno. Z cmentarzyska nędznych domostw i krzywych, brudnych ulic wyrastały obscenicznie wielkie, nowe gmachy wzniesione przez papieży Sykstusa IV i Aleksandra VI, niczym torty weselne na stole, na którym nie było żadnych innych potraw prócz czerstwego chleba.

Wielkość Kościoła została umocniona – papież wrócił w końcu z awiniońskiego wygnania. Najważniejsza postać na międzynarodowej arenie, przewyższająca nie tylko królów, ale samego Maksymiliana, władcę Świętego Cesarstwa Rzymskiego, znów zasiadała w Rzymie.

Czy to nie papież Aleksander VI podzielił w swojej mądrości południowy kontynent Nowych Ameryk między kolonizujące go państwa, Portugalię i Hiszpanię, w traktacie z Tordesillas w 1494 roku? W tym samym roku w Neapolu wybuchła Nowa Zaraza. Nazwano ją chorobą francuską – *morbus gallicus* – ale wszyscy wiedzieli, że przywlekli ją z Nowego Świata genueńscy żeglarze Kolumba. Była to fatalna przypadłość. Ciało chorych pokrywały się krostami i wrzodami, a w ostatnich stadiach ich twarze zniekształcały się nie do poznania.

Tu, w Rzymie, biedni żywili się owsem i boczkiem – o ile udało im się go zdobyć – a brudne ulice rodziły tyfus, cholerę i czarną śmierć. Pewna część mieszkańców była ostentacyjnie bogata, większość jednak przypominała pastuchów i wiodła równie nędzny żywot.

Jakiż był to kontrast wobec przepychu Watykanu! Wielkie miasto Rzym stało się stertą śmieci historii. Ezio pamiętał, że w brudnych zaułkach, uchodzących tu za ulice, po których biegały teraz zdziczałe psy i wilki, stały kiedyś kościoły, dziś zrujnowane, i pałace, opustoszałe i gnijące, przypominające mu o prawdopodobnie równie podupadłej rodowej siedzibie we Florencji.

– Muszę wstać. Muszę znaleźć *messer Machiavellego* – powiedział,

pospiesznie przepędzając wizje sprzed oczu.

– Wszystko w swoim czasie – odparła opiekunka. – Zostawił ci nowe ubranie. Założysz je, kiedy będziesz gotów.

Ezio wstał, ale zakręciło mu się w głowie. Otrząsnął się, a potem założył strój pozostawiony mu przez Machiavellego. Był nowy, uszyty z lnu, z miękkim, wełnianym kapturem, opadającym na twarz niczym orli dziób. Komplet uzupełniały mocne, miękkie rękawice i buty z hiszpańskiej skóry. Ezio ubrał się, walcząc z bólem, a kiedy skończył, kobieta poprowadziła go na balkon. Asasyn uświadomił sobie, że nie znajduje się w jakiejś nędznej norze, lecz w ruinach dawnego wspaniałego pałacu. Musieli być na *piano nobile*. Wciągnął powietrze do płuc i popatrzył na smutną ruinę miasta w dole. Po stopach przebiegł mu jakiś śmiały szczur. Ezio kopnął go.

– Ach, *Roma* – powiedział z ironią.

– To, co z niej zostało – odparła kobieta, znów z rechem.

– Dziękuję, *madonna*. Komu zawdzięczam?...

– Jestem *contessa* Margherita degli Campi – przedstawiła się. W słabym świetle Ezio zobaczył w końcu delikatne rysy jej pięknej niegdyś twarzy. – A raczej – wspomnienie po niej...

– *Contessa* – rzekł asasyn z ukłonem, starając się ukryć smutek w głosie.

– *Mausoleo* jest tam – rzekła, uśmiechając się i wskazując kierunek. – Tam macie się spotkać.

– Nie widzę.

– To w tamtą stronę. Niestety, nie widać go z mojego *palazzo*.

Ezio zmrużył oczy w półmroku.

– A z wieży tamtego kościoła?

Kobieta popatrzyła na niego.

– Santo Stefano? Tak. Ale to ruina. Schody na wieżę się zawaliły.

Ezio wziął się w garść. Musiał dotrzeć na miejsce spotkania najbezpieczniej i najszybciej jak tylko się dało. Nie chciał tracić czasu na żebraków, dziwki i rzezimieszków, którzy zaludniali ulice dniem i nocą.

– To nie problem – powiedział kobiecie. – *Vi ringrazio di tutto quello che avete fatto per me, buona contessa. Addio.*

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparła z kpiącym uśmiechem. – Ale czy jesteś pewny, że możesz ruszyć tak szybko? Moim zdaniem powinien obejrzeć cię lekarz. Poleciałabym ci jakiegoś, ale mnie już na nich nie stać. Oczyściłam i opatrzyłam ci ranę, lecz nie jestem ekspertem.

– Templariusze nie będą czekać, więc ja też nie mogę – odparł Ezio. – Jeszcze raz dziękuję i żegnaj.

– Idź z Bogiem.

Ezio zeskoczył z balkonu na ulicę, krzywiąc się od wstrząsu, i przebiegł zdominowanym przez sypiący się pałac placem w kierunku kościoła. Dwa razy tracił z oczu wieżę i musiał zawracać. Trzy razy zaczepiali go trędowaci żebracy, a raz napotkał wilka, który odbiegł boczną uliczką, trzymając w szczękach coś, co przypominało ciało martwego dziecka.

W końcu Ezio znalazł się na otwartej przestrzeni przed kościołem. Budynek był zabity deskami, a wapienne figury świętych zdobiące wejście ucierpiały od wielu lat zaniedbań. Nie wiedział, czy może zaufać rozpadającym się murom, ale nie miał innego wyjścia – musiał się wspiąć.

Udało mu się, choć kilka razy tracił oparcie pod stopami, a raz zapadła się pod nim ambrazura; zawisł wtedy na samych czubkach palców. Wciąż był silnym mężczyzną i mimo ran udało mu się wciągnąć z powrotem; w końcu znalazł się na szczycie wieży sterczącej z ołowianego dachu. Kopuła mauzoleum połyskiwała matowo w świetle księżyca kilka kwartałów dalej. Zamierzał udać się tam od razu i poczekać na przybycie Machiavellego.

Poprawił ukryte ostrze, miecz i sztylet, i już miał oddać skok wiary na wóz z sianem, stojący na placu w dole, kiedy nagle rana zaboląa go tak, że zgiął się w pół.

Contessa dobrze opatrzyła mi ramię, ale miała rację, muszę iść do lekarza – powiedział do siebie.

Ostrożnie zszedł z wieży na ulicę. Nie miał pojęcia, gdzie znaleźć *medico*,

więc udał się do gospody, gdzie za parę dukatów udzielono mu wskazówek i sprzedano kubek podłego czerwonego wina, które trochę złagodziło ból.

Było już późno, kiedy dotarł do gabinetu medyka. Musiał kilka razy mocno zapukać, zanim usłyszał stłumioną odpowiedź; potem drzwi uchyliły się odrobinę, ukazując otyłego, brodatego mężczyznę około sześćdziesiątki, w grubych okularach.

Wyglądał, jakby nie był w najlepszej formie – Ezio wyczuł w jego oddechu woń alkoholu – do tego jedno oko miał wyraźnie większe od drugiego.

– Czego chcesz? – zapytał.

– Jesteś *dottore* Antonio?

– A jeśli tak, to co?

– Potrzebuję twojej pomocy.

– Już późno – powiedział doktor, ale jego spojrzenie spoczęło na zranionym barku Ezia i pojawiło się w nim ostrożne współczucie. – To będzie kosztowało więcej.

– Nie jestem w pozycji do targów.

– Dobrze. Wchodź.

Doktor odpiął łańcuch z drzwi i odsunął się na bok. Ezio, wdzięczny, wszedł chwiejnie do sieni. Z belek stropowych zwisała kolekcja miedzianych rondli i szklanych fiolek, suszonych nietoperzy, jaszczurek, myszy i węży.

Doktor poprowadził go do gabinetu, w którym stało olbrzymie biurko, zasłane papierami, wąskie łóżko w kącie, kredens, którego otwarte drzwiczki ukazywały jeszcze więcej buteleczek, i skórzana torba, również otwarta, zawierająca komplet skalpeli i miniaturowych pił.

Doktor podążył za spojrzeniem Ezia i zaśmiał się krótko.

– My, *medici*, jesteśmy tylko trochę lepszymi mechanikami – powiedział. – Spocznij na łóżku, to cię obejrzę. Ale najpierw... Trzy dukaty, płatne z góry.

Ezio wręczył mu pieniądze.

Doktor odwinął ranę i zaczął ją obmacywać i naciskać. Ezio prawie zemdlał z bólu.

– Nie ruszaj się! – warknął lekarz. Podłubał w ranie jeszcze trochę, polał ją szczypiącym płynem z butelki, otarł bawełnianym wacikiem, a potem opatrzył na nowo czystymi bandażami.

– W twoim wieku nie wydobrzeje się po takiej ranie od samego lekarstwa. – Doktor pogrzebał w kredensie i wyjął fiolkę jakiegoś gęstego płynu. – Ale masz tu coś na uśmierzenie bólu. Nie wypij wszystkiego naraz. A teraz... Jeszcze trzy dukaty. I nie martw się, z czasem się zagoi.

– *Grazie, dottore.*

– Czterech na pięciu lekarzy zaproponowałyby pijawki, ale nie dowiedziono ich skuteczności przy takich ranach... A właśnie, co to w ogóle było? Gdyby nie zdarzało się to tak rzadko, powiedziałbym, że postrzelono cię z pistoletu... Wróć, jeśli będziesz potrzebował pomocy. Mogę ci też polecić kilku dobrych kolegów w mieście.

– Biorą tyle co ty?

– Drogi panie – prychnął doktor Antonio. – Wykpiłeś się naprawdę tanim kosztem.

Ezio wyszedł na ulicę. Zaczęło mżyć i wszędzie robiło się już błoto.

– „W twoim wieku...” – mruknął. – *Che sobbalzo!*

Ruszył z powrotem do gospody, bo wcześniej zauważył, że można w niej wynająć kwaterę. Zamierzał się tam zatrzymać, zjeść coś i rano ruszyć do mauzoleum. Potem musiałyby tylko poczekać na drugiego asasyna. Machiavelli mógł przynajmniej podać *contessie* jakąś porę spotkania. Ezio wiedział jednak, jak jego towarzysz dba o bezpieczeństwo. Bez wątplenia pojawiał się w umówionym miejscu codziennie w stałych odstępach czasu. Ezio nie musiałyby długo czekać.

Ruszył przez brudne ulice i zaułki, uskakując w ciemność drzwi za każdym razem, kiedy dostrzegał patrol Borgiów – łatwo rozpoznawalny po bordowo-żółtych tunikach.

Do gospody dotarł o północy. Napił się ciemnego płynu z fiolki – smakował całkiem dobrze – i załomotał w drzwi głowicą miecza.

14

Następnego dnia wyszedł o świcie. Rana ciągnęła, ale ból osłabł i Ezio mógł już sprawniej ruszać ręką. Przed wyjściem przeciwiczył kilka ciosów ukrytym ostrzem i odkrył, że jest w stanie posługiwać się nim bez trudności, podobnie jak bardziej konwencjonalnym zestawem broni – sztyletem i mieczem. Dobrze, że nie postrzelono go w rękę, którą nimi władał.

Nie wiedząc, czy Borgiowie i ich wspólnicy – templariusze – domyślają się, że uszedł cało z bitwy o Monteriggioni, i widząc na ulicach dużo żołnierzy z rusznicami w bordowo--żółtych tunikach Borgiów, poszedł do Mauzoleum Augusta okrężną drogą. Kiedy dotarł na miejsce, słońce wisiało już wysoko na niebie.

Po okolicy kręciło się mniej ludzi i upewniwszy się, że nigdzie nie czają się strażnicy, Ezio ostrożnie podszedł do budynku i wśliznął się przez zrujnowane wrota do mrocznego wnętrza.

Kiedy jego oczy przyzwyczały się do ciemności, dostrzegł odzianą w czerń postać opartą o wielki głaz, nieruchomą jak posąg. Rozejrzał się na obie strony, sprawdzając, czy jest gdzie się ukryć, zanim postać go dostrzeże, ale, nie licząc kęp trawy wśród zwalonych kamieni starożytnej rzymskiej budowli, nie znalazł niczego. Zdecydował się więc na inne rozwiązanie i szybko, choć cicho, skierował się ku cieniowi rzucanemu przez ściany mauzoleum.

Spóźnił się. Kimkolwiek był nieznajomy, zobaczył Ezia, kiedy ten tylko wszedł do środka, obrysowanego światłem padającym z wejścia, i ruszył w jego stronę. Kiedy podszedł bliżej, Ezio rozpoznał czarno odzianego Machiavellego, który przyłożył palec do ust. Dyskretnie dając znak, by Ezio

poszedł za nim, Machiavelli zanurzył się w mroku grobowca starożytnego rzymskiego cesarza, zbudowanego prawie półtora tysiąca lat wcześniej.

W końcu zatrzymał się i odwrócił.

– Ćśś – powiedział i zaczął nasłuchiwać.

– Co?...

– Ścisz głos. Mów bardzo cicho – upomniał Machiavelli, wciąż nasłuchując.

W końcu się rozluźnił.

– Dobrze – podjął. – Nikogo nie ma.

– O co ci chodzi?

– Cesare Borgia ma swoich ludzi wszędzie. – Machiavelli nieco się odprężył. – Cieszę się, że cię tu widzę.

– Przecież zostawiłeś ubranie dla mnie u *contessy*...

– Poleciałem, by była gotowa na twoje przybycie do Rzymu. – Machiavelli wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Och, wiedziałem, że tu przyjedziesz. Kiedy tylko zadbasz o bezpieczeństwo matki i siostry. W końcu z rodu Auditore pozostały tylko one.

– Nie podoba mi się twój ton – najeżył się Ezio.

Machiavelli pozwolił sobie na lekki uśmieszek.

– Nie czas na uprzejmości, mój drogi. Wiem, że obwiniasz się o utratę rodziny, choć nie jesteś nawet w części odpowiedzialny za tamtą olbrzymią zdradę. – Przerwał. – Wieści o ataku na Monteriggioni rozeszły się po mieście. Niektórzy z nas byli przekonani, że tam zginąłeś. Zostawiłem ubranie u naszych zaufanych przyjaciół, bo znam cię dość dobrze, by wiedzieć, że nie umarłbyś ot tak, i to w tak istotnym dla nas momencie – a przynajmniej nic to nie kosztowało.

– A więc wciąż mi ufasz?

Machiavelli wzruszył ramionami.

– Popełniłeś błąd. Raz. Bo w twojej naturze leży odruch okazywania litości i zaufania. To dobry odruch. Ale teraz musimy uderzyć, i to uderzyć mocno. Miejmy nadzieję, że templariusze nie wiedzą, że żyjesz.

– Przecież muszą już wiedzieć.

– Niekoniecznie. Moi szpiedzy donoszą, że było dużo zamieszania.

Ezio zastanawiał się przez chwilę.

– Nasi wrogowie wkrótce się przekonają, że żyję, i to na własnej skórze.

Z iloma walczymy?

– Och, Ezio, dobra wiadomość jest taka, że zawężiliśmy pole działania. Usunęliśmy wielu templariuszy w całej Italii i w wielu krajach poza jej granicami. Zła – że templariusze oraz rodzina Borgiów zjednoczyli się i będą walczyć jak zapędzone do kąta lwy.

– Opowiedz mi więcej.

– Tutaj jesteśmy zbyt odizolowani. Musimy zgubić się w tłumie w centrum miasta. Pójdziemy na walkę byków.

– Walkę byków?

– Cesare jest świetnym toreadorem. W końcu to Hiszpan. Tak naprawdę nie pochodzi z Hiszpanii, lecz z Katalonii, i któregoś dnia możemy to wykorzystać.

– Jak?

– Król i królowa Hiszpanii chcą zjednoczyć swój kraj. Pochodzą z Aragonii i Kastylii. Katalończycy są dla nich cierniem w boku, choć to wciąż potężny naród. Chodź, i bądź ostrożny. Musimy obaj wykorzystać umiejętność wtapienia się w tłum, której tak dawno temu nauczyła cię we Florencji Paola. Mam nadzieję, że nie zapomniałeś.

– Wypróbuj mnie.

Razem ruszyli przez na wpół zrujnowane cesarskie niegdyś miasto, trzymając się cieni i prześlizgując przez tłum niczym ryby przez wodorosty. W końcu dotarli do areny, gdzie zajęli miejsca po droższej, zatłoczonej, ocienionej stronie i przez godzinę patrzyli, jak Cesare i jego liczni pomocnicy rozprawiają się z trzema groźnymi bykami. Ezio obserwował technikę walki Cesare: Borgia wykorzystywał banderillerów i pikadorów, by zmęczyli zwierzę, a potem zadawał cios łaski, uprzednio bardzo się popisując. Nie

można było jednak wątpić w jego odwagę i zręczność, obserwując ten ponury rytuał śmierci – nawet jeśli pomagało mu czterech młodszych matadorów.

Ezio obejrzał się przez ramię na trybunę *presidente* walki: rozpoznał tam zimną, lecz nieodparcie piękną twarz siostry Cesare, Lukrecji. Zastanawiał się, czy i teraz przygryzała sobie wargi do krwi?

Tak czy inaczej, dowiedział się czegoś o tym, jak zachowywały się Cesare na polu walki – i jak dalece można było mu ufać w starciu.

Żołnierze Borgiów zewsząd obserwowali tłum i patrolowali pobliskie ulice, wszyscy uzbrojeni w nowe śmiertelne rusznice.

– Leonardo... – wymknęło się Eziowi, który wspomniał starego przyjaciela.

Machiavelli spojrzał na niego.

– Leonardo został zmuszony do pracy dla Cesare pod groźbą śmierci – a byłaby to śmierć okrutnie bolesna. To szczegół – straszny, ale mimo wszystko szczegół. Najważniejsze, że sercem nie sprzyja nowemu panu, który nigdy nie zdobędzie dość informacji i umiejętności, by w pełni kontrolować Jabłko. Przynajmniej taką mam nadzieję. Musimy być cierpliwi. Odzyskamy je, a wraz z nim odzyskamy Leonarda.

– Chciałbym mieć twoją pewność.

Machiavelli westchnął.

– Może mądrze robisz, wątpiąc – powiedział w końcu.

– Hiszpania zawładnęła Italią – rzekł Ezio.

– Walencja zawładnęła Watykanem – odparł Machiavelli – ale my możemy to zmienić. Mamy sprzymierzeńców w kolegium kardynałów, niektórych bardzo potężnych. Nie wszyscy są pieskami salonowymi Borgiów. A Cesare, przy całej swojej pyszałkowatości, jest uzależniony od finansów swojego ojca, Rodriga. – Spojrzał uważnie na Ezia. – Dlatego właśnie powinieneś być zająć się tym krnąbrnym papieżyną.

– Nie wiedziałem.

– Jestem tak samo winny jak i ty. Powinienem był ci powiedzieć. Ale jak

sam rzekłeś, musimy zająć się teraźniejszością, nie przeszłością.

– Amen.

– Amen.

– Ale jak ich na to wszystko stać? – spytał Ezio, kiedy następny byk zachwiał się i runął pod nieubłaganym ostrzem Cesare.

– *Papa Aleksander* to osobliwe połączenie cech – odparł Machiavelli. – Jest świetnym administratorem i koniec końców zrobił dla Kościoła dużo dobrego, ale zło zawsze zwycięża w nim dobro. Przez wiele lat był watykańskim skarbnikiem i nauczył się gromadzić pieniądze, co dobrze potem wykorzystał. Sprzedaje kardynalskie kapelusze, mianując dziesiątki kardynałów, których lojalność ma praktycznie zagwarantowaną. Ułaskawiał nawet morderców, o ile tylko stać ich było na wykupienie się od szubienicy.

– Jak to usprawiedliwiać?

– Bardzo prosto. Kazał, że lepiej, by grzesznik żył i pokutował, niż zginął, unikając tym samym doczesnego cierpienia.

Ezio nie zdołał powstrzymać śmiechu, choć był to śmiech pozbawiony wesołości. Myślami powrócił do niedawnych obchodów roku tysiącpięćsetnego – Wielkiego Roku Połowy Tysiąclecia. To prawda, po kraju włączyli się biczownicy, oczekujący Sądu Ostatecznego, zresztą nawet szalony mnich Savonarola – który przez krótki czas posiadał Jabłko i którego we Florencji pokonał sam Ezio – też dał się zwieść temu przesądowi.

Rok 1500 był rokiem wielkiego jubileuszu. Ezio pamiętał tysiące pełnych nadziei pielgrzymów, którzy ścigali do Stolicy Apostolskiej z wszystkich zakątków świata. Świętowano nawet w małych osadach za morzami daleko na zachodzie, w Nowych Ziemiach odkrytych przez Kolumba i, parę lat później, przez Ameriga Vespucciego, który potwierdził ich istnienie. Do Rzymu płynęła rzeka pieniędzy z odpustów; wierni pragnęli odkupić grzechy w obliczu spodziewanego, powtórnego nadejścia Chrystusa i sądu nad żywymi i umarłymi. To wtedy Cesare ruszył na podbój miast-państw Romanii, a król Francji zajął Mediolan, tłumacząc swoje czyny prawowitym

dziedzictwem, przynależnym mu jako praprawnukowi Giana Galeazza Viscontiego.

Papież mianował wtedy swojego syna, Cesare, kapitanem generalnym sił papieskich i *gonfalonierem* Świętego Kościoła Rzymskiego podczas wielkiej ceremonii, rankiem, czwartej niedzieli Wielkiego Postu. Cesare został powitany przez chłopców w jedwabnych komżach i cztery tysiące żołnierzy odzianych w jego osobiste barwy. Jego tryumf zdawał się pełny: poprzedniego roku w maju poślubił Charlottę d'Albret, siostrę Jana, króla Nawarry, a król Francji Ludwik, z którym Borgiowie byli sprzymierzeni, uczynił go księciem Walencji. Ponieważ Cesare był już w Walencji kardynałem, nic dziwnego, że ludzie nadali mu przydomek Valentino.

Teraz zmija była u szczytu swojej potęgi.

Jak Ezio mógł go pokonać?

Podzielił się tymi obawami z Machiavellim.

– Ostatecznie użyjemy przeciw nim ich własnej próżności – powiedział Niccolò. – To ich pięta achillesowa. Wiem, jaka jest twoja.

– Jaka? – warknął Ezio jak dźgnięty szpilką.

– Nie muszę wymieniać jej imienia. Strzeż się jej – odparł Machiavelli, ale potem zmienił temat. – Pamiętasz, co słyszeliśmy o orgiach?

– Wciąż trwają?

– W rzeczy samej. Wiesz, jak Rodrigo – odmawiam nazywania go papieżem – za nimi przepada. Ale trzeba pochylić przed nim czoła, ma przecież siedemdziesiąt lat! – Machiavelli zaśmiał się kpiąco, a potem nagle spoważniał. – Borgiowie pójdą na dno pod ciężarem własnej wszeteczności.

Ezio dobrze pamiętał relację świadka jednej z orgii.

Papież wydał kolację w swoich godnych Nerona, przepysznie urządzonej, ociekających złotem komnatach, i ściągnął na nią pięćdziesiąt najlepszych ladacznic w mieście. Lubily nazywać się kurtyzanami, ale były zwykłymi dziewczynami. Kiedy jedzenie – czy raczej żarcie – skończyło się, dziewczyny zaczęły tańczyć ze służącymi. Z początku były ubrane, ale potem zrzuciły

szaty. Świeczniki ze stołów zestawiono na marmurową posadzkę, a szlachetniejsi spośród gości rzucili między nie pieczone kasztany. Ladacznicom kazano pełzać po podłodze na czworakach jak bydło, z pośladkami wysoko w górze, i je zbierać. Potem przyłączyli się prawie wszyscy. Na końcu rozdano nagrody – jedwabne płaszcze, buty z delikatnej skóry, oczywiście hiszpańskiej; bordowo-żółte aksamitne czapki wysadzone brylantami; pierścienie; bransolety; brokatowe sakiewki zawierające po sto dukatów każda; srebrne członki; wszystko, co można sobie tylko wyobrazić – tym, którzy najwięcej razy uprawiali seks z pełzającymi prostytutkami. A rodzina Borgiów, pieszcząca się nawzajem, stanowiła jury.

Dwaj asasyni opuścili walnę byków i zniknęli w tłumie tłoczącym się na wczesnowieczornych ulicach.

– Za mną – powiedział Machiavelli napiętym głosem. – Teraz, skoro miałeś szansę zobaczyć naszego głównego przeciwnika w akcji, dobrze byłoby zaopatrzyć się w sprzęt, którego ci brak. I postaraj się nie zwracać na siebie niepotrzebnej uwagi.

– Czy kiedykolwiek zwracam? – Ezia znów zabodły uwagi młodszego mężczyzny. Machiavelli nie był przywódcą Bractwa – po śmierci Maria przywódcy formalnie nie było – i to bezkrólewie musiało się wkrótce skończyć. – W każdym razie mam swoje ukryte ostrze.

– A strażnicy mają swoje rusznice. Broń, którą stworzył dla nich Leonardo... Wiesz, że ten geniusz nie potrafi nad sobą zapanować. Rusznice szybko się przeładowują, widziałeś zresztą; co więcej, mają lufy spiłowane od środka w sprytny sposób, który poprawia ich celność.

– Znajdę Leonarda i porozmawiam z nim.

– Być może będziesz musiał go zabić.

– Jest dla nas wart więcej żywy niż martwy. Sam mówiłeś, że nie popiera Borgiów.

– Powiedziałem, że taką mam nadzieję. – Machiavelli stanął. – Masz. Tu są pieniądze.

- *Grazie*. – Ezio chwycił mieszek.
- Dopóki jesteś moim dłużnikiem, słuchaj głosu rozsądku.
- Tak zrobię, kiedy tylko usłyszę od ciebie coś rozsądnego.

Ezio zostawił przyjaciela i ruszył do dzielnicy zbrojmistrzów, gdzie kupił nowy napierśnik, stalowe zarękawia i lepiej wyważone, wyższej jakości miecz i sztylet. Najbardziej brakowało mu starego ochraniacza z płytką, zrobioną z sekretnego metalu, którym odbił tak wiele śmiercionośnych ciosów. Teraz jednak było już za późno na żale. Ezio musiał polegać na swoim sprycie i wyszkoleniu, a tego nie mógł mu odebrać żaden człowiek i żaden wypadek.

Wrócił do Machiavellego, który czekał na niego w gospodzie, umówionym wcześniej miejscu; zastał go w podłym humorze.

– *Bene* – powiedział Machiavelli. – Teraz przeżyjesz podróż powrotną do *Firenze*.

– Być może. Ale ja nie wracam do Florencji.

– Nie?

– Może ty powinienes. Tam jest twoje miejsce. To już nie jest mój dom. Machiavelli rozłożył ręce.

– To prawda, że twoje stare domostwo rzeczywiście zostało zniszczone. Nie chciałem ci tego mówić. Ale twoja matka i siostra są tam bezpieczne. To miasto chronione przed Borgiami. Mój pan, Piero Soderini, dobrze go strzeże. Mógłbyś tam wrócić do zdrowia.

Ezio zadrzał; potwierdziły się jego najgorsze obawy. Potem wziął się w garść.

– Zostaję tutaj – rzekł. – Sam mówiłeś, że nie będzie pokoju, dopóki nie powstaniemy przeciwko całej rodzinie Borgiów i templariuszom, którzy jej służą.

– Odważne słowa! I to po Monteriggioni.

– To było niskie zagranie, Niccolò. Skąd mogłem wiedzieć, że tak szybko mnie znajdą? Albo że zabiją Maria?

Machiavelli ujął towarzysza za ramiona.

– Posłuchaj, Ezio – powiedział z naciskiem. – Cokolwiek się wydarzy, musimy się dobrze przygotować. Nie możemy uderzyć w ślepym gniewie. Walczymy ze *scorpioni* – gorzej, z węzami! Mogą jednym ruchem owinąć ci się wokół szyi i ukąsić w przyrodzenie. Nie odróżniają dobra od zła; mają tylko jeden cel. Rodrigo otacza się zmijami i mordercami. Nawet swoją córkę, Lukrecję, przekuł w jedną z najdoskonalszych broni: ona wie wszystko o sztuce trucicielstwa. – Przerwał. – Jednak nawet Lukrecja blednie w porównaniu z Cesare.

– Znów on.

– Jest ambitny, bezwzględny i okrutny – dzięki Bogu! – ponad twoje wyobrażenie. Ludzkie prawa nic dla niego nie znaczą. By zdobyć absolutną władzę, zamordował własnego brata, księcia Gandii. Nie zawaha się przed niczym.

– Zniszczę go.

– Pod warunkiem, że nie będziesz działał pochopnie. Ma Jabłko, nie zapominaj o tym. Niechaj niebiosy mają nas w swojej opiece, jeśli w końcu pozna jego moce.

Myśli Ezia nerwowo pobiegły do Leonarda, który znał moc Jabłka aż za dobrze...

– Nie zna strachu ani zmęczenia – ciągnął Machiavelli. – Ci, którzy nie padną pod jego mieczem, gromadzą się u jego boku. Potężne rody Orsinich i Colonnów już zostały pokonane – zmusił je, by się przed nim ugięły, a król Francji Ludwik stoi po jego stronie. – Machiavelli znów przerwał i zamyślił się. – Ale przynajmniej król Ludwik pozostanie jego sprzymierzeńcem tylko tak długo, jak będzie to dla niego korzystne...

– Przecenisz tego człowieka.

Machiavelli jakby Ezia nie usłyszał; był pogrążony w rozmyślaniach.

– Co on zamierza zrobić z całą tą władzą i pieniędzmi? Co nim kieruje? Tego wciąż nie wiem. Ale, Ezio – dodał, utkwivszy spojrzenie w przyjacielu

- Cesare obrał sobie za cel całą Italię i jeśli tak dalej pójdzie, będzie ją miał. Ezio, wstrząśnięty, zawahał się.
- Czy to... czyżbym słyszał w twoim głosie podziw?
- Twarz Machiavellego pozostała niewzruszona.
- Wie, jak realizować swoje zamierzenia – to rzadka cecha w dzisiejszym świecie – i jest człowiekiem, który potrafi sprawić, by świat nagiął się do jego woli.
- Co konkretnie masz na myśli?
- Tylko to: ludzie potrzebują kogoś lepszego od siebie, kogoś, kogo mogliby nawet wielbić. Może to być Bóg, Chrystus... Ale najlepszy jest człowiek – można go zobaczyć, a nie tylko sobie wyobrazić. Rodrigo, Cesare, nawet wielki aktor lub pieśniarz, o ile jest dobrze ubrany i ma wiarę w siebie. Reszta rozwija się zupełnie logicznie. – Machiavelli upił łyk wina. – Widzisz, to część naszej natury. Nie dotyczy to ciebie, mnie czy Leonarda, ale są ludzie, którzy mają potrzebę władzy i to oni są najbardziej niebezpieczni. – Osuszył kubek. – Na szczęście ludzie tacy jak ja potrafią nimi manipulować.
- A tacy jak ja potrafią ich niszczyć.
- Przez długą chwilę obaj milczeli.
- Kto teraz, po śmierci Maria, poprowadzi asasynów? – spytał Ezio.
- Co to za pytanie! Jesteśmy rozproszeni, a kandydatów jest kilku. To ważne, oczywiście, i w odpowiednim czasie zapadnie decyzja. Tymczasem jednak chodź ze mną. Mamy zadanie do wykonania.
- Weźmiemy konie? Może i pół Rzymu się wali, ale to wciąż duże miasto – zasugerował Ezio.
- Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Wraz z kolejnymi podbojami Cesare w Romanii – a kontroluje już większość regionu – i wzrostem ich potęgi, Borgiowie zajęli najlepsze dzielnice miasta. Teraz jesteśmy w ich *rione*. Nie dostaniemy koni w żadnej tutejszej stajni.
- A więc wola Borgiów stanowi tu jedyne prawo?

- Sugerujesz, że ja to pochwalam?
- Nie rób ze mnie głupca, Niccolò.
- Z nikogo nie robię głupca. Masz jakiś plan?
- Będziemy improwizować.

Ruszyli w stronę miejscowych stajni z końmi do wynajęcia, idąc ulicami, na których – jak zauważył Ezio – wiele sklepów, które powinny być otwarte, miało pozamykane okiennice. Co się tu działo? Im dalej, tym liczniejsi i bardziej napastliwi byli żołnierze w bordowo-żółtych barwach. Machiavelli, zauważył Ezio, coraz bardziej się denerwował.

Nie uszli daleko, kiedy drogę zastąpił im krzepki sierżant na czele około tuzina twardych zbirów w mundurach.

- Czego tu szukasz, przyjacielu? – spytał Ezia.
- Pora improwizować... – szepnął Machiavelli.
- Chcemy wynająć konie – odparł Ezio spokojnym tonem.

Sierżant zaśmiał się głośno.

- Nie tutaj, przyjacielu. Ruszaj stąd.

Wskazał kierunek, z którego przyszli.

- Nie wolno?
- Nie.
- Dlaczego?

Sierżant wyciągnął miecz, pozostali żołnierze zrobili to samo. Przytknął sztych ostrza do szyi Ezia i lekko nacisnął, tak, że pojawiła się kropla krwi.

– Wiesz, do czego pierwszym stopniem jest ciekawość? A teraz spierdalać mi stąd!

Niemal niedostrzegalnym ruchem Ezio wysunął ukryte ostrze i przeciął nim ścięgna nadgarstka ręki trzymającej miecz, który upadł bezużytecznie na ziemię. Sierżant runął z wrzaskiem, ściskając ranę. Jednocześnie Machiavelli skoczył do przodu i zamachnął się szeroko mieczem na trzech najbliższych gwardzistów – wszyscy zatoczyli się do tyłu, zaskoczeni nagłą śmiałością dwóch mężczyzn.

Ezio szybko schował ukryte ostrze i jednym płynnym ruchem dobył miecza i sztyletu. Zdążył w samą porę, by ściąć dwóch pierwszych napastników, którzy, odzyskawszy nieco rezonu, rzucili się do przodu, chcąc pomścić swojego sierżanta. Żaden z ludzi Borgiów nie był dość biegły w walce, by poradzić sobie z Eziem czy Machiavellim – wyszkoleniem asasyni przewyższali ich o głowę. Mimo to stosunek sił przemawiał przeciwko dwóm towarzyszom, choć niespodziewana zaciekłość ataku niewątpliwie zwiększyła ich szanse.

Niemal całkowicie zaskoczeni i nieprzyzwyczajeni do walki z lepszym od siebie przeciwnikiem, gwardziści wkrótce polegli. Jednak starcie wywołało zamieszanie i szybko pojawili się następni żołnierze – ogółem ponad dwa tuziny. Machiavelli i Ezio omal nie ulegli samej ich przewadze liczebnej. Porzucili wyrefinowany styl walki na rzecz szybszej, bardziej skutecznej szermierki – trzy sekundy na zabicie przeciwnika, wystarczyło jedno pchnięcie. Nie cofali się, z twarzami zaciętymi w grymasie ponurej determinacji, i w końcu wszyscy ich wrogowie albo uciekli, albo leżeli ranni, umierający bądź martwi u ich stóp.

– Lepiej się pospieszmy – wydyszał Machiavelli. – To, że posłaliśmy kilku pachołków Borgiów do Stwórcy, nie oznacza, że mamy dostęp do stajni. Zwykli ludzie wciąż się boją. Dlatego tak wielu z nich nie otwiera nawet sklepów.

– Masz rację – zgodził się Ezio. – Musimy wysłać im sygnał. Zaczekaj tu.

W pobliskim ulicznym piecu płonął ogień. Ezio wyciągnął z niego żagiew, a potem wskoczył na ścianę stajni, gdzie powiewała na lekkim wietrze flaga Borgiów z czarnym bykiem na złotym polu. Podpalił ją; gdy płonęła, drzwi kilku sklepów ostrożnie się uchyliły, podobnie jak brama stajni.

– Tak lepiej! – wykrzyknął Ezio. Odwrócił się do niewielkiej grupki pełnych powątpiewania ludzi. – Nie lękajcie się Borgiów. Nie ulegajcie im. Ich dni są policzone, a godzina pomsty nadchodzi.

Do tłumu dołączyli kolejni ludzie, wznosząc wiwaty.

– Oni wrócą – powiedział Machiavelli.

– Owszem, ale pokazaliśmy ludziom, że to nie są wszechwładni tyrani, za jakich ich mieli.

Ezio zeskoczył z muru na dziedziniec stajni, gdzie dołączył do niego Machiavelli. Szybko wybrali dwa krzepkie wierzchowce i kazali je osiodłać.

– Wrócimy – obiecał Ezio głównemu stajennemu. – Możesz tu trochę posprzątać, skoro stajnia znów należy do ciebie, jak zgodnie z prawem powinna.

– Tak zrobimy, panie – odparł mężczyzna. Wciąż jednak wyglądał na przestraszonego.

– Nie przejmuj się. Nie skrzywdzą was, skoro widzieliście, jak zostali pokonani.

– Skąd wiesz, panie?

– Potrzebują was. Nic bez was nie zrobią. Pokażcie im tylko, że nie dacie się zastraszać i gnębić, a będą musieli dopraszać się o waszą pomoc.

– Powieszą nas albo i gorzej.

– Chcecie spędzić resztę życia pod ich jarzmem? Stawcie im opór. Będą musieli wysłuchać rozsądnych żądań. Nawet tyrani nie mogą rządzić, jeśli sprzeciwia się im wystarczająco dużo ludzi.

Machiavelli, już w siodle, wyjął mały, czarny notes i zaczął w nim pisać, uśmiechając się z zadumą. Ezio wskoczył na konia.

– Myślałem, że nam się spieszy – powiedział.

– Owszem. Zapisywałem tylko to, co powiedziałaś.

– Mam nadzieję, że to komplement.

– Ależ tak, jak najbardziej. Jedźmy.

– Jesteś świetny w otwieraniu ran, Ezio – ciągnął Machiavelli, kiedy jechali.

– Ale czy umiesz je także zamykać?

– Zamierzam wyleczyć chorobę, która trawi serce naszego społeczeństwa, a nie tylko zajmować się objawami.

– Śmiałe słowa. Ale mnie nie musisz przekonywać; nie zapominaj, że

jesteśmy po tej samej stronie. Staram się tylko wnieść inny punkt widzenia.

– Sprawdzasz mnie? – Ezio nabrał podejrzeń. – Jeśli tak, mówmy otwarcie. Uważam, że śmierć Rodriga Borgii nie rozwiązałaby naszych problemów.

– Doprawdy?

– Owszem. Spójrz na to miasto. Rzym jest ośrodkiem władzy Borgiów i templariuszy. To, co powiedziałem przed chwilą stajennemu, to prawda. Zabicie Rodriga niczego by nie zmieniło. Odrąb głowę człowiekowi, a zabijesz go, oczywiście. Ale my mamy do czynienia z hydrą.

– Widzę, do czego zmierzasz... Herkules musiał zabić potwora o siedmiu głowach, które odrastały, dopóki nie odkrył, jak położyć temu kres.

– Otóż to.

– A więc sugerujesz, że powinniśmy zwrócić się do ludu?

– Być może. Cóż innego nam pozostaje?

– Wybacz, Ezio, ale lud jest kapryśny. Szukać w nim oparcia, to jak budować na piasku.

– Nie zgadzam się, Niccolò. Przecież wiara w człowieka jest podstawą naszego Credo Asasyna.

– I zamierzasz to sprawdzić w praktyce?

Ezio już miał odpowiedzieć, kiedy nagle podbiegł do nich młody złodziej i sprawnie przeciął rzemienie, którymi asasyn przytroczył do paska sakiewkę z pieniędzmi.

– Co, do?!... – krzyknął Ezio.

Machiavelli się zaśmiał.

– Musi być z twojego wewnętrznego kręgu. Patrz, jak ucieka! Jakbyś go sam wyszkolił. Dalej, odzyskaj, co ukradł. Potrzebne nam te pieniądze. Spotkamy się na Kapitolu.

Ezio zawrócił wierzchowca i pogalopował za złodziejem. Ten biegł uliczkami zbyt wąskimi dla konia i Ezio musiał je objeżdżać, obawiając się, że może zgubić ofiarę, a zarazem zdając sobie sprawę, ku swojej zgryzocie, że gdy zsiądzie z konia, młodszy mężczyzna na pewno mu ucieknie.

Pędził, jakby posiadał wyszkolenie asasyna. Ale jak to możliwe?

W końcu Ezio zapędził złodzieja w ślepy zaułek i koniem przycisnął go do muru.

– Oddawaj – rzekł spokojnie, dobywając miecza.

Mężczyzna wciąż wydawał się szukać drogi ucieczki, ale kiedy dostrzegł, jak beznadziejna jest jego sytuacja, oklapł i bez słowa wyciągnął sakiewkę. Ezio chwycił ją i schował w bezpieczne miejsce. Robiąc to jednak, pozwolił, by jego koń minimalnie się cofnął, a wtedy w mgnieniu oka złodziej z niemal nadludzką szybkością wspiął się po murze i zniknął po drugiej stronie.

– Hej! Wracaj! Jeszcze z tobą nie skończyłem! – wrzasnął Ezio, ale odpowiedział mu tylko cichnący tupot. Westchnął i ignorując zebraną grupkę gapiów, pojechał w kierunku Kapitolu.

Kiedy spotkał się z Machiavellim, zapadał zmierzch.

– Odzyskałeś pieniądze od naszego przyjaciela?

– Tak.

– Niewielkie zwycięstwo.

– Wszystkie się sumują – powiedział Ezio. – A z czasem, ciężką pracą, odniesiemy następne.

– Miejmy nadzieję, że się nam uda, zanim znów spocznie na nas wzrok Cesare i znów zostaniemy rozbici. W Monteriggioni prawie mu się udało. Teraz do dzieła.

Machiavelli popędził konia.

– Dokąd jedziemy?

– Do Koloseum. Jesteśmy tam umówieni z moim informatorem, Viniciem.

– I?...

– Spodziewam się, że będzie coś dla mnie miał. Chodź.

Kiedy jechali ulicami miasta w stronę Koloseum, Machiavelli sucho komentował różne nowe gmachy wzniesione przez papieża Aleksandra VI podczas jego pontyfikatu.

– Popatrz na te fasady, stylizowane na siedziby władcy. Rodrigo bardzo

sprytnie zarządza tym miastem. Ogłupia twój „lud” bez większego trudu.

– Kiedy stałeś się taki cyniczny?

Machiavelli uśmiechnął się.

– Wcale nie jestem cyniczny. Opisuję tylko Rzym takim, jakim jest dzisiaj. Ale masz rację, Ezio, być może zrobiłem się trochę zanadto zgorzkniały, czasem zbyt negatywnie nastawiony. A przecież nie wszystko stracone. Dobre wieści są takie, że mamy w mieście sprzymierzeńców. Poznasz ich. A kolegium kardynałów nie jest w garści Rodriga w całości, jakkolwiek on by tego chciał. Choć to bardzo ulotna rzecz...

– Co jest tą ulotną rzeczą?

– Nasz ostateczny sukces.

– Musimy próbować. Poddać się oznacza pewną przegraną.

– Kto mówi o poddawaniu się?

Jechali dalej w milczeniu, aż dotarli do ponurej bryły zrujnowanego Koloseum, gmachu, który Ezia wciąż napełniał wspomnieniem horroru igrzysk, odbywających się tam tysiąc lat temu. Jego uwagę natychmiast zwróciła grupa gwardzistów Borgiów z papieskim gońcem. Z wyciągniętymi mieczami i nadstawionymi groźnie halabardami, w świetle migoczących czerwono pochodni, dręczyli niepozornego, wystraszonego mężczyznę.

– *Merda!* – szepnął Machiavelli. – To Vinicio. Dopadli go pierwsi.

Obaj asasyni zwolnili, zbliżając się do grupy z wielką ostrożnością, by zyskać jak największy element zaskoczenia. Kiedy podjechali blisko, dotarli do nich strzępy rozmowy.

– Co tam masz? – pytał jeden z gwardzistów.

– Nic.

– Próbowalesz ukraść oficjalną watykańską korespondencję, co?

– *Perdonatemi, signore.* To musi być jakaś pomyłka.

– Żadna pomyłka, ty złodziejaszku – dodał inny żołnierz, szturchając mężczyznę halabardą.

– Dla kogo pracujesz, *ladro*?

– Dla nikogo.

– Dobrze, zatem nikt się nie przejmie tym, co się z tobą stanie.

– Dość już usłyszałem – powiedział Machiavelli. – Musimy go uratować i zdobyć list, który ma przy sobie.

– List?

– Chodź!

Machiavelli kopnął piętami bok konia, a kiedy zaskoczony wierzchowiec skoczył do przodu, asasyn ściągnął mocno wodze. Koń stanął dęba, wierzgnął na oślep przednimi kopytami i trafił w skroń najbliższego gwardzistę, wgniatając mu hełm w czaszkę. Mężczyzna runął jak głąz. Machiavelli tym czasem obrócił się w prawo, wychylając się nisko w siodle, i ciął mocno bark żołnierza, który groził Viniciowi. Gwardzista natychmiast upuścił halabardę i runął na ziemię, powalony bólem. Ezio popędził konia do przodu; mijając dwóch żołnierzy, jednego zabił uderzeniem głowicą miecza w głowę, a drugiego ugodził w oczy płazem głowni. Został tylko jeden. Zaskoczony nagłą napaścią nie zauważył, że Vinicio chwycił drzewce jego halabardy i poczuł, że leci do przodu. Sztylet Vinicia już czekał, by przebić żołnierzowi gardło. Gwardzista upadł z obrzydliwym gulgotem z płuc zalewanych krwią. Po raz kolejny element zaskoczenia dał asasynom przewagę; żołnierze Borgiów najwyraźniej nie byli przyzwyczajeni, że ktoś stawia im tak skuteczny opór. Vinicio nie tracił czasu i wskazał główną ulicę odchodzącą od centralnego placu. Ujrzeni galopującego konia – goniec stał w strzemionach i popędzał swojego wierzchowca.

– Daj mi list. Szybko! – rozkazał Machiavelli.

– Nie mam go, on ma – zawołał Vinicio, wskazując uciekającego. – Zabrali mi go.

– Goń go! – krzyknął Machiavelli do Ezia. – Za wszelką cenę zdobądź ten list i przynieś mi go o północy do Term Dioklecjana. Będę czekał.

Ezio ruszył w pościg.

Zadanie okazało się łatwiejsze niż złapanie złodzieja. Ezio miał lepszego

konia niż goniec, a uciekający nie umiał walczyć. Asasyn bez trudu ściągnął go z siodła. Nie chciał go zabijać, ale nie mógł pozwolić, by mężczyzna uciekł i podniósł alarm.

– *Requiescat in pace* – powiedział cicho, podrzynając mu gardło. Wyjął nieotwarty list z sakwy przy jego pasie, a z wodzy konia gońca zrobił hol, by móc go ze sobą zabrać. Potem zawrócił i ruszył w stronę ruin Term Dioklecjana.

Było już prawie zupełnie ciemno, mrok rozświetlały jedynie pochodnie, rzadko rozmieszczone w uchwytach na ścianach domów. By dotrzeć do term, Ezio musiał przebyć spory obszar pustkowia; w połowie drogi jego koń stanął dęba i zarżał ze strachu. Drugi zrobił to samo i Ezio z najwyższym trudem je uspokoił. Nagle jego uszu dobiegł mrozący krew w żyłach odgłos, przypominający wycie wilków, ale niezupełnie taki sam. Może nawet gorszy. Brzmiał raczej jak głosy ludzi naśladowujących zwierzęta. Ezio obrócił konia w ciemności, gubiąc wodze. Uwolniony wierzchowiec gońca pogalopował w noc. Ezio miał nadzieję, że zwierzę trafi do domu w jednym kawałku.

Nie miał zbyt wiele czasu, by się nad tym zastanawiać, bo właśnie dotarł do opuszczonych term. Machiavelli jeszcze nie przybył – bez wątpienia załatwiał jedną ze swoich tajemniczych spraw w mieście – ale wtem...

Zza wzgórków i kęp trawy, która zarastała starożytne rzymskie miasto, wychynęły i otoczyły Ezia postacie – dzicy ludzie, których wygląd nie miał już w sobie prawie nic z człowieka. Stali wyprostowani, ale mieli długie uszy, pyski, pazury i ogony, a ich skórę porastało zmierzwione, szare futro. Oczy ich zdawały się lśnić czerwienią. Ezio gwałtownie odetchnął – cóż to za diabelskie stwory? Pospiesznie rozejrzał się po ruinach; otaczał go co najmniej tuzin wilkoludów. Po raz kolejny dobył miecza. To nie był jego najlepszy dzień.

Istoty rzuciły się na niego przy wtórze wilczego warczenia i wycia. Kiedy się zbliżyły, Ezio zobaczył, że to jednak ludzie tacy jak on, tyle że oszaleli, jakby pogrążeni w jakimś religijnym transie. Ich bronią były długie, ostre,

stalowe szpony doszyte mocno do palców ciężkich rękawic; cięli nimi w nogi i boki konia, próbując go obalić.

Eziowi udawało się trzymać ich na dystans mieczem, a ponieważ ich przebrania nie miały kolczug, a pod wilczymi skórami nie było osłony, jego ostrze z łatwością raniło stwory. Jednemu z nich odrąbał rękę w łokciu; okaleczony uciekł w mrok, przeraźliwie zawodząc. Dziwne istoty wydawały się polegać raczej na agresji niż umiejętnościach, a ich broń nie mogła się równać ze sztychem błyskającego miecza Ezia. Asasyn parł do przodu, rozłupując czaszkę następnemu i wykłuwając oko trzeciemu. Oba wilkoludy padły na miejscu, śmiertelnie ranione. Reszta najwyraźniej się rozmyśliła i rozpląnęła w ciemności albo w zagłębieniach i jamach zarośniętych ruin otaczających termy.

Ezio ruszył w pościg; rozrąbał udo jednego ze swoich niedoszłych prześladowców, drugi wpadł pod kopyta jego konia i skończył z przetrąconym kręgosłupem. Ezio dogonił szóstego, wychylił się w dół i obracając w tył rozerznął mu brzuch, tak że wnętrzności wylały się na ziemię, a uciekający zaplątał w nie, upadł i zginął.

W końcu zapadła cisza.

Ezio uspokoił konia i wstał w strzemionach, usiłując przeniknąć wzrokiem ciemność i wychwycić uchem to, czego nie widziały oczy. Zdawało mu się, że niedaleko słyszy odgłos ciężkiego oddychania, ale wciąż niczego nie widział. Popędził konia do stępa i cicho ruszył w tamtą stronę.

Dyszenie wydawało się dobiegać z mroku płytkiej jamy, utworzonej przez nawis zawalonego łuku i obwieszanej pnączami i chwastami. Ezio zsiadł z konia, przywiązał go do kikuta drzewa, natarł ostrze miecza ziemią, żeby nie zdradziło go błyskiem i ostrożnie ruszył przed siebie. Przez krótką chwilę wydawało mu się, że w głębi jamy mignął mu trzepoczący płomień.

Sunął naprzód; nad jego głową przeleciały nietoperze. W jaskini unosił się odór ich odchodów. Niewidoczne owady i inne małe zwierzęta chrzęściły mu pod stopami. Ezio przeklinał je za każdy hałas, który zdawał mu się głośny

jak uderzenie gromu, ale wciąż nie wpadał w zasadzkę – o ile jakąś tu zastawiono.

Potem znów zobaczył płomień i usłyszał – mógłby przysiąc – ciche skomlenie. Zobaczył, że jaskinia jest głębsza, niż sugerował zwalony łuk, i że lekko zakręca, jednocześnie się zwężając i prowadząc głębiej w ciemność. Kiedy minął zakręt, migoczące płomienie okazały się małym ogniskiem, w blasku którego zauważył skuloną postać.

Powietrze było tu trochę świeższe. W sklepieniu musiał być jakiś niewidoczny przewód wentylacyjny – dlatego ogień mógł się palić. Ezio znieruchomiał jak posąg, obserwując.

Skomląc, istota wyciągnęła chudą lewą rękę, brudną i kościstą, i wyjęła z ognia żelazną sztabę. Jej drugi koniec był rozżarzony do czerwoności; stwór, dygocąc, spiął się i przytknął go do krwawego kikuta drugiej ręki, tłumiąc przy tym wrzask i próbując kauteryzować ranę.

Był to okaleczony przez Ezia wilkolud.

Kiedy jego uwaga skupiona była na bólu i wykonywanym zadaniu, Ezio skoczył do przodu. Ledwo zdążył. Stwór był szybki i niewiele brakowało, by uciekł, lecz asasyn zacisnął dłoń na jego ręce. Nie było to łatwe – kończyzna istoty była natarta śliskim tłuszczem, a bijący od niej smród wprost zwałął z nóg; jednak Ezio nie puszczał. Wstrzymał oddech i kopnięciem odrzucił żelazny pręt.

– Czym ty, na Boga, jesteś?

W odpowiedzi usłyszał tylko warknięcie. Uderzył wilkoluda mocno w głowę drugą pięścią w kolczej rękawicy. Spod lewego oka trysnęła uderzonemu krew; jęknął z bólu.

– Czym jesteś? Mów!

Znów warknięcie.

Rozwarte usta odsłoniły połamane, szarawe zęby, a przy smrodzie, jaki się z nich wydobywał, pachniał słodko nawet oddech pijanej ładacznicy.

– Mów!

Ezio wkręcił czubek miecza w kikut mężczyzny. Nie miał czasu na zabawę z tym wrakiem człowieka. Martwił się o swojego konia.

– Aaa!... – znowu krzyk bólu; potem z nieartykułowanego chrząkania wyłonił się szorstki, prawie niezrozumiały głos, który bardzo dobrą włoszczyzną rzekł: – Jestem członkiem *Secta Luporum*.

– Sekty Wilków? A co to jest, do cholery?

– Dowiesz się. To, co dzisiaj zrobiłeś...

– Och, zamknij się.

Ezio zacieśnił uchwyt, rozgrzebał ognisko, żeby zrobić więcej światła i rozejrzał się. Teraz zobaczył, że znajduje się w kopulasto sklepionej komorze, być może rozmyślnie tak wydrążonej. Była prawie pusta, nie licząc dwóch krzeseł i prostego stołu, na którym leżała garść papierów przyciśnięta kamieniem.

– Moi bracia niedługo wrócą, a wtedy...

Ezio powlókł mężczyznę do stołu, mieczem wskazując papiery.

– A to? Co to jest?

Wilkolud spojrział na niego i splunął. Ezio przysunął swój miecz znów niebezpiecznie blisko zakrwawionego kikut.

– Nie! – zawył mężczyzna. – Tylko nie znowu!

– To mów.

Ezio popatrzył na papiery. Prędzej czy później musiałyby odłożyć miecz, choćby na krótko, żeby je podnieść. Część zapisano po włosku, część po łacinie, ale były tam też inne symbole, wyglądające jak pismo, ale których nie potrafił odczytać.

Nagle usłyszał szelest, dobiegający z tunelu, z którego przyszedł. Oczy wilkoluda załśniły.

– Nasze sekrety – powiedział.

W tej samej chwili do pomieszczenia wskoczyły susem dwa następne stwory, rycząc i tnąc powietrze stalowymi pazurami. Więzień wyrwał się Eziowi i dołączyłby do nich, gdyby Ezio nie odrąbał mu głowy, która

potoczyła się w stronę przyjaciół wilkoluda. Asasyn przeskoczył na drugą stronę stołu, chwycił papiery, a stół cisnął w swoich prześladowców.

Światło przygasło. Ognisko znów trzeba było rozgrzebać – albo dołożyć drewna. Ezio wyteżał wzrok, by dojrzeć dwóch pozostałych wilkoludów. Były jak szare cienie. Cofnął się w ciemność, wepchnął papiery pod tunikę i czekał.

Wilkoludy może i miały siłę obłąkanych, ale umiejętnościami nie grzeszyły, z wyjątkiem straszenia ludzi na śmierć. Z pewnością nie umiały cicho się zachowywać ani bezgłośnie poruszać. Polegając bardziej na słuchu niż wzroku, Ezio zdołał je obejść, trzymając się ścian, dopóki nie miał pewności, że jest za ich plecami. One zaś myślały, że cały czas stoi gdzieś w mroku przed nimi.

Nie było czasu do stracenia. Schował miecz do pochwy, wysunął ukryte ostrze, zakradł się bezgłośnie jak prawdziwy wilk do jednego z nich i chwytając go mocno z tyłu, poderżnął mu gardło. Szalenciez skonał natychmiast i bezgłośnie, a Ezio cicho położył zwłoki na podłodze. Przeszło mu przez myśl, czy nie pojmać drugiego żywcem, ale na przesłuchanie nie miał czasu. Mogło być ich więcej, a nie miał pewności, czy ma siłę z nimi walczyć. Wyczuwał panikę przeciwnika, w czym upewnił się, kiedy tamten porzucił swoją rolę i zawołał nerwowo w milczącą ciemność:

– Sandro?

Zlokalizowanie go stało się już bardzo proste; również i tym razem Ezio liczył na odsłonięte gardło. Mężczyzna zdążył jednak odwrócić się, gorączkowo drąc szponami powietrze przed sobą. Widział Ezia, ale asasyn wiedział już, że wilkoludy nie nosiły pancerzy pod swoimi dziwacznymi strojami. Schował ukryte ostrze i większym, mniej subtelnym sztyletem, który miał przewagę zębatego ostrza, rozpruł tamtemu pierś. Odsłonięte serce i płuca zaśniły w gasnącym blasku ognia, kiedy ostatni wilkolud runął twarzą w ognisko. Smród palonego ciała i włosów omal nie powalił Ezia. Odskoczył i, najszybciej jak mógł, wy dostał się na przyjemne nocne

powietrze na zewnątrz.

Tam zaś zobaczył, że wilkoludy nie tknęły jego konia. Może były tak pewne, że schwytały go w pułapkę, że nie chciało im się kłopotać zabijaniem zwierzęcia albo odprowadzaniem go. Odwiązał wodze i uświadomił sobie, że za bardzo dygocze, by móc jechać w siodle. Zamiast tego poprowadził konia do Term Dioklecjana. Lepiej, by Machiavelli tam był, i to dobrze uzbrojony. Na Boga, gdyby tylko Ezio miał jeszcze swój pistolet albo jedną z rusznic, które Leonardo zrobił dla swojego nowego pana! Czuł przynajmniej satysfakcję, że wciąż potrafi wygrywać, korzystając tylko ze swojego sprytu i wyszkolenia – dwóch rzeczy, których nikt nie mógł mu odebrać, dopóki by go nie schwytał i nie zamęczył na śmierć.

Przez krótką drogę do term pozostawał w pełni czujny i zdał sobie sprawę, że wstrząsa się nerwowo na dziwne odgłosy w ciemności – coś takiego nie zdarzało mu się, kiedy był młodszy. Myśl o bezpiecznym dotarciu na miejsce wcale nie przyniosła mu ulgi. A jeśli czekała tam na niego następna zasadzka? Jeśli te stwory zaskoczyły Machiavellego? Czy Machiavelli wiedział o *Secta Luporum*?

Komu w ogóle był lojalny?

Ezio dotarł do niewyraźnych, rozległych ruin – pomnika minionej, utraconej ery, kiedy Italia władała światem – bez dalszych komplikacji. Nigdzie nie dostrzegł śladów życia, ale po chwili Machiavelli wyłonił się zza drzewa oliwnego i z powagą się z nim przywitał.

– Co się zatrzymało?

– Byłem tu przed tobą. Ale potem... coś mnie zajęło.

Ezio patrzył niewzruszenie na kolegę.

– Co masz na myśli?

– Jacyś dowcipnisie w zabawnych kostiumach. Brzmi znajomo?

Machiavelli patrzył na niego uważnie.

– Przebrani za wilki?

– A więc wiesz o nich.

– Tak.

– To czemu zaproponowałeś spotkanie w tym miejscu?

– Sugerujesz, że to ja?...

– A co innego mam myśleć?

– Drogi Ezio – Machiavelli zrobił krok do przodu. – Zapewniam cię, na świętość naszego Credo, że nie miałem pojęcia, że tu będą. – Przerwał. – Ale masz rację. Szukałem miejsca spotkania na odludziu, nie zdając sobie sprawy, że właśnie takie mogą wybrać.

– Chyba że ktoś ich uprzedził.

– Jeśli kwestionujesz mój honor...

Ezio ze zniecierpliwieniem machnął ręką.

– Och, nieważne – powiedział. – Mamy dość roboty i bez kłócenia się ze sobą.

Wiedział, że póki co musi zaufać Machiavellemu. Zresztą jak dotąd nie miał powodów, by tego nie robić. Na przyszłość jednak zamierzał być ostrożniejszy.

– Kim oni są? Czym?

– Sektą Wilków. Czasami nazywają się Następcami Romulusa.

– Nie powinniśmy stąd odejść? Udało mi się zabrać im jakieś papiery i mogą wrócić, żeby je odzyskać.

– Najpierw powiedz, czy zdobyłeś list i szybko mów, co jeszcze się z tobą działo. Wyglądasz, jakbyś wrócił z wojny – ocenił Machiavelli.

Kiedy Ezio spełnił jego prośbę, Machiavelli się uśmiechnął.

– Wątpię, żeby dziś w nocy tu wrócili. Jesteśmy dwoma wyszkolonymi, uzbrojonymi mężczyznami, a z tego, co mówisz, mocno im dołożyłeś. Zapewne rozwścieczy to Cesare. Widzisz, choć jak dotąd nie ma na to dowodów, uważamy, że te istoty są na usługach Borgiów. To zgraja fałszywych pogan, którzy od miesięcy terroryzują miasto.

– W jakim celu?

Machiavelli rozłożył ręce.

– Polityka. Propaganda. Chodzi o to, żeby ludzie chętniej oddawali się pod ochronę papieżowi w zamian za pewną lojalność.

– Jak wygodnie. Ale mimo wszystko, czy nie powinniśmy się stąd wynieść?

Ezio poczuł nagle, niewytłumaczalne zmęczenie. Czuł, jakby bolała go sama dusza.

– Dziś w nocy tu nie wrócą. Nie umniejszając twoich umiejętności, Ezio, wilkoludy nie są wojownikami ani nawet zabójcami. Borgiowie wykorzystują je jako coś pomiędzy, ale ich głównym zadaniem jest budzić przerażenie. To biedne, zagubione dusze, które Borgiowie praniem mózgu zmusili do pracy dla siebie. Wierzą, że ich nowi panowie pomogą im odbudować starożytny Rzym od samych jego początków. Założycielami Rzymu byli Romulus i Remus, których wykarmiła wilczyca.

– Znam tę legendę.

– Tymczasem dla nieszczęsnych wilkoludów to wcale nie legenda. Ale w rękach Borgiów są bardzo niebezpiecznym narzędziem. – Przerwał. – A teraz list! I te papiery, które zabrałeś z legowiska wilkoludów. Przy okazji – dobra robota.

– O ile się do czegoś przydadzą.

– Zobaczymy. Daj mi list.

– Proszę.

Machiavelli pospiesznie złamał pieczęć pergaminu.

– *Cazzo* – mruknął. – Jest zaszyfrowany.

– To znaczy?

– Miał być napisany otwartym tekstem. Vinicio jest – był – jednym z moich kretów u Borgiów. Powiedział mi, że wie to z pewnego źródła. To głupiec! Przekazują sobie zaszyfrowane informacje. Bez karty kodów list na nic się nam nie przyda.

– Może pomogą te papiery, które zdobyłem.

Machiavelli uśmiechnął się.

– Na niebiosy, Ezio, czasami dziękuję Bogu, że jesteśmy po tej samej

stronie. Popatrzmy.

Szybko przejrzał kartki, które Ezio znalazł, a jego zatroskana twarz rozpromieniła się.

– No i?...

– Chyba... być może... – Czytał dalej, ze zmarszczonym czołem. – Tak! Na Boga, tak! Chyba mamy!

Klepnął Ezia w ramię i roześmiał się.

Ezio mu zawtórował.

– Widzisz? – powiedział. – Czasami wojnę można wygrać nie tylko logiką. Szczęście też gra tu rolę. *Andiamo!* Mówiłeś, że mamy w mieście sprzymierzeńców. Dalej, zaprowadź mnie do nich.

– Chodź ze mną.

15

– Co z klaczą? – spytał Ezio.

– Wypuść ją. Znajdzie drogę powrotną do stajni.

– Nie mogę jej tak zostawić.

– Musisz. Wracamy do miasta. Jeśli pozwolimy jej tam pójść, dowiedzą się, że wróciłeś. Jeśli znajdą konia tutaj, pomyślą – przy odrobinie szczęścia – że wciąż błądasz się po okolicy i na tym obszarze skupią poszukiwania.

Ezio przystał na to z niechęcią, a Machiavelli poprowadził go do ukrytych, kamiennych schodów wiodących pod ziemię. Na dole paliła się pochodnia, którą asasyn zabrał ze sobą.

– Gdzie jesteście? – spytał Ezio.

– Ta droga prowadzi do systemu starożytnych, podziemnych tuneli, które przecinają się pod całym miastem. Odkrył je twój ojciec i od tamtej pory stanowią sekret asasynów. Korzystając z nich, unikniemy wszystkich szukających nas strażników, bo możesz mieć pewność, że wilkoludy, które uciekły, podniosą alarm. Tunele są szerokie, w starożytności używano ich do transportu ładunków i przemieszczania wojsk, a także solidnie zbudowane, jak wszystko w tamtych czasach. Wiele wyjść w mieście zawaliło się i jest zatarasowanych, więc musimy starannie wybierać drogę. Trzymaj się blisko – zginąłbyś, gdybyś się tu zgubił.

Przez dwie godziny szli labiryntem, który wydawał się ciągnąć w nieskończoność. Po drodze Ezio widział boczne tunele, zawalone przejścia, dziwne rzeźby zapomnianych bogów nad łukami, a czasem schody, niektóre prowadzące w górę, niektóre w ciemną otchłań, jeszcze inne ze słabo migoczącym światłem u szczytu. W końcu Machiavelli, który utrzymywał

miarowe, lecz szybkie tempo, przy jednych przystankach.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił. – Pójdę pierwszy. Już prawie świta. Musimy uważać.

Zniknął na schodach.

Po czasie, który wydawał się wiekiem i przez który Ezio zastanawiał się, czy nie został porzucony, usłyszał wyszeptane: „Droga wolna”.

Mimo zmęczenia wbiegł na stopnie, zadowolony, że znów znalazł się na świeżym powietrzu. Tuneli i jaskiń miał już dość na całe życie.

Wyszedł z otworu przypominającego spory właz kanalizacyjny do przestronnego pomieszczenia, dość dużego; pewnie było kiedyś magazynem.

– Gdzie jesteście?

– Na wyspie na Tybrze, której dawno temu używano jako składu. Teraz nikt tu nie przychodzi, prócz nas.

– Nas?

– Naszego Bractwa. To jest – jeśli wolisz – nasza kryjówka w Rzymie.

Z taboretu przy stole, na którym leżały papiery i resztki posiłku, podniósł się krzepki, pewny siebie młody mężczyzna i podszedł ich przywitać. Ton jego głosu był szczerzy i przyjazny.

– Niccolò! *Ben trovato!* – Odwrócił się do Ezia. – A ty... Ty musisz być słynny Ezio! Witamy!

Chwycił dłoń Ezia i serdecznie ją uścisnął.

– Fabio Orsini, do usług. Słyszałem wiele o twojej rodzinie od mojego kuzyna, waszego starego przyjaciela, Bartolomea d’Alviano.

Ezio uśmiechnął się, słysząc to nazwisko.

– Świetny wojownik – powiedział.

– To Fabio odkrył to miejsce – wtrącił Machiavelli.

– Mamy tu wszelkie wygody – pochwalił się Fabio. – A od zewnątrz rośnie tyle bluszczu i innych krzaków, że nikt się nawet nie domyśla istnienia tej kryjówki!

– Dobrze cię mieć po swojej stronie.

– Moja rodzina ostatnio doznała kilku ciężkich ciosów ze strony Borgiów, a moim jedynym celem jest ich obalić i odzyskać nasze patrymonium. – Rozejrzał się z powątpiewaniem. – Oczywiście wszystko to może wydawać ci się trochę ubogie po twoim pobycie w Toskanii.

– Miejsce jest doskonałe.

Fabio uśmiechnął się.

– *Bene*. Cóż... Teraz, skoro już przybyliście... Przepraszam, ale czas na mnie.

– Jakie masz plany? – spytał Machiavelli.

Fabio spoważniał.

– Wyruszam, by zacząć przygotowania w Romanii. Dziś Cesare panuje nad moim majątkiem i ludźmi, ale niedługo, mam nadzieję, znów będziemy wolni.

– *Buona fortuna*.

– *Grazie*.

– *Arrivederci*.

– *Arrivederci* – odpowiedział Fabio i pomachawszy przyjaźnie ręką, zniknął.

Machiavelli zrobił miejsce na stole i rozłożył na nim zaszyfrowany list wraz z kartą kodową wilkoludów.

– Muszę się za to zabrać – powiedział. – Na pewno jesteś wykończony; tam masz jedzenie i wino, i dobrą, czystą, rzymską wodę. Posił się, a ja popracuję, bo przed nami jeszcze wiele do zrobienia.

– Czy Fabio jest jednym ze sprzymierzeńców, o których mówiłeś?

– W rzeczy samej. Ale są jeszcze inni. Jeden wręcz bardzo potężny.

– A kim on jest? Czy to raczej ona? – spytał Ezio, mimowolnie myśląc o Caterinie Sforzy. Nie mógł przestać jej wspominać. Wciąż była więźniem Borgiów. Jego własnym, osobistym priorytetowym zadaniem było ją uwolnić. Ale czy nie prowadziła z nim swojej gry? Nie potrafił pozbyć się ziarna wątpliwości. Była w końcu wolnym duchem; nie należała do niego.

Tyle że Eziowi nie podobała się myśl, że ktoś robi z niego głupca, nie miał też ochoty być wykorzystywanym.

Machiavelli zawahał się, jakby już wyjawiał zbyt dużo, potem jednak podjął:

– To kardynał, Giuliano della Rovere. Konkurował z Rodrigem do papieskiego tronu i przegrał, ale wciąż jest wpływowym człowiekiem i ma potężnych przyjaciół. Teoretycznie jest mocno związany z Francuzami, ale nie spieszy się – wie, że król Ludwik będzie wykorzystywał Borgiów tylko tak długo, jak mu to pasuje. Przede wszystkim żywi do nich dogłębną, nieustającą nienawiść. Wiesz, ilu Hiszpanów Borgiowie mianowali na stanowiska we władzy? Grozi nam, że przejmą kontrolę nad całą Italią.

– A więc to ktoś dla nas. Kiedy mogę się z nim spotkać?

– Jeszcze nie pora. Jedz, a ja będę pracował.

Ezio był zadowolony z godzinnej przerwy, ale odkrył, że opuścił go apetyt i pragnienie – przynajmniej pragnienie wina. Z wdzięcznością wypił trochę wody i zaczął bawić się udkiem kurczaka, patrząc, jak Machiavelli ślęczy nad papierami.

– Działa? – spytał w pewnym momencie.

– Ćśśś!

Słońce dotknęło kościelnych wież Rzymu, kiedy Machiavelli odłożył pióro i przyciągnął do siebie kartkę, na której pisał.

– Gotowe.

Ezio czekał.

– To dyrektywa dla wilkoludów – powiedział Machiavelli. – Stwierdza, że Borgiowie dostarczą im zwykłą zapłatę i rozkazuje zaatakować – to jest przeprowadzić dywersję przez sianie przerażenia – w różnych częściach miasta, niebędących jeszcze pod kontrolą Borgiów. Ataki mają się zbiec w czasie ze „szczęśliwym” pojawieniem się ich księdza, który za pomocą mocy Kościoła „przepędzi” napastników.

– Co proponujesz?

– Jeśli się zgodzisz, Ezio, uważam, że powinniśmy zacząć planować nasz

własny atak na Borgiów. Kontynuować dobrą robotę, którą rozpocząłeś w stajni.

Ezio zawahał się.

– Myślisz, że jesteśmy na to gotowi?

– Sì.

– Najpierw chciałbym się dowiedzieć, gdzie Borgiowie przetrzymują Caterinę Sforzę. Byłaby potężnym sprzymierzeńcem.

Machiavelli zrobił skonsternowaną minę.

– Jeśli jest ich więźniem, trzymają ją w Zamku św. Anioła. Zmienili pałac w twierdzę. – Przerwał. – Niedobrze, że mają w swojej mocy Jabłko. Och, Ezio, jak mogłeś do tego dopuścić?

– Nie było cię w Monteriggioni. – Tym razem to Ezio zamilkł w gniewie. – Czy naprawdę wiemy, co dzieje się z naszymi wrogami? – zapytał po wymownej pauzie. – Czy przynajmniej mamy tu jakąś podziemną siatkę?

– Nie. Większość naszych najemników, takich jak Fabio, jest związana walką z siłami Cesare. A Francuzi wciąż go popierają.

Ezio przypomniał sobie francuskiego generała w Monteriggioni – Octaviena.

– A co mamy? – spytał.

– Dobre źródło informacji – dziewczyny pracujące w lupanarze. To ekskluzywny lokal, bywają tam kardynałowie i inni ważni rzymscy obywatele, ale jest jeden minus. *Madame*, która go prowadzi, jest leniwa, woli bawić się na przyjęciach, niż zbierać dla nas informacje.

– A miejscy złodzieje? – spytał Ezio, myśląc o zwinnym rabusiu, który omal nie pozbawił go sakiewki.

– Cóż, sì, ale nie chcą z nami rozmawiać.

– Czemu?

Machiavelli wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia.

Ezio wstał.

- Lepiej mi powiedz, jak się stąd wydostać.
- Dokąd idziesz?
- Zdobyć paru przyjaciół.
- W jaki sposób?
- Zostaw to mnie.

16

Kiedy Ezio znalazł siedzibę rzymskiej Gildii Złodziei, było już ciemno. Przez cały dzień dyskretnie rozpytywał w gospodach, ściągając na siebie podejrzliwe spojrzenia i uzyskując wymijające odpowiedzi, aż w końcu musiała się rozejść wieść, że można go skierować w tajne miejsce... Obszarpany ulicznik zaprowadził go do biednej dzielnicy, w labirynt zaułków, i zostawił pod drzwiami, natychmiast odchodząc tam, skąd przyszedł.

Siedziba nie wyglądała zbyt okazale: była to duża, zapuszczona gospoda, z przekrzywionym szyldem przedstawiającym śpiącego, a może zdechłego lisa, oknami z podartymi zasłonami i drewnianymi ścianami, które już od dawna domagały się odmalowania.

Co niezwykle, gospoda była zamknięta; Ezio na próżno dobijał się do drzwi.

Zaskoczył go cichy głos za plecami. Obrócił się gwałtownie. Zazwyczaj nie dawał się tak bezgłośnie podejść; obiecał sobie, że więcej do tego nie dojdzie.

Na szczęście głos brzmiał przyjaźnie, choć czujnie.

– Ezio?

Mówiący wyszedł spod drzewa i Ezio natychmiast go poznał. Był to jego dawny sojusznik, Gilberto, La Volpe – Lis – który jakiś czas wcześniej przewodził florenckim złodziejom w przymierzu z asasynami.

– La Volpe! Co ty tu robisz?

Gilberto roześmiał się szeroko, kiedy padli sobie w serdeczne objęcia.

– Pytasz, czemu nie jestem we Florencji? Cóż, odpowiedź jest prosta. Tutejszy przywódca złodziei umarł i na jego miejsce wybrano mnie.

Uznałem, że przyda mi się zmiana otoczenia, a mój dawny pomocnik, Corradin, był gotów przejąć sprawy w domu. Poza tym... – konspiracyjnie ściszył głos – ...w tej chwili akurat Rzym jest dla mnie większym... wyzwaniem, powiedzmy.

– Dla mnie to wystarczająco dobry powód. Wejdziemy?

– Oczywiście.

La Volpe zastukał do drzwi – najwyraźniej używając umówionego sygnału – a te otworzyły się prawie natychmiast, ukazując przestronny dziedziniec z wystawionymi stołami i ławami – taki, jakiego można się było spodziewać po gospodzie, choć bardzo obskurny. Kręciło się tam niewielu ludzi, mężczyzn i kobiet, wchodzących i wychodzących z drzwi gospody, która otaczała dziedziniec.

– Nie wygląda zbyt imponująco, prawda? – spytał La Volpe, wskazując mu miejsce przy stole i wołając o wino.

– No coż, szczerze mówiąc...

– Do naszych celów wystarczy. Mam pewne plany. Ale co cię tu sprowadza? – La Volpe uniósł rękę. – Zaczekaj! Nie mów. Chyba znam odpowiedź.

– Zazwyczaj ją znasz.

– Chcesz, żeby moi złodzieje zaczęli pracować jako twoi szpiedzy.

– Właśnie. – Ezio pochylił się do przodu. – Przyłączysz się do mnie?

La Volpe wznosił niemy toast kubkiem i upił łyk wina, które im przyniesiono.

– Nie – odparł krótko.

Ezio był zaskoczony.

– Co? Dlaczego nie?

– Bo to by była woda na młyn Niccolò Machiavellego. Nie, dziękuję. Ten człowiek to zdrajca naszego Bractwa.

Ezia nie zdziwiły słowa przyjaciela, choć był bardzo daleki od dawania im wiary.

– To bardzo poważne oskarżenie, do tego rzucone przez złodzieja – odparł.
– Jakie masz dowody?

La Volpe zrobił kwaśną minę.

– Był ambasadorem na papieskim dworze i podróżował jako osobisty gość Cesare.

– Zrobił to, by się nam przysłużyć.

– Czyżby? Przypadkiem wiem także, że porzucił was tuż przed atakiem na Monteriggioni.

Ezio machnął ręką z obrzydzeniem.

– Czysty zbieg okoliczności. Posłuchaj, Gilberto, Machiavelli może i nie daje się łatwo lubić, ale to asasyn, nie zdrajca.

La Volpe popatrzył na niego z niewzruszonym wyrazem twarzy.

– Nie jestem przekonany.

W tym momencie podbiegł do nich złodziej, który kiedyś próbował ukraść Eziowi sakiewkę, i wyszeptał coś do ucha La Volpe. Lis wstał, a złodziej uciekł. Ezio, wyczuwając kłopoty, również się podniósł.

– Przepraszam za wczorajsze zachowanie Benita – powiedział La Volpe. – Nie wiedział wtedy, kim jesteś, a widział cię, jak jedziesz z Machiavellim.

– Do diabła z Benitem. Co się dzieje?

– Ach, Benito przyniósł wieści. Machiavelli ma się niedługo spotkać z kimś na Zatybrzu. Idę zobaczyć, o co tam chodzi. Zechcesz mi towarzyszyć?

– Prowadź.

– Użyjemy jednej z dawnych tras – dachów domów. Tu jest trochę trudniej niż we Florencji. Myślisz, że dasz sobie radę?

– Po prostu prowadź.

Droga nie należała do tych łatwych. Dachy Rzymu oddalone były od siebie bardziej niż florenckie, do tego wiele z nich waliło się, utrudniając znalezienie oparcia dla stóp. Kilka razy Eziowi dachówki usuwały się spod nóg. Na ulicach było jednak niewielu ludzi, a asasyn i złodziej poruszali się tak szybko, że zanim strażnicy Borgiów zdążyliby zareagować, oni i tak by

już zniknęli. W końcu dotarli do placu targowego; wszystkie stragany pozamykano, z wyjątkiem kilku jasno oświetlonych bud z winem, gdzie zebrało się więcej ludzi. Ezio i La Volpe przystanęli na dachu powyżej, schowali się za kominami i patrzyli.

Niedługo potem na plac wszedł Machiavelli, uprzednio ostrożnie się rozejrzawszy. Ezio patrzył uważnie, jak drugi mężczyzna, z herbem Borgiów na płaszczu, podchodzi do niego, dyskretnie wręcza mu coś, co wygląda jak notatka, a potem idzie dalej, prawie nie zwalniając kroku. Machiavelli także się nie zatrzymał i opuścił plac.

– Co o tym sądzisz? – spytał Ezia La Volpe.

– Pójdę za Machiavellim, ty śledź tego drugiego – warknął Ezio.

W tym samym momencie pod jedną z bud z winem wybuchła awantura. Rozległy się gniewne okrzyki, błysnęła broń.

– Och, *merda!* To moi ludzie. Wszczęli bójkę z gwardzistą Borgiów – zawołał La Volpe.

Eziowi mignęły plecy Machiavellego, uciekającego ulicą prowadzącą w stronę Tybru. Było już za późno, by go śledzić, więc Ezio skupił się z powrotem na bijatyce. Żołnierz Borgiów leżał nieruchomo rozciągnięty na ziemi. Większość złodziei już się rozpierzchnęła, wspinając się po ścianach na dachy, ale jeden z nich, młody mężczyzna, praktycznie jeszcze chłopiec, leżał i jęczał, ściskając ranę na ramieniu, z której tryskała krew.

– Pomocy! Pomocy! Mój syn jest ranny! – rozległ się udręczony głos.

– Poznaję go – rzucił La Volpe z grymasem na twarzy. – To Trimalchio. – Spojrzał na rannego złodzieja. – A to Claudio, jego młodszy syn!

Na krawędziach dachów po obu stronach rynku pojawili się żołnierze Borgiów z rusznicami i zaczęli celować.

– Zastrzelą go – powiedział z naciskiem Ezio.

– A więc szybko, ja zajmę się grupą po lewej, ty bierz tych po prawej.

Po obu stronach stało po trzech strażników. Poruszając się dyskretnie jak cienie i szybko jak pantery, Ezio i La Volpe obiegli przeciwległe rogi placu.

Ezio zobaczył, że jego trzech strzelcy podnoszą broń i celują do chłopaka. Popędził kalenicą dachu, prawie nie dotykając stopami dachówek, i dał ogromnego susa w stronę żołnierzy. Wybił się wystarczająco wysoko, by móc powalić środkowego strzelca obcasem wymierzonym w jego kark. Jednym ruchem wylądował w przysiadzie, by złagodzić wstrząs, a potem wyprostował kolana, rozrzucając szeroko ramiona na boki. Dwaj pozostali żołnierze upadli – jednemu sztylet przebił oko z boku, wchodząc głęboko w czaszkę, drugiego powaliło precyzyjne jak igła i śmiertelne ukryte ostrze, które wbiło mu się w ucho; po jego szyi pociekł ciemnoczerwony, gęsty płyn. Ezio obejrzał się i zobaczył, że La Volpe pokonał swoich przeciwników z taką samą skutecznością. Po krótkiej chwili bezgłośniejszej rzezi wszyscy gwardziści z bronią palną nie żyli. Pojawiło się jednak nowe zagrożenie – na plac wbiegł pluton halabardzistów z opuszczoną bronią, szarżując na nieszczęsnego Claudia. Ludzie wokół bud z winem cofnęli się w strachu.

– Claudio! Uciekaj! – krzyknął La Volpe.

– Nie mogę! Za bardzo... boli...

– Trzymaj się – zawołał Ezio, który był minimalnie bliżej leżącego chłopaka. – Już idę!

Zeskoczył z dachu, amortyzując upadek płóciennym zadaszaniem jednego z kramów, i w mgnieniu oka znalazł się obok Claudia. Szybko obejrzał ranę, która nie była tak groźna, na jaką wyglądała.

– Wstawaj – rozkazał.

– Nie mogę. – Claudio najwyraźniej był w stanie paniki. – Zabiją mnie.

– Słuchaj. Możesz chodzić, prawda? – Chłopak przytaknął. – A więc możesz też biegać. Uważaj i rób to, co ja. Dokładnie to samo. Musimy się schować przed strażnikami.

Ezio postawił Claudia na nogi i ruszył do najbliższej budy z winem. Tam wtopił się w przestraszoną klientelę; zaskoczyła go łatwość, z jaką to samo udało się Claudiowi. Przeszli przez budkę na drugą stronę, pod mur, podczas

gdy od strony placu zaczęli nacierać halabardnicy. Ezio i Claudio w ostatniej chwili dotarli do zaułka prowadzącego w bezpieczne miejsce. La Volpe i Trimalchio już tam na nich czekali.

– Domyśliliśmy się, że tędy pójdziecie – powiedział La Volpe, kiedy ojciec ściskał syna. – Ruszajcie – popędził ich. – Nie ma czasu do stracenia. Wracajcie szybko do kwatery głównej i niech Teresina opatrzy tę ranę. Już!

– A ty przez jakiś czas się nie pokazuj, *intesi*? – zwrócił się do Claudia Ezio.

– *Molte grazie, messere* – powiedział na odchodnym Trimalchio, obejmując ramieniem chłopca, odprowadzając go i upominając: – *Corri!*

– Masz kłopoty – oznajmił La Volpe, kiedy znaleźli się na bezpiecznym, cichym placu. – Zwłaszcza po tym teraz. Już widziałem listy gończe za tobą po tamtej awanturze w stajniach.

– Za Machiavellim nie?

La Volpe pokręcił głową.

– Nie. Ale całkiem możliwe, że nie zdążyli mu się dobrze przyjrzeć. Niewielu ludzi wie, jak dobrze radzi sobie z mieczem.

– Ale ty w to nie wierzysz?

Lis znowu pokręcił głową.

– Co zrobić z listami gończymi?

– Nie martw się. Moi ludzie już je zrywają.

– Cieszę się, że niektórzy mają dość dyscypliny, żeby nie wszczynać bez powodu bójek z ludźmi Borgiów.

– Posłuchaj, Ezio, w mieście panuje napięcie, którego jeszcze nie doświadczyłeś.

– Naprawdę? – Ezio nie opowiedział jeszcze przyjacielowi o swoim spotkaniu z wilkoludami.

– Co do heroldów, kilka dukatów do ręki powinno wystarczyć, żeby ich uciszyć – ciągnął La Volpe.

– Albo... mógłbym wyeliminować świadków.

– To nie będzie konieczne – powiedział La Volpe już pogodniej. – Wiesz, jak się „znika”. Ale bądź bardzo ostrożny, Ezio. Borgiowie mają oprócz ciebie wielu innych wrogów, ale żaden z nich nie jest tak irytujący. Nie spoczna, dopóki nie zawiśniesz na haku w Zamku św. Anioła.

– Najpierw będą musieli mnie złapać.

– Miej się na baczności.

Wrócili okrężną drogą do Gildii Złodziei, gdzie przed nimi dotarli bezpiecznie Claudio i jego ojciec. Teresina opatrywała ranę chłopaka, a kiedy krwawienie ustało, okazało się, że to zaledwie głębokie rozcięcie mięśnia ramienia – bolało jak diabli, ale nie groziło niczym poważnym – i sam Claudio był już w o wiele lepszym nastroju.

– Co za wieczór – powiedział La Volpe ze znużeniem, kiedy usiedli nad szklaneczką trebbiano i talerzem ostrego salami.

– Co ty powiesz. Nie skarżyłbym się, gdybym miał takich mniej.

– Nie licz na to, dopóki trwa walka.

– Posłuchaj, Gilberto – rzekł Ezio. – Wiem, co widzieliśmy, ale jestem pewien, że nie masz się czego obawiać ze strony Machiavellego. Znasz jego metody.

La Volpe zmierzył go wzrokiem.

– Tak. Jest bardzo podstępny. – Przerwał. – Ale muszę ci podziękować za uratowanie Claudia. Jeśli uważasz, że Machiavelli pozostaje lojalny wobec Bractwa, jestem skłonny zaufać twojemu osądowi.

– A więc jak będzie z twoimi złodziejami? Pomożesz mi?

– Mówiłem ci, że mam plany co do tego miejsca – powiedział La Volpe z namysłem. – Teraz, skoro najwyraźniej znów ze sobą pracujemy, chciałbym się dowiedzieć, co i ty o tym sądzisz.

– A pracujemy razem?

La Volpe uśmiechnął się.

– Na to wygląda. Ale cały czas będę miał oko na twojego przyjaciela w czerni.

– Cóż, nie zaszkodzi. Nie działaj tylko pochopnie.

La Volpe zignorował tę uwagę.

– Jak sądzisz, co powinniśmy tu zrobić?

Ezio zastanowił się.

– Musimy się za wszelką cenę upewnić, że Borgiowie będą się trzymać z dala. Może moglibyśmy urządzić prawdziwą, działającą gospodę.

– Podoba mi się ten pomysł.

– Będzie potrzeba dużo pracy – odmalowanie, nowe pokrycie dachu, nowy szyld...

– Mam sporo ludzi. Pod twoim nadzorem...

– A więc tak zrobimy.

Dla Ezia nastał miesiąc wytchnienia, choć raczej połowicznego. Asasyn zajął się odnawianiem siedziby Gildii Złodziei, mając do pomocy wiele chętnych par rąk. Złodzieje posiadali najróżniejsze umiejętności, ponieważ wielu z nich było rzemieślnikami, którzy stracili pracę, nie chcąc płaszczyć się przed Borgiami. Gdy prace dobiegły końca, gospoda zmieniła się nie do poznania. Wszystko odmalowano, okna były czyste i miały nowe zasłony. Dach już się nie przekrzywił, a na nowym szyldzie widać było młodego lisa, wciąż śpiącego, ale z pewnością nie zdechłego. Wyglądał, jakby tuż po przebudzeniu był w stanie splądrować pięćdziesiąt kurników pod rząd. Podwójne drzwi lśniły na nowych zawiasach i stały otworem, ukazując nieskazitelnie czysty dziedziniec.

Ezio, który ostatni tydzień spędził na misji w Sienie, po powrocie był zachwycony efektem. Gospoda już działała.

– Zachowałem nazwę – powiedział La Volpe. – Podoba mi się. „La Volpe Addormentata”. Nie mam pojęcia, dlaczego.

– Miejmy nadzieję, że uspi czujność wroga – uśmiechnął się Ezio.

– Przynajmniej prace nie przyciągnęły żadnej niechcianej uwagi. Prowadzimy tu normalną gospodę. Mamy nawet kasyno – mój pomysł. To świetne źródło dochodu, bo pilnujemy, żeby gwardziści Borgiów, którzy tu

przychodzą, zawsze przegrywali!

– A gdzie?... – spytał Ezio, ścisząc głos.

– Ach. Tędy.

La Volpe poprowadził go do zachodniego skrzydła, przez drzwi z napisem „Uffizi – Privato”, przy których stało na straży dwóch złodziei, nie rzucając się przy tym zanadto w oczy.

Przeszli korytarzem prowadzącym do pomieszczeń za grubymi drzwiami. Ściany były obwieszane mapami Rzymu, na stołach i biurkach leżały schludne stosy papierów, nad którymi pracowali już mężczyźni i kobiety, choć dopiero co wstało słońce.

– Tutaj prowadzimy swoje prawdziwe interesy – objaśnił Lis.

– Wygląda to wszystko bardzo sprawnie.

– Jedno, co można powiedzieć dobrego o złodziejach, przynajmniej tych niezłych – rzucił La Volpe – to że myślą niezależnie i lubią konkurować, nawet między sobą.

– Pamiętam.

– Pewnie byłbyś w stanie pokazać im parę sztuczek, gdybyś sam wziął w tym udział.

– Tak zrobię.

– Ale nie byłoby bezpiecznie, gdybyś tu został – ostrzegł go La Volpe. – Ani dla ciebie, ani dla nas. Możesz jednak mnie odwiedzać, kiedy zechcesz – jak najczęściej.

– Dobrze – Ezio pomyślał o własnej, samotnej kwaterze, samotnej, ale wygodnej i bardzo dyskretnej. Nigdzie indziej nie czułby się dobrze. Wrócił myślami do spraw bieżących. – Skoro wszystko jest zorganizowane, najważniejsze jest zlokalizowanie Jabłka. Musimy je odzyskać – dodał po krótkiej przerwie.

– *Va bene.*

– Wiemy, że mają je Borgiowie, ale mimo naszych wysiłków wciąż nie udało się nam go wysledzić. Jak dotąd nic nie wskazuje, by go użyli. Jedyne,

co mi przychodzi do głowy, to że je badają, ale bez efektów.

– Czy zwrócili się po... poradę do eksperta?

– Och, jestem pewien, że to zrobią, ale Leonardo może udawać mniej inteligentnego, niż jest. Miejmy taką nadzieję. I miejmy nadzieję, że Borgiowie nie stracą do niego cierpliwości.

La Volpe uśmiechnął się.

– Trudno się nie zgodzić. Ale póki co bądź spokojny, nasi ludzie już przeczesują Rzym w poszukiwaniu Jabłka.

– Borgiowie dobrze je ukryli. Bardzo dobrze. Może nawet przed sobą nawzajem. Młody Cesare robi się coraz bardziej niezależny i jego ojcu się to nie podoba.

– W czym lepsi są złodzieje, niż w wyszukiwaniu dobrze ukrytych kosztowności?

– *Molto bene*. Teraz muszę iść.

– Ostatnia szklaneczka przed wyjściem?

– Nie. Mam dużo do zrobienia. Ale niedługo znów się zobaczymy.

– Gdzie mam wysłać swoje meldunki?

Ezio zastanowił się.

– Do kryjówki Bractwa Asasynów na wyspie na Tybrze.

17

Przyszła pora – uznał Ezio – odszukać starego przyjaciela Bartolomea d’Alviano, kuzyna Fabia Orsiniego. Bartolomeo walczył z Orsinimi ramię w ramię przeciwko siłom papieża w 1496 roku i niedawno wrócił z najemniczej służby w Hiszpanii.

Bartolomeo był jednym z największych *condottieri* i starym towarzyszem broni Ezia. Był także, mimo prostackiego czasem obycia oraz napadów złości i depresji, człowiekiem niezłomnej lojalności i przyzwoitości. Cechy te czyniły go jednym z filarów Bractwa – wraz z jego nieprzejednaną nienawiścią do Sekty Templariuszy.

Ezio dowiedział się, że Bartolomeo dopiero co wrócił z walk do koszar swojej prywatnej armii na obrzeżach Rzymu. Koszary leżały spory kawałek za miastem, na północnym wschodzie, niedaleko jednej z ufortyfikowanych wież strażniczych, które Borgiowie wznieśli w różnych punktach obserwacyjnych w Rzymie i wokół niego. Wiedzieli, że nie należy zaczynać z Bartolomeo – przynajmniej dopóki nie czuli się dość silni, by zgnieść go jak karalucha, za którego go uważali. A ich potęga – o czym Ezio dobrze wiedział – rosła z dnia na dzień.

Dotarł do celu niedługo po godzinie *pranzo*. Słońce minęło już zenit i panował nieprzyjemny skwar, łagodzony nieco przez bryzę z zachodu. Ezio stanął przed olbrzymią bramą w wysokiej palisadzie otaczającej koszary i załomotał w nią pięścią.

Judasz we wrotach uchylił się i Ezio poczuł, że ktoś mu się przygląda. Potem Judasz się zamknął i dała się słyszeć krótka, przytłumiona rozmowa. Ktoś znów otworzył Judasz, rozległ się radosny, barytonowy ryk, i po długim

odsuwaniu zasuw i zapadek, brama się otworzyła. Stał w niej potężny mężczyzna, trochę młodszy od Ezia, z szeroko rozwartymi ramionami. Jego wojskowe ubranie nadal było nieporządne, ale nieco mniej niż zwykle.

– Ezio Auditore, mój stary kompanie! Wchodź, wchodź. Zabiję cię, jak nie wejdiesz.

– Bartolomeo.

Dwaj przyjaciele uściskali się serdecznie, a potem przeszli przez plac koszar do kwatery Bartolomea.

– Chodź, chodź – zachęcał żołnierz ze swoim zwykłym wigorem. – Chcę ci kogoś przedstawić.

Weszli do długiego, niskiego pomieszczenia, dobrze oświetlonego dzięki szerokim oknom wychodzącym na dziedziniec. Widać było, że jednocześnie mieszka się tu i jada; sala była przestronna, ale było w niej coś zupełnie niepasującego do Bartolomea. W oknach wisiały czyste zasłony, na stole rozłożono wyszywany obrus, z którego zniknęły już resztki obiadu. Ściany zdobiły obrazy, przy jednej stała nawet biblioteczka. Bianki, ukochanego wielkiego miecza Bartolomea, nigdzie nie było widać. Ale przede wszystkim całe pomieszczenie było niewiarygodnie czyste i wysprzątane.

– Zaczekaj tu – powiedział Bartolomeo, pstrykając palcami na ordynansa, żeby przyniósł wino, wyraźnie bardzo podekscytowany. – Zgadnij, kogo chcę ci przedstawić?

Ezio jeszcze raz się rozejrzył.

– Cóż, Biancę już znam...

Bartolomeo ze zniecierpliwieniem machnął ręką.

– Nie, nie! Ona jest w sali sztabowej, tam teraz mieszka. Zgaduj dalej.

– Cóż – powiedział Ezio przebiegle – czy to może być... twoja żona?

Bartolomeo wyglądał na tak zdruzgotanego, że Ezio prawie pożałował swojej trafnej dedukcji – choć dojście do tego wniosku nie było znów aż tak trudne. Wielkolud szybko poweselał.

– To taki skarb. Nie uwierzysz.

Odwrócił się i ryknął donośnie w kierunku wewnętrznych pomieszczeń:

– Pantasilea! Pantasilea!

Ordynans wrócił z tacą przekąsek, karafką i kielichami.

– Gdzie ona jest? – spytał Bartolomeo.

– Zaglądałeś pod stół? – zaśmiał się złośliwie Ezio.

W tym momencie Pantasilea pojawiła się na schodach przy zachodniej ścianie pomieszczenia.

– Oto i ona!

Ezio wstał, żeby się przywitać. Ukłonił się.

– Auditore, Ezio.

– Baglioni, Pantasilea – teraz Baglioni-d’Alviano.

Była młoda – miała dwadzieścia parę lat, bliżej trzydziestki, ocenił Ezio. Sądząc po nazwisku, pochodziła ze szlacheckiego rodu, a jej suknia, choć skromna, była ładna i gustowna. Twarz, okoloną jasnymi włosami, miała owalną, nosek lekko zadarty, usta pełne i skore do śmiechu, podobnie jak inteligentne oczy – ciemnopiwe – patrzące serdecznie, a zarazem coś skrywające.

Była wysoka – sięgała Bartolomeo do ramienia – i smukła, o szerokich ramionach i wąskich biodrach; miała długie, szczupłe ręce i zgrabne nogi. Bartolomeo rzeczywiście znalazł skarb. Ezio miał tylko nadzieję, że jego przyjaciel jej nie straci.

– *Lieta di conoscervi* – powiedziała Pantasilea.

– *Altrettanto a lei.*

Popatrzyła na nich obu.

– Będziemy mogli się lepiej poznać przy innej okazji – powiedziała do Ezia bynajmniej nie tonem kobiety zostawiającej mężczyzn ich sprawom, lecz zajętej własnymi.

– Zostań chwilę, *tesora mia.*

– Nie, Barto, wiesz, że muszę się zobaczyć z rachmistrzem. Bez przerwy myli się w bilansach. Do tego coś się nie zgadza z dostawami wody. Tym też

muszę się zająć. – Spojrzała na Ezia. – *Ora, mi scusi, ma...*

– *Con piacere.*

Uśmiechnęła się do nich obu i zniknęła z powrotem na schodach.

– I co myślisz? – spytał Bartolomeo.

– Jest naprawdę urocza.

Ezio mówił szczerze. Zauważył też, jak jego przyjaciel powściąga język w obecności żony. Spodziewał się, że przy Pantasilei nie rzucano zbyt wiele koszarowych przekleństw i zastanawiał, co takiego widziała w swoim mężu, ale z drugiej strony... Przecież nic o niej nie wiedział.

– Myślę, że zrobiłaby dla mnie wszystko.

– Gdzie ją poznałeś?

– Porozmawiamy o tym innym razem. – Bartolomeo chwycił karafkę i kieliszki, a potem objął Ezia wolną ręką. – Bardzo się cieszę, że przyszedłeś. Właśnie wróciłem z kampanii, jak zapewne wiesz, i kiedy tylko się dowiedziałem, że jesteś w Rzymie, zamierzałem wysłać ludzi, żeby cię znaleźli. Wiem, że lubisz trzymać w sekrecie miejsce swojego pobytu i nie dziwię ci się, zwłaszcza w tym gnieździe żmij, ale na szczęście byłeś szybszy. I bardzo dobrze, bo chcę z tobą porozmawiać o wojnie. Chodźmy do sali sztabowej.

– Wiem, że Cesare sprzymierzył się z Francuzami – zaczął Ezio. – Jak idą walki z nimi?

– *Bene.* Kompanie, które tam zostawiłem i którymi będzie dowodził Fabio, nie cofają się. A tutaj mam nowych ludzi do wyszkolenia.

Ezia to zafrapowało.

– Machiavelli wydaje się sądzić, że sytuacja jest... nieco trudniejsza.

Bartolomeo wzruszył ramionami.

– Cóż, znasz Machiavellego. On...

Przerwało im pojawienie się jednego z sierżantów Bartolomea. U jego boku szła Pantasilea. Mężczyzna był zdenerwowany, ona – spokojna.

– *Capitano* – powiedział pospiesznie sierżant. – Potrzebujemy twojej

pomocy. Borgiowie przypuścili atak.

– Co? Nie spodziewałem się, że dojdzie do tego tak szybko. Wybacz, Ezio.

– Bartolomeo odwrócił się do Pantasilei. – Daj mi Biancę! – zawołał.

Kobieta natychmiast rzuciła mu przez pokój jego wielki miecz, a on go przypasał i wybiegł na zewnątrz za sierżantem. Ezio ruszył za nimi, ale Pantasilea go przytrzymała, chwytając mocno za ramię.

– Zaczekaj!

– O co chodzi?

Wyglądała na głęboko zatroskaną.

– Ezio, przejdę prosto do rzeczy – zaczęła spokojnym głosem. – Walka nie idzie dobrze, ani tu, ani w Romani; zostaliśmy zaatakowani z dwóch stron. Borgiowie są na jednej flance, Francuzi pod generałem Octavienem na drugiej. Ale wiedz jedno: pozycje Borgiów są słabe. Jeśli ich pokonamy, będziemy mogli skupić się na Francuzach. Zdobycie tej wieży bardzo by pomogło. Gdyby tylko ktoś mógł zakraść się od tyłu...

Ezio skłonił głowę.

– W takim razie chyba wiem, jak mogę pomóc. Twoje informacje są bezcenne. *Mille grazie, madonna d'Alviano.*

Uśmiechnęła się.

– Przynajmniej tyle może zrobić żona dla swojego męża.

18

Borgiowie przypuścili niespodziewany atak na koszary, wybierając na to porę sjeisty. Ludzie Bartolomea walczyli z nimi, używając tradycyjnej broni, ale kiedy spychali ich z powrotem do wieży, Ezio zobaczył na jej blankach zbierających się strzelców Cesare, wyposażonych w nowe rusznice z kołowymi zamkami. Żołnierze wymierzyli broń w kłębiących się w dole *condottieri*.

Ezio obiegnął dookoła pole bitwy, unikając starć z żołnierzami Borgiów, i udało mu się dotrzeć do wieży od tyłu. Tak jak się spodziewał, uwaga wszystkich była skupiona na walce toczącej się od frontu. Wspiął się po zewnętrznym murze, z łatwością znajdując oparcie dla stóp na grubo ciosanych kamieniach, z których go zbudowano. Ludzie Bartolomea byli uzbrojeni w kusze, niektórzy posiadali rusznice z zamkami lontowymi do ostrzału na większą odległość, ale nie wytrzymałyby zabójczego ognia nowoczesnych rusznic kołowych.

Ezio dotarł na szczyt, jakieś czterdzieści stóp nad ziemią, w niecałe trzy minuty. Napinając ścięgna, wciągnął się na tylny parapet muru i bezgłośnie opuścił na dach wieży. Podkraść się do muszkietarów, stawiając ostrożnie krok za krokiem. Po cichu dobył sztyletu i wysunął ukryte ostrze. Zaszedł żołnierzy od tyłu i w nagłej eksplozji przemocy zabił czterech swoimi dwoma ostrzami. Dopiero wtedy strzelcy Borgiów zorientowali się, że wśród nich jest wróg. Ezio zobaczył, że jeden z nich obraca ku niemu swoją rusznicę; żołnierz był jakieś piętnaście stóp od niego, więc asasyn po prostu cisnął sztyletem. Ostrze zakręciło się trzy razy w powietrzu, a potem z obrzydliwym chrzęstem utkwilo między oczami muszkietera. Mężczyzna upadł, naciskając

jeszcze spust – na szczęście dla Ezia lufa zesła z celu; kula poszła w prawo, trafiając najbliższego z żołnierzy i przechodząc na wylot przez jego jabłko Adama, utkwiała w barku następnego, stojącego za nim. Obaj upadli – na dachu wieży zostało tylko trzech strzelców. Nie zatrzymując się, Ezio uskoczył w bok i wierzchem dłoni uderzył stojącego najbliżej żołnierza w twarz tak mocno, że ten przewalił się przez blanki. Asasyn chwycił jego broń za lufę i rąbnął kolbą następnego, który z okrzykiem bólu poleciał w ślad za swoim kolegą. Ostatni podniósł ręce w geście poddania, ale było już za późno – ukryte ostrze Ezia zakradło się między jego żebra.

Ezio chwycił następną rusznicę i zbiegł po schodach na niższe piętro. Było tam czterech żołnierzy, strzelających przez szczeliny w grubym, kamiennym murze. Asasyn nacisnął spust, trzymając muszkiet przy boku. Najdalszy strzelec runął powalony kulą, a jego pierś wybuchła czerwienią. Ezio zrobił dwa kroki do przodu i machnął rusznicą jak maczugą, tym razem lufą do przodu, uderzając następnego w kolano tak, że ten runął na ziemię. Jeden z pozostałych zdążył odwrócić się na tyle szybko, by wystrzelić. Ezio odruchowo zrobił przewrót w przód, czując palące tchnienie kuli, która minęła jego policzek o włos i utkwiała w ścianie za nim. Rozpęd pchnął go na strzelca, a ten poleciał w tył i wyrznął głową w gruby, kamienny mur. Ostatni żołnierz również się odwrócił, by stawić czoła niespodziewanemu zagrożeniu. Spojrzał w dół, kiedy Ezio poderwał się z podłogi, ale nie zdążył nic zrobić, bo ukryte ostrze przebiło mu szczękę.

Strzelec, któremu Ezio złamał kolano, poruszył się i sięgnął po sztylet, ale asasyn po prostu kopnął go w skroń i odwrócił się spokojnie, by popatrzeć na bitwę w dole. Ta zaś zmieniała się w klęskę Borgiów. Bez wsparcia przeważającej siły ognia, ich żołnierze szybko zaczęli się cofać, a potem po prostu uciekać, zostawiając wieżę na pastwę *condottieri*.

Ezio zszedł po schodach do głównych wrót, napotykając po drodze garść gwardzistów, którzy, zanim padli pod jego mieczem, stawili mu zaciekły opór. Wiedząc, że w wieży nie ma już Borgiów, otworzył drzwi i wyszedł do

Bartolomea. Bitwa była skończona, a Pantasilea dołączyła do męża.

– Ezio, dobra robota! Razem pogoniliśmy tych *luridi codardi*!

– Tak, to prawda.

Ezio wymienił ukradkowy, porozumiewawczy uśmiech z Pantasileą. Jej mądra porada przyczyniła się do zwycięstwa chyba w największym stopniu.

– Te nowe rusznice... – powiedział Bartolomeo. – Udało nam się kilka zdobyć, ale wciąż nie wiemy, jak ich używać. – Potem rozpromienił się. – Teraz, kiedy psy papieża uciekły, będę mógł ściągnąć więcej ludzi do walki po naszej stronie. Ale najpierw, zwłaszcza po tej awanturze, chcę umocnić nasze koszary.

– Dobry pomysł. Kto to jednak robi?

Bartolomeo potrząsnął głową.

– Nie jestem w tym zbyt dobry. To ty masz wykształcenie, może przejrzałbyś plany?

– Masz jakieś przygotowane?

– Tak. Zamówiłem je u pewnego młodego geniusza. To florentczyk, tak jak ty, nazywa się Michał Anioł Buonarroti.

– Nigdy o nim nie słyszałem, ale *va bene*. W zamian muszę wiedzieć o każdym ruchu Cesare i Rodriga. Czy ktoś z twoich ludzi może ich dla mnie śledzić?

– Ludzi mi z pewnością nie brakuje. A przynajmniej mam ich dość, żeby zapewnić ci porządną ekipę do przebudowy i garść zdolnych zwiadowców, którzy będą śledzić Borgiaów.

– Doskonale!

Ezio wiedział, że Machiavelli ma własnych szpiegów, ale jego przyjaciel miał zwyczaj zatajać różne informacje, a Bartolomeo nie. Jeśli Machiavelli był zamkniętą komnatą, to Bartolomeo – otwartym niebem. A choć Ezio nie podzielał podejrzeń La Volpe – które, miał nadzieję, już osłabły – nie szkodziło mieć zapasową cięciwę do łuku.

Następny miesiąc spędził nadzorując umacnianie koszar, naprawianie szkód

wyrządzonych podczas szturmów, budowanie wyższych i mocniejszych wież strażniczych i zastępowanie palisady kamiennym murem. Kiedy praca była skończona, on i Bartolomeo ruszyli na inspekcję.

– Coś pięknego, prawda? – promieniał d’Alviano.

– Owszem, wygląda to bardzo imponująco.

– A do tego codziennie przyłącza się do nas więcej ludzi. Oczywiście zachęcam ich do współzawodnictwa: to dobrze wpływa na morale i przygotowuje ich na czas, kiedy będą musieli walczyć naprawdę. – Pokazał Eziowi dużą, drewnianą tablicę ze swoim herbem na górze, zamocowaną na stojaku. – Jak widzisz, na tej tablicy widnieje lista naszych najlepszych wojowników. Im stają się lepsi, tym wyżej się pną.

– A gdzie jestem ja?

Bartolomeo popatrzył na niego i machnął ręką nad tablicą.

– Moim zdaniem gdzieś tam.

Podszedł do nich *condottiero* i powiedział, że Gian, jeden z najlepszych żołnierzy, rozpoczął właśnie walkę na placu defilad.

– Jeśli chcesz się popisać, urządzamy też pojedynki ćwiczebne. A teraz, jeśli wybaczysz... Postawiłem pieniądze na tego chłopaka.

Roześmiał się i wyszedł.

Ezio poszedł do nowej, rozbudowanej sali sztabowej. Naturalne oświetlenie było teraz lepsze, a pomieszczenie powiększono, by zmieściły się tam większe stoły i stojaki. Ślęczał właśnie nad mapą Romanii, kiedy dołączyła do niego Pantasilea.

– Gdzie Bartolomeo? – spytała.

– Na walkach.

Pantasilea westchnęła.

– Ma takie agresywne spojrzenie na świat. Ja jednak uważam, że równie ważna jest strategia. Nie zgodzisz się?

– Zgodzę.

– Coś ci pokażę.

Zaprowadziła go na szeroki balkon wychodzący na wewnętrzny dziedziniec koszar. Po jednej jego stronie stał spory gołębnik, pełen ptaków.

– To gołębie pocztowe – wyjaśniła Pantasilea. – Każdy z nich, wysyłany przez Niccolò Machiavellego w mieście, przynosi mi nazwisko agenta Borgiów w Rzymie. Borgiowie upaśli się na jubileuszu roku tysiącpięćsetnego, na tych wszystkich pieniądzech, które zostawili pielgrzymi, pragnący kupić sobie rozgrzeszenie. Tych, którzy nie chcieli płacić, obrabowano.

Ezio spochmurniał.

– Ale twoje ataki bardzo zaniepokoiły Borgiów – ciągnęła Pantasilea. – Ich szpiedzy przeczesują miasto, wyszukując naszych ludzi i demaskując ich, gdzie się da. Machiavelli odkrył niektóre z ich nazwisk i często przysyła mi je gołębiem. Tymczasem Rodrigo mianował nowych członków kurii, usiłując zachować sprzyjającą mu równowagę sił wśród kardynałów. Jak wiesz, ma kilkadziesiąt lat doświadczenia w watykańskiej polityce.

– Owszem.

– Kiedy wrócisz do miasta, musisz zabrać te nazwiska ze sobą. Przydadzą ci się.

– Jestem pełen podziwu, *madonna*.

– Zapoluj na tych ludzi, wyeliminuj ich, jeśli zdołasz, a wszyscy odetchniemy.

– Muszę bezzwłocznie wracać do Rzymu. I powiem ci coś, co sprawi, że ty sama swobodniej odetchniesz.

– Tak?

– To, co właśnie ujawniłaś, dowodzi, że Machiavelli jest bez wątpienia jednym z nas – powiedział Ezio, potem jednak się zawahał. – Mimo to...

– Tak?

– Mam podobną umowę z Bartolomeo. Odczekaj tydzień, a potem powiedz mu, żeby przybył na wyspę na Tybrze – zna to miejsce i śmiem twierdzić, że ty też – i przyniósł mi zdobyte wiadomości o Rodrigu i Cesare.

– Wciąż wątpisz w Machiavellego?

– Nie, ale z pewnością się zgodzisz, że dobrze jest weryfikować wszystkie otrzymywane informacje, zwłaszcza w takich czasach jak obecne.

Po twarzy Pantasilei przemknął cień, ale potem się uśmiechnęła.

– Bartolomeo przybędzie.

19

Wróciwszy do Rzymu, Ezio w pierwszej kolejności udał się do domu publicznego, który Machiavelli wymienił jako źródło informacji – być może niektóre nazwiska, które Niccolò przesyłał Pantasilei pocztowymi gołębiami, pochodziły właśnie stamtąd. Musiał się dowiedzieć, w jaki sposób dziewczyny zbierały informacje, ale postanowił nawiązać kontakt incognito. Gdyby dowiedziały się, kim jest, mogłyby powiedzieć mu to, co według nich chciał usłyszeć.

Dotarł pod wskazany adres i sprawdził szyld: „Rosa in Fiore”. Nie było co do tego wątpliwości, a mimo to lokal nie wyglądał na taki, w którym mogłaby bywać nomenklatura Borgiów – chyba że lubili slumsy. Z pewnością nie równał się z przybytkiem Paoli we Florencji, przynajmniej z zewnątrz, choć z drugiej strony Paola też miała bardzo skromną witrynę. Ezio, pełen wątpliwości, zapukał do drzwi.

Natychmiast otworzyła mu atrakcyjna, pulchna dziewczyna w wieku około osiemnastu lat, w wymiętej jedwabnej sukni.

Rzuciła mu profesjonalny uśmiech.

– Witaj, nieznajomy. Witamy w Rosa in Fiore.

– *Salve* – powiedział, a dziewczyna wpuściła go do środka. Sień prezentowała się o klasę lepiej, ale i tak panowała tu atmosfera zaniedbania.

– Na co dziś mamy ochotę? – spytała dziewczyna.

– Czy byłabyś tak uprzejma i przyprowadziła mi szefową?

Dziewczyna zmrużyła oczy.

– *Madonny Solari* nie ma.

– Rozumiem. – Ezio przerwał, niepewny, co dalej. – A wiesz, gdzie jest?

– Wyszła.

Ton dziewczyny był już zdecydowanie mniej przyjazny.

Ezio rzucił jej swój najbardziej uwodzicielski uśmiech, ale nie był już młodym mężczyzną i zobaczył, że na dziewczynie nie zrobiło to wrażenia. Wzięła go za jakiegoś urzędnika. Niech to szlag! Cóż, jeśli chciał cokolwiek wskórać, musiał udawać klienta. A jeśli udawanie oznaczało konieczność stania się klientem, niech i tak będzie.

Właśnie zdecydował się na takie rozwiązanie, kiedy drzwi na ulicę nagle się otworzyły i do środka wbiegła inna dziewczyna, z rozwianym włosom i potarganą suknią. Była przerażona.

– *Aiuto! Aiuto!* – krzyczała nagłaco. – *Madonna Solari...*

Rozplakała się, nie mogąc mówić dalej.

– Co się stało, Lucia? Weź się w garść. Czemu tak szybko wróciłaś? Myślałam, że poszłaś z *madonną* i klientami.

– Ci ludzie nie byli klientami, Agnello. Oni... oni... powiedzieli, że zabierają nas w jedno miejsce nad Tybrem, ale była tam łódź, zaczęli nas bić i wyciągnęli noże. Zabrali *madonnę* Solari na pokład i skuli ją.

– Lucia! *Dio mio!* A jak ty uciekałaś?

Agnella objęła przyjaciółkę ramieniem i poprowadziła ją na kanapę pod ścianą. Wyjęła chustkę i otarła czerwoną opuchliznę, która zaczęła pojawiać się na policzku Lucii.

– Puścili mnie, wysłali z wiadomością – to handlarze niewolników, Agnello. Powiedzieli, że wypuszczą *madonnę*, jeśli ją wykupimy. W przeciwnym razie ją zabiją.

– Ile chcą? – spytał Ezio.

– Tysiąc dukatów.

– Ile mamy czasu?

– Zaczekają godzinę.

– A więc mamy czas. Zostańcie tutaj. Odbiję ją.

Cazzo! – pomyślał Ezio. – Źle to wygląda. Muszę porozmawiać z tą

kobietą.

– Gdzie oni są? – zwrócił się do Lucii.

– Jest tam pomost, *messere*. Niedaleko Wyspy Tybrowej. Znasz to miejsce?

– Bardzo dobrze.

Ezio nie zwlekał. Nie miał czasu iść do banku Chigiego, a ponieważ żadna z jego trzech filii nie była po drodze, zdecydował się na lichwiarza, który ostro się targował, ale uzupełnił kwotę, jaką asasyn miał już przy sobie, do pełnego tysiąca. Uzbrojony w pieniądze, ale zdeterminowany nie oddawać ani grosza, o ile nie będzie zmuszony, i przysięgając odebrać procenty od drani przetrzymujących osobę, z którą musiał porozmawiać, Ezio wynajął konia i na złamanie karku pognął ulicami w stronę Tybru, rozpędzając po drodze ludzi, kury i psy.

Dzięki Bogu łódź – a właściwie niewielki statek – znalazł bez trudu. Zeskoczył z konia i pobiegł na koniec pomostu, do którego był przycumowany, wykrzykując imię *madonny* Solari.

Jej porywacze byli przygotowani. Dwóch czekało już na pokładzie, mierząc do niego z pistoletów. Ezio zmrużył oczy. Pistolety? W rękach takich tanich drani?

– Nie zbliżaj się.

Ezio cofnął się, ale trzymał palec na mechanizmie zwalniającym ukryte ostrze.

– Przyniosłeś, skurwysynu, forszę?

Ezio powoli, drugą ręką podniósł sakwę, która zawierała tysiąc dukatów.

– Dobrze. A teraz zobaczmy, czy kapitan jest w wystarczająco dobrym nastroju, żeby nie poderżnąć tej kurwie gardła.

– Kapitan! Za kogo wy się uważacie, do diabła? Przyprowadźcie ją! Natychmiast!

Wściekłość w głosie Ezia spłoszyła handlarza niewolników, który mówił. Mężczyzna odwrócił się nieco i zawołał kogoś pod pokładem, kto musiał słyszeć wymianę zdań, po schodkach bowiem wyszło dwóch mężczyzn,

wlokących kobietę w wieku około trzydziestu pięciu lat. Porywacze skuli jej ręce i nogi. Miała rozmazany makijaż – od łez i maltretowania – oraz brzydkie siniaki na twarzy, ramionach i piersiach, odsłoniętych przez rozdarcie liliowej sukni z gorsetem. Na jej spódnicy widniały plamy krwi.

– Oto twój mały skarb – prychnął handlarz, który odezwał się pierwszy.

Ezio ciężko dyszał. Był to odludny zakręt rzeki, ale zaledwie pięćdziesiąt kroków dalej widać było wyspę na Tybrze. Gdyby tylko zdołał przekazać wiadomość przyjaciołom... Gdyby coś usłyszeli, założyliby, że to gromada pijanych marynarzy – na nabrzeżu ich nie brakowało – a gdyby Ezio podniósł głos albo zawołał o pomoc, la Solari zginęłyby w jednej chwili, razem z nim samym, chyba że strzelcy byli kiepscy – bo zasięg był żaden.

Kiedy zrozpaczone oczy kobiety zobaczyły Ezia, po drabince wyszedł trzeci mężczyzna, niechlujnie odziany w smutne resztki kurty kapitana żeglugi morskiej. Spojrzał na Ezia, potem na sakwę z pieniędzmi.

– Rzuć je – powiedział ochryplym głosem.

– Najpierw ją oddajcie. I zdejmijcie te kajdany.

– Ogłuchłeś, do diaska? Rzuć. Tu. Tę. Pieprzoną. Forse!

Ezio mimowolnie dał krok do przodu. Strzelcy natychmiast groźnie podnieśli broń, kapitan dobył falchiona, a dwaj pozostali jeszcze mocniej chwycili kobietę, która jęknęła i skrzywiła się z bólu.

– Ani kroku bliżej. Bo ją załatwimy.

Ezio zatrzymał się, ale nie cofnął. Wzrokiem zmierzył odległość między miejscem, w którym stał, a pokładem. Jego palec drżał na spuście ukrytego ostrza.

– Mam pieniądze; są tutaj – powiedział, machając sakwą i przysuwając się jeszcze o krok, kiedy spojrzenie porywaczy spoczęło na torbie.

– Nie ruszaj się. Nie prowokuj. Jeszcze jeden krok i ona zginie.

– Wtedy nie dostaniecie pieniędzy.

– Och, czyżby? Nas jest pięciu, a ty jeden i nie myśl, że postawisz choćby palec na pokładzie, zanim moi przyjaciele strzelą ci w usta i w jaja.

– Najpierw ją oddajcie.

– Słuchaj, głupi jesteś, czy jak? Nikt się nie zbliży do tej jebanej łodzi, chyba że chcesz, żebyśmy zaraz skończyli z tą *puttaną*!

– *Messere! Aiutateme!* – zaskomlała nieszczęsna kobieta.

– Stul pysk, dziwko! – warknął jeden z trzymających ją mężczyzn i uderzył po oczach głowicą sztyletu.

– Dobrze! – odkrzyknął Ezio, zobaczywszy, że z twarzy kobiety tryska świeża krew. – Wystarczy. Puśćcie ją. Natychmiast.

Rzucił torbę z pieniędzmi, tak że wylądowała u stóp kapitana.

– Tak lepiej – powiedział handlarz niewolników. – A teraz skończmy to.

Zanim Ezio zdołał zareagować, mężczyzna przyłożył ostrze miecza do gardła kobiety i przeciągnął nim, mocno i głęboko, na wpół odcinając jej głowę.

– Jak coś ci się nie podoba, skargi przyjmuje *messer* Cesare – prychnął kapitan, kiedy zwłoki osunęły się na pokład w fontannie krwi. Niemal niedostrzegalnie skinął głową dwóm mężczyznom z pistoletami.

Ezio przeczuwał, co zaraz się wydarzy, i był na to gotowy. Z szybkością błyskawicy uchylił się przed obiema kulami, a wyskakując w powietrze, jednocześnie wysunął ukryte ostrze. Dźgnął nim w oko pierwszego mężczyznę, który trzymał pojmaną. Zanim ten zdążył nawet upaść na pokład, Ezio, uchylając się przed ciosem *falchiona* kapitana, wbił ostrze głęboko w brzuch drugiego, szarpiąc w górę. Broń nie była przystosowana do cięcia i wygięła się trochę, rozdzierając raczej, niż rozcinając, ale Ezio się tym nie przejmował.

Teraz strzelcy. Tak jak się spodziewał, gorączkowo usiłowali przeładować broń, ale panika uczyniła ich niezdarnymi. Ezio szybko schował ostrze i dobył ciężkiego, zębatego sztyletu. Walka toczyła się w zbyt dużym zwarciu, by mógł użyć miecza. Odciął dłoń z bronią jednemu strzelcowi, a potem wbił mocno ostrze w jego bok. Nie miał jednak czasu dokończyć dzieła, bo drugi mężczyzna zaszedł go z tyłu i uderzył kolbą pistoletu jak

pałką. Na szczęście cios nieco chybił celu; Ezio otrząsnął się, okręcił i wbił strzelcowi sztylet w pierś, kiedy ten unosił ręce do następnego uderzenia.

Ezio rozejrzył się. Gdzie kapitan?

Zobaczył go uciekającego wzdłuż brzegu rzeki, dźwigającego sakwę z wysypującymi się z niej pieniędzmi. Głupiec – pomyślał – powinien był wziąć konia. Skoczył w pościg, z łatwością doganiając kapitana, bo torba była ciężka. Chwycił go za włosy i kopnął w nogi, zmuszając do uklęknienia z odgiętą w tył głową.

– A teraz posmakujesz własnego lekarstwa – powiedział i odciął mężczyźnie głowę dokładnie tak samo, jak ten zrobił to *madonnie* Solari.

Puścił ciało, które osunęło się w drgawkach na ziemię, podniósł sakwę i wrócił na łódź, zbierając po drodze monety. Na pokładzie wił się raniony handlarz niewolników. Ezio zignorował go i zszedł na dół, gdzie splądrował skromną kajutę. Szybko znalazł małą szkatułę. Otworzył ją zakrwawionym ostrzem sztyletu. Była pełna brylantów.

– To wystarczy – powiedział do siebie, wziął szkatułę pod pachę i wybiegł na pokład.

Załadował torbę z pieniędzmi i szkatułę do juków konia, razem z pistoletami, a potem wrócił do rannego, ślizgając się we krwi, w której skręcał się z bólu handlarz niewolników. Ezio schylił się i przeciął mu ścięgno pod kolanem, zakrywając jednocześnie dłonią usta mężczyzny, by stłumić jego wycie. To go powinno spowolnić. Na dobre.

Przysunął usta do ucha rannego.

– Jeśli przeżyjesz – powiedział – i wrócisz do tej plugawej wszy, którą nazywasz swoim panem, powiedz mu, że to wszystko to podarunek od Ezia Auditore. Jeśli nie, *requiescat in pace*.

20

Ezio nie od razu wrócił do lupanaru. Było późno. Zwrócił konia, za kilka miedziaków kupił od stajennego worek i schował w nim swoje łupy oraz pieniądze. Zrzucił worek na ramię i udał się do lichwiarza, który wydawał się zaskoczony i rozczarowany, widząc go tak szybko z powrotem. Ezio oddał mu dług. Potem wrócił do swojej kwatery, uważając, by wtapiać się w wieczorny tłum za każdym razem, kiedy zobaczył gwardzistów Borgiów.

Na miejscu kazał przygotować sobie kąpiel, rozebrał się i ze znużeniem umył, pragnąc, by Caterina znów pojawiła się w drzwiach i go zaskoczyła.

Założył świeże ubranie, a stare – zniszczone po ciężkim dniu – wepchnął do worka. Zamierzał pozbyć się go później. Wyczyścił pistolety i schował je w sakwie. Wcześniej chciał je zatrzymać, ale były ciężkie i nieporęczne, więc postanowił oddać je Bartolomeo. Do niego miała także trafić większość brylantów; obejrawszy je, Ezio wybrał pięć największych i najlepiej oszlifowanych, a potem schował je do własnej sakiewki. Przynajmniej przez jakiś czas nie musiał martwić się o pieniądze.

Całą resztę zamierzał przesłać przez La Volpe do koszar. Komuż mógł zaufać, jeśli nie zaprzyjaźnionemu złodziejowi?

Wkrótce był gotów znów wyruszyć. Przerzucił sakwę przez ramię i już trzymał rękę na klamce, kiedy ogarnęło go znużenie. Był zmęczony zabijaniem, chciwością i żądzą władzy, zmęczony nieszczęściem, którym to wszystko się kończyło.

Miał już dość walki.

Cofnął rękę z klamki, zdjął sakwę i położył ją na łóżku. Zamknął drzwi na klucz, z powrotem się rozebrał, a potem zdmuchnął świeczkę i zwałił się na

łóżko. Zdążył jeszcze przypomnieć sobie, by nakryć ręką torbę, zanim zasnął. Wiedział, że odpoczynek nie będzie trwał długo.

W Śpiącym Lisie Ezio oddał sakwę i zostawił precyzyjne instrukcje. Nie podobało mu się, że zleca komuś to zadanie, ale był potrzebny gdzie indziej. Meldunki szpiegów Lisa były skąpe, ale pokrywały się z tymi, które Machiavelli przysłał gołębiami pocztowymi Pantasilei, co uśmierzyło wszelkie pozostałe obawy Ezia względem przyjaciela. La Volpe zachował dystans.

Ezio potrafił to zrozumieć: Machiavelli był nieprzystępny, wręcz oziębły. Choć obaj pochodzili z Florencji, a Florencja nie przepadała za Rzymem – zwłaszcza za Borgiami – wyglądało na to, że La Volpe, mimo wszelkich dowodów przeczących zdradzie Machiavellego, niezmiennie żywił wątpliwości.

– Nazwij to przecuciem – powiedział szorstko, kiedy Ezio zaczął go przyciskać.

O Jabłku wciąż nie było nic wiadomo, oprócz tego, że cały czas znajdowało się w rękach Borgiów – Cesare lub Rodriga. Rodrigo dobrze znał jego potencjał, choć Ezio wątpił, by papież zdradził wiele z tego, co wiedział, swojemu synowi, zważywszy na panujące między nimi stosunki. Co do Cesare – ten był ostatnią osobą, u której widziano Jabłko, ale nic nie wskazywało, by go używał. Ezio modlił się, by ten, komu Borgia dał je do zbadania – jeśli rzeczywiście tak zrobił – albo nie potrafił zgłębić jego tajemnic, albo ukrywał je przed swoim mocodawcą.

Machiavellego nigdzie nie można było znaleźć. Nawet w tajnej siedzibie asasynów na wyspie na Tybrze nie zostawił żadnej wiadomości. Jediną informacją, do jakiej dotarł Ezio, była ta, że Machiavelli „wyjechał”, ale we Florencji też go podobno nie było. Dwaj młodzi przyjaciele, którzy przebywali akurat w Rzymie i opiekowali się kryjówką – Baldassare Castiglione i Pietro Bembo – byli całkowicie wiarygodni i stanowili cenny nabytek Bractwa, zwłaszcza że jeden miał dojścia do otoczenia Cesare,

a drugi do Lukrecji. Szkoda, myślał Ezio, że pierwszy musiał niedługo wracać do Mantui, a drugi do Wenecji. Pocieszał się jednak myślą, że nawet w swoich rodzinnych miastach będą mu przydatni.

Upewniwszy się, że zrobił, co mógł w tym względzie, Ezio zwrócił myśli z powrotem ku Rosa in Fiore.

Tym razem, kiedy złożył wizytę w lupanarze, drzwi były otwarte. Wnętrze wydawało się mniej duszne i jaśniejsze. Przypomniał sobie imiona dziewczyn, które spotkał w dzień porwania *madonny* Solari, a kiedy podał je starszej kobiecie w sieni, której – jak zauważył – towarzyszyło dwóch młodych, uprzejmych, ale wyglądających na twardzieli mężczyzn – zapewne strażników – zaprowadzono go na wewnętrzny dziedziniec. Tam, jak mu powiedziano, miał znaleźć dziewczyny.

Trafił do różanego ogrodu, otoczonego wysokim murem z czerwonej cegły. Wzdłuż jednego boku dziedzińca biegła pergola, prawie niewidoczna spod bujnych, różowych, pnących róż, na środku zaś stała niewielka fontanna, otoczona ławkami z białego marmuru. Dziewczyny, których szukał Ezio, stały w grupie innych, rozmawiając z dwiema starszymi kobietami, zwróconymi do niego plecami. Kiedy podszedł, odwróciły się.

Już miał się przedstawić – postanowił tym razem zadziałać inaczej – tymczasem oniemiał ze zdumienia.

– Matka! Claudia! Co wy tu robicie?

– Czekamy na ciebie. *Ser Machiavelli* powiedział, że możemy cię tu znaleźć. Zanim wyjechał.

– Gdzie on jest? Widziałyście się z nim we Florencji?

– Nie.

– Ale co wy robicie tu, w Rzymie? – powtórzył otępiały. Był wstrząśnięty i zdenerwowany. – Florencja została zaatakowana?

– Nie, nic z tych rzeczy – uspokoiła go Maria. – Ale pogłoski okazały się prawdą: nasz *palazzo* został zniszczony. Nic po nim nie pozostało.

– A ja nigdy już nie wrócę do twierdzy Maria w Monteriggioni, nawet

gdyby nie była ruiną – dodała Claudia.

Ezio spojrział na nią i pokiwał głową. Rozumiał, że taka miejscina musiała być dla niej okropną dziurą, ale w sercu czuł niepokój.

– A więc przyjechałyśmy tutaj. Wynajęłyśmy dom w Rzymie – ciągnęła Maria. – Nasze miejsce jest przy tobie.

Przez głowę Ezia pędziły myśli. W głębi serca, choć rzadko się do tego przyznawał sam przed sobą, wciąż czuł, że mógł zapobiec śmierci ojca i braci. Zawiódł ich. Maria i Claudia były wszystkim, co zostało z jego rodziny. Nieszczęśliwy splot wydarzeń mógłby sprawić, że i je zawiódłby tak samo... Nie chciał, by były od niego zależne.

Przyciągał niebezpieczeństwo. Czy przebywając blisko niego, kobiety nie ściągałyby go także na siebie? Nie chciał mieć ich na sumieniu. Lepiej byłoby, gdyby zostały we Florencji, gdzie miały przyjaciół, gdzie byłyby bezpieczne – w mieście na powrót stabilnym pod mądrymi rządami Piero Soderiniego.

– Ezio – powiedziała Claudia, przerywając jego rozmyślenia. – Chcemy ci pomóc.

– Wysyłając was do *Firenze*, chciałem zapewnić wam bezpieczeństwo.

Z trudem usiłował nie zdradzić głosem zniecierpliwienia, ale uświadomił sobie, że warczy. Maria i Claudia wyglądały na wstrząśnięte, a choć jego matka szybko się uspokoiła, Ezio widział, że siostra jest urażona i zraniona. Czyżby przejrzała jego myśli?

Na szczęście przerwały im Agnella i Lucia.

– *Messere*, wybacz, ale denerwujemy się. Wciąż nie mamy żadnych wieści o *madonnie* Solari. Wiesz, co się z nią stało?

Ezio nadal myślał o Claudii i jej spojrzeniu, ale skupił się na pytaniu. Cesare musiał dobrze zatrzeć ślady. Z drugiej strony, z Tybru praktycznie codziennie wyławiano zwłoki, a niektóre z nich pływały tam już dłuższy czas.

– Nie żyje – powiedział nagle.

– Co? – zawołała Lucia.

– *Merda* – zaklęła ponuro Agnella.

Wiadomość szybko rozeszła się wśród dziewczyn.

– Co teraz? – spytała jedna.

– Będziemy musiały zamknąć dom? – zawtórowała druga.

Ezio domyślał się, skąd wziął się ich niepokój. Pod kierownictwem *madonny* Solari, nieważne, jak według Machiavellego nieefektywnym, dziewczyny zbierały informacje dla asasynów. Jaki los czekałby je bez takiej ochrony, zwłaszcza że, jak sugerowała śmierć Solari, Cesare miał jakieś podejrzenia co do Rosa in Fiore? Choć z drugiej strony, gdyby uważał, że Solari nie była jedynym szpiegiem w lokalu, czy już by nie zaatakował?

Otóż to. Wciąż była nadzieja.

– Nie możecie zamknąć domu – powiedział Ezio. – Potrzebuję waszej pomocy.

– Ale *messere*, bez kogoś, kto by tym wszystkim pokierował, jesteśmy skończone.

– Ja to zrobię – powiedział zdecydowany głos obok Ezia.

Była to Claudia.

Ezio odwrócił się do niej gwałtownie.

– Nie pasujesz tu, siostrze!

– Wiem, jak prowadzić interes – odparowała. – Zarządzałam posiadłościami wuja Maria przez całe lata!

– To coś innego.

– A jaki masz wybór, Ezio? – spytała łagodnym głosem jego matka. – Potrzebujesz kogoś od zaraz, a wiesz, że siostrze możesz zaufać.

Ezio dostrzegał w tym logikę, ale to oznaczałoby wystawienie Claudii na niebezpieczeństwo, czego obawiał się najbardziej. Popatrzył na nią ze złością, a ona wyzywająco odpowiedziała tym samym.

– Jeśli to zrobisz, Claudio, to będziesz zdana sama na siebie. Nie dostaniesz ode mnie żadnej specjalnej ochrony.

- Radziłam sobie bez niej świetnie przez dwadzieścia lat – prychnęła.
- Doskonale – powiedział Ezio lodowatym tonem. – W takim razie lepiej bierz się do pracy. Po pierwsze, macie tu dokładnie posprzątać, wszystko odnowić i poprawić. Nawet ten ogród wymaga sporo zachodu. Chcę, żeby to był najlepszy lokal w mieście. A konkurencja jest duża. Dziewczyny mają być czyste – ta Nowa Zaraza, o której leczeniu nikt nic nie wie, szaleje we wszystkich portach i największych miastach, więc chyba wszyscy jesteśmy świadomi, co to może dla nas oznaczać.
- Dopilnujemy tego – powiedziała chłodno Claudia.
- Oby. I jeszcze jedno. Kiedy będziecie się tym zajmować, twoje kurtyzany mają się dowiedzieć, gdzie jest Caterina Sforza.
Cały czas zachowywał kamienną twarz.
- Możesz na nas liczyć.
- Wzięłaś na siebie odpowiedzialność, Claudio. Za wszystkie pomyłki będziesz odpowiedzialna osobiście.
- Umiem o siebie zadbać, bracie.
- Mam nadzieję – warknął Ezio i obrócił się na pięcie.

21

Przez następne kilka tygodni Ezio był zajęty, gromadząc wszystkie siły Bractwa zebrane w Rzymie i decydując, jak wykorzystać wstępne informacje od La Volpe i z pierwszych meldunków nadesłanych przez Bartolomeo. Nie śmiał mieć nadziei, że szale przechylają się na ich stronę, ale możliwe, że patrzył właśnie na początek końca. Pamiętał jednak stare powiedzenie, że o wiele łatwiej poradzić sobie z młodym lwiatkiem, niż ze starym i doświadczonym lwem. Przeciwno jego ostrożnemu optymizmowi przemawiał fakt, że uścisk Cesare na Romanii się wzmacniał, podczas gdy Francuzi trzymali Mediolan. Nie wycofali też swojego poparcia dla dowódcy sił papieskich. Wiele lat wcześniej kardynał Bazyliki św. Piotra w Okowach, Giuliano della Rovere, wielki wróg papieża, próbował zwrócić Francuzów przeciwko Borgiom i strącić Aleksandra z papieskiego tronu, ale Aleksander go przechytrył. Jak Ezio mógł odnieść sukces tam, gdzie poległ della Rovere? Kardynała przynajmniej nikt nie otruł – był na to zbyt potężny – i pozostawał on asem w rękawie Ezia.

Ezio postanowił też, choć zachował to dla siebie, zachęcić Bractwo do przeniesienia swojej siedziby na stałe do Rzymu. Rzym był ośrodkiem spraw międzynarodowych – i centrum światowego zepsucia. Jakie inne miejsce nadawałoby się lepiej, zwłaszcza skoro Monteriggioni nie wchodziło już w grę? Ezio planował system dystrybucji funduszy Bractwa w oparciu o zakończone z powodzeniem misje pojedynczych asasynów. Brylanty, które zabrał handlarzom niewolników, bardzo się przydały i znacznie wspomogły fundusz kampanii.

Któregoś dnia...

Ale ten dzień był wciąż bardzo odległy. Bractwo nadal nie miało przywódcy, choć za ogólną zgodą i dzięki swoim czynom tymczasowymi wodzami zostali Ezio i Machiavelli. Było to jednak rozwiązanie tymczasowe i oficjalna rada niczego nie ustaliła.

Myśli o Caterinie wciąż nie dawały Eziowi spokoju.

Zostawił Claudię nadzorującą odnawianie Rosa in Fiore, nie wtrącając się i nie przeszkadzając. Niech radzi sobie sama, skoro jest taka pewna siebie. Jeśli poniesie klęskę, przynajmniej nie będzie w tym jego winy. Dom publiczny był jednak istotnym ogniwem jego siatki i Ezio przyznawał się sam przed sobą, że gdyby naprawdę nie wierzył w siostrę, oponowałby znacznie bardziej. Teraz przyszła pora sprawdzić wyniki jej pracy.

Kiedy wrócił do Rosa in Fiore, był w takim samym stopniu zaskoczony, co zadowolony. Przemiana przebiegła równie udanie, jak jego inne dzieła w mieście i w koszarach Bartolomeo, choć Ezio miał dość skromności i trzeźwości umysłu, by nie przypisywać sobie całej zasługi. Ukrył zadowolenie, oglądając przepyszenie urządzone komnaty z kosztownymi gobelinami, szerokimi kanapami, miękkimi, jedwabnymi poduszkami i kubałkami z lodem, w którym chłodziło się białe wino – kosztowny luksus.

Dziewczyny wyglądały jak damy, nie jak ładaczniczki, a sądząc po ich zachowaniu, ktoś najwyraźniej nauczył je eleganckich manier. Co do klienteli, można było powiedzieć, że interes kwitnie, a choć Ezio wcześniej miał wątpliwości co do pozycji społecznej klientów, teraz po prostu mieć ich nie mógł. Rozglądając się po głównym salonie, zobaczył co najmniej tuzin kardynałów i senatorów, a także członków Kamery Apostolskiej i innych wysokich urzędników Kurii.

Wszyscy świetnie się bawili, byli rozluźnieni i – miał nadzieję – niczego nie podejrzewali. Najważniejszym dowodem sukcesu byłaby jednak jakość informacji, które kurtyzany Claudii zdołałyby wydestakować od tej przekupnej, opasłej bandy.

Przelotnie zobaczył siostrę – skromnie ubraną, co zauważył z zadowoleniem

– rozmawiającą nieco zbyt zalotnie (według niego) z Ascaniem Sforzą, byłym wicekanclerzem Kurii, który powrócił niedawno do Rzymu po krótkim okresie niełaski i próbował odzyskać względy papieża.

Kiedy Claudia zobaczyła Ezia, wyraz jej twarzy się zmienił. Przeprosiła kardynała i podeszła do brata z niepewnym uśmiechem.

– Witaj w Rosa in Fiore, bracie – powiedziała.

– W rzeczy samej. – Nie uśmiechnął się.

– Jak widzisz, to najśłynniejszy dom uciech w Rzymie.

– Zepsucie pozostaje zepsuciem, nieważne, jak się je przystroi.

Claudia przygryzła wargę.

– Dobrze się spisaliśmy. I nie zapominaj, jaki jest rzeczywisty cel istnienia tego lokalu.

– Tak – odparł Ezio. – Pieniądze Bractwa, jak się wydaje, zostały dobrze zainwestowane.

– To nie wszystko. Chodź do biura.

Ku swojemu zaskoczeniu Ezio zastał tam Marię, siedzącą nad jakimiś papierami z księgowym. Matka i syn przywitali się z rezerwą.

– Chciałam ci to pokazać – powiedziała Claudia, wyciągając księgę. – Tutaj spisuję wszystkie umiejętności, których nauczyłam moje dziewczyny.

– Twoje dziewczyny?

Ezio nie zdołał ukryć sarkazmu w głosie. Jego siostra czuła się tu jak u siebie.

– Czemu nie? Zobacz.

Claudia wyraźnie się spięła.

Ezio wziął podaną mu księgę.

– Wiele ich nie nauczyłaś.

– Myślisz, że sam potrafiłbyś lepiej? – odparła z sarkazmem.

– *Nessun problema* – rzucił Ezio wyjątkowo nieprzyjemnym tonem.

Wyczuwając kłopoty, Maria zostawiła księgowość i podeszła do nich.

– Ezio – powiedziała – dziewczyny Claudii nie mają łatwo z Borgiami. Nie

ściągają na siebie kłopotów, ale ciężko jest uniknąć podejrzeń. Jest kilka rzeczy, które mógłbyś zrobić, żeby im pomóc...

– Będę o tym pamiętał. Musicie mi je spisać. – Ezio odwrócił się z powrotem do Claudii. – Coś jeszcze?

– Nie. – Przerwała. – Ezio?

– Co?

– Nic.

Ezio odwrócił się do wyjścia, lecz przystanął.

– Znalazłaś Caterinę?

– Pracujemy nad tym – odparła chłodno Claudia.

– Cieszę się, że to słyszę. *Bene*. Przyjdź do mnie na *Isola Tiberina*, kiedy tylko dowiesz się dokładnie, gdzie ją trzymają. – Skinął głową w kierunku odgłosów zabawy dobiegających z salonu. – Mając tę zgraję do dojenia, nie powinno to być znów tak trudne.

Z tymi słowy wyszedł.

Na ulicy pożałował swojego zachowania. Kobiety spisywały się świetnie, ale czy Claudia poradzi sobie dalej?

W duchu wzruszył ramionami. Po raz kolejny dotarło do niego, że prawdziwym powodem jego złości jest niepokój, czy zdoła uchronić przed niebezpieczeństwem najdroższe mu osoby. Potrzebował ich, wiedział o tym, ale zdawał sobie sprawę, że strach o ich bezpieczeństwo czyni go słabym.

22

Z dawna oczekiwane spotkanie Ezia z Machiavellim odbyło się na wyspie na Tybrze niedługo po wizytacji w domu publicznym. Ezio początkowo czuł dystans – nie lubił, kiedy ktokolwiek z Bractwa znika, nie mówiąc, gdzie się wybiera – ale w duchu rozumiał, że w przypadku Machiavellego musi zrobić wyjątek. Bractwo było związkiem otwartych umysłów i wolnych duchów, współdziałających nie z przymusu czy posłuszeństwa, ale przez wzgląd na wspólne interesy i obawy. Ezio nie miał na własność żadnego asasyna, nie miał też żadnego prawa ich kontrolować.

Poważny i zdeterminowany, uścisnął dłoń staremu towarzyszowi – Machiavelli nie zachęcał do serdecznego objęcia.

– Musimy porozmawiać – powiedział.

– Z całą pewnością. – Machiavelli popatrzył na Ezia. – Wnoszę, że wiesz o moim cichym układzie z Pantasileą?

– Tak.

– Dobrze. Ta kobieta ma więcej pojęcia o taktyce w małym palcu, niż jej mąż w całym ciele – choć jest najlepszy w swojej dziedzinie. – Przerwał. – Udało mi się pozyskać od jednego z moich informatorów coś o wielkiej wartości. Mamy teraz nazwiska dziewięciu kluczowych agentów templariuszy, których Cesare zwerbował, by terroryzowali Rzym.

– Powiedz mi tylko, jak mogę ich znaleźć.

Machiavelli zastanowił się.

– Proponuję poszukać oznak zamieszania w każdej z dzielnic miasta. Odwiedź tamtejszych mieszkańców. Może trafisz na takich, którzy będą mogli cię pokierować.

– Uzyskałeś te informacje od urzędnika Borgiów?

– Tak – odparł ostrożnie Machiavelli po krótkiej pauzie. – Skąd wiesz?

Ezio przypomniał sobie spotkanie na targu, którego był świadkiem razem z La Volpe; przyszło mu do głowy, że mogło to być pierwsze nawiązanie kontaktu. Machiavelli musiał go od tamtej pory utrzymywać.

– Zgadłem – odparł Ezio. – *Grazie*.

– Posłuchaj, Claudia, Bartolomeo i La Volpe czekają na ciebie w wewnętrznej sali. – Machiavelli przerwał. – Rzeczywiście zgadywałeś?

– *Virtù*, drogi Niccolò, nic poza tym – powiedział Ezio i poszedł przodem.

– Cnota? – mruknął do siebie Machiavelli, idąc za nim.

Gdy dwaj asasyni weszli do kryjówki, ich towarzysze z Bractwa wstali. Miny mieli poważne.

– *Buona sera* – powiedział Ezio i od razu przeszedł do rzeczy. – Czego się dowiedzieliście?

Pierwszy odezwał się Bartolomeo.

– Ustaliliśmy, że *bastardo* Cesare jest w Zamku św. Anioła, wraz z papieżem.

– A moi szpiedzy – dodał La Volpe – potwierdzili, że Jabłko faktycznie zostało przekazane komuś, kto ma je w sekrecie zbadać. Pracuję nad ustaleniem jego tożsamości.

– Nie możemy zgadnąć?

– Zgadywanie nic nie da. Musimy to wiedzieć na pewno.

– Mam wieści o Caterinie Sforzy – wtrąciła Claudia. – W przyszłym tygodniu zostanie przeniesiona do więzienia w zamku, w czwartek przed zmrokiem.

Serce Ezia mimowolnie zabiło mocniej, ale wszystkie wiadomości były dobre.

– *Bene* – rzekł Machiavelli. – A więc zamek. Rzym szybko wróci do zdrowia, kiedy zabraknie Cesare i Rodriga.

Ezio podniósł rękę.

- Zdziałam dopiero, kiedy pojawi się odpowiednia sposobność.
Machiavelli zirytował się.
- Nie powtórz swojego błędu z krypty. Musisz ich zabić już teraz.
- Popieram Niccolò – wtrącił się Bartolomeo. – Nie powinniśmy czekać.
- Bartolomeo ma rację – powiedział Lis.
- Muszą zapłacić za śmierć Maria – dodała Claudia.
- Nie martwcie się, przyjaciele – uspokoił ich Ezio. – Oni zginą. Macie na to moje słowo.

23

W dzień wyznaczonego przeniesienia Cateriny do Zamku św. Anioła Ezio i Machiavelli wtopili się w tłum zebrany przed elegancką kareta o zasłoniętych oknach, z herbem Borgiów na drzwiach. Otaczający ją gwardziści odpychali ludzi, i nic dziwnego, bo nastrój gawiedzi nie był bynajmniej pełen entuzjazmu. Jeden z woźniców zeskoczył z kozła i pospieszył do drzwi; opuścił schodki i stanął w pogotowiu, gotowy pomóc wsiąść pasażerom.

Po chwili pojawiła się pierwsza postać, w granatowej sukni z białym stanikiem. Ezio natychmiast rozpoznał piękną blondynkę o okrutnych ustach. Ostatni raz widział ją podczas plądrowania Monteriggioni, ale tej twarzy miał nie zapomnieć już nigdy. Lukrecja Borgia. Zeszła na ziemię, pełna godności, ale dystygowana poza szybko zniknęła; kobieta sięgnęła z powrotem do powozu, chwyciła coś – lub kogoś – i mocno pociągnęła.

Wywlokła Caterinę Sforzę za włosy i cisnęła ją na ziemię przed siebie. Zmaltretowana i skuta łańcuchami, w prostej, brązowej sukni, pokonana Caterina wciąż górowała duchem i prezencją nad swoją oprawczynią. Machiavelli musiał położyć dłoń na ramieniu Ezia, bo ten odruchowo ruszył do przodu. Ezio dość miał widoku cierpiących bliskich mu osób, ale tym razem należało zachować powściągliwość. Próba ratunku byłaby w tej chwili skazana na porażkę.

Lukrecja, wsparta stopą o rozciągniętą na ziemi ofiarę, zaczęła przemawiać.
– *Salve, cittadini de Roma.* Witajcie, obywatele Rzymu. Przed wami niezwykły widok. Caterina Sforza, dziwka z Forlí! Zbyt długo się nam sprzeciwiała. Teraz została w końcu rzucona na kolana.

Tłum nie zareagował. W ciszy Caterina uniosła głowę.

– Ha! – zawołała. – Nikt nie upada tak nisko, jak Lukrecja Borgia! Powiedz, kto cię do tego namówił? Twój brat? Twój ojciec? Może obaj po trochu? A może jednocześnie, co? Wszyscy tarzacie się w końcu razem w jednym i tym samym chlewie.

– *Chiudi la bocca!* Stul pysk! – wrzasnęła Lukrecja i kopnęła ją. – Nikt nie będzie źle mówił o Borgiach.

Schyliła się, poderwała Caterinę na kolana i uderzyła ją tak mocno w twarz, że kobieta znów runęła w błoto. Dumnie uniosła głowę.

– To samo spotka każdego – każdego! – kto ośmieli się nam sprzeciwić.

Dała znak gwardzistom, którzy chwycili bezbronną Caterinę, podnieśli ją na nogi i powlekli w stronę bramy zamku.

– Dobrzy ludzie Rzymu, bądźcie silni – zdołała jeszcze krzyknąć Caterina. – Wasz czas nadejdzie! Będziecie wolni od tego jarzma, przyrzekam!

Kiedy zniknęła, a Lukrecja wsiadła z powrotem do powozu, Machiavelli odwrócił się od Ezia.

– Cóż, *contessa* nie straciła nic ze swego ducha.

Ezio czuł się wyczerpany.

– Będą ją torturować.

– To bardzo niedobrze, że Forlì padło. Ale odzyskamy je. Odzyskamy także Caterinę. Musisz się jednak skupić. Teraz twoim celem jest Cesare i Rodrigo.

– Caterina jest potężnym sojusznikiem, właściwie jedną z nas. Jeśli pomożemy jej teraz, kiedy jest słaba, ona też nam pomoże.

– Być może. Ale najpierw zabij Cesare i Rodriga.

Tłum zaczynał się rozchodzić i, nie licząc wartowników przy bramie, wszyscy żołnierze Borgiów wrócili do zamku. Wkrótce przed bramą zostali tylko Machiavelli i Ezio, ukryci w półmroku.

– Teraz mnie zostaw, Niccolò – powiedział Ezio, kiedy cienie się wydłużyły. – Mam zadanie do wykonania.

Spojrzał w górę, na gładkie mury starożytnej, okrągłej budowli –

Mauzoleum Hadriana – zbudowane ponad tysiąc lat wcześniej, a teraz będące niezdobytą fortecą. Połączone z Bazyliką św. Piotra umocnionym, kamiennym korytarzem, mauzoleum było od blisko dwustu lat papieską twierdzą.

Ezio przyjrzał się murom. Nie ma twierdzy nie do zdobycia. W świetle pochodni migoczących w swoich uchwytach, w zapadającym zmroku, jego oczy zaczęły wypatrywać nieznaczących występów, szczelin i niedoskonałości, które – jakkolwiek małe – pozwoliłyby mu się wspiąć. Kiedy zaplanował trasę, jak kot skoczył w górę do pierwszych uchwytów. Wpił w nie palce rąk i stóp, uspokoił oddech, a potem powoli, bez pośpiechu zaczął się piąć po murze, trzymając się z dala od świateł pochodni.

W połowie drogi napotkał otwór – nieoszlone okno w kamiennej framudze, pod którym po wewnętrznej stronie muru biegła galeria dla wartowników. Ezio rozejrzał się w obie strony – chodnik był pusty. Bezgłośnie ześlizgnął się na niego i spojrzał w dół, nad poręczą, na – jak szybko się przekonał – dziedziniec stajni. Ujrzał czterech znajomych mężczyzn. Cesare prowadził jakąś naradę z trzema swoimi najbliższymi porucznikami: francuskim generałem – Octavienem de Valoisem, bliskim współpracownikiem – Juanem Borgia Lanzol Romanim i smukłym mężczyzną w czerni o okrutnej, poznaczonej bliznami twarzy – Michelettem Corellą, swoją prawą ręką i najbardziej zaufanym zabójcą.

– Zapomnijcie o papieżu – mówił Cesare – odpowiadacie tylko przede mną. Rzym jest filarem, na którym wspiera się cały nasz plan. Nie może się zachwiać. A to oznacza, że wy też nie możecie.

– Co z Watykanem? – spytał Octavien.

– Co? Z tym klubem zmęczonych starców? – odparł Cesare z pogardą. – Póki co idźcie na rękę kardynałom, ale niedługo przestaną nam być potrzebni.

Z tymi słowy zniknął za drzwiami prowadzącymi do wnętrza budynku, zostawiając pozostałych trzech samych.

– Cóż, wygląda na to, że zostawił nam kontrolę nad Rzymem – powiedział po chwili Juan.

– A więc miasto będzie w dobrych rękach – stwierdził spokojnie Micheletto.

Ezio przysłuchiwał się jeszcze przez chwilę, ale nie powiedzieli już nic, czego by nie wiedział, więc ruszył dalej po zewnętrznym murze, chcąc odszukać Cesare. Zobaczył światło padające z innego okna, tym razem przeszklonego, ale otwartego na nocne powietrze i wyposażonego w zewnętrzny parapet, na którym mógłby się częściowo wesprzeć. Zrobił to i ostrożnie zajrzał do środka, na oświetlony świecami korytarz o prostych, drewnianych ścianach. Zobaczył tam Lukrecję, która siedziała na obitej miętko ławie i pisała coś w notesie, ale co chwila unosiła wzrok, jakby na kogoś czekała.

Kilka chwil później przez drzwi na drugim końcu korytarza wszedł Cesare i pospiesznie podszedł do siostry.

– Lukrecjo. – Pocałował ją.

Nie był to braterski pocałunek.

Kiedy się przywitali, zdjął jej ramiona ze swojej szyi i patrząc jej w oczy, powiedział:

– Mam nadzieję, że naszego gościa traktujesz uprzejmie.

Lukrecja skrzywiła się.

– Ta jej niewyparzona gęba... Z chęcią bym ją zaszyła.

Cesare uśmiechnął się.

– Osobiście wolę, kiedy jest otwarta.

– Och, doprawdy?

Zignorował jej wyniosłość.

– Rozmawiałaś z ojcem o sumach, których zażądał mój bankier?

– Papież jest teraz w Watykanie, ale kiedy wróci, być może trzeba będzie go przekonać. Tak samo jak jego własnego bankiera. Wiesz, jak ostrożny jest Agostino Chigi.

Cesare zaśmiał się krótko.

– Cóż, z pewnością nie wzbogacił się, działając pochopnie. – Przerwał. – Ale to nie problem, prawda?

Lukrecja znów objęła brata za szyję, ocierając się o niego.

– Nie, ale... bez ciebie czuję się tu czasem bardzo samotna. Tak mało spędzamy ostatnio czasu razem, ciągle jesteś zajęty swoimi innymi podbojami.

Cesare przyciągnął ją do siebie.

– Nie przejmuj się, kotku. Niedługo, kiedy zdobędę już tron Italii, zostaniesz moją królową, a twoja samotność odejdzie w zapomnienie.

Lukrecja cofnęła się i spojrzała mu w oczy.

– Nie mogę się doczekać.

Cesare przeczesał dłonią jej piękne, złote włosy.

– Bądź grzeczna, kiedy mnie nie będzie.

Potem, po jeszcze jednym długim pocałunku, zostawił swoją siostrę i wyszedł, a Lukrecja, niepokieszona, udała się w przeciwną stronę.

Dokąd Cesare się wybierał? Wyjeżdżał... natychmiast? Sądząc po pożegnaniu, na to wyglądało. Ezio szybko przesunął się wzdłuż muru, aż znalazł się nad główną bramą zamku.

W samą porę. Na jego oczach brama otworzyła się, przy wtórze krzyków gwardzistów.

– Baczość! Kapitan generalny wyjeżdża do Urbino!

Chwilę później na czarnym koniu wyjechał Cesare w towarzystwie niewielkiej świty.

– *Buona fortuna, padrone Cesare!* – zawołał jeden z oficerów Straży.

Ezio patrzył, jak jego arcywróg odjeżdża w noc.

To była przelotna wizyta – pomyślał. – I nie było szansy go zabić. Niccolò będzie bardzo zawiedziony.

24

Ezio skupił się z powrotem na bieżącym zadaniu: odnalezieniu Cateriny. Wysoko na zachodnim murze zamku zauważył głęboko osadzone, małe okienko, z którego bił słaby blask. Wspiął się do niego i zobaczył, że nie było tam parapetu, na którym mógłby się wesprzeć. Nad oknem biegł za to dość wąski gzyms, którego dałoby się pewnie chwycić jedną ręką.

Zajrzał do środka. Pomieszczenie było puste, choć na jednej ścianie płonęła pochodnia. Wyglądało na wartownię, więc Ezio miał nadzieję, że jest na dobrym tropie.

Nieco dalej na tym samym poziomie znajdowało się następne, podobne okno. Ezio przepęłzył do niego i zajrzał przez kraty, choć nie rozumiał, po co je założono; nikt dość szczupły, by się tędy wydostać, nie byłby w stanie zejść dobre sto pięćdziesiąt stóp w dół, a potem przebyć odcinek wiodący otwartą przestrzenią do rzeki, bo dopiero tam można było poczuć się bezpiecznie. Mimo słabego oświetlenia, natychmiast dostrzegł, że to cela.

Gwałtownie wstrzymał oddech. Oto Caterina, wciąż zakuta w łańcuchy, siedziała na twardej ławie pod ścianą. Ezio nie widział, czy była do niej przykuta. Miała spuszczoną głowę i nie mógł zobaczyć, czy śpi.

Wtem wyprostowała się, słysząc głośnie łomotanie do drzwi.

– Otwierać! – rozbrzmiał krzyk Lukrecji.

Jeden z dwóch wartowników pod drzwiami, do tej pory drzemiących, pospieszył wykonać polecenie.

– Tak jest, *altezza*. Natychmiast, *altezza*.

Kiedy tylko Lukrecja weszła do celi, w towarzystwie jednego ze strażników, przeszła od razu do rzeczy. Z rozmowy, którą podsłuchał, Ezio

mógł się domyślać powodu jej wściekłości: zazdrość. Lukrecja uważała, że Caterina i Cesare zostali kochankami. Nie mógł w to uwierzyć. Myśl, że Caterina została zbezczeszczona przez takiego zdeprawowanego potwora była czymś, czego jego umysł nie potrafił przyswoić.

Lukrecja przebiegła przez celę i poderwała Caterinę za włosy, przyciągając jej twarz do swojej.

– Ty suko! Jak ci minęła podróż z Forlí do Rzymu? Jechałaś w prywatnym powozie Cesare? Co tam knułaś?

Caterina spojrzała jej w oczy.

– Jesteś żałosna, Lukrecjo. Tym bardziej żałosna, jeśli myślisz, że żyję według tych samych zasad co ty.

Rozwścieczona Borgia pchnęła ją na podłogę.

– O czym on mówił? O swoich planach co do Neapolu? – Przerwała. – Dobrze się... bawiłaś?

Caterina otarła krew z twarzy.

– Naprawdę nie pamiętam.

Jej cicha bezczelność doprowadziła Lukrecję do ślepej furii. Odpychając wartownika, chwyciła żelazną sztabę używaną do zamykania drzwi i spuściła ją ciężko na plecy Cateriny.

– Może to zapamiętasz!

Caterina wrzasnęła z bólu, a Lukrecja odsunęła się, zadowolona.

– Dobrze. Może to cię w końcu nauczy rozumu.

Cisnęła sztabę na podłogę i wymaszerowała z celi. Wartownik wyszedł za nią i zatrzasnął drzwi. Ezio zauważył, że była w nie wprawiona krata.

– Zamknij na klucz i oddaj mi go – rozkazała Lukrecja z zewnątrz.

Rozległ się grzechot i zardzewiałe skrzywienie obracanego klucza, a potem, gdy trafiał do rąk Lukrecji, zabrzączał jego łańcuch.

– Proszę, *altezza*.

Głos wartownika wyraźnie drżał.

– Dobrze. A teraz, jeśli tu wrócę i zastanę was śpiących na posterunku, każę

was wychłostać. Po sto batów. Zrozumiano?

– Tak, *altezza*.

Ezio słuchał, jak kroki Lukrecji cichną w oddali. Uznał, że najlepiej będzie dostać się do celi od góry.

Wspiął się wyżej do następnego okna, które wychodziło na galerię strażniczą. Tym razem byli tam żołnierze, ale tylko dwóch, wspólnie patrolujących chodnik. Ezio obliczył, że pełne okrążenie zajmuje im pięć minut, więc zaczekał, aż go miną, a potem znów wsunął się do środka.

Przykucnięty poszedł za wartownikami, aż dotarł do drzwi w ścianie, za którymi w dół prowadziły kamienne schody. Wiedział, że dostał się do zamku dwa piętra nad celą Cateriny, więc dwa biegi schodowe niżej opuścił klatkę i znalazł się na korytarzu podobnym do tego, na którym odbyło się spotkanie Cesare i Lukrecji, tyle że ten był kamienny, nie drewniany.

Ezio skręcił w kierunku celi; nie napotkał nikogo, ale mijał szereg grubych drzwi, wszystkich z kratą, co sugerowało, że prowadzą do cel. Kiedy tunel zakręcił wraz z zewnętrznym murem twierdzy, Ezio usłyszał przed sobą głosy i rozpoznał piemoncki akcent jednego ze strażników, który rozmawiał wcześniej z Lukrecją.

– To nie miejsce dla mnie – burczał żołnierz. – Słyszałeś, jak do mnie mówiła? W takich chwilach żałuję, że nie zostałem w tym całym pieprzonym Turynie.

Ezio sunął do przodu. Strażnicy odwrócili się do drzwi, kiedy przy kratce pojawiła się Caterina. Zauważyła za nimi Ezia, który cofnął się w cień.

– Och, moje biedne plecy – powiedziała. – Możecie mi dać trochę wody?

Na stole, przy którym siedzieli wartownicy, stał dzban z wodą. Jeden z nich podniósł go i przysunął do kraty.

– Życzysz sobie czegoś jeszcze, księżniczko? – spytał z sarkazmem.

Wartownik z Turynu parsknął śmiechem.

– Daj spokój, miej serce – poprosiła Caterina. – Jeśli otworzysz drzwi, mogę ci pokazać coś wartego zachodu.

Strażnicy natychmiast zeszywnieli i stali się bardziej formalni.

– Nie ma potrzeby, *contessa*. Mamy swoje rozkazy. Proszę.

Wartownik z dzbankiem otworzył kratkę, podał wodę Caterinie i zamknął ją z powrotem.

– Pora na zmianę, prawda? – zapytał strażnik z Piemontu.

– Tak, Luigi i Stefano już powinni tu być.

Obaj popatrzyli po sobie.

– Myślisz, że ta suka Lukrecja prędko tu wróci?

– Raczej nie.

– To może zajrzemy do wartowni i zobaczymy, co ich zatrzymało?

– Dobrze. Zajmie nam to tylko parę minut.

Ezio patrzył, jak znikają za zakrętem korytarza, a potem dopadł kraty.

– Ezio – szepnęła Caterina. – Co ty tu robisz, do diabła?

– Odwiedzam swojego krawca... A jak myślisz?

– Na Chrystusa, Ezio, myślisz, że mamy czas na żarty?

– Wydostanę cię stąd. Dzisiaj.

– Jeśli tak, Cesare osaczy cię jak pies na polowaniu.

– Już próbuje to zrobić, ale sądząc po tych dwóch, jego ludzie są dalecy od fanatyzmu. Czy wartownicy mają drugi klucz?

– Chyba nie. Swoje oddali Lukrecji. Złożyła mi wizytę.

– Wiem. Widziałem.

– To dlaczego jej nie powstrzymałeś?

– Byłem za oknem.

– Tam? Jesteś obłąkany?

– Nie, tylko silny. Jeśli Lukrecja ma jedyny klucz, lepiej po niego pójść.

Wiesz, gdzie ona jest?

Caterina zastanowiła się.

– Słyszałam, jak mówiła, że jej komnaty są na samej górze zamku.

– Doskonale. Klucz już jest mój. Teraz zostań tu, dopóki nie wrócę.

Caterina spojrzała wymownie na Ezia, na swoje łańcuchy i na drzwi celi.

– A gdzie według ciebie miałabym pójść?

25

Ezio przyzwyczał się już do specyfiki zewnętrznego muru Zamku św. Anioła i odkrył, że im wyżej się wspinał, tym łatwiej było mu znaleźć oparcie dla rąk i stóp. Przywierając do ściany jak skałoczep, z powiewającą lekko na wietrze peleryną, wkrótce zrównał się ze szczytowym parapetem i bezgłośnie się na niego wciągnął.

Po drugiej stronie, cztery stopy poniżej, ciągnęła się wąska ceglana galeria, z której w regularnych odstępach schody prowadziły w dół, na dachowy ogród, na środku którego wznosiła się parterowa, kamienna budowla o płaskim dachu. Miała szerokie okna, więc nie była dodatkową fortyfikacją, a ze środka bił blask licznych świec, ukazując urządzone ze smakiem i przepychem wnętrze.

Galeria była pusta, ale ogród już nie. Na ławce pod gałęziami mangrowca szarego siedziała Lukrecja, skromnie trzymając za rękę przystojnego, młodego mężczyznę, w którym Ezio rozpoznał jednego z najsłynniejszych rzymskich aktorów romantycznych, Pietro Benintendiego. Cesare nie byłby zachwycony, gdyby się o tym dowiedział! Ezio prawie jak cień popęzł wzdłuż galerii najbliżej, jak się ośmielił, wdzięczny za księżyc, który już wstał i zapewniał nie tylko światło, ale też mylące oko, kamuflujące kałuże cienia. Zaczął nasłuchiwać.

– Kocham cię tak bardzo, że chciałbym śpiewać o tym pod niebiosa – powiedział z uczuciem Pietro.

Lukrecja go uciszyła.

– Proszę, musisz o tym szeptać jedynie do siebie. Gdyby Cesare się dowiedział, kto wie, co by zrobił.

– Ale jesteś przecież wolna, prawda? Oczywiście słyszałem o twoim zmarłym mężu i jest mi bardzo przykro, ale...

– Milcz, głupcze! – Ciemne oczy Lukrecji zaślniły. – Nie wiesz, że to Cesare kazał zamordować księcia Bisceglie? Mojego męża uduszono.

– Co?...

– To prawda.

– Ale jak do tego doszło?

– Kochałam męża i Cesare zrobił się zazdrosny. Alfonso był przystojnym mężczyzną, a Cesare dobrze wiedział o zmianach, jakie poczyniła Nowa Zaraza na jego twarzy, choć Bóg mi świadkiem, są nieznaczne. Kazał swoim ludziom napaść Alfonsa i pobić go. Myślał, że to posłuży za ostrzeżenie. Ale Alfonso nie był marionetką. Odgryzł się – kiedy dochodził do zdrowia po napaści Cesare, nasłał na niego swoich ludzi. Cesare miał szczęście, że uniknął losu św. Sebastiana! Ale potem ten okrutnik wysłał Micheletta Corellę do jego komnat, gdzie Alfonso leczył rany, a ten go udusił.

– To niemożliwe... – Pietro wyglądał na zaniepokojonego.

– Kochałam mojego męża. Teraz gram przed Cesare, by uśpić jego podejrzania, ale to żmija – zawsze czujna, zawsze jadowita. – Spojrzała Pietro w oczy. – Dzięki Bogu, że mam pocieszenie w tobie. Cesare zawsze był zazdrosny o to, komu poświęcam uwagę, ale to nie powinno nas zniechęcić. Poza tym wyjechał do Urbino, kontynuować swoją kampanię. Nic nam nie przeszkodzi.

– Jesteś pewna?

– Dochowam naszej tajemnicy, jeśli i ty to zrobisz – powiedziała dobitnie Lukrecja. Wysunęła jedną dłoń z jego uścisku i położyła ją na jego udzie.

– Och, Lukrecjo – westchnął Pietro. – Jakże wołają do mnie twe usta.

Pocałowali się, z początku delikatnie, potem z coraz większą pasją. Ezio przesunął się lekko i niechcący strącił oblużowaną cegłę, która spadła do ogrodu. Zamarł.

Lukrecja i Pietro odskoczyli od siebie.

– Co to było? – spytała Borgia. – Nikomu nie wolno wchodzić do mojego ogrodu i moich komnat bez mojej wiedzy – nikomu!

Pietro zerwał się na równe nogi i rozejrzył się w strachu.

– Lepiej już pójde – powiedział pospiesznie. – Muszę się przygotować do próby – przejrzeć rolę na rano. Muszę iść. – Przystanął, by pocałować Lukrecję po raz ostatni. – Bywaj, ukochana.

– Zostań, Pietro, to na pewno nic takiego.

– Nie, już późno. Muszę iść.

Z melancholijnym wyrazem twarzy przemknął przez ogród i zniknął za drzwiami po przeciwnej stronie.

Lukrecja odczekała chwilę, a potem wstała i pstryknęła palcami. Spod osłony wysokich zarośli w pobliżu wyszedł jeden z jej osobistych strażników. Ukłonił się.

– Słyszałem całą rozmowę, *mia signora*, i mogę poświadczyć.

Lukrecja wyduła wargi.

– Dobrze. Opowiedz o tym Cesare. Zobaczymy, jak się poczuje, kiedy się dowie, że jego bucik pasuje też na cudzą stopę.

– Tak, *signora*.

Strażnik ukłonił się ponownie i wycofał.

Zostawszy sama, Lukrecja zerwała margerytkę z klombu kwiatów nieopodal i zaczęła po jednym zrywać jej płatki.

– Kocha, nie kocha. Kocha, nie kocha.

Ezio zszedł bezgłośnie po najbliższych schodach i podkraść się do niej. Znow usiadła i podniosła wzrok na jego widok, ale nie okazała strachu, jedynie lekkie zaskoczenie. Nawet jeśli miała jeszcze jakichś żołnierzy ukrytych w ogrodzie, Ezio szybko by się z nimi rozprawił.

– Kontynuuj proszę. Nie miałem zamiaru ci przerywać – powiedział z ukłonem, choć w jego wykonaniu niepozbawionym ironii.

– Proszę, proszę... Ezio Auditore da Firenze. – Lukrecja podała mu dłoń do ucałowania. – Jak to miło w końcu poznać cię jak należy. Tyle o tobie

słyszałam, zwłaszcza ostatnio. To znaczy nie wyobrażam sobie, by ktokolwiek inny mógł odpowiadać za te niewielkie przykrości, których doświadczaliśmy tu w Rzymie. – Przerwała. – Jaka szkoda, że Cesare już tu nie ma. Świetnie by się ubawił.

– Osobiście nic do ciebie nie mam, Lukrecjo. Uwolnij Caterinę, a odejdę.

Jej głos nabrał twardości:

– Obawiam się, że to niemożliwe.

Ezio rozłożył ręce.

– A więc nie zostawiasz mi wyboru.

Ruszył ku niej, ale ostrożnie. Miała długie paznokcie.

– Straż! – wrzasnęła, w mgnieniu oka przeistaczając się z arystokratki w harpię i tnąc Ezia po oczach.

W ostatniej chwili złapał ją za nadgarstki. Wyciągnął ze skórzanej sakwy kawał sznura i związał jej ręce za plecami, a potem pchnął ją na ziemię i przydepnął mocno jej suknię, żeby nie mogła wstać i uciec. Później dobył miecza i sztyletu i stanął w postawie szermierczej, gotów stawić czoła kilku strażnikom, którzy biegli ku niemu od strony komnat. Na szczęście dla Ezia byli lekko uzbrojeni, potężnie zbudowani i nie mieli na sobie kolczug. Mimo że niezdolny zmienić pozycji – bo ponad wszystko nie mógł pozwolić, by Lukrecja uciekła, choć próbowała ukąsić go przez but w kostkę – uchylił się przed zamaszystym cięciem pierwszego żołnierza i rozrąbał mu odsłonięty bok. Jednego mniej. Drugi był ostrożniejszy, ale widząc na ziemi parszającą Lukrecję, zaatakował. Mierzył w pierś Ezia, ale ten zbił pchnięcie w górę, związał oba miecze jelicami i trzymanym w lewej ręce sztyletem uderzył mężczyznę w głowę. Dwóch mniej. Ostatni żołnierz, mając nadzieję, że obie bronie Ezia są chwilowo unieruchomione, skoczył do przodu. Ezio strzepnął prawą ręką, posyłając miecz drugiego gwardzisty spiralą w stronę napastnika. Ten podniósł własny, żeby się zasłonić, ale za późno – lecące ostrze drasnęło go w biceps. Skrzywił się z bólu, ale znów zaatakował, zamierzając się mieczem na Ezia. Asasyn tymczasem zdążył uwolnić broń i odbił atak

sztyletem, tnąc wściekle atakującego przez pierś. Koniec. Strażnicy leżeli martwi dookoła niego, a Lukrecja po raz pierwszy milczała. Zdyszany Ezio postawił pojmaną na nogi.

– A teraz chodź – powiedział. – I nie krzycz. Jeśli to zrobisz, będę musiał wyciąć ci język.

Powlókł ją w stronę drzwi, przez które wyszedł Pietro, znalazł się na korytarzu i na wpół pchając, na wpół ciągnąc Lukrecję, ruszył w dół wieży, w kierunku cel.

– Teraz ratujesz księżniczki z zamków? Jakie to romantyczne! – Lukrecja splunęła.

– Zamknij się.

– Wydaje ci się pewnie, że dokonujesz wielkich rzeczy, rozbijając się wszędzie, siejąc chaos i zabijając, kogo ci się podoba?

– Powiedziałem, zamknij się.

– Ale czy twój plan ma jakąkolwiek formę? Jak sądzisz, co uda ci się osiągnąć? Nie wiesz, jacy jesteśmy silni?

Ezio zawahał się przy schodach prowadzących w dół, na niższe piętro.

– W którą stronę? – zapytał.

Zaśmiała się i nie odpowiedziała.

Potrząsnął nią.

– W którą stronę?

– W lewo – odparła ponuro.

Przez chwilę milczała, potem znów zaczęła mówić, ale tym razem Ezio jej na to pozwolił. Już wiedział, gdzie jest. Lukrecja wiała się w jego uchwycie, ale on skupiał się na dwóch rzeczach: trzymaniu jej mocno i uważaniu na zasadzkę gwardzistów.

– Wiesz, co się stało z resztkami rodziny Pazzich we Florencji po tym, jak rzuciłeś ich na kolana? Twój drogi przyjaciel, Lorenzo, tak zwany *Magnifico*, odebrał im cały majątek i wtrącił ich do więzienia. Wszystkich! Nawet tych, którzy nie brali udziału w spisku przeciwko niemu.

Myśli Ezia mimowolnie skierowały się ku zemście Cateriny, której ofiarą padli buntownicy w Forlì. Podjęte przez nią środki były znacznie gorsze niż te Lorenza; ten, w porównaniu z nią, okazał się wręcz wspaniałomyślny. Ezio otrząsnął się.

– Kobietom zabroniono wychodzić za mąż i zburzono rodzinne nagrobki – ciągnęła Lukrecja. – Wyrugowano ich z kart historii. Puf! Ot, tak!

Ale nie torturowano ich i nie zabijano – pomyślał Ezio. Cóż, możliwe, że Caterina uważała wtedy swoje czyny za usprawiedliwione. Mimo to jej okrucieństwo kosztowało ją lojalność, którą do tej pory potrafiła wzbudzać i być może dlatego właśnie Cesare zdołał w końcu zdobyć Forlì.

Była jednak wciąż ważnym sprzymierzeńcem i o tym Ezio musiał pamiętać. A także o tym, by stłumić wszelkie uczucia – prawdziwe czy wymaginowane – które mógł do niej żywić.

– Ty i twoi przyjaciele اساسni zignorowaliście konsekwencje swoich czynów. Wystarczyło wam wprawić sprawy w ruch, ale nigdy nie mieliście chęci doprowadzić ich do końca. – Lukrecja przerwała, by złapać oddech i Ezio brutalnie szarpnął ją do przodu, ale to jej nie powstrzymało. – W przeciwieństwie do was, Cesare dokończy to, co rozpoczął, i zaprowadzi w Italii pokój. On zabija w wyższym celu – znów w przeciwieństwie do was.

– Ignoranci i bierni to łatwe cele – odparował Ezio.

– Mów, co chcesz – odparła Lukrecja, uświadamiając sobie, że trafiła w czuły punkt. – Tak czy inaczej, szkoda na ciebie moich słów! *Ipocrita!*

Prawie dotarli już do cel.

– Pamiętaj – powiedział Ezio, dobywając sztyletu – jeśli spróbujesz ostrzec swoich strażników, twój język...

Lukrecja ciężko dyszała, ale zachowywała milczenie. Ezio czujnie sunął do przodu. Dwaj nowi strażnicy siedzieli przy stole i grali w karty. Ezio pchnął Lukrecję na ziemię przed sobą, skoczył na nich i zabił obu, zanim zdążyli zareagować. Potem odwrócił się i popędził za Borgia, która zdołała wstać i pobięła w kierunku, z którego przyszli, wrzeszcząc o pomoc. Dogonił ją

dwoma susami, zakrył jej usta dłonią i przyciągnął ją do siebie drugą ręką, po czym odwrócił i popchnął znów w stronę celi Cateriny. Gryzła i szarpała rękawicę na jego dłoni, potem, widząc, że to nic nie daje, udała, że się poddaje i zwiotczała.

Caterina była już przy kratce, którą Ezio chwilę później otworzył.

– *Salute*, Lukrecjo – powiedziała z nieprzyjemnym uśmiechem. – Jak się za tobą stęskniłam.

– *Vai a farti fottere, troia* – pierprz się, ty kurwo!

– Jak zawsze urocza – stwierdziła Caterina. – Ezio, przysuń ją bliżej, zabiorę jej klucz.

Kiedy Ezio spełnił jej prośbę, sięgnęła przez kratkę. Zauważył, że Caterina popieściła piersi Lukrecji, sięgając między nie i wyjmując klucz, który wisiał na czarnym, jedwabnym sznurku.

Podąła go Eziowi, który szybko otworzył drzwi. Ten sam klucz pasował do kłódki spinającej łańcuchy – Caterina nie była jednak przykuta do ściany – a kiedy się ich pozbyła, Ezio wepchnął Lukrecję do celi.

– Straż! Straż! – wrzasnęła.

– Och, zamknij się – warknęła Caterina, chwyciła brudną szmatę ze stołu wartowników i zakneblowała swoją prześladowczynię. Potem Ezio wyjął jeszcze jeden kawałek sznura i związał Lukrecji nogi w kostkach, po czym zatrasnął drzwi i zamknął je na klucz.

On i Caterina popatrzyli po sobie.

– Mój bohaterze – powiedziała sucho księżna.

Ezio ją zignorował.

– Możesz chodzić?

Caterina spróbowała, ale zachwiała się.

– Chyba nie – te kajdany, w które mnie zakuli, musiały mi coś uszkodzić.

Ezio westchnął i wziął ją na rękę. Gdyby wpadli na strażę, musiałyby ją rzucić jak worek.

– W którą stronę? – spytała.

– Najpierw do stajni, a potem najszybszą drogą jak najdalej stąd.

– Dlaczego mnie ratujesz, Ezio? Poważnie. Skoro Forlí jest zajęte, jestem dla was bezużyteczna.

– Wciąż masz rodzinę.

– To nie twoja rodzina.

Ezio szedł przed siebie. Pamiętał, gdzie powinny być stajnie w stosunku do miejsca, w którym byli. Na szczęście Caterina była jedynym więźniem w tej części zamku, więc nie napotykali żadnych innych strażników. Mimo to stąpał cicho i poruszał się szybko, choć nie na tyle szybko, by przez nieuwagę wpaść w ewentualną zasadzkę. Co jakiś czas przystawał i nasłuchiwał. Caterina była lekka i, mimo więzienia, jej włosy wciąż pachniały wanilią i różami, przypominając Eziowi o szczęśliwszych chwilach, które spędzili razem.

– Posłuchaj, Ezio, tamtej nocy w Monteriggioni, kiedy my... kąpaliśmy się razem... musiałam zapewnić sobie twoje poparcie. Żeby bronić Forlí. Leżało to w interesie Bractwa Asasynów tak samo jak w moim, ale... – Przerwała. – Rozumiesz, Ezio?

– Jeśli chciałaś mojego poparcia, wystarczyło tylko o nie poprosić.

– Musiałam cię mieć po swojej stronie.

– Moja lojalność i mój miecz u twego boku nie wystarczyły. Musiałaś mieć pewność, że masz też moje serce. – Ezio szedł dalej, poprawił tylko jej ciężar w ramionach. – *Ale è la politica*. Oczywiście, wiedziałem o tym. Nie musisz wyjaśniać.

Miał wrażenie, że jego serce spadło w głąb bezdennego, kopalnianego szybu. Jakim cudem jej włosy wciąż tak pachniały?

– Caterino – zapytał z suchością w gardle. – Czy oni?... Czy Cesare?...

Wyczuła, co leżało mu na sercu, i uśmiechnęła się – choć, jak zauważył, samymi ustami, bez oczu.

– Nic się nie stało. Moje nazwisko wciąż musiało mieć jakąś niewielką wartość. Pozostawiono mnie... niezbezczeszczoną.

Dotarli do głównego wejścia do stajni. Było niestrzeżone, ale solidnie zamknięte. Ezio postawił Caterinę na ziemi.

– Spróbuj się przejść. Musisz odzyskać siłę w nogach.

Rozejrzał się za jakimś sposobem otwarcia drzwi, które nie miały zasuw ani klamek. Musiała być jakaś droga...

– Spróbuj tego – powiedziała Caterina. – Czy to nie jest jakaś dźwignia?

– Zaczekaj tutaj...

– Jakbym miała jakiś wybór.

Ezio podszedł do dźwigni, po drodze zauważając kwadratowy otwór w podłodze, a nad nim otwartą klapę. Sądząc po zapachu z dołu, musiał to być jakiś magazyn zboża. Kiedy spojrział w dół, zobaczył dużą ilość worków i skrzyń – skrzyń wypełnionych czymś, co wyglądało na proch strzelniczy.

– Pospiesz się – powiedziała Caterina.

Ezio chwycił dźwignię w obie dłonie i pociągnął. Z początku stawiała opór, ale poddała się jego mięśniom, najpierw tylko trochę, by potem przesunąć się z łatwością. Jednocześnie otworzyły się drzwi.

W stajni zastali dwóch żołnierzy, którzy odwrócili się, słysząc skrzypienie wrót na zawiasach, i ruszyli w ich stronę, dobywając mieczy.

– Ezio! *Aiuto!*

Ezio pospieszył do Cateriny, chwycił ją na ręce i pobiegł do otworu w podłodze.

– Co ty robisz?

Wysunął ją nad otwór.

– Ani się waż!

Upuścił Caterinę, nie zdoławszy powstrzymać parsknięcia śmiechem, kiedy usłyszał jej spanikowany krzyk. Spadek nie trwał długo i zanim odwrócił się do żołnierzy, zdążył zobaczyć, że wylądowała na miękkich workach. Walka była krótka i ostra; gwardziści byli zmęczeni i zaskoczeni. Umiejętności szermiercze Ezia wystarczyły aż nadto na każdego z nich. Jednemu udało się go drasnąć, ale rozciął tylko materiał jego dubletu i nie sięgnął ciała. Ezia

zaczynało dopadać zmęczenie.

Kiedy było po wszystkim, sięgnął w dół i wyciągnął Caterinę.

– *Figlio di puttana* – zaklęła, otrzepując się. – Nigdy więcej mi tego nie rób. Zauważył, że przynajmniej chodziła już trochę lepiej.

Ezio szybko wybrał dla nich konie; wkrótce były osiodłane i gotowe. Pomógł wsiąść na jednego Caterinie, a sam wskoczył na drugiego. W bok ze stajni prowadziła łukowata brama, za nią widać było główną bramę zamku. Była strzeżona, lecz otwarta. Nadchodził świt i bez wątplenia czekano na kupców z miasta, przywożących zaopatrzenie.

– Jedź, jakby cię gonił sam diabeł – ostrzegł Caterinę Ezio – zanim się zorientują, co się dzieje, pędź przez most, a potem na wyspę na Tybrze. Tam będziesz bezpieczna. Znajdź Machiavellego. Będzie na mnie czekał.

– Ale musimy uciec stąd oboje.

– Pojadę za tobą. Ale póki co muszę tu zostać, zająć się pozostałymi żołnierzami, odwrócić ich uwagę, spowolnić...

Caterina ściągnęła wodze konia, który stanął dęba.

– Wróć w jednym kawałku – powiedziała – bo nigdy ci nie wybaczę!

Ezio miał nadzieję, że mówiła to poważnie. Kopnięciem pięt popędziła wierzchowca do galopu. W pędzie minęła wartowników przy bramie, rozpędzając ich. Kiedy tylko zobaczył, że się wydostała, przejechał konno przez stajnię z powrotem do magazynu ziarna i prochu, po drodze wyciągając z uchwytu pochodnię. Cisnął ją w otwór, a potem zawrócił i pogalopował z powrotem, dobywając miecza.

Wartownicy utworzyli kordon i czekali na niego z nastawionymi halabardami. Ezio nie znał swojego konia, ale wiedział, co musiał zrobić: pognął prosto na szereg żołnierzy, a potem w ostatniej chwili mocno ściągnął wodze i pochylając się do przodu w siodle, ścisnął boki wierzchowca piętami. Kiedy ten skoczył, przy stajni rozległa się potężna eksplozja. Ezio miał rację: to był proch. Ziemia zatrzęsała się od wybuchu, a gwardziści odruchowo się skulili. Koń, również przestraszony hukem, tym bardziej

chciał uciec. Wybił się w powietrze, przelatując nad szeregiem żołnierzy z taką łatwością, jakby przeskakiwał płot.

Zostawiając za sobą panikę i chaos, Ezio pojechał w kierunku wschodzącego słońca. Serce rosło w nim z dumy. Uratował Caterinę!

26

Kiedy tylko upewnił się, że zgubił ewentualny pościg, Ezio zawrócił konia. Żał mu było pozbywać się tak dobrego wierzchowca, ale zabrał go do stajni, w której on i Machiavelli wynajmowali konie – teraz wydawało się, że całe wieki temu – i przekazał głównemu stajennemu. Stajnie były czyste, schludne i najwyraźniej świetnie prosperowały w dzielnicy, która zrzuciła jarzmo Borgiów i przynajmniej chwilowo zachowywała niezależność. Potem Ezio pieszo wrócił na wyspę na Tybrze. Sekretny prom asasynów czekał na brzegu, a znalazłszy się na wyspie, Ezio pospieszył do kryjówki.

Po wejściu do środka zobaczył, że Caterina dotarła tu bezpiecznie. Leżała na prowizorycznym łóżku blisko drzwi, oglądana teraz przez lekarza. Uśmiechnęła się na widok Ezia i spróbowała wstać, ale medyk łagodnie ją powstrzymał.

– Ezio! Tak mi ulżyło na twój widok.

Chwycił jej dłoń i ścisnął ją.

– Gdzie Machiavelli?

Caterina nie odwzajemniła jego uścisku, ale może była wciąż zbyt słaba.

– Nie wiem.

Z cienia na drugim końcu pomieszczenia wyłonił się La Volpe.

– Ezio! Dobrze cię znów widzieć! – Uściskał młodszego mężczyznę. – Przyprowadziłem tu twoją *contessę*. Co do Machiavellego...

W tym właśnie momencie główne drzwi otworzyły się i do środka wszedł sam Machiavelli. Wyglądał na zaszępionego.

– Gdzie byłeś? – spytał La Volpe.

– Szukałem Ezia – chociaż chyba nie muszę się przed tobą tłumaczyć –

odparł Machiavelli. Ezia zasmuciła ta nuta napięcia, wciąż istniejącego między przyjaciółmi. Machiavelli odwrócił się do niego. – Co z Cesare i Rodrigem? – spytał bezceremonialnie.

– Cesare prawie natychmiast wyjechał do Urbino. Co do Rodriga, ten był w Watykanie.

– To dziwne – powiedział Machiavelli. – Rodrigo powinien być w zamku.

– Faktycznie, bardzo dziwne – zawtórował Lis z kamienną twarzą.

Jeśli Machiavelli usłyszał przytyk, nie okazał tego.

– Co za zmarnowana okazja – zadumał się, potem otrząsnął i odwrócił do Cateriny. – Bez urazy, *contessa*. Cieszymy się, widząc cię bezpieczną.

– Nie uraziłeś mnie.

– Skoro Cesare wyjechał do Urbino, musimy się skupić na rozbudowie naszych sił tutaj.

Machiavelli uniósł brwi.

– Ale myślałem, że zamierzamy uderzyć! Powinniśmy pojechać za nim i zabić go na miejscu!

– To by było niemożliwe – powiedziała Caterina. – Widziałam jego armię. Jest ogromna. Nigdy byście go nie dopadli.

– Jestem za tym, żeby działać tu, w Rzymie – oznajmił Ezio. – Tutaj mamy już zbudowany przyczółek. Powinniśmy dalej eliminować wpływy Borgiów i rozszerzać nasze. Właściwie chciałbym zacząć bez zwłoki.

– Mówisz, jakbyś już był naszym przywódcą – powiedział Machiavelli – ale kandydatury na to stanowisko nie zostały jeszcze przedyskutowane, ani tym bardziej zatwierdzone przez naszą radę.

– A ja mówię, że potrzebny nam przywódca, i to już teraz – odparował Lis.

– Nie mamy czasu na narady i zatwierdzania. Musimy na powrót skonsolidować Bractwo i moim zdaniem Ezio nadaje się do tego idealnie. Machiavelli, proszę cię – ty i ja jesteśmy dwoma najstarszymi rangą asasynami, jacy pozostali. Bartolomeo musi się zgodzić. Podejmijmy tę decyzję już teraz – zachowamy ją w tajemnicy, jeśli chcesz – a później

poddamy pod formalne głosowanie.

Machiavelli przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby chciał coś powiedzieć, ale rozmyślił się i wzruszył tylko ramionami.

– Nie zawiodę was – powiedział Ezio. – Gilberto, chciałbym, żebyś sprowadził tu Bartolomea i Claudię. Musimy omówić dużo spraw. Niccolò, chodź proszę ze mną.

Wychodząc, przystanął przy łóżku Cateriny.

– Dobrze się nią zajmij – powiedział do doktora.

– Dokąd idziemy? – spytał Machiavelli, kiedy znaleźli się z powrotem w centrum miasta.

– Chciałbym ci coś pokazać.

Ezio poprowadził go na najbliższy plac targowy. Na jednej jego połowie prowadzono interesy – był tam piekarz, rzeźnik odpędzał muchy od swoich towarów, a sprzedawca warzyw zachwalał raczej nieświeżo wyglądające produkty. Jednak o tej porze najwięcej ludzi kręciło się przy straganach z winem. Tak jak Ezio się spodziewał, mała grupka żołnierzy Borgiów dręczyła bezradnego właściciela kramu z wyrobami skórzanymi.

– Patrz – powiedział Ezio, kiedy wmieszali się w niewielką grupę kupujących.

– Wiem, co się dzieje – odparł Machiavelli.

– Wiem, że wiesz, Niccolò. Wybacz, ale widzisz wszystko w szerszej perspektywie. Rozumiesz, co trzeba zrobić z politycznego punktu widzenia, by pokonać Borgiów, a ja nie wątpię w twoją szczerą w tym zamiarze. – Ezio przerwał. – Ale musimy zacząć działać na bardziej podstawowym poziomie. Borgiowie biorą od ludzi, co chcą, całkowicie bezkarnie, żeby utrzymać swoją władzę.

Patrzyli, jak żołnierze popychają mężczyznę na ziemię, a potem ze śmiechem biorą z jego kramu, co im się tylko podoba, i idą dalej. Sprzedawca podniósł się, popatrzył za nimi z bezsilną wściekłością i bliski łez zaczął z powrotem układać towary. Podeszła do niego jakaś kobieta, żeby

go pocieszyć, ale ją ofuknął. Mimo to została w pobliżu, z troską i zmartwieniem w oczach.

– Dlaczego mu nie pomogłeś? – spytał Machiavelli. – Dlaczego ich nie pogoniłeś?

– Posłuchaj – odparł Ezio. – Pomóc jednemu człowiekowi jest rzeczą dobrą, ale to nie rozwiąże problemu. Oni wrócą, kiedy nas tu nie będzie, i znów to zrobią. Popatrz na jakość sprzedawanych tu towarów. Warzywa są stare, mięso obsiadły muchy, a chleb bez wątpienia sčerstwiał. Wszystko, co najlepsze, zabierają Borgiowie. Jak myślisz, dlaczego tylu ludzi pije?

– Nie wiem – przyznał się Machiavelli.

– Bo cierpią – oznajmił Ezio. – Nie mają nadziei i żyją w ucisku. Chcą o tym wszystkim zapomnieć. Ale my możemy to zmienić.

– Jak?

– Werbując ich dla naszej sprawy. – Ezio rozłożył ramiona. – Ci ludzie – to oni stworzą rdzeń naszego ruchu oporu przeciw Borgiom.

– Już o tym rozmawialiśmy – powiedział ostro Machiavelli. – Chyba żartujesz.

– Zacznę od tego kramarza. Żeby wygrać tę wojnę, Niccolò, potrzebujemy lojalnych żołnierzy, nieważne, jakimi środkami będą dla nas walczyć. Musimy zasiać w ich umysłach ziarno rebelii. – Przerwał. – Werbując tych, z których ta opresyjna władza zrobiła sobie wrogów, uzbrajamy ludzi rozbrojonych przez Borgiów.

Machiavelli długo i intensywnie przyglądał się przyjacielowi.

– A więc idź – rzekł. – Idź zwerbować naszych pierwszych kandydatów.

– Taki mam zamiar – odparł Ezio. – A ty zobaczysz, że ze zdeterminowanych mężczyzn i kobiet, których zbiorę wokół nas, wykuję miecz zdolny odrąbać kończyny i głowę od korpusu Borgiów – i samych templariuszy.

27

Ezio wrócił do siedziby asasynów na wyspie sam. Miał za sobą dzień ciężkiej, owocnej pracy – dyskretnie przeciągnął licznych zniechęconych obywateli na swoją stronę.

Nie licząc lojalnych służących, którzy opiekowali się kryjówką i jej strzegli, była teraz pusta, a Ezio cieszył się na myśl o chwili odpoczynku, by móc pomyśleć i ułożyć plan; kiedy jednak się do niej zbliżył, odkrył, że ma gościa. Takiego, który chciał mieć całkowitą pewność, że jego obecność pozostanie niezauważona i który nim się ujawnił, zczekał, aż służba zajmie się swoimi sprawami gdzie indziej.

– Psst! Ezio! Tutaj!

– Kto tam?

Ezio natychmiast nabrał czujności, choć wydawało mu się, że rozpoznaje ten głos. Dobiegał z wysokich zarośli, rosnących po obu stronach drogi prowadzącej do siedziby asasynów, nieznanego nikomu spoza organizacji. Jeśli jakimś cudem ich sekret został ujawniony...

– Chodź tu!

– Kto tam?

– To ja!

Leonardo da Vinci, wymuskany i rozkojarzony jak zawsze, wyszedł ze swojej kryjówki na ścieżkę.

– Leo! Mój Boże!

Ezio, pamiętając, kim jest nowy pan Leonarda, powstrzymał swój pierwszy odruch, którym było podbiec i uściskać przyjaciela.

Jego reakcja nie uszła uwagi da Vinciego, który wyglądał nieco starzej, to

na pewno, ale nie stracił ani trochę ze swojego żywiołowego zapału. Zrobił krok do przodu, ale głowę miał spuszczoną.

– Nie dziwi mnie, że nie okazujesz zbyt wiele entuzjazmu na mój widok.

– Cóż, Leo, muszę przyznać, że mnie rozczarowałeś.

Leonardo rozłożył ręce.

– Wiedziałem, że to ty stoisz za włamaniami do zamku. To mogłeś być tylko ty. Stąd wiedziałem, że żyjesz.

– Twoi nowi panowie nie powiedzieliby ci tego?

– Oni nic mi nie mówią. Jestem dla nich zaledwie niewolnikiem. – W oczach Leonarda coś prawie niedostrzegalnie błysnęło. – Ale muszą mi ufać.

– Dopóki im pomagasz.

– Wydaje mi się, że jestem dość inteligentny, by wyprzedzać ich o krok. – Leonardo zbliżył się w stronę Ezia, na wpół wyciągając ręce. – Dobrze cię znów widzieć, przyjacielu.

– Zaprojektowałeś dla nich broń – nowe rusznice, z którymi trudno się nam mierzyć.

– Wiem, ale jeśli pozwolisz mi wyjaśnić...

– I jak tu trafiłeś?

– Mogę wytłumaczyć...

Leonardo miał tak skruszoną, tak nieszczęśliwą minę, i wydawał się przy tym tak szczery, że serce Ezia stopniało i mimowolnie poczuł przypływ sympatii do starego przyjaciela. Pomyślał też, że mimo wszystko Leonardo do niego przyszedł, bez wątpienia narażając się na wielkie niebezpieczeństwo, i że jeśli szukał zbliżenia, Ezio okazałby się kiepskim przywódcą, odrzucając przyjaźń i pomoc takiego człowieka.

– Chodź tu! – zawołał, szeroko rozkładając ramiona.

– Och, Ezio!

Leonardo podbiegł do niego i serdecznie się uściskali.

Ezio zaprowadził przyjaciela do kryjówki asasynów, gdzie razem usiedli.

Wiedział, że Caterinę przeniesiono do jednej z wewnętrznych komnat, w której mogła wracać do zdrowia w ciszy i spokoju, a lekarz zabronił ją nachodzić. Kusiło go, by złamać ten zakaz, ale na rozmowę z nią mógł mieć pod dostatkiem czasu później. Poza tym zjawienie się Leonarda wymagało zmiany priorytetów.

Ezio kazał przynieść wino i ciasto.

– Opowiadaj o wszystkim – powiedział.

– Już tłumaczę. Po pierwsze musisz mi wybaczyć. Borgiowie przejęli moje usługi, ale zrobili to siłą. Gdybym odmówił, skazaliby mnie na długą i bolesną śmierć. Opisali w szczegółach, co by mnie czekało, gdybym im nie pomógł. Do tej pory nie mogę o tym myśleć bez drżenia.

– Teraz jesteś zupełnie bezpieczny.

Leonardo potrząsnął głową.

– Nie! Muszę do nich wrócić. O wiele bardziej ci się przydam, jeśli będą myśleli, że wciąż dla nich pracuję. Dołożyłem wszelkich starań, by stworzyć dla nich tylko tyle nowych wynalazków, by byli zadowoleni, ani jednego więcej.

Ezio chciał mu przerwać, ale Leonardo nerwowo podniósł rękę.

– Proszę, to prawie jak spowiedź i chciałbym ją dokończyć. Potem będziesz mógł mnie osądzić wedle woli.

– Nikt cię nie osądza, Leonardo.

Leonardo przejął się jeszcze bardziej. Nie zwracając uwagi na przekąski, nachylił się.

– Mówiłem, że pracuję dla nich pod przymusem – powiedział – ale to coś więcej. Wiesz, że nie mieszam się do polityki – lubię mieć czyste ręce – ale ludzie, którzy pożądamy władzy, szukają mnie, bo wiedzą, co mogę dla nich zrobić.

– Wiem o tym.

– Idę im na rękę, by pozostać przy życiu. A dlaczego chcę pozostać przy życiu? Bo mam tyle do zrobienia! – Leonardo wziął głęboki oddech. – Nie

umiem ci nawet wytłumaczyć, Ezio, jak kipi mój biedny mózg! – Wykonał gest na wprost rozpaczający, na wprost wskazujący wszystko dookoła. – Jest tyle rzeczy do odkrycia!

Ezio milczał. To także wiedział.

– A więc – zakończył Leonardo – teraz już wiesz.

– Dlaczego tu przyszedłeś?

– Żeby ci wszystko wynagrodzić. Musiałem cię upewnić, że nie stoję po ich stronie.

– Czego od ciebie chcę?

– Wszystkiego, co mogą dostać. Przede wszystkim machin wojennych. Wiedzę, do czego jestem zdolny.

Leonardo wyjął plik papierów, które podał Eziowi.

– To niektóre z projektów, jakie dla nich zrobiłem. Patrz, tu jest opancerzony pojazd, zdolny – o ile dobrze się go zbuduje – poruszać się w każdym terenie, a ludzie ukryci w środku mogą strzelać z rusznic, wielkich rusznic, pozostając osłoniętymi przed wszelkimi atakami. Nazwałem go czołgiem.

Ezio, przeglądając rysunki, zbladł.

– I jest... w budowie?

Leonardo zrobił chytrą minę.

– Powiedziałem: „o ile dobrze się go zbuduje”. Niestety, według tego projektu mógłby jedynie kręcić się wokół własnej osi.

– Rozumiem – uśmiechnął się Ezio.

– Popatrz na to.

Ezio obejrzał rysunek jeźdźca kierującego dwoma końmi, spiętymi uprzężą jeden obok drugiego. Do uprzęży, na długich, poziomych drągach z przodu i z tyłu zamocowane były koła oraz obrotowe ostrza kos, którymi można było ciąć wroga.

– Diabelskie urządzenie – powiedział Ezio.

– Tak, ale niestety... sam jeździec jest... w pełni odsłonięty. – Oczy

Leonarda znów zamigotały.

Uśmiech Ezia stał się szerszy, potem znów zbladł.

– A te rusznice, które im dałeś?

Da Vinci wzruszył ramionami.

– Czasem trzeba rzucić jakiś ochłap Cerberowi – powiedział. – Musiałem dać im coś, co rzeczywiście działa, żeby nie nabrali podejrzeń.

– Ale to bardzo skuteczna broń.

– W rzeczy samej, ale nawet nie w połowie tak skuteczna, jak ten mały pistolet, który zrobiłem dla ciebie wiele lat temu na podstawie projektu z karty Kodeksu. Wielka szkoda – niełatwo przyszło mi się powstrzymać.

Ezio ze smutkiem wspomniął swoją straconą kodeksową broń, ale zamierzał jeszcze wrócić do tego tematu.

– Co jeszcze jest w tych papierach?

Choć byli sami, Leonardo ściszył głos.

– Skopiowałem plany nie tylko największych machin, ale też tego, gdzie mają zostać użyte w bitwie. – W ironicznym geście rozłożył ramiona. – Niestety, szkoda, że nie mogą być skuteczniejsze.

Ezio popatrzył z podziwem na swojego przyjaciela. Oto był człowiek, który zaprojektował okręt podwodny dla Wenecjan przeciwko tureckim galerom. Gdyby nie zdecydował się wbudować defektów w swoje projekty, walka z Borgiami byłaby skazana na porażkę. Jak to dobrze, że Ezio się z nim pogodził. Leonardo był wart więcej niż dwie armie.

– Na miłość boską, Leo, napij się przynajmniej wina. Wiem, że nigdy ci się za to wszystko nie odwdzięczę.

Ale Leonardo machnięciem ręki podziękował za wyciągnięty w jego stronę kubek.

– Mam o wiele gorsze wieści. Wiesz, że mają Jabłko?

– Oczywiście.

– Dali mi je do zbadania. My dwaj wiemy co nieco o jego mocach. Rodrigo wie trochę mniej, ale jest inteligentniejszy niż Cesare, choć to Cesare mnie

pilnuje.

– Ile informacji o Jabłku im przekazałeś?

– Najmniej jak się dało, ale coś im dać musiałem. Na szczęście Cesare zadowolona się jak dotąd ograniczonymi zastosowaniami Jabłka, które mu zdradziłem. Ale Rodrigo wie, że to nie wszystko, i robi się niecierpliwy. – Leonardo przerwał. – Zastanawiałem się, jak można by je ukraść, ale jest pilnie strzeżone, a ja mam do niego dostęp tylko pod ścisłym nadzorem. Udało mi się za to użyć jego mocy, by cię odnaleźć. Ma tę zdolność, wiesz? Fascynujące.

– I nauczyłeś ich tej sztuczki?

– Skądże! Chcę tylko, żeby wróciło do prawowitego właściciela.

– Nie obawiaj się, Leo. Odzyskamy je. Tymczasem opóźniaj ich, ile zdołasz, a jeśli będziesz mógł, informuj mnie, co musiałeś im zdradzić.

– Tak zrobię.

Ezio zamilkł na chwilę.

– To nie wszystko.

– Mów.

– Straciłem wszystkie bronie z Kodeksu, które kiedyś dla mnie zrobiłeś.

– Rozumiem.

– Oprócz pierwszego ukrytego ostrza. Pistolet, zatrute ostrze, podwójne ostrze, cudowny karwasz – wszystko to przepadło.

– Hmm – mruknął Leonardo. Potem się uśmiechnął. – Cóż, odtworzenie ich dla ciebie może nie być problemem.

– Naprawdę? – Ezio z trudem mógł w to uwierzyć.

– Projekty, które mi dałeś, wciąż są we Florencji, dobrze ukryte u moich asystentów, Agniola i Innocenta. Borgiowie nigdy ich nie dostaną. Gdyby kiedykolwiek zdobyli Florencję – Boże uchroni! – albo gdyby zajęli ją Francuzi, Agniolo ma wyraźne polecenie je zniszczyć, a nawet on i Innocento – nie żebym im całkowicie nie ufał – nie zdołaliby ich odtworzyć bez mojej pomocy. Ale ja... ja nigdy nie zapominam projektu. Jednak... – zawahał się,

jakby zawstydzony – musisz mi zapłacić za potrzebne materiały. Z góry.

Ezio był zdumiony.

– Naprawdę? Nie płacą ci w *il Vaticano*?

Leonardo odkaszlnął.

– Bardzo... bardzo mało. Uważają chyba, że pozostawienie mnie przy życiu to wystarczająca zapłata. A ja nie jestem takim głupcem, by sądzić, że kiedy tylko moje usługi zaczną... przewyższać oczekiwania, zabiją mnie z taką samą obojętnością, jakby zabijali psa.

– Tak jest – powiedział Ezio. – Woleliby, żebyś nie żył, niż miał pracować dla kogoś innego.

– Tak, o tym samym myślałem – przytaknął Leonardo. – I naprawdę nie mam dokąd uciec. Ani nie chcę. Chcę widzieć, jak Borgiowie zostają zmiażdżeni – na tyle jestem gotów się zaangażować w politykę. Ale mój ukochany Mediolan jest w rękach Francuzów – zadumał się. – Może... później, kiedy to wszystko się skończy... Może nawet spróbuję szczęścia we Francji. Mówią, że to bardzo cywilizowany kraj...

Przyszła pora, żeby przypomnieć mu o rzeczywistości. Ezio poszedł do okutej żelazem skrzyni i wyjął z niej skórzaną sakiewkę nabitą dukatami. Dał ją Leonardowi.

– Należność na poczet broni z Kodeksu – powiedział żywo. – Na kiedy mogą być gotowe?

Leonardo się zastanowił.

– Nie będzie tak łatwo, jak ostatnim razem – rzekł. – Muszę pracować w sekrecie i sam, bo nie mogę zaufać asystentom, którzy mi tu pomagają. – Przerwał. – Skontaktuję się z tobą. Najszybciej, jak to będzie możliwe, obiecuję. – Zważył w ręku pękaty mieszek. – I kto wie, może za taką sumę będę mógł nawet dołożyć kilka nowych broni – tym razem oczywiście moich własnych wynalazków, ale skutecznych, jak się przekonasz.

– Cokolwiek zdołasz dla nas zrobić, zaskarbisz sobie moją doząną wdzięczność i ochronę, gdziekolwiek będziesz – powiedział Ezio. Zapisał

sobie w pamięci, by wysłać paru nowych rekrutów, kiedy tylko skończą trening, by mieli oko na Leonarda i regularnie meldowali o jego położeniu. – A teraz – jak będziemy utrzymywać kontakt?

– Myślałem o tym – odparł da Vinci. Wyjął kawałek kredy i na stole między nimi narysował ludzką dłoń, wskazującą coś palcem.

– Jest piękna – pochwalił rysunek Ezio.

– Dziękuję. To tylko fragment szkicu obrazu, który myślałem namalować, przedstawiającego Jana Chrzciciela. O ile się w końcu za to zabiorę. Usiądź tam, gdzie wskazuje palec.

Ezio usłuchał.

– Tak jest – rzekł Leonardo. – Powiedz swoim ludziom, żeby mieli oczy szeroko otwarte. Jeśli zobaczą taką dłoń – dla każdego innego będzie wyglądała jak zwykłe graffiti – każ im dać sobie znać, a potem idź w kierunku, w którym dłoń wskazuje. Tak się spotkamy.

– Doskonale – odparł Ezio.

– Nie martw się, dopilnuję, żebyś był odpowiednio wcześniej uprzedzony. Na wypadek, gdybyś zamierzał wyjechać na jakąś misję.

– Dziękuję.

Leonardo wstał.

– Muszę iść. W przeciwnym razie zauważą moją nieobecność. Ale najpierw...

– Najpierw co?

Da Vinci uśmiechnął się szeroko i potrząsnął sakwą.

– Najpierw pójdę na zakupy.

28

Ezio opuścił kryjówkę niedługo po Leonardzie, by – mimo zmęczenia – kontynuować werbunek, ale także aby mieć jakieś zajęcie: nie mógł się doczekać, kiedy dostanie do rąk nowe bronie z Kodeksu.

Kiedy później tego samego dnia wrócił na umówione spotkanie, odkrył, że uprzedził go Machiavelli. Była z nim Caterina – siedziała w fotelu z kolanami przykrytymi kocem. Jak zwykle Machiavelli nie tracił czasu na wstępy.

– Gdzie byłeś? – spytał.

Eziowi nie spodobał się jego ton.

– Wszyscy mamy swoje sekrety – odparł spokojnym tonem. – A co ty robiłeś, jeśli wolno spytać?

Machiavelli uśmiechnął się.

– Udoskonalałem nasz system gołębiej poczty. Teraz możemy wysyłać z jej pomocą rozkazy rekrutom w całym mieście.

– Doskonale. Dziękuję, Niccolò.

Popatrzyli na siebie. Machiavelli był prawie dziesięć lat młodszy od Ezia, ale nie dało się nie zauważyć ambicji i niezależności w jego przymrużonych oczach. Czy był niechętny przywództwu Ezia? Czy miał nadzieję, że to jemu ono przypadnie? Ezio odsunął tę myśl – przecież Niccolò był raczej teoretykiem, dyplomata, zwierzęciem politycznym. Nie ulegała też wątpliwości jego użyteczność – czy lojalność – dla Bractwa. Gdyby tylko Ezio mógł przekonać o tym Lisa...

Jakby na dany znak La Volpe wszedł do kryjówki w towarzystwie Claudii.

– Jakie wieści? – spytał go Ezio, kiedy się przywitali.

– Bartolomeo przysłała przeprosiny. Wygląda na to, że generał Octavien jeszcze raz spróbował zaatakować koszary.

– Rozumiem.

– Zdwoili wysiłki, ale się nie dajemy.

– To dobrze. – Ezio odwrócił się do siostry. – Claudio – powiedział chłodno, skłaniając głowę.

– Bracie – odparła tak samo lodowato.

– Proszę, siadajcie.

Wszyscy usiedli.

– Mam przygotowany plan ataku na Borgia – rzekł Ezio.

– Proponuję – wtrącił natychmiast Machiavelli – żebyśmy zaatakowali albo ich zaopatrzenie, albo popleczników Cesare.

– Dziękuję, Niccolò – odparł Ezio spokojnie. – Mój plan zakłada zaatakowanie jednego i drugiego. Jeśli odetniemy go od funduszy, Cesare straci armię i wróci bez ludzi. Skąd bierze pieniądze?

– Wiemy, że w dużym stopniu finansuje go Rodrigo – powiedział La Volpe – a bankierem Rodriga jest Agostino Chigi. Cesare ma też własnego bankiera, którego tożsamość nie została jeszcze ustalona, choć mamy pewne podejrzenia.

Ezio póki co postanowił nie zdradzać się z własnymi przemyśleniami w tej kwestii. Najlepiej by było, gdyby w miarę możliwości potwierdzili to ludzie Lisa.

– Znam kogoś – to nasz klient w Rosa in Fiore – kto jest mu winien pieniądze. Senator Egidio Troche bez przerwy narzeka na wysoki procent.

– *Bene* – powiedział Ezio. – A więc musimy pójść tym tropem.

– Jest coś jeszcze – rzekł Machiavelli. – Mamy wieści, że planują rozmieścić francuskich żołnierzy na drodze prowadzącej do Zamku św. Anioła. Twój atak musiał nimi bardzo wstrząsnąć. Do tego Cesare najwyraźniej planuje powrót do Rzymu. Natychmiast. Dlaczego tak szybko, tego nie rozumiem, ale dowiemy się. Tak czy inaczej, kiedy tu przyjedzie,

będzie tak dobrze strzeżony, że nigdy go nie dopadniesz. Nasi szpiegowie donoszą, że zamierza utrzymać swój powrót w tajemnicy, przynajmniej póki co.

– Coś knuje – powiedział La Volpe.

– Genialny domysł – skomentował Machiavelli i obaj mężczyźni wymienili spojrzenia, które nie były bynajmniej przyjazne.

Ezio zastanowił się nad tym.

– Najlepszym krokiem wydaje się zapędzić w kąt tego ich francuskiego generała, Octaviena, i zabić go. Kiedy przestanie wadzić, Bartolomeo zepchnie Francuzów do defensywy, a oni porzuciliby pilnowanie drogi.

Po raz pierwszy odezwała się Caterina:

– Nawet bez tych oddziałów, Ezio, Gwardia Papieska będzie dalej strzec mostu i głównej bramy.

– No tak... – powiedział La Volpe. – Ale jest przecież boczne wejście. Najnowsza zabawka Lukrecji, aktor Pietro Benintendi, ma klucz.

– Naprawdę? – zdziwił się Ezio. – Widziałem go z nią w zamku.

– Moi ludzie dowiedzą się, gdzie jest – obiecał Lis. – To nie powinno być zbyt trudne.

Caterina uśmiechnęła się.

– Pomysł wydaje się dobry. Chciałabym pomóc. Powinniśmy dać radę wydobyć od niego ten klucz strachem, a wtedy przestanie spotykać się z Lukrecją. Zrobię wszystko, byle zepsuć tej suce nastrój.

– *Momentino, contessa* – przerwał jej Machiavelli. – Będziemy musieli obejść się bez twojej pomocy.

Caterina popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

– Dlaczego?

– Bo wywieziemy cię z miasta, może do Florencji, gdzie pozostaniesz, dopóki nie odzyskamy dla ciebie Forlí. Twoje dzieci już są tam bezpieczne. – Rozejrzał się. – Uratowanie ciebie przez Ezia nie obyło się bez konsekwencji. W całym mieście roi się od heroldów, którzy głoszą wysoką nagrodę za

schwywanie *contessa*, żywej lub martwej. I nie uciszy ich żadna łapówka.

Zapadła cisza. Potem Caterina wstała, pozwalając, by koc spadł na podłogę.

– A więc wygląda na to, że nadużyłam waszej gościnności – powiedziała. –

Wybaczcie.

– O czym ty mówisz? – spytał Ezio, zaniepokojony.

– Tylko o tym, że nie jestem tu bezpieczna...

– Ochronimy cię!

– I że, co ważniejsze, przeszkadzam wam. – Mówiąc to, patrzyła na Machiavellego. – Nieprawdaż, Niccolò?

Machiavelli milczał.

– Oto moja odpowiedź – powiedziała Caterina. – Natychmiast przygotuję się do wyjazdu.

29

– Jesteś pewna, że dasz radę jechać konno? – spytał Caterinę Ezio.

– Przecież przyjechałam z zamku, kiedy mnie uratowałeś, prawda?

– Tak, ale wtedy nie było innego wyjścia.

– A teraz jest?

Ezio umilkł.

Był poranek następnego dnia; asasyn patrzył, jak Caterina i jej dwie służące pakują skromne ubrania i prowiant, które Claudia przygotowała im na drogę. Księżna miała wyruszyć jutro przed świtem. Przez część drogi miała jej towarzyszyć niewielka eskorta ludzi Ezia, pilnująca, by Caterina bezpiecznie opuściła Rzym. Ezio zaproponował, że do nich dołączy, ale ona odmówiła.

– Nie lubię pożegnań – powiedziała. – Im są dłuższe, tym gorzej je znoszę.

Patrzył, jak krzątała się przy pakowaniu. Myślał o spędzonych wspólnie chwilach, dawno temu w Forlí, a potem o tym, co czule wspominał jako ponowne zejście w Monteriggioni. Bractwo Asasynów zabrało mu całe życie i uczyniło go samotnym.

– Chciałbym, żebyś została – powiedział.

– Ezio, nie mogę. Wiesz, że nie mogę.

– Odeślij służące.

– Muszę się spieszyć.

– Odeślij je. To nie potrwa długo.

Zrobiła to, ale widział, że niechętnie.

– Wróćcie za pięć minut według wodnego zegara – powiedziała.

Kiedy zostali już sami, Ezio nie wiedział, jak zacząć.

– Słucham? – zagaiła Caterina, tym razem łagodniej, a on widział po jej

oczach, że jest zmartwiona, choć nie umiał powiedzieć czym.

– Ja... ja cię uratowałem – zaczął niezdarnie.

– Owszem, i jestem ci wdzięczna. Ale sam powiedziałaś pozostałym, że zrobiłaś to tylko dlatego, że wciąż jestem użytecznym sojusznikiem, nawet bez Forlí.

– Odzyskamy Forlí.

– A ja tam wtedy wrócę.

Ezio znów zamilkł. Czuł pustkę w sercu.

Caterina podeszła do niego zdecydowanie i położyła mu ręce na ramionach.

– Ezio, posłuchaj. Bez Forlí nikomu się na nic nie przydam. Jeśli teraz wyjadę, to po to, by znaleźć schronienie i wrócić do dzieci. Nie chcesz tego dla mnie?

– Tak.

– A więc...

– Nie uratowałem cię dlatego, że jesteś cenna dla naszej sprawy.

Tym razem to ona milczała.

– Uratowałem cię, bo...

– Nie mów tego, Ezio.

– Dlaczego?

– Bo ja ci tym samym nie odpowiem.

Żadna broń nie mogła zranić go głębiej niż te słowa.

– A więc mnie wykorzystałaś?

– To brzmi dość okrutnie.

– A jakich innych słów miałbym użyć?

– Już ci to próbowałam wytłumaczyć.

– Jesteś bezwzględna kobietą.

– Jestem kobietą, która ma przed sobą zadanie i obowiązki.

– A więc nie zawahasz się przed niczym, co służy twojej sprawie.

Caterina znów przez chwilę milczała.

– Już ci to wyjaśniałam. Musisz się z tym pogodzić.

Cofnęła dłonie z jego ramion. Ezio widział, że wróciła myślami do swojej podróży i patrzyła na rzeczy, które musiała jeszcze spakować.

Do diabła z Bractwem! – pomyślał porywczo. – Wiem, czego chcę! Dlaczego nie mogę dla odmiany pożyć dla siebie?

– Jadę z tobą – powiedział.

Caterina ponownie odwróciła się do niego z poważną miną.

– Posłuchaj, Ezio. Być może podejmujesz jakąś decyzję, ale robisz to za późno. Może ja zrobiłam to samo. Ale teraz jesteś przywódcą asasynów. Nie zaprzeczaj pracy, którą rozpocząłeś, wielkiego dzieła odbudowy po zniszczeniu Monteriggioni. Bez ciebie wszystko znów się rozpadnie i kto nas wtedy uratuje?

– Ale ty nigdy mnie tak naprawdę nie pragnęłaś.

Patrzył na nią. Była wciąż z nim, w tym samym pomieszczeniu, ale jej duch już dawno uleciał. Kiedy go opuścił, tego nie wiedział – może nigdy go nie było. Może Ezio miał tylko nadzieję, może po prostu sobie coś uroił. W tej jednej chwili zrozumiał, że patrzy na śmierć miłości, choć wciąż nie mógł w to uwierzyć. Jednak jak to z każdą śmiercią bywa, wiedział, że nie ma innego wyjścia, jak pogodzić się z rzeczywistością.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Wejść – powiedziała Caterina i jej służki wróciły.

Ezio zostawił je, by dalej się pakowały.

Następnego ranka miał mocne postanowienie, by nie żegnać się z Cateriną, ale nie wytrzymał. Było zimno i kiedy dotarł na umówiony plac, w bezpiecznej dzielnicy miasta, cała wyprawa siedziała już na koniach, niespokojnie przebiegających kopytami. Może jeszcze teraz, w ostatniej chwili, Caterina mogłaby ustąpić. Ale jej spojrzenie, choć łagodne, było nieobecne. Ezio pomyślał, że zniósłby to lepiej, gdyby nie patrzyła na niego właśnie tak łagodnie. Ta łagodność była wręcz upokarzająca.

– *Buona fortuna, contessa!* – tylko tyle zdołał powiedzieć. – I... żegnaj.

– Miejmy nadzieję, że to nie jest pożegnanie na zawsze.

– Myślę, że jest.

Spojrzała na niego przeciągle.

– Dobrze więc. *Buona fortuna*, mój książę i... *Vittoria agli assassini!*

Zawróciła konia i bez słowa, czy choćby spojrzenia przez ramię, na czele swojej świty, pogalopowała na północ, opuszczając miasto i znikając z życia Ezia. Ezio patrzył za nimi, aż zmienili się w punkty w oddali; Ezio – samotny mężczyzna w średnim wieku, który dostał ostatnią szansę na miłość i zaprzepaścił ją.

– *Vittoria agli assassini* – mruknął bezdźwięcznie pod nosem, a potem odwrócił się na pięcie i wrócił do wciąż śpiącego miasta.

30

Spodziewając się rychłego powrotu Cesare, Ezio musiał zapomnieć o osobistych rozterkach i zabrać się za zadanie, które wyznaczył mu los.

Chcąc odciąć Borgia od funduszy, w pierwszym rzędzie musiał znaleźć i zneutralizować jego bankiera, a pierwszy trop wskazujący, kto nim mógł być, przyszedł z Rosa in Fiore.

– Czego chcesz? – Claudia nie mogłaby powiedzieć tego mniej przyjaźnie, nawet gdyby się postarała.

– Na spotkaniu rozmawiałaś z senatorem.

– Owszem. A co?

– Mówiłaś, że jest winien pieniądze bankierowi Cesare. Jest tutaj?

Wzruszyła ramionami.

– Znajdziesz go prawdopodobnie na Campidoglio. Nie potrzebujesz chyba do tego mojej pomocy?

– Jak on wygląda?

– Och, niech pomyślę... Zupełnie przeciętnie.

– Nie pogrywaj ze mną, siostrze.

Claudia nieco ustąpiła.

– Około sześćdziesiątki, szczupły, ze zmartwioną miną, gładko ogolony, siwe włosy, twojego wzrostu, może trochę niższy. Nazywa się Egidio Troche. Uparty typ, Ezio, pesymista, lubi działać po swojemu. Niełatwo będzie ci sobie z nim poradzić.

– Dziękuję. – Ezio popatrzył na nią surowo. – Zamierzam wytropić bankiera Cesare i zabić go. Mam całkiem mocne podejrzenia, kto to jest, ale muszę się dowiedzieć, gdzie mieszka. Ten senator może mnie do niego doprowadzić.

- Bankier ma silną ochronę. Też byś taką miał na jego miejscu.
- Myślisz, że nie mam?
- A co mnie to obchodzi?
- Posłuchaj, Claudio, jeśli jestem dla ciebie surowy, to dlatego, że się o ciebie martwię.
- Daruj sobie.
- Dobrze sobie radzisz...
- Bardzo dziękuję szanownemu panu...
- Ale musisz dla mnie zorganizować duże zadanie. Kiedy zneutralizuję tego bankiera, twoje dziewczyny będą musiały przenieść jego pieniądze w bezpieczne miejsce.
- Powiedz mi tylko, kiedy – czy raczej „jeśli” – ci się uda.
- Bądź po prostu czujna.

W ponurym nastroju Ezio wyruszył na Wzgórze Kapitołińskie, gwarne i ruchliwe centrum administracyjne Rzymu. Na rozległym placu, wokół którego wznosiły się budynki władz, załatwiała swoje sprawy kilku senatorów w towarzystwie sekretarzy i asystentów, którzy nosili papiery w skórzanych teczkach i biegali za swoimi mocodawcami od gmachu do gmachu, starając się przy tym sprawiać wrażenie niezwykle zajętych i bezwzględnie potrzebnych. Ezio wmieszał się w tłum, najlepiej jak mógł, wypatrując uważnie człowieka odpowiadającego opisowi Claudii. Nadstawiał uszu na wszystko, co mogło dotyczyć jego ofiary. Wśród senatorów nie było ani śladu Egidia, choć wyraźnie dostarczał kolegom tematów do rozmów.

- Egidio znów żądał pieniędzy – powiedział jeden z nich.
- A kiedy nie żąda? Na co tym razem?
- Och, wnioskuje, żeby zmniejszyć liczbę publicznych egzekucji.
- To niedorzeczne!

Ezio podszedł do innej grupki senatorów i tam zdobył więcej informacji. Nie był pewien, po tym co usłyszał, czy Egidio był wojującym (a co za tym idzie lekkomyślnym) liberalnym reformatorem, czy raczej wyjątkowo

niezdarnym wyłudzaczem.

– Egidio wnioskuje o zaprzestanie torturowania świadków w procesach karnych – mówił przywódca następnej grupy.

– Nic z tego! – odparł zagoniony człowiek, z którym tamten rozmawiał. – Zresztą to tylko przykrywka. Tak naprawdę chodzi mu o pieniądze, żeby mógł pospłacać długi.

– I chce usunąć płatne immunitety.

– Proszę cię! Przecież nigdy do tego nie dojdzie. Każdy obywatel, który czuje się nękany przez nasze prawa, powinien przecież mieć możliwość zapłacenia za immunitet od tych praw. To nasz obowiązek. W końcu to nasz Ojciec Święty wprowadził płatne immunitety, idąc za przykładem samego Chrystusa – „Błogosławieni litościwi”!

Jeszcze jeden przekręt Borgiów, żeby zdobyć więcej pieniędzy – pomyślał Ezio.

– Dlaczego mielibyśmy dawać jakiegokolwiek pieniądze Egidiovi? – spytał drugi senator. – Wszyscy wiedzą, co by z nimi zrobił.

Obaj się zaśmiali i rozeszli w swoje strony.

Uwagę Ezia zwróciła mała grupka żołnierzy Borgiów, noszących na dubletach osobisty herb Cesare – dwa czerwone byki na czterodzielnym polu na krzyż z liliami. Ponieważ zawsze zwiastowało to kłopoty, podszedł do nich i zobaczył, że otaczali jednego z senatorów. Pozostali zachowywali się, jakby nic się nie działo, ale Ezio widział, że omijają żołnierzy szerokim łukiem.

Nieszczęsny senator idealnie odpowiadał opisowi Claudii.

– Koniec dyskusji – powiedział sierżant straży.

– Przyszedł termin zapłaty – dodał kapral. – A dług to dług.

Egidio porzucił wszelkie pozory wyniosłości i zaczął błagać.

– Zróbcie wyjątek dla starego człowieka – zaskomlał. – Błagam was!

– Nie – warknął sierżant, dając znak dwóm swoim ludziom, którzy chwycili Egidia i cisnęli nim o ziemię. – Bankier wysłał nas po spłatę długu, a wiesz,

co to znaczy.

– Posłuchajcie, dajcie mi czas do jutra... Do dziś wieczór! Będę miał pieniądze.

– Nic z tego – odparł sierżant i mocno kopnął senatora w brzuch. Następnie odsunął się, a wtedy kapral i dwaj pozostali żołnierze zaczęli obrabiać leżącego starca.

– W ten sposób nie wydobędziecie od niego pieniędzy – powiedział Ezio, podchodząc.

– Kim jesteś? Jego przyjacielem?

– Jestem zatroskanym przechodniem.

– No to zatroskaj się, kurwa, własnymi sprawami!

Sierżant, tak jak Ezio przewidział, podszedł za blisko; asasyn wyćwiczonym ruchem zwolnił ukryte ostrze i unosząc ramię, przeciągnął nim po odsłoniętym gardle mężczyzny, tuż nad jego stalowym obojczykiem. Pozostali żołnierze patrzyli w niemym zdumieniu, jak ich dowódca osuwa się na kolana, daremnie usiłując zatamować dłońmi rzekę krwi. Zanim zdążyli zareagować, Ezio runął na nich i w kilka sekund wszyscy trzej dołączyli do swojego sierżanta po Drugiej Stronie, z poderżniętymi gardłami. Zadanie Ezia nie dawało mu czasu na szermierkę mieczem, musiał zabijać szybko i skutecznie.

Podczas ich starcia cały plac opustoszał jak za sprawą czarów. Ezio pomógł wstać senatorowi. Starzec miał na ubraniu krew i wyglądał – a także faktycznie był – w stanie szoku połączonego z ulgą.

– Lepiej się stąd wynośmy – powiedział do niego Ezio.

– Znam jedno miejsce. Za mną – odparł Egidio i z zadziwiającą szybkością ruszył w stronę zaułka między dwoma dużymi budynkami.

Pospieszyli nim, skręcili w lewo, potem zeszli po schodach do drzwi piwnicy. Senator natychmiast otworzył je i wpuścił Ezia do małego, ciemnego, ale wygodnie urządzonego mieszkania.

– Moja kryjówka – powiedział. – Przydaje się, kiedy ma się tyłu

wierzyieli, co ja.

– Ale nie jednego dużego.

– Moim błędem było skonsolidowanie wszystkich długów u bankiera. Wtedy nie zdawałem sobie sprawy z jego powiązań. Trzeba było trzymać się Chigiego. On przynajmniej jest uczciwy – o ile to możliwe u bankiera! – Egidio przerwał. – Ale kim ty jesteś? Dobrym samarytaninem w Rzymie? Myślałem, że to gatunek wymierający.

Ezio puścił to mimo uszu.

– Ty jesteś *senatore* Egidio Troche?

Egidio zrobił spłoszoną minę.

– Nie mów, że tobie też jestem winien pieniądze!

– Nie, ale możesz mi pomóc. Szukam bankiera Cesare.

Senator uśmiechnął się zaciśniętymi ustami.

– Bankiera Cesare Borgii? Ha! A ty jesteś?...

– Powiedzmy po prostu, że przyjacielem rodziny.

– Cesare ma ostatnio wielu przyjaciół. Niestety, ja nie jestem jednym z nich. Dlatego, jeśli wybaczysz, muszę się spakować.

– Mogę zapłacić.

Egidio wyraźnie się uspokoił.

– Aha! Możesz zapłacić? *Ma che meraviglia!* Najpierw pokonuje gwardzistów, a potem proponuje mi pieniądze! Powiedz no, gdzie byłeś przez całe moje życie?

– Cóż, z nieba nie spadłem. Ty pomożesz mi, ja pomogę tobie. To proste.

Egidio się zastanowił.

– Pójdziemy do mojego brata. Do niego nic nie mają, a tu zostać nie możemy, to mieszkanie działa na mnie przygnębiająco i jest położone za blisko moich – czy mogę powiedzieć „naszych”? – wrogów.

– A więc chodźmy.

– Ale będziesz musiał mnie bronić. Szuka mnie więcej żołnierzy Cesare i nie będą zbyt przyjaźnie nastawieni, jeśli wiesz, o czym mówię, zwłaszcza

po twoim małym pokazie na placu.

– Chodź.

Egidio ostrożnie ruszył przodem, upewniając się, że teren jest czysty, zanim zagłębił się w labirynt zaułków i brudnych uliczek, przez małe *piazze* i po obrzeżach targowisk. Dwa razy napotkali dwójki żołnierzy i dwa razy Ezio musiał z nimi walczyć, tym razem używając z zabójczą skutecznością miecza. Całe miasto wydawało się postawione w stan gotowości w poszukiwaniu ich dwóch – a obaj uciekający byli łakomym kąskiem dla oprychów Borgii. Czas nie był sprzymierzeńcem Ezia, kiedy więc na drugim końcu małego placyku pojawiła się następna dwójka żołnierzy, zaczęli po prostu uciekać. Nie mogąc wspiąć się na dachy razem z senatorem, asasyn musiał polegać na jego najwyraźniej wyczerpującej znajomości bocznych uliczek Rzymu. W końcu znaleźli się na tyłach nowej i emanującej dyskretną elegancją willi, stojącej na otoczonej murem posesji, kilka przecznic na wschód od placu św. Piotra. Egidio wpuścił Ezia na dziedziniec przez małą, okutą żelazem furtę w murze, którą otworzył kluczem.

Kiedy znaleźli się w środku, odetchnęli z ulgą.

– Komuś bardzo zależy na twojej śmierci – powiedział Ezio.

– Jeszcze nie – najpierw chcą, żebym ich spłacił.

– Ale po co cię zabijają, kiedy już oddasz im pieniądze? Z tego co widzę, jesteście ich dojną krową.

– To nie takie proste. Prawda jest taka, że byłem głupcem. Nie jestem przyjacielem Borgiów, mimo że pożyczyłem od nich pieniądze, a ostatnio wszedłem w posiadanie informacji, która dała mi możliwość usadzenia ich – choćby trochę.

– Co to było?

– Kilka miesięcy temu mój brat Francesco, który jest szambelanem Cesare, powiedział mi sporo o planach Borgii dotyczących Romanii. Cesare zamierza tam stworzyć małe królestwo, z którego chce podbić i opanować resztę kraju. Ponieważ Romania leży na progu terytoriów Wenecjan, Wenecja już jest

niezadowolona z jego poczynań w tamtym rejonie.

– I co zrobiłeś?

Egidio rozłożył ręce.

– Napisałem do weneckiego ambasadora, przekazując mu wszystkie informacje, które dostałem od Francesca. Ostrzegłem go. Ale któryś z moich listów musiał zostać przechwycony.

– Czy to nie obciąży twojego brata?

– Jak dotąd udało mu się pozostać poza podejrzeniami.

– Ale co cię opętało, żeby zrobić coś takiego?

– Musiałem coś zrobić. Senat nie ma ostatnio dosłownie nic do roboty, zatwierdza tylko wszystkie dekryty Borgii. Gdyby nie to, w ogóle przestałyby istnieć. Nie ma żadnej niezależności. Wiesz, jak to jest mieć *un cazzo* do roboty? – Egidio potrząsnął głową. – Człowiek się zmienia. Przyznaję, że nawet ja zacząłem grać i pić...

– I chodzić na dziwki.

Senator popatrzył na Ezia.

– Och, dobry jesteś. Bardzo dobry. To mnie zdradziło? Zapach perfum na rękawie?

Ezio uśmiechnął się.

– Coś w tym rodzaju.

– Hm. Cóż, jak mówiłem, kiedyś senatorzy robili to, co senatorzy robić powinni: składali wnioski w poważnych sprawach, na przykład – och, nie wiem, od czego zacząć – bezprawnego okrucieństwa, porzuconych dzieci, przestępczości, oprocentowania pożyczek, utrzymywania w ryzach Chigiego i innych bankierów. Teraz jedyna niezależna legislacja, na jaką się nam pozwala, to sprawy takie, jak dopuszczalna szerokość rękawów damskich sukni.

– Ale nie ty. Ty próbowałeś zbierać fundusze na wymyślone problemy, żeby spłacać swoje hazardowe długi.

– To nie są wymyślone problemy, mój chłopcze. Kiedy tylko znów

będziemy mieli prawdziwą władzę, a ja wyjdę na prostą finansowo, zamierzam poważnie się nimi zająć.

– A kiedy to według ciebie nastąpi?

– Musimy być cierpliwi. Tyrania jest nie do zniesienia, ale nigdy nie trwa długo. Zawsze jest zbyt krucha.

– Chciałbym móc w to wierzyć.

– Oczywiście należy się jej przeciwstawiać przy każdej okazji. To naturalne. – Senator przerwał. – Jestem prawdopodobnie starszy od ciebie – o ile? Dziesięć, piętnaście lat? Muszę dobrze wykorzystać swój czas. Nie zdarzyło ci się nigdy spojrzeć na grób i pomyśleć: „To najbardziej doniosła rzecz, jaką kiedykolwiek zrobię: umrę”?

Ezio milczał.

– Nie – ciągnął Egidio. – Widać nie. *Maledette*, moje listy! – powiedział do siebie. – Nie powinienem był wysyłać ich do ambasadora. Teraz Cesare zabije mnie przy pierwszej okazji, i to bez względu na to, czy spłacę dług, czy nie, chyba że jakimś cudem postanowi wyładować swój gniew na kimś innym. Bóg jeden wie, że jest na to wystarczająco kapryśny.

– Na kimś innym? Na twoim bracie?

– Nigdy bym sobie tego nie wybaczył.

– Dlaczego nie? Jesteś politykiem.

– Nie wszyscy jesteśmy źli.

– Gdzie jest twój brat?

– Nie mam pojęcia. Nie tutaj, dzięki Bogu. Nie rozmawialiśmy ze sobą, odkąd dowiedział się o listach, a ja jestem dla niego wystarczającym ciężarem. Gdyby zobaczył jeszcze ciebie...

– Możemy przejść do rzeczy? – spytał Ezio.

– Oczywiście. Pięknym za nadobne i tak dalej... A teraz, jeszcze raz, o co prosiłeś?

– Chcę wiedzieć, gdzie jest bankier Cesare. Gdzie pracuje. Gdzie mieszka. Egidio nagle ożywił się.

– Tak, muszę przynieść pieniądze. – Znow rozłożył ręce. – Tyle że ich nie mam.

– Mówiłem ci, że zapłacę. Powiedz mi tylko ile i gdzie jesteś umówiony z tym bankierem.

– Nie wiem, dopóki się tam nie znajdę. Zazwyczaj chodzę w jedno z trzech ustalonych miejsc. Spotykam tam jego pomocników, którzy mnie do niego prowadzą. Jestem mu winien dziesięć tysięcy dukatów.

– Żaden problem.

– *Sul serio?* – Egidio prawie się rozpromienił. – Musisz przestać to robić. Naprawdę zacząłeś napawać mnie nadzieją.

– Zostań tu. Wrócę z pieniędzmi o zachodzie słońca.

Wczesnym wieczorem Ezio wrócił do coraz bardziej niedowierzającego Egidia i wręczył mu dwie ciężkie skórzane torby.

– Wróciłeś! Naprawdę wróciłeś!

– A ty czekałeś.

– Jestem zdesperowany. Nie mogę uwierzyć, że po prostu... to zrobiłeś.

– Jest jeden warunek.

– Wiedziałem.

– Posłuchaj – powiedział Ezio. – Jeśli przeżyjesz, a mam taką nadzieję, masz mieć oko na to, co będzie się działo w polityce w tym mieście. I masz meldować o wszystkim... – zawahał się – ...madonnie Claudii w lupanarze o nazwie Rosa in Fiore. Zwłaszcza o wszystkim, czego się dowiesz o Borgiach. – Ezio uśmiechnął się w duchu. – Znasz to miejsce?

Egidio odkaslnął.

– Ja... mam przyjaciela, który czasem tam bywa.

– Świetnie.

– Co zrobisz z tymi informacjami? Sprawisz, że Borgiowie znikną?

Ezio uśmiechnął się szeroko.

– Ja tylko... cię werbuję.

Senator popatrzył na torby z pieniędzmi.

– Nie mogę znieść myśli, że mam im to oddać. – Popadł w zamyślane milczenie. – Mój brat pomagał mi, bo jesteśmy rodziną. Nienawidzę tego *pezzo di merda*, ale to wciąż mój brat.

– Pracuje dla Cesare.

Egidio wziął się w garść.

– *Va bene*. Kiedy cię nie było, przysłali mi wiadomość o miejscu spotkania. Pora jest idealna. Niecierpliwia się, czekając na pieniądze, więc spotkanie jest dzisiaj. Wiesz, byłem przerażony, kiedy mówiłem ich posłańcowi, że na pewno będę miał dla nich pieniądze. – Znów przerwał. – Niedługo powinniśmy ruszać. Co zrobisz? Będziesz mnie śledził?

– Nie wyglądałoby dobrze, gdybyś sprawiał wrażenie, że nie jesteś sam.

Egidio przytaknął.

– Dobrze. Mamy jeszcze czas na kieliszek wina, zanim pójdziemy. Napijesz się?

– Nie.

– No a ja muszę.

31

Ezio znów przeszedł za senatorem przez labirynt uliczek, choć te znał już lepiej, bo prowadziły w stronę Tybru. Mijali pomniki, place i fontanny, które wyglądały znajomo, podobnie jak wznoszone gmachy – Borgiowie wydawali ogromne sumy na *palazzi*, teatry i galerie, dążąc do zaspokojenia swojej pychy. W końcu Egidio zatrzymał się na pięknym placu okolonym dużymi, prywatnymi domami po dwóch bokach i szeregiem drogich sklepów wzdłuż trzeciego. Czwartym bokiem plac przylegał do zadbanego skweru, opadającego w dół do rzeki. To był cel ich wyprawy. Zapadał już zmrok, kiedy Egidio wybrał kamienną ławę i stanął przy niej; rozglądał się na prawo i lewo, ale nie zdradzał niepokoju. Ezio był pełen podziwu dla jego opanowania, które było mu jak najbardziej na rękę. Wszelkie oznaki zdenerwowania mogły zaalarmować wysłanników bankiera.

Asasyn zajął pozycję pod cedrem. Nie musiał czekać długo. Kilka minut po przybyciu Egidia podszedł do niego wysoki mężczyzna ubrany w nieznane Eziowi barwy. Odznaka na jego ramieniu przedstawiała herb; jedną jego połowę stanowił czerwony byk na złotym polu, drugą przecinały szerokie, czarne i złote poziome pasy. Ezio nie miał pojęcia, co to oznacza.

– Dobry wieczór, Egidio – powiedział nowoprzybyły. – Wygląda na to, że jesteś gotów umrzeć jak dżentelmen.

– To mało uprzejme z twojej strony, *capitano* – odparł senator – szczególnie że mam pieniądze.

Mężczyzna uniósł brew.

– Naprawdę? To wszystko zmienia. Bankier będzie bardzo zadowolony. Ufam, że przyszedłeś sam?

– A widzisz tu kogoś jeszcze?

– Idź za mną, *furbacchione*.

Ruszyli z powrotem na wschód i przeszli na drugi brzeg Tybru. Ezio siedł za nimi w dyskretnej odległości, pozostając w zasięgu słuchu.

– Jakież wieści o moim bracie, *capitano*? – spytał Egidio.

– Mogę ci tylko powiedzieć, że książę Cesare bardzo chce z nim porozmawiać. To znaczy, kiedy tylko wróci z Romanii.

– Mam nadzieję, że nic mu się nie stało?

– Jeśli nie ma nic do ukrycia, nie ma się czego obawiać.

Dalej szli w milczeniu, a przy bazylice Santa Maria sopra Minerva skręcili na północ, w kierunku Panteonu.

– Co się stanie z moimi pieniędzmi? – spytał Egidio. Ezio zdał sobie sprawę, że senator usiłuje wyciągnąć z kapitana informacje przydatne asasynowi. Sprytny człowiek.

– Twoimi pieniędzmi? – Kapitan parsknął śmiechem. – Mam nadzieję, że są tam wszystkie odsetki.

– Są.

– Oby.

– No i?

– Bankier lubi być hojny dla przyjaciół. Dobrze ich traktuje. Stać go na to.

– Ciebie też dobrze traktuje?

– Tak sądzę.

– Jakież jest wspaniałomyślny – zauważył Egidio z takim natężeniem sarkazmu, że nawet kapitan zwrócił na to uwagę.

– Co powiedziałaś? – spytał groźnie, zwalnając kroku.

– Och... nic takiego.

– Chodź, jesteśmy na miejscu.

Z mroku ciasnego placzyku wyłoniła się potężna bryła Panteonu. Wysoki koryncki portyk tysiącpięćsetletniego budynku, wzniesionego jako świątynia dla wszystkich rzymskich bóstw, ale dawno już poświęconego na kościół,

dominował nad okolicą. W jego cieniu czekało trzech mężczyzn. Dwaj byli ubrani podobnie do kapitana, podczas gdy trzeci miał cywilne ubranie: był to zasuszony, wysoki, chudy człowiek, na którym źle leżały jego kosztowne szaty. Przywitali się z kapitanem, a cywil chłodno skinął głową Egidiovi.

– Luigi! Luigi Torcelli! – niemalże krzyknął Egidio, znów na użytek Ezia. – Dobrze cię znów widzieć. Jak widzę, wciąż pracujesz jako agent bankiera. Myślałem, że do tej pory już awansujesz. Praca za biurkiem i tak dalej.

– Zamknij się – mruknął chudy człowiek.

– Ma pieniądze – zameldował kapitan.

Oczy Torcelliego zaślniły.

– Proszę, proszę! To z pewnością wprawi mego pana w dobry nastrój. Dziś wieczorem urządza dość wyjątkowe przyjęcie, więc dostarczę mu twoją spłatę osobiście do jego *palazzo*. Muszę się spieszyć, czas to pieniądz, więc dawaj ją.

Widać było, że Egidio robi to z najwyższą odrazą, ale dwaj żołnierze wycelowali w niego swoje halabardy i musiał oddać torby.

– Uff! – powiedział. – Ależ ciężkie. Cieszę się, że się ich pozbyłem.

– Zamknij się! – warknął znów agent bankiera. – Przytrzymajcie go tu, dopóki nie wrócę – rozkazał żołnierzom.

Z tymi słowami zniknął w przepastnym, opuszczonym kościele, zamykając za sobą wrota.

Ezio musiał iść za nim, ale nie miał możliwości przedostać się przez drzwi, a poza tym najpierw musiałby niezauważenie minąć strażników. Egidio pewnie domyślił się tego, bo zaczął gadać do mężczyzn w mundurach, irytując ich, ale też odwracając ich uwagę.

– Czemu mnie nie puścicie? Przecież zapłaciłem – powiedział z oburzeniem.

– A jeśli przyniosłeś za mało? – odparł kapitan. – Pieniądze najpierw trzeba przeliczyć. Chyba rozumiesz.

– Co?! Dziesięć tysięcy dukatów? To potrwa całą noc!

– Tak trzeba.

– Jeśli Luigi się spóźni, to oberwie. Wyobrażam sobie, jakim człowiekiem musi być bankier!

– Zamknij się!

– Co jak co, ale słownictwo macie ograniczone. Słuchajcie, pomyślcie o biednym Torcellim – jeśli szybko nie zjawi się z pieniędzmi, bankier pewnie nie pozwoli mu się zabawić. Pozwala się bawić swoim sługusom?

Kapitan ze zniecierpliwieniem zdzielił senatora po głowie i Egidio umilkł, choć wciąż szczyrzył zęby w uśmiechu. Widział, jak Ezio przekrada się obok i zaczyna wspinać po fasadzie budynku w kierunku kopuły.

Znalazłszy się na dachu okrągłej budowli, zasłoniętej w pewnym stopniu przez klasyczny fronton, Ezio ruszył w kierunku okrągłego otworu – oculusa – który, wiedział o tym, znajdował się na środku. Byłby to sprawdzian jego umiejętności wspinaczki, ale kiedy dostałby się do środka, znalazłby agenta i przeszedł do następnej fazy planu, który szybko układał mu się w głowie. Agent był mniej więcej jego wzrostu, a choć nie dorównywał mu muskulaturą, jego luźne szaty skryłyby sylwetkę Ezia, gdyby wszystko poszło dobrze.

Najtrudniejszą częścią planu było opuszczenie się przez otwór na szczycie kopuły, a potem znalezienie jakiegoś sposobu, by stamtąd zejść. Ezio był już wcześniej w kościele i wiedział, że wiszące w dole kadzielnice podtrzymywane były łańcuchami, umocowanymi do sklepienia. Gdyby zdołał sięgnąć jednego z nich... a ten utrzymałby jego wagę...

Cóż, innego sposobu nie było. Ezio zbyt dobrze wiedział, że mimo sztukaterii nawet on nie dałby rady zejść jak mucha po wewnętrznej stronie kopuły na wysokości stu czterdziestu stóp nad zimną, kamienną podłogą.

Przewiesił się przez krawędź oculusa i zajrzał w mrok. Iskierka światła wskazywała, gdzie jest agent – siedział na ławie biegnącej wzdłuż ściany. Na pewno miał pieniądze obok siebie i liczył je przy świecy. Potem Ezio rozejrzał się za łańcuchami podtrzymującymi kadzielnice. Żaden nie był

w jego zasięgu, ale gdyby tylko zdołał...

Zmienił pozycję i opuścił nogi przez krawędź okrągłego otworu, chwytając się jej obiema rękami. Ryzyko było olbrzymie, ale łańcuchy wyglądały na mocne i stare, i o wiele grubsze, niż się spodziewał. Popatrzył na ich mocowania do sufitu; zorientował się, że tkwią mocno w litym kamieniu.

Nie było na co czekać. Odepchnął się mocno rękami i skoczył w pustkę, do przodu i w bok.

Przez chwilę miał wrażenie, że zawisł w powietrzu, jakby coś podtrzymywało go niczym woda pływaka, a potem zaczął spadać.

Młócił rękami przed sobą, całą siłą woli pchał ciało do najbliższego łańcucha – i złapał go. Rękawice ześliznęły mu się po ogniwach i zjechał parę stóp w dół, a potem zawisł, kołysząc się lekko w ciemności. Wyteżył słuch. Nic nie usłyszał, a było za ciemno, żeby agent, z miejsca w którym siedział, zobaczył kołyszący się łańcuch. Ezio popatrzył w stronę światła. Świeca wciąż paliła się spokojnie i nikt nie wzywał pomocy.

Powoli opuścił się, aż znalazł się jakieś dwadzieścia stóp nad podłogą. Był już dość blisko agenta i widział jego sylwetkę zgarbioną nad workami z pieniędzmi; złote monety błyskały w świetle świecy. Ezio słyszał mamrotanie mężczyzny i ciche, rytmiczne postukiwanie abakusa.

Nagle w górze rozległ się okropny dźwięk rozrywanego metalu. Mocowanie łańcucha do sufitu nie wytrzymało dodatkowego obciążenia i pękło. Ezio puścił łańcuch, który zwisał mu luźno w dłoniach, i rzucił się w przód, w stronę świecy. Lecąc w powietrzu, usłyszał przerażone „kto tam?” agenta i, zdawałoby się, niekończący się grzechot stu czterdziestu stóp łańcucha spadających na podłogę. Dzięki Bogu wrota kościoła były zamknięte: ich grubość tłumiała wszystkie dźwięki dobiegające ze środka.

Ezio spadł na agenta całym swoim ciężarem, wyduszając z niego oddech, i obaj rozciągnęli się na podłodze.

Mężczyzna usiłował wyczołgać się spod Ezia, ale ten chwycił go za ramię.

– Kim jesteś? Obroń mnie, Chryste! – zawołał agent z przerażeniem.

- Przykro mi, przyjacielu – powiedział Ezio, zwalniając ukryte ostrze.
- Co? Nie! Nie! – wybełkotał agent. – Patrz, pieniądze! Weź je! Są twoje!

Są twoje!

Ezio poprawił uchwyt i przyciągnął agenta do siebie.

- Zostaw mnie!
- *Requiescat in pace.*

Szybko ściągnął z zabitego wierzchnią szatę i założył ją na własne ubranie, owijając dolną część twarzy szalem i nasuwając kapelusz nisko na oczy. Szaty były trochę ciasne, ale nie rzucało się to w oczy. Potem Ezio przełożył resztę pieniędzy z toreb do metalowej szkatuły, którą agent w tym celu przyniósł i gdzie duża część monet leżała już w równych stosikach. Asasyn dodał do tego księgę rachunkową i porzucając abakus i torby, ze szkatułą pod pachą ruszył do drzwi. Miał nadzieję, że wystarczająco nasłuchał się sposobu mówienia agenta, by móc znośnie go naśladować. Zresztą, tak czy inaczej, musiał zaryzykować.

Kiedy zbliżył się do drzwi, otworzyły się i do środka zajrzał kapitan.

- Wszystko w porządku? – zawołał.
- Właśnie skończyłem.
- No to się pospiesz, Luigi, bo się spóźnimy.

Ezio wyszedł na portyk.

- Suma się zgadza?

Kiwnął głową.

– *Va bene* – powiedział kapitan. Potem odwrócił się do mężczyzn trzymających Egidia.

- Zabić go – rozkazał krótko.
- Zaczekajcie! – poprosił Ezio.
- Co?
- Nie zabijajcie go.

Kapitan zrobił zaskoczoną minę.

- Ale to... to przecież nie jest nasza normalna procedura, prawda, Luigi?

Poza tym, czy wiesz, co ten człowiek zrobił?

– Mam rozkazy od samego bankiera, tego mężczyznę mamy oszczędzić.

– Mogę spytać dlaczego?

– Kwestionujesz rozkazy bankiera?

Kapitan wzruszył ramionami i skinął głową żołnierzom, którzy puścili senatora.

– Masz szczęście – rzucił do Egidia, który miał dość rozsądku, by nie spoglądać na asasy, tylko czmychnąć bez słowa.

Kapitan odwrócił się do Ezia.

– W porządku, Luigi. Prowadź.

Ezio zawahał się. Nie miał pojęcia, dokąd iść. Zważył w rękach szkatułę.

– Jest ciężka. Niech żołnierze niosą ją we dwóch.

– Oczywiście.

Przekazał szkatułę, ale wciąż się nie ruszał.

Żołnierze czekali.

– Ser Luigi – powiedział kapitan po chwili. – Z całym szacunkiem, musimy to dostarczyć bankierowi na czas. Oczywiście nie kwestionuję twojego autorytetu... ale czy nie powinniśmy się pośpieszyć?

Jaki był sens kupować sobie czas do namysłu? Ezio wiedział, że musi improwizować. Bankier najprawdopodobniej mieszkał gdzieś w pobliżu Zamku św. Anioła albo Watykanu. Ale którego z nich? Ezio postawił na zamek i ruszył na zachód. Jego ochrona popatrzyła po sobie, ale poszła za nim. Mimo to wyczuwał ich zaniepokojenie i rzeczywiście, kawałek dalej usłyszał, że dwaj gwardziści szepczą do siebie.

– To jakiś test?

– Nie wiem.

– Może jesteśmy za wcześnie?

– Może idziemy naokoło rozmyślnie, z jakiegoś powodu.

W końcu kapitan postukał Ezia w ramię.

– Luigi, wszystko w porządku?

– Oczywiście.

– To... znów z całym szacunkiem... dlaczego prowadzisz nas w stronę Tybru?

– Z powodów bezpieczeństwa.

– Aha, a ja się zastanawiałem. Normalnie szliśmy prosto na miejsce.

– To wyjątkowo ważne zadanie – powiedział Ezio, mając nadzieję, że tak jest w istocie. Kapitan nawet nie mrugnął.

Kiedy rozmawiali, jeden z żołnierzy mruknął do drugiego:

– Kupa bzdur, jeśli byś mnie pytał. Takie głupoty sprawiają, że chciałbym znów być kowalem.

– Umieram z głodu i chcę wracać – burknął drugi. – Mam gdzieś bezpieczeństwo. To tylko dwie przecznice na północ stąd.

Usłyszawszy to, Ezio odetchnął z ulgą, bo w głowie błysnęło mu położenie *palazzo* innego bankiera, Agostina Chigi, który zajmował się sprawami papieża. Rezydencja ta położona była kawałek dalej na północny wschód. Było logiczne, że siedziba bankiera Cesare nie znajduje się daleko, że mieści się gdzieś tu, w dzielnicy finansjery. Jakim był głupcem, że wcześniej o tym nie pomyślał – miał jednak za sobą ciężki dzień.

– Wystarczająco daleko już obeszliliśmy – powiedział zdecydowanym tonem. – Stąd idziemy prostą trasą.

Ruszył w stronę *palazzo* Chigi; w decyzji tej upewniło go wrażenie ulgi, bijące od jego towarzyszy. Po chwili kapitan postanowił nawet pójść przodem. Ruszyli żwawym tempem i wkrótce znaleźli się w dzielnicy szerokich, czystych ulic. Duży, jasno oświetlony, marmurowy gmach, do którego zmierzali, miał imponujące, podwójne wrota, których strzegli stojący u podnóża schodów inni strażnicy.

Najwyraźniej ekipa Ezia była oczekiwana.

– W ostatniej chwili – powiedział dowódca nowych wartowników, wyraźnie wyższy stopniem od kapitana. Odwrócił się do Ezia. – Oddaj szkatułę moim ludziom, Luigi. Dopilnuję, żeby bankier ją dostał. Ty lepiej też chodź. Jest tu

ktoś, kto chce z tobą porozmawiać. – Rozejrzył się. – Gdzie senator Troche?

– Obeszliśmy się z nim, jak rozkazano – odparł Ezio szybko, zanim zdążył odpowiedzieć ktokolwiek inny.

– Dobrze – burknął dowódca straży.

Ezio poszedł po schodach za szkatułą, niesioną przez nowych żołnierzy. Kapitan ruszył w jego ślady.

– Ty nie – powiedział dowódca.

– Nie możemy wejść?

– Nie dzisiaj. Ty i twoi ludzie macie dołączyć do patrolu. Jednego możesz wysłać, żeby przyprowadził dodatkowy oddział. Mamy dzisiaj pełną ochronę. Rozkazy księcia Cesare.

– *Porco puttana* – warknął jeden z żołnierzy Ezia do kompana.

Ezio nadstawił uszu. Cesare? Jest tutaj? – pomyślał gorączkowo, wchodząc przez otwarte drzwi do wielkiej sieni, jasnej i na szczęście pełnej ludzi.

Kapitan i dowódca straży wciąż kłócili się o dodatkowe patrole, kiedy szybkim truchtem podbiegł do nich oddział papieskiej żandarmerii. Żołnierze byli zdyszani, a na ich twarzach malowała się troska.

– O co chodzi, sierżancie? – spytał dowódca straży.

– *Perdone, colonnello*, ale właśnie patrolowaliśmy okolice Panteonu, drzwi były otwarte...

– I?...

– I zajrzeliśmy do środka. Wysłałem paru ludzi...

– Wykrztuś to wreszcie, człowieku.

– Znaleźliśmy *messer* Torcellego, panie. Zamordowanego.

– Luigiego? – Dowódca straży obejrzał się na frontowe drzwi, za którymi właśnie zniknął Ezio. – Bzdura. Przybył tu parę minut temu z pieniędzmi. To musi być jakaś pomyłka.

32

Ezio, pozbywszy się szat Luigiego szybko i dyskretnie, ruszył przez tłum bogato odzianych gości, z których wielu nosiło maski. Nie spuszczał z oka żołnierzy ze szkatułą pełną pieniędzy. Zbliżył się do nich, kiedy podeszli do służącego w bogatej liberii i oddali mu skrzynkę.

– Dla bankiera – rzekł jeden z nich.

Służący kiwnął głową i dźwigając szkatułę bez trudu, odwrócił się i ruszył w głąb sali. Ezio miał już iść za nim, kiedy otoczyły go ciasno trzy dziewczęta. Ubrane były równie wystawnie jak reszta gości, ale ich dekolty nie pozostawiały zbyt wiele wyobraźni. Zaszokowany i przyjemnie zaskoczony rozpoznał w nich kurtyzany z Rosa in Fiore. Najwyraźniej nie docenił swojej siostry. Nic dziwnego, że była na niego taka wściekła.

– Zajmiemy się tym, Ezio – szepnęła jedna z nich.

– Nie powinienes się za bardzo zbliżać – poradziła druga. – Ale nie spuszczaaj nas z oka.

Ruszyły za służącym i po chwili go dogoniły. Jedna z nich zagaiała rozmowę.

– Witaj – powiedziała.

– Dobry wieczór – odparł mężczyzna ostrożnie; widać było, że nie bawił się zbyt dobrze, będąc na takim przyjęciu, a jednocześnie na służbie.

– Mogę iść z tobą? Tylu tu ludzi! Ciężko się między nimi przecisnąć.

– Oczywiście. To znaczy, nie mam nic przeciwko temu, jeśli chcesz mi dotrzymać towarzystwa.

– Nigdy tu nie byłam.

– Skąd jesteś?

– Z Zatybrza – teatralnie zadygotała. – Żeby się tu dostać, trzeba minąć stare ruiny. Zawsze się ich boję.

– Tu jesteś bezpieczna.

– To znaczy z tobą?

Służący uśmiechnął się.

– Mogę cię obronić, jeśli będzie trzeba.

– No pewnie. – Dziewczyna spojrzała na szkatułę. – Ojej, jaką masz tu piękną skrzynkę.

– Nie jest moja.

– Och, ale trzymasz ją tymi silnymi ramionami. Jakie musisz mieć mięśnie!

– Chcesz ich dotknąć?

– *Santò cielo!* Co bym powiedziała księdzu na spowiedzi?

Tymczasem dotarli do okutych żelazem drzwi, pilnowanych przez dwóch wartowników. Ezio patrzył, jak jeden z nich puka.

Chwilę później drzwi otworzyły się i stanęła w nich postać w czerwonych szatach kardynała oraz służący odziany podobnie do pierwszego.

– Oto pieniądze, na które czekałeś, Wasza Eminencjo – powiedział pierwszy sługa, podając szkatułę drugiemu.

Ezio wciągnął powietrze do płuc; jego podejrzenia się potwierdziły. Bankierem był nie kto inny, jak Juan Borgia Starszy, arcybiskup Monreale i kardynał w kościele św. Zuzanny. Ten sam, którego widział w towarzystwie Cesare w Monteriggioni i na dziedzińcu stajni w Zamku św. Anioła!

– Dobrze – odrzekł bankier, a czarne oczy załśniły w jego bladej twarzy. Patrzył na dziewczynę, która stała obok pierwszego służącego. – Ją chyba też wezmę.

Chwycił ją za ramię i przyciągnął do siebie, patrząc w oczy słudze.

– Ty możesz odejść.

– *Onoratissima!* – powiedziała dziewczyna, tuląc się do bankiera. Służący próbował zapanować nad swoją twarzą. Drugi sługa zniknął w pomieszczeniu za drzwiami, zamykając je za sobą, a bankier poprowadził

dziewczynę z powrotem na przyjęcie.

Pierwszy służący odprowadził ją wzrokiem, a potem westchnął z rezygnacją. Odwrócił się i nagle przystanął, klepiąc się po ubraniu.

– Moja sakiewka! Co się z nią stało? – zawołał, a potem popatrzył za dziewczyną, która poszła z bankierem. Otaczali ich roześmiani goście, między którymi zręcznie przemykali służący ze srebrnymi tacami wyładowanymi jedzeniem i trunkami.

– Do diaska! – powiedział do siebie i zawrócił do frontowych drzwi, które się za nim zamknęły.

Najwyraźniej wszyscy goście byli już na miejscu. Ezio popatrzył za służącym. Jeśli dalej będą tak traktować ludzi – pomyślał – bez problemu zwerbuję tylu rekrutów, ilu będę potrzebował.

Odwrócił się i przepchnął przez tłum w miejsce niedaleko bankiera. W tym samym momencie na galerii pojawił się herold, a trębacz zagrał krótką fanfarę, by uciszyć zebranych.

– *Eminenze, signore, signori* – ogłosił herold. – Nasz szlachetny pan i honorowy gość, książę Walencji i Romanii, kapitan generalny papieskich *Forze Armate*, książę Andrii i Venafro, hrabia Dyois i pan na Pombino, Camerino i Urbino – Jego Łaskawość *messer* Cesare Borgia – zaszczyca nas przemową w Wielkiej Sali.

– Chodź, moja droga, usiądziesz obok mnie – powiedział bankier do kurtyzany z Rosa in Fiore, kościstą dłonią chwytając ją za pośladki. Ezio wtopił się w tłum ludzi, którzy posłusznie przechodzili przez podwójne drzwi do wewnętrznej sali. Zauważył, że pozostałe dwie dziewczyny nie były daleko, ale rozważnie nie zwracały na niego uwagi. Zastanawiał się, ilu jeszcze sojuszników jego siostra zdołała przemycić na to spotkanie. Jeśli udało się jej zrobić wszystko to, o co ją prosił, Ezio musiałby przyznać się do błędu – ale czuł też dumę i otuchę.

Usiadł w rzędzie blisko środka. Papiescy gwardziści stali pod ścianami sali oraz przed podwyższeniem, które wzniesiono na jednym jej końcu. Kiedy

wszyscy się rozsiedli – kobiety wachlowały się w duchocie – na podwyższenie wstąpiła znajoma postać w czerni. Cesare towarzyszył jego ojciec, ale ten bez słowa usiadł z tyłu. Ku uldze Ezia, nigdzie nie było widać Lukrecji, choć do tej pory z pewnością została uwolniona.

– Witajcie, przyjaciele – powiedział Cesare z lekkim uśmiechem. – Wiem, że czeka nas wszystkich długa noc. – Przerwał, by rozbrzmiały śmiechy i rzadkie brawa. – Ale nie będę was długo zatrzymywał. Moi przyjaciele, jestem zaszczycony faktem, że kardynał św. Zuzanny zadał sobie tyle trudu, by pomóc mi uczcić moje ostatnie zwycięstwa.

Aplauz.

– Jakże lepiej mógłbym im oddać cześć, niż w waszym towarzystwie? Wkrótce spotkamy się tu na jeszcze większej gali, bo wtedy będziemy świętować zjednoczenie Italii. Wtedy, przyjaciele, ucztowanie i uciechy nie będą trwały jedną noc, nie dwie, nawet nie pięć, sześć czy siedem – będziemy świętować przez czterdzieści dni i nocy.

Ezio zobaczył, że papież zeszywniał na te słowa, choć nic nie powiedział ani nie przerywał. Mowa, tak jak Cesare obiecał, była krótka, ograniczała się do listy nowych miast-państw, które zajął i mglistego nakreślenia planów przyszłych podbojów. Kiedy wystąpienie dobiegło końca, wśród głośnych okrzyków aprobaty i aplauzu Cesare ruszył do wyjścia, ale drogę zastąpił mu Rodrigo, wyraźnie z trudem nad sobą panujący. Ezio przecisnął się bliżej, by wysłuchać nerwowej rozmowy między ojcem i synem, którą rozpoczęli *sotto voce*. Co do innych gości – ci zaczęli dryfować z powrotem do głównej sali, myśląc już o przyjemnościach czekającego ich przyjęcia.

– Nie zgadzaliśmy się na podbój całej Italii – mówił Rodrigo głosem przepełnionym wściekłością.

– Ale, *caro padre*, jeśli twój genialny kapitan generalny mówi, że możemy to zrobić, czemu nie radujesz się i nie zgadzasz?

– Ryzykujesz, że wszystko przepadnie! Ryzykujesz naruszenie delikatnej równowagi sił, nad której utrzymaniem tak ciężko pracowaliśmy!

Cesare wykrzywił usta.

– Oczywiście doceniam wszystko, co dla mnie zrobiłeś, *caro padre*, ale nie zapominaj, że teraz ja kontroluję armię, a to oznacza, że to ja podejmuję decyzje. – Przerwał, by jego słowa wywarły należyty efekt. – Nie bądź taki ponury. Baw się!

Z tymi słowy Cesare zszedł z podwyższenia i zniknął za drzwiami z boku, skrytymi za kotarą. Rodrigo przez chwilę patrzył za nim, a potem, mamrocząc pod nosem, poszedł w jego ślady.

Pusz się, ile chcesz, Cesare – pomyślał Ezio. – Zniszczę cię. A tymczasem twój bankier musi zapłacić cenę za współpracę z tobą.

Przybierając pozę zwykłego gościa, ruszył w tę samą stronę co pozostali. Podczas przemowy główną salę przemeblowano – wszędzie rozstawiono łoża i kanapy pod ciężkimi baldachimami, a podłogę przykryto adamaszkowymi poduchami i grubymi, perskimi kobiercami. Między gośćmi wciąż chodzili służący roznoszący wino, ale przybyli zaczęli bardziej interesować się sobą nawzajem. W całej sali mężczyźni i kobiety zrzucali ubrania, parami, trójkami, czwórkami i w większych grupach. W duchocie rozszedł się zapach potu.

Kilka kobiet i mężczyzn, jeszcze niebiorących udziału w figlach, rzuciło Eziowi zalotne spojrzenia, ale mało kto zwracał na niego baczniejszą uwagę, gdy ten pod osłoną kolumn szedł w stronę bankiera. Mężczyzna zrzucił swój biret, swoje wspaniałe *ferraiolo* i sutannę, ukazując patykowatą postać w białej, bawełnianej koszuli i długich kalesonach. On i dziewczyna na wpół siedzieli, na wpół leżeli na kanapie z baldachimem wstawionej w alkowę, ukryci przed wzrokiem pozostałych gości. Ezio podsunął się bliżej.

– Dobrze się bawisz, moja droga? – mówił bankier, niezdarnie mocując się sękatymi palcami z zapinkami jej sukni.

– Tak, *Eminenza*, w rzeczy samej. Tyle tu do oglądania.

– Och, to świetnie. Wiesz, na niczym nie oszczędzałem.

Zaślinione wargi dotknęły szyi dziewczyny. Borgia kąsał i ssał, przesuwał

jej dłoń coraz niżej.

– Widzę – odparła kurtyzana, napotykając nad ramieniem bankiera spojrzenie Ezia i ostrzegając go, by póki co się nie wtrącał.

– Tak, skarbie, to dzięki takim luksusom władza jest tak pociągająca. Jeśli widzę jabłko na drzewie, po prostu je zrywam. Nikt nie może mnie powstrzymać.

– Cóż – powiedziała dziewczyna. – To chyba zależy odrobinię od tego, czyje to drzewo.

Bankier zachichotał.

– Chyba nie rozumiesz: wszystkie drzewa należą do mnie.

– Nie moje, mój drogi.

Bankier odsunął się nieco; w jego głosie pojawiły się lodowate tony.

– Wręcz przeciwnie, *tesora*, widziałem, jak kradniesz sakiewkę mojego służącego. Sądzę, że w ramach zadośćuczynienia zasłużyłem na darmową przejażdżkę. Więcej powiem, zamierzam z niej korzystać całą noc.

– Darmową?

Ezio miał nadzieję, że dziewczyna nie przesadza. Rozejrzał się po sali. Nieliczni strażnicy stali pod ścianami co jakieś piętnaście stóp, ale żaden z nich nie słyszał tej rozmowy. Bankier, na swoim terenie, był bardzo pewny siebie. Może nawet za bardzo.

– Tak właśnie powiedziałem – rzekł groźnie. Potem do głowy wpadła mu nowa myśl. – Masz może przypadkiem siostrę?

– Nie, ale mam córkę.

Bankier się zastanowił.

– Trzysta dukatów?

– Siedemset.

– Ostro się targujesz, ale... zgoda. To przyjemność robić z tobą interesy.

33

Wieczór trwał w najlepsze. Ezio słuchał głosów dookoła siebie – „Jeszcze raz!”, „Nie, nie, to boli!”, „Nie, nie możesz, nie pozwolę ci!” – i odgłosów bólu i rozkoszy; bólu prawdziwego, rozkoszy udawanej.

Bankier niestety nie tracił sił i zniecierpliwiony zaczął zdzierać z dziewczyny suknię. Kurtyzana wciąż błagała Ezia wzrokiem, by się wstrzymał. „Dam sobie radę” – zdawała się mówić.

Ezio znów rozejrzył się dookoła. Niektórzy ze służących i większość strażników została nakłoniona przez gości, by przyłączyli się do zabawy; zauważył, że ludzie trzymali członki z drewna i kości słoniowej oraz małe czarne baciki.

Już niedługo...

– Chodź tu, moja droga – powiedział bankier, popychając dziewczynę na kanapę. Usiadł na niej okrakiem i jednocześnie w nią wszedł. Potem zacisnął dłonie na jej szyi i zaczął ją dusić. Kurtyzana zakrztusiła się, zaszamotała i zemdląca.

– O tak! Tak jest dobrze! – sapnął Borgia; na karku pokazały mu się nabrzmiące żyły. Zaciskał palce na szyi dziewczyny. – To powinno zwiększyć twoją rozkosz. Moją zwiększa na pewno.

Chwilę później skończył i opadł ciężko na jej ciało, ślizgając się w ich pocie i z trudem łapiąc oddech.

Nie zabił dziewczyny. Ezio widział, że jej pierś unosi się i opada.

Bankier niezdarnie wstał, zostawiając jej nieruchomą postać na wpół zsuniętą z kanapy.

– Pozbyć się jej – warknął do dwóch służących, którzy stali niedaleko

w pogotowiu.

Ruszył w stronę głównej orgii. Ezio i służący odprowadzili go wzrokiem. Kiedy znalazł się w bezpiecznej odległości i zajął czym innym, słudzy ostrożnie położyli dziewczynę na kanapie, przykryli ją kocem i postawili obok karafkę wody. Jeden z nich zauważył Ezia. Ten przyłożył palec do ust, a mężczyzna uśmiechnął się i pokiwał głową. Jednak w tym cuchnącym legowisku diabła zdarzały się czasem przebłyśki dobra.

Ezio ruszył za bankierem, który podciągnął kalesony i przechodził od grupki do grupki, pomrukując z aprobatą jak koneser w galerii sztuki.

– Och, *bellissima* – mówił od czasu do czasu, przystając, żeby popatrzeć, a potem poszedł do okutych drzwi, z których wyszedł na samym początku, i zastukał do nich. Od środka otworzył je drugi służący, który cały ten czas prawie na pewno spędził przeliczając pieniądze.

Ezio nie dał im szansy zamknąć drzwi; skoczył do przodu i wepchnął obu mężczyzn do środka, a potem zamknął drzwi za sobą i odwrócił się do nich. Służący, mały człowieczek w koszuli bez dubletu, zabełkotał coś i padł na kolana; na jego spodniach pojawiła się ciemna plama, a potem zemdłał. Bankier się wyprostował.

– To ty! – powiedział. – *Assassino!* Ale już niedługo.

Jego ręka sięgnęła do sznura dzwonka, ale Ezio był szybszy. Ukryte ostrze wyskoczyło i cięło po dłoni bankiera. Starzec szarpnął ją do siebie; trzy palce upadły na dywan.

– Nie podchodź! – wrzasnął. – Zabij mnie, a nic ci to nie da. Cesare nigdy nie pozwoli ci ujść z życiem. Ale...

– Tak?

Twarz bankiera nabrała chytrego wyrazu.

– Jeśli mnie oszczędzisz...

Ezio uśmiechnął się. Bankier zrozumiał. Ścisnął zranioną dłoń.

– Cóż – powiedział, choć w oczach stanęły mu łzy bólu i wściekłości. – Przynajmniej pożyłem. Wszystko, co widziałem, czułem, smakowałem... Nie

żałuję żadnej z tych rzeczy. Nie żałuję ani chwili mojego życia.

– Bawiłeś się zabawkami, które daje władza. Prawdziwie silny człowiek gardziłby nimi.

– Dawałem ludziom to, czego chcieli.

– Oszukujesz sam siebie.

– Daruj sobie.

– Przyszła pora spłacić własny dług, *Eminenza*. Niezasłużone rozkosze prowadzą do upadku.

Bankier padł na kolana, bełkocząc na wpół zapomniane modlitwy.

Ezio podniósł ukryte ostrze.

– *Requiescat in pace*.

Wychodząc, zostawił drzwi otwarte. Orgia przeszła w senne, brudne obłapanie. Jeden czy dwóch gości, podtrzymywanych przez służbę, wymiotowało; dwóch innych służących wynosiło trupa: czyjeś serce najwyraźniej nie wytrzymało nadmiaru wrażeń. Nikt nie został na straży.

– Jesteśmy gotowe – powiedział jakiś głos obok Ezia. Ten odwrócił się i ujrzał Claudię. W całej sali kilkanaście dziewczyn wyplątało się z kłębowiska ciał i wstało. Wśród nich, znów ubrana i wstrząśnięta, lecz poza tym cała i zdrowa, była kurtyzana, którą tak okrutnie potraktował bankier. Służący, którzy jej pomogli, stali obok. Kolejni rekruci.

– Uciekaj stąd – powiedziała Claudia. – My zabierzemy pieniądze. Z nawiązką.

– Dacie radę?...

– Po prostu... Po prostu ten jeden raz mi zaufaj, Ezio.

34

Choć w duchu wciąż żywił obawy przed pozostawianiem sytuacji w rękach siostry, Ezio przyznał przed sobą, że ostatecznie sam prosił, by się tym zajęła. Wiele od niej zależało, ale lepiej, żeby jej zaufała – jak prosiła.

Były zimne godziny przedświtów nowego dnia; Ezio naciągnął na głowę kaptur i bezgłośnie minął drzemiących pod pałacem bankiera wartowników.

Pochodnie wypaliły się i sam budynek, już nieoświetlony tak wspaniale od środka, wydawał się stary, szary i zmęczony. Ezio zabawiał się myślą o poszukiwaniu Rodriga, którego nie widział od chwili jego wściekłego zejścia z podwyższenia po mowie Cesare – sam Cesare najwyraźniej postanowił nie zostawać na przyjęciu – ale odrzucił ten pomysł. Nie mógł w pojedynkę szturmować Watykanu, a poza tym był zmęczony.

Wrócił na wyspę na Tybrze, by się umyć i odświeżyć, ale zrobił to szybko. Musiał się dowiedzieć, i to jak najprędzej, jak poszło Claudii – dopiero wtedy zdołałby się naprawdę uspokoić.

Słońce pojawiło się nad horyzontem, barwiąc dachy Rzymu złotem. Ezio biegł po nich w stronę Rosa in Fiore. Ze swojego punktu obserwacyjnego widział liczne patrole Borgiów biegające po mieście w stanie najwyższego podniecenia i zdenerwowania, ale dom publiczny był dobrze ukryty, a jego klienci szanowali tę tajemnicę – z pewnością nie chcieli odpowiadać przed Cesare, gdyby coś zwęszył – dlatego Ezia zaskoczył widok mundurów Borgiów w jego pobliżu. Zeskoczył na pobliską ulicę i ruszył, starając się nie spieszyć, w stronę lupanaru.

Kiedy jednak się do niego zbliżył, zeszywniał. Na zewnątrz widać było ślady walki, a bruk poplamiony był krwią. Dobywając miecza, z tłukącym się

w piersi sercem, Ezio wpadł do środka przez otwarte drzwi.

Meble w sieni powywracano, wszędzie panował chaos. Na podłodze leżały potłuczone wazony, obrazy na ścianach – gustowne ilustracje niektórych dosadniejszych epizodów z Boccaccia – wisiały poprzekrzywiane. Na tym jednak nie koniec – w wejściu leżało trzech zabitych żołnierzy Borgiów, a wszędzie było pełno krwi. Kiedy Ezio ruszył dalej, na spotkanie wyszła mu jedna z kurtyzan – ta, która ucierpiała z rąk bankiera. Suknię i ręce miała zakrwawione, ale jej oczy błyszczały.

– Och, Ezio, dzięki Bogu, że jesteś.

– Co się stało?

Jego myśli popędziły do matki i siostry.

– Udało się nam uciec bez problemów, ale żołnierze Borgiów musieli nas śledzić aż tutaj...

– Co się stało?!

– Próbowali nas uwięzić w środku, zaatakować z zaskoczenia.

– Gdzie są Claudia i Maria?

Dziewczyna się rozplakała.

– Chodź za mną.

Poszła przodem w stronę wewnętrznego dziedzińca Rosa in Fiore. Ezio ruszył za nią, wciąż pełen lęku, ale zauważył, że dziewczyna była nieuzbrojona i mimo szoku prowadziła go bez oznak strachu. Jaka masakra?... Czy gwardziści pozabijali wszystkich oprócz niej – jak zatem zdołała uciec? – a potem odeszli, zabierając ze sobą pieniądze?

Dziewczyna pchnęła drzwi prowadzące na dziedziniec, gdzie oczom Ezia ukazał się widok przerażający – choć nie taki, jakiego się spodziewał.

Wszędzie leżeli martwi żołnierze Borgiów, a ci, którzy jeszcze żyli, byli ciężko ranni lub umierający. Na środku, przy fontannie, stała Claudia, w sukni przesiąkniętej krwią, z dwoma sztyletami w rękach – tarczowym i długim, ostrym *stiletto*. Większość dziewczyn, które Ezio widział w *palazzo* bankiera, stała w pobliżu, podobnie uzbrojona. Z boku, chroniona przez trzy

kobiety, czekała Maria, a za nią, ustawione pod murem, leżały nie jedna, lecz siedem metalowych szkatuł identycznych jak te, które Ezio dostarczył bankierowi.

Claudia wciąż stała w gotowości, podobnie jak pozostałe kobiety, spodziewając się następnej fali ataku.

– Ezio! – powiedziała.

– Tak? – odparł, choć patrzył na scenę rzezi.

– Jak się tu dostałeś?

– Po dachach, z wyspy na Tybrze.

– Widziałeś ich więcej?

– Mnóstwo, ale biegali w kółko. W okolicy ich nie było.

Claudia lekko się rozluźniła.

– Dobrze. W takim razie musimy posprzątać na ulicy przed wejściem i zamknąć drzwi. A potem zrobić coś z tym bałaganem.

– Czy... kogoś straciłyście?

– Dwie, Lucię i Agnellę. Już położyłyśmy je na łózkach. Odważnie zginęły. Nawet nie drżała.

– Nic ci nie jest? – spytał z wahaniem Ezio.

– Nic a nic – odparła, całkowicie opanowana. – Będziemy potrzebowały pomocy do pozbycia się tej bandy. Możesz zwołać trochę swoich rekrutów? Naszych nowych przyjaciół, służących, zostawiłyśmy w *palazzo*, żeby mogli zamaskować nasz trop.

– Czy komuś z tego patrolu udało się uciec?

Claudia spochmurniała. Nie opuściła jeszcze żadnej ze swych broni.

– Ani jednemu. Do Cesare nie wróci żadna wiadomość.

Ezio przez chwilę milczał. Słysząc było tylko plusk fontanny i poranne trele ptaków.

– Kiedy to się stało?

Claudia uśmiechnęła się półgębkiem.

– Zabawa dopiero co się skończyła.

Ezio odpowiedział uśmiechem.

– Nie byłem tu potrzebny. Moja siostra umie władać nożem.

– I jestem gotowa zrobić to jeszcze raz.

– Mówisz jak prawdziwa Auditore. Wybacz mi.

– Musiałeś mnie wypróbować.

– Chciałem cię chronić.

– Jak widzisz, umiem o siebie zadbać.

– Owszem, widzę.

Claudia opuściła broń i wskazała skrzynie ze skarbami.

– Wystarczająco dużo odsetek?

– Widzę, że potrafisz mnie zaskoczyć i przyznaję, że nie mogę wyjść z podziwu.

– To dobrze.

Potem zrobili to, co chcieli zrobić od ostatnich pięciu minut – rzucili się sobie w objęcia.

– Doskonale – powiedziała Maria, przyłączając się. – Dobrze widzieć, że w końcu poszliście po rozum do głowy!

35

– Ezio!

Ezio nie spodziewał się, że tak szybko usłyszy znajomy głos. Tkwiący w nim pesymista w ogóle nie spodziewał się go usłyszeć. Mimo to był zadowolony, kiedy odebrał wiadomość zostawioną mu na wyspie na Tybrze, w której wskazano miejsce spotkania. Stawił się tam w drodze do Śpiącego Lisa, rzymskiej siedziby Gildii Złodziei pod przewodnictwem La Volpe.

Rozejrzał się, ale nikogo nie zobaczył. Ulice były puste, nie widać było nawet żołnierzy Borgii, bo znajdował się już w dzielnicy zajętej przez ludzi Lisa.

– Leonardo?

– Tutaj!

Głos dobiegał zza ciemnych drzwi.

Ezio podszedł do nich. Leonardo wciągnął go w cień.

– Byłeś śledzony?

– Nie.

– Dzięki Bogu. Wychodziłem tu z siebie.

– Byłeś?...

– Nie. Kryje mnie mój przyjaciel, *messer Salai*. Powierzyłbym mu swoje życie.

– Twój przyjaciel?

– Jesteśmy ze sobą bardzo blisko.

– Bądź ostrożny, Leo, masz miękkie serce, kiedy w grę wchodzi młodzieńcy i to może być szczelina w twoim pancerzu.

– Może i mam miękkie serce, ale nie jestem głupcem. A teraz chodź.

Leonardo wyciągnął Ezia zza drzwi, rozejrzawszy się uprzednio po ulicy. Kilka kroków dalej uskoczył w zaułek, wijący się między pozbawionymi okien budynkami i gładkimi ścianami przez mniej więcej sześćset stóp, a potem krzyżujący się z trzema innymi. Skręcił w lewo i po kilku następnych krokach stanął przed niskimi, wąskimi drzwiami, pomalowanymi na ciemnozielono. Otworzył je. Obaj mężczyźni musieli się przeciskać przez małe wejście, ale pokonawszy je, znaleźli się w dużym, sklepionym pomieszczeniu, zalewanym przez naturalne światło z okien pod dachem. Sala zastawiona była stołami na kozłach i zagracona najróżniejszymi rupieciami: sztalugami, szkieletami zwierząt, zakurzonymi księgami, mapami – rzadkimi i cennymi jak wszystkie mapy (zbiór Bractwa Asasynów w Monteriggioni też był bezcenny, ale Borgiowie w swojej ignorancji zniszczyli pokój sztabowy kanonadą, przez co sami z niego nie skorzystali); w chaosie porozrzucone były ołówki, pióra, pędzle, farby i stosy papierów, a do ścian niedbale przypięto rozmaite rysunki... Krótko mówiąc, był to typowy, znajomy i, nie wiedzieć czemu, dodający otuchy bałagan, typowy dla każdej pracowni Leonarda, jaką Ezio miał okazję odwiedzić.

– To mój własny warsztat – oznajmił z dumą da Vinci. – Najdalej jak się dało od mojej oficjalnej pracowni przy Zamku św. Anioła. Nikt tu nie przychodzi oprócz mnie. I Salaiego, oczywiście.

– Nie pilnują cię?

– Przez jakiś czas pilnowali, ale kiedy chcę, umiem się przypocholebiać i kupili moją grę. Wynajmuję to pomieszczenie od kardynała Bazyliki św. Piotra w Okowach. Umie dochować tajemnicy i nie należy do przyjaciół Borgiów.

– Nie zaszkodzi zabezpieczyć się na przyszłość?

– Ezio, mój przyjacielu, nic, ale to nic nie uchodzi twojej uwadze! A teraz do rzeczy. Nie wiem, czy mogę cię czymś poczęstować, gdzieś tu musi być butelka wina.

– Przestań, nie trzeba. Mów, czemu po mnie posłałeś.

Leonardo podszedł do jednego ze stołów po prawej stronie warsztatu i zaczął pod nim grzebać, wyciągając w końcu podłużną, obitą skórą, drewnianą skrzynkę, którą postawił na blacie.

– Proszę – powiedział, otwierając ją zamasyście.

Skrzynka wyłożona była purpurowym aksamitem („To pomysł Salaiego, niech go Bóg błogosławi!” – wyjaśnił Leonardo) i zawierała idealne kopie utraconych broni Ezia z Kodeksu. Był tam karwasz osłaniający lewe przedramię, mały, wysuwany pistolet, podwójne ostrze i zatrute ostrze.

– Z karwaszem był największy problem – ciągnął Leonardo. – Bardzo trudno było odtworzyć ten niezwykły metal. Z tego, co mi mówiłeś o wypadku, w którym straciłeś oryginały, mógł przetrwać. Gdybyś zdołał go odzyskać?...

– Jeśli przetrwał, jest pogrzebany pod kilkoma tonami gruzu – powiedział Ezio. – Równie dobrze mógłby spoczywać na dnie morza.

Nałożył karwasz. Był trochę cięższy niż pierwszy, ale wyglądało na to, że będzie się dobrze spisywał.

– Nie wiem, jak ci dziękować – powiedział Ezio.

– To proste – odparł Leonardo. – Pieniędźmi! Ale to nie wszystko.

Znów zanurkował pod stół i wyjął następną skrzynkę, większą niż pierwsza.

– Oto nowe rzeczy, mogą ci się przydać od czasu do czasu.

Uniósł wieko, ukazując lekką kuszę z zestawem bełtów, komplet strzałek do rzucania i opancerzoną, skórzaną rękawicę.

– Rzutki są zatrute – powiedział – więc nie dotykaj nawet czubków gołymi rękami. Jeśli wyciągniesz je ze swojego, yyy... celu, odkryjesz, że można ich użyć ponownie, do tuzina razy.

– A rękawica?

Leonardo uśmiechnął się.

– Z niej jestem najbardziej dumny. Pozwoli ci się wspinać z łatwością po każdej powierzchni. Będziesz prawie jak gekon. – Przerwał, zakłopotany. – Nie testowałem jej na szkle, ale wątpię, czy napotkasz kiedyś ścianę aż tak

gładką.

Znów przerwał.

– Kusza to kusza, ale jest bardzo mała i lekka. O jej wyjątkowości stanowi fakt, że jest ma taką samą skuteczność, jak te ciężkie modele, które teraz są wypierane przez moje rusznice – wybacz – a oczywiście ma nad rusznicą tę przewagę, że jest dość cicha.

– Nie mogę tego wszystkiego teraz ze sobą zabrać.

Leonardo wzruszył ramionami.

– To nie problem. Dostarczymy je. Na wyspę na Tybrze?

Ezio zastanowił się.

– Nie. Znasz może dom uciech Rosa in Fiore? Znajduje się w *rione Montium et Biberace*, niedaleko starego forum z kolumną.

– Znajdziemy go.

– Zostawcie je u mojej siostry Claudii. Mogę?

Ezio wziął kartkę papieru i napisał coś na niej.

– Przekażcie jej to. Naszkicowałem tu również położenie lokalu, bo trudno go znaleźć. Dostarczę ci pieniądze, jak tylko będę mógł.

– Pięć tysięcy dukatów.

– Ile?

– To nie są tanie rzeczy...

Ezio wydał wargi.

– Dobrze. – Wziął od Leonarda kartkę i dopisał jeszcze jedną linijkę. – Ostatnio weszliśmy w posiadanie nowych i... niespodziewanych funduszy. Moja siostra ci zapłaci. I posłuchaj, Leonardo, muszę ci zaufać. Ani słowa nikomu innemu.

– Nawet Salaiemu?

– Salaiemu, jeśli będziesz musiał. Ale jeśli Borgiowie odkryją położenie burdelu, zabiję Salaiego i zabiję ciebie, przyjacielu.

Leonardo się uśmiechnął.

– Wiem, że żyjemy w bardzo ciężkich czasach, mój drogi, ale powiedz: czy

ja cię kiedykolwiek zawiodłem?

Zadowolony Ezio zostawił przyjaciela i ruszył dalej do Śpiącego Lisa. Był spóźniony, ale spotkanie z Leonardem w pełni to usprawiedliwiało.

Przeszedł przez dziedziniec, z satysfakcją widząc, że interes wciąż kwitnie, i już miał przedstawić się złodziejom na warcie pod drzwiami z napisem „Uffizi”, kiedy zjawił się sam La Volpe, zupełnie znikąd – był w tym dobry.

– *Buongiorno*, Ezio!

– *Ciao*, Gilberto!

– Dobrze, że przyszedłeś. Czego sobie życzysz?

– Usiądźmy gdzieś w zaciszu.

– W *uffizi*?

– Zostańmy tutaj. To, co chcę ci powiedzieć, jest przeznaczone tylko dla twoich uszu.

– To dobrze, bo ja też mam ci coś do powiedzenia, co na razie powinno zostać między nami.

Usiedli przy stole w pustym barze wewnątrz gospody, z dala od grających i pijących.

– Pora złożyć wizytę kochankowi Lukrecji, Pietrowi – powiedział Ezio.

– Dobrze. Moi ludzie już go szukają.

– *Molto bene*, ale pracującego aktora nie powinno być tak trudno znaleźć, a ten jest w dodatku sławny.

La Volpe pokręcił głową.

– Jest wystarczająco sławny, by mieć własną ochronę. A poza tym uważamy, że mógł się ukryć, bo boi się Cesare.

– To by się zgadzało. Cóż, zróbcie, co w waszej mocy. A teraz – o czym chciałeś porozmawiać?

La Volpe przez chwilę zmagął się sam ze sobą.

– To delikatna sprawa... Ezio, jeśli mogę...

– O co chodzi?

– Ktoś ostrzegł Rodriga, żeby się trzymał z dala od Zamku św. Anioła.

– I uważasz, że ten ktoś to... Machiavelli?

La Volpe milczał.

– Masz dowody? – naciskał Ezio.

– Nie, ale...

– Wiem, że Machiavelli cię niepokoi, ale posłuchaj, Gilberto, nie mogą nas poróżnić same tylko poszlaki.

W tym momencie drzwi otworzyły się z trzaskiem i przerwało im pojawienie się rannego złodzieja, który chwiejnie wpadł na salę.

– Złe wieści! – krzyknął. – Borgiowie wiedzą, gdzie są nasi szpiedzy!

– Kto im powiedział? – zagrzemiał La Volpe, wstając.

– Maestro Machiavelli rozpytywał dzisiaj o nasze poszukiwania tego aktora, Pietra.

Lis zacisnął dłoń w pięść.

– Ezio? – spytał cicho.

– Mają czterech naszych ludzi pod strażą – powiedział złodziej. – Miałem szczęście, że zdołałem uciec.

– Gdzie?

– Niedaleko stąd, przy Santa Maria dell'Orto.

– Chodź! – zawołał La Volpe do Ezia.

W kilka chwil jego ludzie przygotowali dwa konie i dwaj asasyni na złamanie karku wypadli ze stajni Śpiącego Lisa.

– Wciąż nie wierzę, że Machiavelli nas zdradził – upierał się Ezio.

– Na jakiś czas przycichł, żeby uśmierzyć nasze wątpliwości – odkrzyknął Lis. – Ale spójrz na fakty: najpierw atak na Monteriggioni, potem ta sprawa z Zamkiem św. Anioła, a teraz to. To on za tym wszystkim stoi.

– Jedź! Jedź jak sam diabeł! Może jeszcze zdążymy ich uratować.

Galopowali na oślep wąskimi uliczkami, na zmianę ściągając wodze i popędzając konie, by nie poranić ludzi i nie powywracać kramów na swojej drodze. Przechodnie i kury rozbiegali się przed nimi na boki, a kiedy żołnierze Borgiów spróbowali zastąpić asasynom drogę z uniesionymi

halabardami, po prostu ich stratowali.

Dotarli na miejsce, o którym mówił ranny złodziej, w siedem minut i zobaczyli, że gwardziści szykują się, by załadować czterech więźniów do krytego wozu; tłukli ich głowicami mieczy i wyszydźali. W jednej chwili Ezio i La Volpe spadli na nich jak mściwe Furie.

Z wyciągniętymi mieczami sprawnie kierowali końmi między gwardzistami, odcinając ich od więźniów i rozpędzając po placu przed kościołem. La Volpe ścisnął mocno miecz prawą dłonią, lewą puścił wodze, zawracając konia udami, popędził do wozu, wyrwał woźnicy bat i strzelił nim po zadach koni w zaprzęgu. Stały dęba, zarżały, a potem pogalopowały przed siebie; woźnica bezskutecznie próbował nad nimi zapanować. La Volpe odrzucił bat i, omal nie spadając, znów chwycił wodze i zawrócił do Ezia, otoczonego przez pięciu żołnierzy, którzy halabardami dźgali zad i pierś jego rumaka. Okładając ich mieczem, Lis dał Eziowi dość czasu, by ten się wyrwał z potrzasku i rozrąbał tors jednemu z gwardzistów. Asasyn zawrócił w miejscu, znów ciął mieczem i gładko zdjął głowę z ramion następnemu. La Volpe tymczasem powalił pozostałych. Reszta leżała ranna albo czym prędzej zbiegła.

– Uciekać mi stąd, wieprze! – wrzasnął Lis, a potem odwrócił się do swoich ludzi. – Z powrotem do bazy! Ale już! Tam do was dołączymy!

Czterej złodzieje zebrali swoje siły i pobiegli główną ulicą odchodzącą z placu, przeciskając się zwinnie przez mały tłumek gapiów, który zgromadził się, by obejrzeć walkę. Ezio i La Volpe pojechali za złodziejami, pilnując, by wszyscy uratowani dotarli na miejsce bez szwanku.

Do Śpiącego Lisa weszli ukrytym bocznym wejściem i po chwili zebrali się w barze, na którego drzwiach wisiała tabliczka „Zamknięte”. La Volpe zamówił dla swoich ludzi piwo, ale z przesłuchaniem nie czekał, aż zostanie podane.

– Czego zdołaliście się dowiedzieć?

– Szefie, jest plan, żeby dziś wieczorem zabić aktora. Cesare wysła

swojego „rzeźnika”, żeby się tym zajął.

– Kto to jest? – spytał Ezio.

– Widziałeś go – odparł Lis. – Micheletto Corella. Nikt nie zapomina takiej twarzy.

Rzeczywiście, Ezio przypomniał sobie mężczyznę, którego widział po prawej ręce Cesare w Monteriggioni, a potem znów w stajniach Zamku św. Anioła. Okrutna, posiniaczona twarz, wyglądająca o wiele starszej, niżby wynikało z wieku jej właściciela, z ohydną blizną przy ustach, sprawiającą wrażenie, jakby się bez przerwy sardonicznie uśmiechał. Micheletto Corella. Pierwotnie Miguel de Corella. Corella – czy ten region Nawarry, produkujący takie dobre wino, naprawdę wydał tego oprawcę i mordercę?

– Potrafi zabić człowieka na sto pięćdziesiąt różnych sposobów – mówił La Volpe – ale jego ulubioną metodą jest duszenie. – Przerwał. – To z pewnością najskuteczniejszy morderca w Rzymie. Jeszcze nikt nigdy się przed nim nie uchował.

– Miejmy nadzieję, że dziś wieczorem będzie ten pierwszy raz – powiedział Ezio.

– Gdzie uderzy wieczorem? Wiecie? – spytał Lis złodziei.

– Pietro występuje dziś w religijnej sztuce. Przygotowuje się w jakimś tajnym miejscu.

– Musi być przerażony. I co dalej?

– Gra Chrystusa. – Jeden ze złodziei parsknął śmiechem; Lis zgromił go wzrokiem. – Ma być powieszony na krzyżu – ciągnął mężczyzna. – Micheletto podejdzie do niego z włócznią i przebije mu bok – tyle że nie będzie wtedy markował.

– Wiecie, gdzie jest Pietro?

Złodziej pokręcił głową.

– Nie potrafię powiedzieć. Nie mogliśmy go znaleźć. Ale wiemy, że Micheletto będzie czekał przy starych Termach Trajana.

– *Terme di Traiano?*

– Tak. Wydaje się nam, że plan jest taki: Micheletto zamierza przebrać swoich ludzi w kostiumy i sprawić, by zabójstwo wyglądało na wypadek.

– Gdzie ma być wystawiana ta sztuka?

– Nie wiemy, ale nie może to być daleko od miejsca, gdzie Micheletto będzie czekał na swoich ludzi.

– Pójdę tam i będę go śledził – postanowił Ezio. – Zaprowadzi mnie do kochanka Lukrecji.

– Coś jeszcze? – spytał złodziei Lis.

Pokręcili głowami. Do stołu podszedł mężczyzna z tacą piw, chlebem i salami, na które złodzieje rzucili się z wdzięcznością. La Volpe odciągnął Ezia na bok.

– Ezio, przykro mi, ale jestem przekonany, że Machiavelli nas zdradził. – Podniósł rękę. – Cokolwiek powiesz, nie zmieni to mojego zdania. Wiem, że obaj chcielibyśmy temu zaprzeczyć, ale prawda wyszła już na jaw. Moim zdaniem, powinniśmy... zrobić, co trzeba. – Przerwał. – I jeśli ty tego nie zrobisz, to zrobię to ja.

– Rozumiem.

– I jeszcze jedno, Ezio. Bóg mi świadkiem, że jestem lojalny, ale muszę też myśleć o swoich ludziach. Dopóki to wszystko się nie uspokoi, nie będę ich więcej wystawiać na niepotrzebne ryzyko.

– Masz swoje priorytety, Gilberto, a ja mam swoje.

Ezio wyszedł przygotować się do wieczornego zadania. Pożyczył konia od La Volpe i pojechał prosto do Rosa in Fiore, gdzie powitała go Claudia.

– Dostałeś przesyłkę – powiedziała.

– Tak szybko?

– Dwaj ludzie, obaj bardzo eleganccy. Jeden raczej młody, o dość chytrej aparycji, ale na swój sposób przystojny. Drugi około pięćdziesiątki, w każdym razie kilka lat starszy od ciebie. Oczywiście pamiętałam go, to był twój dawny przyjaciel Leonardo, ale zachowywał się bardzo oficjalnie. Dał mi tę kartkę, a ja mu zapłaciłam.

– Szybko poszło.

Claudia się uśmiechnęła.

– Powiedział, że pomyślał, iż możesz potrzebować ekspresowej przesyłki.

Ezio również się uśmiechnął. Dobrze byłoby zetrzeć się z dzisiejszymi wrogami – przypuszczał, że ludzie Micheletta będą bardzo dobrze wyszkoleni – mając ze sobą starych przyjaciół: bronie z Kodeksu. Jednak potrzebował też wsparcia, a po zachowaniu La Volpe wiedział, że nie może liczyć na wsparcie oddziału złodziei.

Jego myśli zwróciły się ku jego własnym oddziałom świeżych rekrutów. Przyszła pora wziąć paru z nich w obroty.

36

Ezio o tym nie wiedział, ale *messer* Corella przed głównym wydarzeniem wieczoru miał jeszcze jedną małą sprawę do załatwienia, którą zlecił mu jego przełożony. Wciąż było jednak dość wcześnie.

Stał w milczeniu w opustoszałym doku nad Tybrem. Na kotwicy kołysało się kilka barek i dwa statki, łagodnie poruszane nurtem rzeki. Brudne, pozwijane żagle statków marszczyły się lekko na wietrze. W ich stronę szła grupa żołnierzy z insygniami Cesare, na wpeł ciągnąc, na wpeł niosąc mężczyznę z zawiązanymi oczami. Na ich czele szedł sam Borgia.

Micheletto bez zaskoczenia rozpoznał w mężczyźnie Francesca Troche.

– Proszę – skamlał Francesco – nie zrobiłem nic złego.

– Francesco, mój drogi przyjacielu – powiedział Cesare. – Fakty są oczywiste. Powiedziałeś swojemu bratu o moich planach w Romanii, a on skontaktował się z weneckim ambasadorem.

– To był wypadek przy pracy. Wciąż jestem twoim sługą i sprzymierzeńcem.

– I domagasz się, żebym zapomniał o twoich czynach i oparł się na samej przyjaźni?

– Ja... proszę, nie domagam się.

– Mój drogi Francesco, żeby zjednoczyć Italię, muszę mieć pod kontrolą wszystkie instytucje. Wiesz, jakiej najwyższej organizacji służymy – Zakonowi Templariuszy, a jestem teraz jego przywódcą.

– Myślałem, że twój ojciec...

– A jeśli Kościół nie będzie się słuchał – ciągnął twardo Cesare – całkowicie go wyeliminuję.

– Ale wiesz przecież, że tak naprawdę pracuję dla ciebie, nie dla papieża.

– Ach, doprawdy, Troche? Teraz jest tylko jeden sposób, bym był tego bezwarunkowo pewny.

– Nie zamierzasz chyba mnie zabić, swojego najwierniejszego przyjaciela?

Cesare się uśmiechnął.

– Oczywiście, że nie.

Pstryknął palcami. Micheletto bezgłośnie zaszedł Francesca od tyłu.

– Ty mnie... wypuszczasz? – W głosie Trochego dała się słyszeć przemożna ulga. – Dziękuję, Cesare. Dziękuję ci z całego serca. Nie pożalujesz...

Jego podziękowania zostały przerwane, kiedy Micheletto, trzymając w dłoniach cienki sznurek, pochylił się do przodu i zacisnął mu go mocno na szyi. Cesare patrzył przez chwilę, ale potem, nie czekając, aż Francesco skona, odwrócił się do kapitana straży i spytał:

– Czy kostiumy na przedstawienie są gotowe?

– Tak jest!

– A więc daj je Michelettowi, kiedy skończy.

– Tak jest!

– Lukrecja jest moja i tylko moja. Nie sądziłem, że jest dla mnie aż tak ważna, ale kiedy w Urbino dostałem wiadomość od jednego z jej własnych ludzi, że ta żałosna ropucha, ten nędzny aktorzyzna śmie ją obmacywać i obśliniać, natychmiast wróciłem. Potrafisz zrozumieć taką namiętność, kapitanie?

– Tak jest!

– Jesteś głupcem. Skończyłeś, Micheletto?

– *Messere*, ten człowiek nie żyje.

– A więc obciążcie go kamieniami i wrzucie do Tybru.

– Jak rozkażesz, Cesare.

Kapitan wydał rozkazy swoim ludziom; czterej z nich gdzieś poszli i wrócili z dużymi, wiklinowymi koszami.

– Tu są kostiumy dla twoich ludzi. Upewnij się podwójnie, że zadanie zostało należycie wykonane.

– Oczywiście, *messere*.

Cesare odmaszerował, zostawiając swojego podwładnego samego. Micheletto machnął ręką na strażników, żeby poszli za nim, i ruszył do Term Trajana.

Ezio i jego grupa rekrutów byli już przy termach, ukryci w zrujnowanym portyku. Asasyn zauważył, że sporo mężczyzn w czerni już się zebrało. Przyglądał się im uważnie, gdy zjawił się Micheletto. Strażnicy postawili na ziemi kosze z przebraniami i Corella odprawił ich gestem. Cienie były głębokie i Ezio dał swoim ludziom znak, by się przygotowali. Na lewą rękę założył karwasz, a do prawej przypiął zatrute ostrze.

Ludzie Micheletta ustawili się w kolejkę. Każdy podchodził do swojego dowódcy i dostawał kostium – były to uniformy przypominające te, które nosili rzymscy legionieści w czasach Chrystusa. Ezio zauważył, że sam Micheletto przebrał się za centuriona.

Zamachowcy po kolei odchodzili na bok, żeby założyć stroje. Ezio bezgłośnie wysunął ukryte zatrute ostrze, które zbudował dla niego Leonardo. Niczego się niespodziewający bandyci padli bez jednego dźwięku, a potem ludzie Ezia założyli ich teatralne kostiumy i wywlekli trupy poza zasięg wzroku.

Zajęty przygotowaniami Micheletto nie zauważył, że ludzie, którymi teraz dowodził, nie są jego własnymi. Poprowadził ich, z idącym niedaleko z tyłu Eziem, w stronę Koloseum.

Scenę wzniesiono w ruinach starego, rzymskiego amfiteatru, gdzie od czasów cesarza Tytusa gladiatorzy walczyli ze sobą na śmierć i życie, *bestiarium* zabijali dziesiątki tysięcy dzikich zwierząt, a chrześcijan rzucono lwom. Było to ponure miejsce, ale jego przybijającą atmosferę rozpraszały nieco setki migoczących pochodni, które oświetlały scenę, podczas gdy publiczność, usadzona na ławach drewnianych trybun, pochłonięta była

oglądaniem przedstawienia o męce Chrystusa.

– Szukam Pietra Benintendiego – powiedział Micheletto do odźwiernego, pokazując mu przepustkę.

– Gra na scenie, *signore* – odparł odźwierny. – Ale jeden z moich ludzi zabierze cię w miejsce, gdzie będziesz mógł na niego zaczekać.

Micheletto odwrócił się do swoich „towarzyszy”.

– Nie zapomnijcie – powiedział im. – Będę miał na sobie czarny płaszcz z białą gwiazdą na ramieniu. Kryjcie mnie i czekajcie na znak, którym będzie rozkaz Kajfasza, by setnik uderzył.

Muszę dostać się do Pietra przed nim – pomyślał Ezio, idąc na końcu grupy podążającej za swoim przywódcą w głąb Koloseum.

Na scenie wzniesiono trzy krzyże. Ezio patrzył, jak jego rekruci rozstawiają się zgodnie z rozkazami Micheletta, a on sam zajmuje miejsce za kulisami.

Sztuka zbliżała się właśnie do swojego momentu kulminacyjnego.

– Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił? – zawołał Pietro z krzyża.

– Patrz – rzekł jeden z aktorów grających Faryzeuszy. – Jak wzywa Eliasza, by go zbawił!

Inny, w stroju rzymskiego legionisty, zmoczył gąbkę w occie i zatknął ją na grocie włóczni.

– Poczekajcie, zobaczymy, czy przyjdzie Eliasz go wybawić!

– Wielkie jest moje pragnienie, wielkie jest moje pragnienie – zawołał Pietro.

Żołnierz uniósł gąbkę do jego ust.

– Pić więcej nie dostaniesz – powiedział inny z Faryzeuszy.

Pietro uniósł głowę.

– Wielki Boże w swej chwale – zadeklamował. – Woli Twej nigdy czynić nie przestanę. Polecam Ci ducha mego, przyjmij go, Panie, w Swoje ręce. – Pietro przejmująco westchnął. – *Consummatum est!*

Jego głowa opadła. Chrystus skonał.

Na dany znak Micheletto wkroczył na scenę, jego zbroja centuriona

połyskiwała spod odrzuconego przez ramię czarnego płaszcza. Ezio zastanawiał się, co się stało z aktorem, który pierwotnie miał grać rolę Rzymianina, ale przypuszczał, że spotkał go los podobny do większości ofiar Micheletta.

– Ten był zaprawdę Synem Bożym – wyrecytował śmiało Micheletto. – Wiem, że tak jest. Okrzyk jego dowodzi, że wypełnił Swe proroctwo i boskość się w Nim objawiła!

– Setniku – powiedział aktor grający Kajfasza – jak Bóg mi sprzyja, czy postradałeś zmysły? Nie pojmujesz! Ciekawym, co powiesz, kiedy zobaczysz, jak krwawi Jego serce. Longinusie, weź w dłoń tę włócznię.

Kajfasz podał drewnianą włócznię aktorowi grającemu rzymskiego legionistę Longinusa, potężnemu mężczyźnie o falistych lokach. To wyraźny faworyt publiczności i bez wątpienia bezpośredni rywal Pietra – pomyślał Ezio.

– Weź tę włócznię, a bacz dobrze – dodał jeszcze jeden z Faryzeuszy. – Przebić musisz bok Jezusa Nazarejczyka, abyśmy wiedzieli, że prawdziwie skonał.

– Zrobię, jak każecie – oznajmił Longinus – ale na wasze głowy to spadnie. Od kary za ten czynek ja umyвам ręce.

Potem bardzo ostentacyjnie dźgnął Jezusa w bok rekwizytem, a kiedy z ukrytego worka w przepasce biodrowej Pietra połały się krew i woda, Longinus rozpoczął swoją wielką przemowę. Ezio widział błysk oczu martwego Jezusa – Pietro patrzył z zazdrością na konkurenta.

– Królu Niebieski, widzę cię. Niech wodą spłyną moje ręce i moja włócznia, i niech oczy moje zostaną obmyte, abym widział lepiej. – Zrobił dramatyczną pauzę. – Biada mi! Cóżem uczynił? Zgładziłem człowieka, dość powiedzieć, ale jakiego rodzaju? Panie Boże w niebiesiech, wołam o miłosierdzie, bo to ciało me pokierowało mą ręką, nie dusza ma. – Znów zrobił przerwę na oklaski i brnął dalej. – Panie Jezu, wiele o Tobie słyzałem – żeś uzdrawiał, przez litość swą, chorych i ślepców. I niech się święci imię

Twoje, dziś ze ślepoty wyleczyłeś i mnie – ze ślepoty ducha mego. Odtąd wyznawcą Twym będę, Panie. A za trzy dni z martwych powstaniesz i wszystkich nas osądzisz.

Aktor grający Józefa z Arymatei, bogatego żydowskiego przywódcę, który oddał swój własny grobowiec – już wybudowany – na grób Chrystusa, rzekł:

– Ach, Panie Boże, czemuś dozwolił im zabić tego człeka, któren wisi tu nieżywy na krzyżu, człeka, co nikomu nie uchybił? Przecież to Syn Boży. Niechże w grobowcu dla mnie wykutym Jego ciało złożone zostanie – bo On jest Królem Zbawienia.

Nikodem, kolega Józefa z Sanhedrynu i również wyznawca, dodał swoją kwestię:

– *Ser* Józefie, zaprawdę powiadam, oto Syn Boga Wszechmogącego. Niech nam wyda Jego ciało Poncjusz Piłat, niech pogrzebane zostanie dostatnio. A ja pomogę ci zdjąć Go z namaszczeniem.

Józef odwrócił się do aktora grającego Piłata.

– *Ser* Piłacie, proszę, byś wyświadczył mi tę łaskę, jak to jest w twojej mocy. Ów prorok, który dziś skonał – dozwól mi zabrać jego ciało.

Micheletto ustawił się bardzo blisko środkowego krzyża, a Ezio wślizgnął się za scenę. Tam szybko przetrząsnął skrzynię z kostiumami i znalazł rabińską szatę, którą pospiesznie założył. Potem wrócił na scenę z lewej strony i nie zakłócając akcji, ustawił się za Michelettem tak, że nikt tego nie zauważył.

– Józefie, jeśli zaprawdę Jezus Nazarejczyk skonał, co setnik musi potwierdzić, nie odmówię ci jego ciała. – Piłat odwrócił się do Micheletta. – Setniku! Czy Jezus nie żyje?

– Tak, *ser* namiestniku – powiedział Micheletto, a Ezio zobaczył, że zabójca wyciąga spod płaszcza wąski sztylet. Asasyn zastąpił swoje zatrute ostrze, pozbawione już jadu, zaufanym ukrytym ostrzem; przebił bok Micheletta, trzymając go w pionie i sprowadzając ze sceny tam, skąd przyszedł. Za kulisami położył go na ziemi.

Micheletto przeszył go roziskrzonym spojrzeniem.

– Ha! – powiedział. – Nie ocalisz Pietra. Ocet na gąbce był zatruty. Tak jak obiecałem Cesare, upewniłem się podwójnie. – Z trudem łąpał oddech. – Lepiej mnie dobij.

– Nie przyszedłem tu cię zabijać. Pomogłeś swojemu panu dojść do potęgi i razem z nim upadniesz. Mój udział jest zbędny; sam będziesz przyczyną swojego zniszczenia. A jeśli przeżyjesz, to cóż – pies zawsze wraca do swojego pana. Zaprowadzisz mnie więc do mojej prawdziwej ofiary.

Ezio nie miał czasu na więcej; musiał uratować Pietra.

Kiedy wbiegł z powrotem na scenę, zastał na niej chaos. Pietro wił się na krzyżu i wymiotował, a jego twarz przybrała kolor sparzonego migdała. Publiczność była wzburzona.

– Co się stało? Co się dzieje? – wołał Longinus, a reszta aktorów się rozpierzchnęła.

– Odciąć go! – wrzasnął Ezio do swoich rekrutów. Kilku celnie rzuciło sztyletami, przecinając liny wiążące Pietro do krzyża, inni przygotowali się, by go złapać. Jeszcze inni walczyli z gwardzistami Borgiów, którzy pojawili się nie wiadomo skąd i szturmowali scenę.

– Tego nie było w scenariuszu! – zabulgotał Pietro, spadając w ramiona rekrutów.

– On umrze? – spytał z nadzieją Longinus. W ciężkim fachu jeden rywal mniej to zawsze dobra wiadomość.

– Zatrzymać żołnierzy! – krzyknął Ezio, sprowadzając rekrutów ze sceny i niosąc Pietra w ramionach przez płytką sadzawkę na środku Koloseum. Spłoszył dziesiątki pijących wodę gołębi, które wzbiły się i odleciały. Ostatnie promienie zachodzącego słońca oświetliły Ezia i Pietra matowym, czerwonym blaskiem.

Ezio dobrze wyszkolił swoich rekrutów; ich tylna straż skutecznie zatrzymała pościg żołnierzy Borgiów, podczas gdy reszta uciekła z Koloseum i pobiegła labiryntem ulic na północ. Ezio, biegnący na przedzie,

poprowadził ich do domu znajomego lekarza. Załomotał do drzwi, a usłyszawszy niechętnie zaproszenie, wszedł i położył Pietra na przykrytym siennikiem stole w gabinecie. Z belek stropowych zwisała oszałamiająca ilość suszonych ziół w pęczkach, wypełniając pomieszczenie nieprzyjemnym, gryzącym zapachem. Na półkach stały ciasno poupychane niezidentyfikowane albo zakazane przedmioty; dziwne stworzenia i ich części pływały w przezroczystych butlach wypełnionych mętnym płynem.

Ezio rozkazał swoim ludziom stanąć na straży na zewnątrz. Zastanawiał się, co mogą pomyśleć przechodnie, widząc gromadę rzymskich żołnierzy – najpewniej, że widzą duchy... Sam Ezio swój faryzejski kostium zrzucił przy pierwszej sposobności.

– Kim jesteś? – mruknął Pietro. Ezio ze zmartwieniem zobaczył, że wargi aktora posiniały.

– Twoim wybawcą – powiedział i spojrzał na doktora. – Został otruty, *dottore* Brunelleschi.

Lekarz szybko zbadał Pietra i poświecił mu w oczy.

– Po bladości sądząc, użyli *cantarelli*. To ulubiona trucizna naszych ukochanych panów, Borgiów. – Odwrócił się do aktora. – Nie ruszaj się.

– Jestem śpiący – powiedział Pietro.

– Nie ruszaj się! Czy wymiotował? – spytał Brunelleschi Ezia.

– Tak.

– To dobrze.

Lekarz z wprawą wymieszał płyny z różnokolorowych, szklanych butelek, a potem wlał miksturę do fiołki. Tę podał Pietrowi i podniósł mu głowę.

– Wypij to.

– Pospiesz się – ponaglił Ezio.

– Daj mu chwilę.

Ezio patrzył z niepokojem i po chwili, która zdawała się trwać całe wieki, aktor usiadł.

– Chyba mi trochę lepiej – powiedział.

– *Miracolo!* – odetchnął z ulgą asasyn.

– Niezupełnie – odparł doktor. – Nie mógł zażyć dużo, a ja – niestety – miałem sporo do czynienia z ofiarami *cantarelli*; to zaś pozwoliło mi opracować bardzo skuteczne antidotum. Teraz – ciągnął rozsądnym tonem – przystawię pijawki. Dzięki temu chory w pełni wyzdrowieje. Możesz tu odpocząć, chłopcze, i już niedługo będziesz jak nowy.

Zakrzętnął się znów i zdjął z półki szklany słoik pełen czarnych, wijących się stworzeń. Wyjął ich garść.

– Nigdy chyba nie zdołam ci się odwdzięczyć – rzekł Pietro do Ezia.

– Zdołasz – odparł żywo Ezio. – Klucz do furtki, z której korzystasz podczas swoich schadzek w Zamku św. Anioła z Lukrecją. Daj mi go. Natychmiast!

Na twarzy Pietra pojawiła się obawa.

– O czym ty mówisz? Jestem tylko biednym aktorem, ofiarą zbiegu okoliczności... ja...

– Posłuchaj, Pietro, Cesare wie o tobie i Lukrecji.

Teraz obawę zastąpiło przerażenie.

– O Boże!

– Ale ja mogę ci pomóc. Jeśli dasz mi klucz.

Pietro bez słowa sięgnął pod przepaskę biodrową i oddał kluczyk.

– Zawsze noszę go ze sobą – przyznał się.

– Bardzo rozsądnie – pochwalił go Ezio, chowając klucz do kieszeni.

Dobrze było mieć coś, co zapewniało dostęp do zamku zawsze, kiedy zachodziła taka konieczność.

– Moi ludzie przyniosą ci ubranie i odstawią w bezpieczne miejsce. Każę dwóm z nich cię pilnować. Przez jakiś czas się nie pokazuj.

– Ale... moja widownia! – załkał aktor.

– Dopóki nie będziesz mógł znów bezpiecznie się wychylić, będą musieli zadowolić się Longinusem. – Ezio wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Ale nie przejmuj się – nie może się z tobą równać.

– Och, naprawdę tak sądzisz?

– Bez dwóch zdań.

– Au! – stęknął Pietro, kiedy doktor przystawił mu pierwszą pijawkę.

W mgnieniu oka Ezio znalazł się na zewnątrz. Tam wydał niezbędne rozkazy swoim ludziom.

– Ściągnijcie te kostiumy, kiedy tylko będziecie mogli – dodał. – Termy Trajana nie są daleko. Przy odrobinie szczęścia wasze normalne ubrania wciąż będą tam, gdzie je zostawiliście.

Ruszył w swoją stronę, ale nie zaszedł daleko, kiedy dostrzegł jakiegoś człowieka czającego się w cieniu. Kiedy tylko tamten poczuł na sobie wzrok Ezia, dał nogę. Ezio zdążył jednak rozpoznać w nim Paganina, złodzieja, który postanowił zostać w Monteriggioni, kiedy twierdza była płađrowana.

– Hej! – zawołał, rzucając się w pogoń. – *Un momento!*

Złodziej świetnie orientował się w rozkładzie ulic. Uskakiwał i znikał w zaułkach tak zręcznie, że Ezio o mało go nie zgubił; więcej niż raz musiał wspinać się na dachy i omiatać wzrokiem ulice w dole, by znów wypatrzyć mężczyznę. Magiczna rękawica Leonarda okazała się tu zaskakująco przydatna.

W końcu udało mu się wyprzedzić ofiarę i przeciąć jej drogę ucieczki. Złodziej sięgnął po sztylet, paskudnie wyglądającą *cinquedeę*, ale Ezio szybko wtrącił mu ją z ręki. Zagrzechotała niegroźnie o bruk.

– Dlaczego uciekałeś? – spytał Paganina, unieruchamiając go. Wtedy zauważył list, wystający ze skórzanej sakwy przy jego pasie. Pieczęci nie można było pomylić z żadną inną: należała do papieża Aleksandra VI!

Ezio wypuścił przeciągle powietrze z płuc; kawałki układanki podejrzeń połączyły się w spójną całość. Dawno temu Paganino należał do Gildii Złodziei Antonio Magianisa w Wenecji. Borgiowie musieli mu zaoferować wystarczająco dużo pieniędzy, skoro przeszedł na ich stronę, a potem przeniknął do grupy La Volpe w Rzymie – Cesare od samego początku miał kreta w sercu organizacji asasynów.

To był zdrajca – nie Machiavelli!

W tej krótkiej chwili, kiedy Ezia zajęły te myśli, złodziej wyrwał mu się i błyskawicznym ruchem podniósł z ziemi swoją broń. Jego rozpaczliwe spojrzenie napotkało wzrok asasyina.

– Niech żyją Borgiowie! – zawołał i z zamachu wbił sobie *cinquedegę* w pierś.

Ezio spojrzał na mężczyznę, który teraz wił się w śmiertelnych skurczach. Cóż, lepsza taka śmierć, niż powolne męczarnie z rąk jego panów – Ezio dobrze wiedział, jaką cenę Borgiowie każą płacić za każdą porażkę. Wepchnął list pod dublet i ruszył biegiem. *Merda* – pomyślał. – Miałem rację. A teraz muszę powstrzymać La Volpe, zanim dopadnie Machiavellego.

37

Kiedy biegł przez miasto, wpadł na Saraghinę, jedną z dziewczyn z Rosa in Fiore.

– Musisz szybko przyjść – rzuciła. – Twoja matka chce się z tobą pilnie zobaczyć.

Ezio przygryzł wargę. Powinien zdążyć.

– Tylko szybko – poleciał.

W lupanarze zastał Marię czekającą na niego z zatroskaną miną.

– Ezio – powiedziała. – Dziękuję, że przyszedłeś.

– Nie mam dużo czasu, matko.

– Coś jest nie tak.

– Mów.

– Dawna właścicielka tego przybytku...

– *Madonna Solari*?

– Tak. – Maria w końcu zebrała myśli. – Okazuje się, że była oszustką i kłamczuchą. Odkryliśmy, że prowadziła *il doppio gioco* i była blisko powiązana z Watykanem. Co gorsza, kilka dziewczyn tu zatrudnionych wciąż może być...

– Nie martw się, *madre*. Wyszukam je. Wyślę swoich najbardziej zaufanych rekrutów, żeby przesłuchali dziewczyny. Pod kierunkiem Claudii szybko dotrą do prawdy.

– Dziękuję, Ezio.

– Dopilnujemy, żeby pozostały tu tylko dziewczyny, które są wobec nas lojalne. A reszta...

Wyraz twarzy Ezia był nieprzejednany.

– Mam też inne wieści.

– Tak?

– Doszły nas słuchy, że ambasadorzy króla Ferdynanda Hiszpańskiego i Cesarza Świętego Cesarstwa Rzymskiego Maksymiliana przybyli do Rzymu. Wygląda na to, że chcą zawrzeć sojusz z Cesare.

– Jesteś pewna, matko? A po cóż im on?

– Nie wiem, *figlio mio*.

Ezio zacisnął zęby.

– Lepiej dmuchać na zimne. Poproś Claudię, żeby to dla mnie sprawdziła. Daję jej całkowitą swobodę w rozkazywaniu rekrutom, których jej przyślę.

– Zaufasz jej?

– Matko, po aferze z bankierem zaufałym wam dwóm własnym życiem. Wstyd mi, że wcześniej tego nie zrobiłem, ale tylko obawa o wasze bezpieczeństwo...

Maria podniosła rękę.

– Nie musisz tłumaczyć. I nie ma czego wybaczać. Znów wszyscy jesteśmy przyjaciółmi. Tylko to się liczy.

– Dziękuję. Dni Cesare są policzone. Nawet jeśli ambasadorzy pozyskają jego poparcie, wkrótce się przekonają, że jest nic niewarte.

– Mam nadzieję, że twoja pewność ma solidne podstawy.

– Uwierz mi, matko – ma. Albo będzie miała – o ile zdołam uratować Machiavellego przed chybionymi podejrzeniami La Volpe.

38

Ezio pożyczył konia z wyzwolonej przez siebie stajni i pogalopował do Śpiącego Lisa. Było niezwykle istotne, by dotarł tam, zanim Machiavellemu przytrafi się coś złego. Stracić go oznaczałoby stracić najtęższy mózg w całym Bractwie.

Choć pora nie była późna, z zaniepokojeniem zobaczył, że gospoda jest zamknięta. Ezio miał własny klucz i dostał się do środka przez bramę.

To, co ujrzał, uzmysłowiło mu, że przybył w ostatniej chwili. Zebrali się tam wszyscy członkowie Gildii Złodziei. La Volpe i jego najważniejsi porucznicy stali razem, żywiłowo omawiając jakąś sprawę wielkiej wagi; widać było, że podjęli już decyzję, ponieważ Lis, ze złowrogim wyrazem twarzy, ruszył w stronę Machiavellego, w prawej dłoni trzymając baselard. Machiavelli z kolei sprawiał wrażenie, jakby się tym w ogóle nie przejął, jakby nie miał pojęcia, co się dzieje.

– Stać! – krzyknął Ezio, wpadając między nich i łapiąc oddech po jeździe na złamanie karku.

Wszyscy odwrócili się do niego, a La Volpe stanął jak wryty.

– Powstrzymaj swą rękę, Gilberto! – rozkazał Ezio. – Odkryłem prawdziwego zdrajcę.

– Co takiego? – wyjąkał zaskoczony Lis przy akompaniamencie pełnych ekscytacji pomruków swoich ludzi.

– To jest, a raczej był – jeden z twoich własnych ludzi: Paganino! Był obecny podczas ataku na Monteriggioni; teraz zaś widzę, że przyłożył rękę do wielu naszych ostatnich niepowodzeń.

– Jesteś tego pewny?

– Sam wyznał swoją winę.

Twarz Lisa spochmurniała. Schował sztylet do pochwy.

– Gdzie jest teraz? – warknął.

– Tam, gdzie nikt już nie może go tknąć.

– Zginął?

– Z własnej ręki. Miał przy sobie ten list.

Ezio uniósł wysoko zapieczętowany pergamin i podał go La Volpe. Gdy przywódca złodziei złamał pieczęć i rozwinął papier, podszedł do niego Machiavelli.

– Mój Boże! – wykrzyknął Lis, wodząc wzrokiem po słowach.

– Pokaż – zażądał Machiavelli.

– Oczywiście. – La Volpe był mocno strapiony.

Machiavelli przejrzał list.

– Rodrigo napisał go do Cesare. To szczegóły naszego planu dotyczącego francuskiego generała Octaviena – między innymi.

– Jeden z moich własnych ludzi!

– To dobra wiadomość – rzekł Machiavelli do Ezia. – Możemy podmienić ten list na inny, zawierający fałszywe informacje – zbić ich z tropu...

– To faktycznie dobra wiadomość – odparł Ezio, ale ton jego głosu był zimny. – Gilberto, powinieneś być mnie posłuchać.

– Znów jestem twoim dłużnikiem, Ezio – powiedział z pokorą La Volpe.

Ezio pozwolił sobie na lekki uśmiech.

– Jak można mówić o długu między przyjaciółmi, którzy sobie ufają – którzy muszą sobie ufać?

Zanim Lis zdążył odpowiedzieć, odezwał się Machiavelli:

– Przy okazji – gratulacje. Jak rozumiem, wskrzesiłeś Chrystusa trzy dni wcześniej.

Ezio roześmiał się, wspominając uratowanie Pietra. Jakim cudem Machiavelli dowiadywał się o takich rzeczach tak szybko?!

La Volpe rozejrzał się po zebranych dookoła członkach i członkiniach

Gildii.

– No i na co się gapicie? – powiedział. – Forsa nam ucieka.

Później, kiedy Machiavelli pojechał zająć się przechwyconym listem, La Volpe odciągnął Ezia na bok.

– Cieszę się, że tu jesteś – rzekł – i to nie tylko dlatego, że nie pozwoliłeś mi zrobić z siebie skończonego głupca.

– Nie tylko to – odparł Ezio lekkim tonem. – Wiesz, co bym ci zrobił, gdybyś zabił Niccolò?

La Volpe odchrząknął.

– Ezio...

Asasyn klepnął go w plecy.

– Na szczęście wszystko dobrze się skończyło. Koniec kłótni. W Bractwie nie możemy sobie na nie pozwolić. A teraz – co chciałeś mi powiedzieć? Potrzebujesz mojej pomocy?

– Tak. Gildia jest silna, ale wielu moich ludzi jest młodych i niesprawdzonych. Popatrz na tego chłopaka, który ci zwinął sakiewkę. Popatrz na młodego Claudia...

– Do czego zmierzasz?

– Już mówię. Ogólnie złodzieje w Rzymie to młodzi mężczyźni i kobiety – owszem, biegli w swoim fachu, ale niedoświadczeni i podatni na rywalizację. Szkodliwą rywalizację.

– Mówisz o innym gangu?

– Tak. Zwłaszcza jednym, który może być zagrożeniem. Potrzebuję posiłków, by się z nim uporać.

– Moich rekrutów?

La Volpe przez chwilę milczał.

– Wiem, że odmówiłem ci pomocy, kiedy najmocniej podejrzewałem Niccolò, ale teraz...

– Kim oni są?

– Nazywają się *Cento Occhi* – Sto Oczu. To kreatury Cesare Borgii

i przysparzają nam dużych kłopotów.

– Gdzie jest ich baza?

– Moi szpiedzy ją zlokalizowali.

– Gdzie?

– Za chwilę. Są wściekli i szukają okazji do bitki.

– A więc musimy ich zaskoczyć.

– *Bene!*

– Ale trzeba się przygotować na odwet.

– Uderzymy pierwsi i nie damy im sposobności do odwetu. – La Volpe, już bardziej podobny do dawnego siebie, zatarł ręce w niecierpliwym geście. – Najważniejsze to wyeliminować ich przywódców. Tylko oni mają bezpośredni kontakt z Borgiami. Usuńmy ich, a odrąbiemy głowę *Cento Occhi*.

– I naprawdę potrzebna ci do tego moja pomoc?

– Złamałeś potęgę wilkoludów.

– Owszem. I to bez twojej pomocy.

– Wiem...

– A człowiekiem, który pomógł mi złamać wilkoludów, był...

– Wiem!

– Posłuchaj, Gilberto. Połączymy siły i zrobimy to razem – nie bój się. Potem, jak sądzę, twoja Gildia zostanie głównym kartelem w Rzymie.

– To prawda – zgodził się niechętnie La Volpe.

– Jeśli mam ci pomóc – ciągnął powoli Ezio – mam jeden warunek.

– Tak?

– Że nigdy więcej nie zagroziś jedności Bractwa. Bo omal tego właśnie nie zrobiłeś.

La Volpe skłonił głowę.

– Otrzymałem nauczkę – powiedział pokornie.

– Niezależnie od tego, czy to twoje przedsięwzięcie skończy się sukcesem czy porażką.

– Niezależnie, czy się skończy sukcesem, czy porażką – zgodził się Lis. –
Ale się nie skończy...

– Czym się nie skończy?

La Volpe uśmiechnął się do przyjaciela niczym Mefistofeles.

– Porażką.

39

Wydzieliwszy ze swoich rosnących w siłę rekruckich oddziałów grupę do pomocy La Volpe w zmaganiach z *Cento Occhi*, Ezio wrócił do swojej kwatery. Uzupełnił zasobnik w zatrutym ostrzu jadem, który specjalnie dla niego przygotował Leonardo, sprawdził i przeczyścił ukryty pistolet, podwójne ostrze, a także nową kuszę i zatrute rzutki.

Pracę przerwał mu posłaniec od Bartolomea, proszący, by Ezio przybył jak najszybciej do koszar najemników. Wyczuwając kłopoty i martwiąc się tym – miał nadzieję, że Bartolomeo i jego *condottieri* trzymają Francuzów w szachu – asasyn spakował broń z Kodeksu do juków przy siodle i poszedł do stajni, gdzie wynajął swojego ulubionego konia i wyruszył w drogę.

Był ładny dzień, droga była sucha – nie padało od około tygodnia. Okolicę za miastem pokrywał kurz. Ezio starannie wybrał taką trasę, której nie pilnowali żołnierze Borgiów, co jakiś czas skracając ją przez lasy i pola, gdzie pasące się leniwie krowy podnosiły łby i odprowadzały go spojrzeniem.

Do koszar dotarł po południu. Wszędzie wydawał się panować spokój. Ezio zauważył, że odnowione mury i blanki zostały nieco poszczerbione francuskimi kanonadami, ale uszkodzenia nie były poważne; grupa mężczyzn krzątała się na rusztowaniach albo w koszach zwieszonych z parapetów, naprawiając bruzdy i pęknięcia po armatnich kulach.

Zsiadł z konia i podał wodze stajennemu, który do niego podbiegł, delikatnie ścierając ślady piany z pyska wierzchowca – nie popędzał go zbyt ostro. Poklepał klacz po nosie, a potem niezapowiedziany ruszył przez plac defilad w kierunku kwatery Bartolomea.

Myślał, jaki powinien być jego następny krok po usunięciu bankiera Cesare, i zastanawiał się, co może zrobić jego wróg, by zapewnić sobie nieprzerwany dopływ finansów. Dlatego zaskoczyło go, gdy dotknął nosem sztychu Bianki, wielkiego miecza Bartolomea.

– Kto idzie?! – zahuczał najemnik.

– Tobie też *salve* – odparł Ezio.

Bartolomeo ryknął śmiechem.

– Mam cię!

– Nauczyłeś mnie ostrożności.

– Właściwie – Bartolomeo teatralnie puścił do niego oko – spodziewałem się mojej żony.

– Proszę, proszę.

Najemnik opuścił miecz i uściskał Ezia. Kiedy wypuścił go ze swojego niedźwiedziego uścisku, jego mina spoważniała.

– Cieszę się, że przyjechałeś, Ezio.

– Co się stało?

– Patrz.

Asasyn powiódł wzrokiem za spojrzeniem przyjaciela na pluton rannych najemników, wchodzących na plac defilad.

– Francuskie *puttane* znów nas cisną – powiedział Bartolomeo, odpowiadając na pytanie Ezia.

– Myślałem, że dałeś już popalić ich generałowi, jak on się nazywa?

– Octavien de Valois roi sobie, że jest potomkiem szlchetnego rodu Walezjuszy. Bękarci pomiot, jeśli by ktoś mnie pytał.

Bartolomeo splunął, kiedy pojawił się następny oddział rannych żołnierzy.

– Wygląda to poważnie – powiedział Ezio.

– Król Ludwik musiał przysłać Cesare posiłki po tym, jak spuściliśmy de Valoisowi łomot. – Bartolomeo podrapał się w brodę. – To w sumie pochlebstwo.

– Bardzo jest źle?

– Odbili swoją wieżę – rzekł markotnie najemnik.

– Odbierzemy im ją. Gdzie teraz jest de Valois?

– Masz rację. – Bartolomeo zignorował pytanie. – Oczywiście, że ją odbierzemy! Przepędzimy tych łajdaków, zanim zdążysz powiedzieć *fottere!* To tylko kwestia czasu.

W tej samej chwili kula przemknęła ze świstem koło ich uszu i utkwiała w ścianie za nimi.

– A było tak cicho, kiedy przyjeżdżałem – stwierdził Ezio, patrząc w górę. Słońce schowało się za masywnymi chmurami, które nagle zaczęły przetaczać się po niebie.

– Wydawało się, że jest cicho, chciałeś powiedzieć. Ci Francuzi to podstępne dranie. Ale już niedługo złapię tego de Valoisa za gardło, zapamiętaj moje słowa.

Bartolomeo odwrócił się do nadbiegającego sierżanta.

– Zamknąć bramę! Ściągnąć tych ludzi z murów! Ruszać się! Ruszać!

Żołnierze biegali we wszystkie strony, obsadzając umocnienia i przygotowując działa.

– Nie martw się, przyjacielu – powiedział wielki *condottiero*. – Sytuacja jest pod kontrolą.

W tym momencie duża kula armatnia uderzyła w pobliski mur, sypiąc na wszystkie strony kurzem i odłamkami kamienia.

– Chyba się zbliżają! – zawołał Ezio.

Ludzie Bartolomea wystrzelili w odpowiedzi salwę z głównych armat koszar; cała forteca zadygotała od huku wielkich dział. Odpowiedź francuskiej artylerii była równie zaciekła: powietrze rozdarł grzmot dwóch tuzinów luf i tym razem kule lepiej wyszukiwały cele. Ludzie Bartolomea wciąż próbowali rozpaczliwie zajmować obronne pozycje, kiedy potężna salwa Francuzów zakołysała ścianami koszar. Napastnicy skupili swoje wysiłki na głównej bramie; dwaj wartownicy runęli martwi pod bombardowaniem.

– Zamknąć tę pieprzoną bramę! – ryknął Bartolomeo.

Dobrze wyszkoleni żołnierze pod jego dowództwem rzucili się do przodu, by odeprzeć szturm Francuzów, którzy bez ostrzeżenia pojawili się w głównym wejściu do koszar. Napastnicy specjalnie zwlekali z niespodziewanym atakiem i niestety, pomyślał Ezio, udało im się zdobyć przewagę. Forteca Bartolomea została zaatakowana, nieprzygotowana do obrony.

Bartolomeo zeskoczył z muru i pobiegł pędem w stronę bramy. Wywijając Biancą górował nad Francuzami; olbrzymim mieczem siekał ich szeregi. Francuscy żołnierze zatrzymali się, przerażeni tym widokiem. Tymczasem Ezio nakazał muszkietierom kryć tych, którzy zamykali bramę, zanim wróg zdołał zdobyć przyczółek na terenie koszar. Żołnierze asasynów nabrali odwagi w obecności swojego wodza i udało im się zamknąć bramę, ale chwilę później rozległ się ogromny trzask i drewniana zasuwka spajająca jej skrzydła złowrogo się wygięła. Kiedy uwaga obrońców skupiona była na oddziale, który dostał się do środka koszar, Francuzom udało się podprowadzić taran.

– Trzeba było wykopać cholerną fosę! – wrzasnął Bartolomeo.

– Nie było na to czasu! – usłyszał skądś w odpowiedzi.

Ezio krzykiem kazał muszkietierom przenieść ogień za mury, na zbierające się siły Francuzów. Bartolomeo skoczył na blanki i stanął obok niego. Razem patrzyli, jak nie wiadomo skąd dookoła pojawiają się w wielkiej liczbie francuskie wojska.

– Jesteśmy otoczeni! – zaklął Bartolomeo, nie przesadzając.

Za nimi jedna z mniejszych bram ustąpiła z trzaskiem pękającego drewna i zanim ktokolwiek z obrońców zdołał cokolwiek zrobić, do środka wpadł duży oddział francuskiej piechoty, z mieczami w rękach, najwyraźniej gotów walczyć do upadłego. Nagła infiltracja odcięła kwaterę Bartolomea od reszty koszar.

– O mój Boże, co oni teraz knują? – krzyknął najemnik.

Żołnierze asasynów byli lepiej wyszkoleni niż Francuzi – i zazwyczaj bardziej oddani swojej sprawie – ale sama przewaga liczebna i niespodziewany atak zbiły ich z tropu. Mogli jedynie utrzymać szeregi i powoli usiłować wypchnąć francuski oddział z powrotem. Panował taki chaos i tłok, że miejscami bitwa zmieniła się w bijatykę na pięści, bo nie było już miejsca na użycie broni.

Nadciągająca burza sprawiła, że atmosfera stała się duszna i klaustrofobiczna – zupełnie jakby bogowie zza wielkich, ciężkich chmur dawali upust swojej złości. Kurz na placu defilad wzbił się w powietrze i zawisł w nim niczym mgła, a dzień, jeszcze niedawno tak ładny, zrobił się ciemny. Niedługo potem lunął deszcz i zażarta bitwa zmieniła się w zamęt; żadna ze stron nie widziała, co robi. Ziemia zrobiła się rozmiękła, a walka – jeszcze bardziej rozpaczliwa i chaotyczna.

Wtedy, nagle, jakby wróg osiągnął jakiś cel, francuscy trębacze odtrąbili odwrót i żołnierze de Valoisa wycofali się równie szybko, jak zaatakowali.

Przywrócenie porządku chwilę trwało. Pierwsze, co zrobił Bartolomeo, to rozkazał cieślom zastąpić wyważoną bramę nową. Oczywiście nowa brama była już gotowa, z myślą o takiej właśnie ewentualności, ale jej montaż musiał zająć co najmniej godzinę. Tymczasem dowódca najemników poprowadził Ezia w stronę swoich kwater.

– Czego oni chcieli, do diabła? – Nie adresował pytania do żadnej konkretnej osoby. – Moich map? Są bardzo cenne!

Przerwała mu następna francuska fanfara. Z Eziem deptającym mu po piętach, Bartolomeo wbiegł na schody prowadzące na mur nad główną bramą. Tam, zupełnie niedaleko, na porośniętej niewysokimi cyprysami łące przed bramą, siedział na koniu sam *général duc* Octavien de Valois, otoczony grupką swoich oficerów i piechoty. Dwaj żołnierze trzymali więźnia, którego ciało skrywał worek zarzucony na głowę.

– *Bonjour, général d'Alviano* – zagaił Francuz, patrząc na Bartolomea. – *Êtes-vous prêt à sous rendre?* Jesteście gotowi się poddać?

– Może podejdiesz trochę bliżej i to powtórzysz, nędzny żabojadzie?

– Tss, tss, *mon général*. Naprawdę powinieneś nauczyć się francuskiego. Zamaskowałbyś może w ten sposób swój barbarzyński brak obycia, *mais franchement, je m'en doute*.

Octavien z uśmiechem rozejrzał się po swoich oficerach, którzy z aprobatą pokiwali głowami.

– Może mnie nauczysz – odkrzyknął Bartolomeo. – A ja nauczę cię walki, bo widzę, że nie idzie ci za dobrze uczciwa walka twarzą w twarz, jaka przystoi prawdziwemu szlachcicowi.

De Valois uśmiechnął się blado.

– Hm. Cóż, *cher ami*, choć nasza pogawędka była bardzo zabawna, muszę powtórzyć żądanie: zależy mi na twoim bezwarunkowym poddaniu się do wschodu słońca.

– Chodź tu i je sobie weź. Moja pani Bianca wyszepcze ci je do ucha.

– Ach! Sądzę, że inna pani mogłaby mieć coś przeciwko temu.

Skinął głową swoim ludziom, którzy ściągnęli worek z więźnia. Była nim Pantasilea!

– *Il mio marito vi ammazzerà tutti* – wykrztusiła zaczepnie, wypluwając kurz i strzępki konopi. – Mój mąż wymorduje was wszystkich!

Bartolomeo dopiero po chwili otrząsnął się z szoku. Ezio chwycił go za ramię, a jego ludzie popatrzyli po sobie, przerażeni.

– Zabiję cię, *fortutto Francese!* – wrzasnął d'Alviano.

– Ależ mój drogi, uspokój się – prychnął de Valois. – Pomyśl o swojej żonie. I bądź spokojny, żaden Francuz nie skrzywdzi kobiety – bez potrzeby.

– Jego ton zrobił się bardziej rzeczowy. – Ale nawet zakuty łeb taki jak ty umie sobie wyobrazić, jak sądzą, co się stanie, jeśli nie przystaniesz na moje warunki. – Szturchnął piętami boki konia i przygotował się do odjazdu. – Przyjdź o świcie do mojej kwatery głównej, nieuzbrojony, to podszkolisz się we francuskim. Już niedługo cała Italia będzie używać tej mowy.

Generał podniósł rękę. Żołnierze wrzucili Pantasileę na grzbiet jednego

z oficerskich koni i cała grupa niespiesznie się oddaliła.

– Dopadnę cię, ty *pezzo di merda figlio di puttana!* – krzyknął za nimi bezsilnie Bartolomeo. – Co za skurwysyński gnojek – mruknął jeszcze do Ezia i odbiegł.

– Dokąd idziesz? – krzyknął za nim Ezio.

– Odbić ją!

– Bartolomeo! Zaczekaj!

Ale d’Alviano nawet nie zwolnił i kiedy Ezio go dogonił, najemnik siedział już w siodle i rozkazywał otworzyć bramę.

– Nie możesz tego zrobić sam – błagał asasyn.

– Nie jestem sam – odparł *condottiero*, poklepując wiszącą u boku Biancę. – Chodź ze mną, jeśli chcesz, ale będziesz musiał się pospieszyć.

Dźgnął konia ostrogami i pogalopował w stronę otwartej już bramy.

Ezio nawet za nim nie popatrzył. Wykrzyknął rozkazy do kapitana jazdy Bartolomea i po chwili wraz z oddziałem konnych *condottieri* pędził w pościgu za ich dowódcą.

40

Kwatera główna generała de Valoisa znajdowała się w ruinach starożytnych, umocnionych rzymskich koszar osobistej brygady dawnych cesarzy, Gwardii Pretoriańskiej. Ruiny leżały w osiemnastym *rione*, na północno-wschodnim skraju Rzymu, czyli poza obrębem skurczonego obecnie miasta. W swoim szczytowym okresie, tysiąc pięćset lat temu, Rzym był olbrzymi – był największym miastem na świecie – i mógł się poszczycić milionem mieszkańców.

Ezio i jego oddział dogonili Bartolomea na drodze i teraz zebrali się wszyscy na małym wzniesieniu niedaleko obozu Francuzów. Próbowali szturmować, ale ich kule odbijały się bezsilnie od nowoczesnych, solidnych murów, które de Valois wzniósł na starożytnych fundamentach. Po chwili musieli usunąć się poza zasięg ognia, którym Francuzi odpowiedzieli na ich atak. Bartolomeo mógł jedynie ciskać we wroga obelgami.

– Wy tchórze! Porywacie człowiekowi żonę, a potem chowacie się w fortecy? Ha! Niczego nie macie między nogami, słyszycie? Nic! *Vous n’avez même pas une couille entre sous tous!* Proszę, to dla was wystarczająco dobra francuszczyzna, wy *bastardi*? Moim zdaniem w ogóle nie macie jaj!

Francuzi odpalili armatę. Zasięg był odpowiedni i kula wryła się w ziemię kilka stóp od asasynów.

– Posłuchaj, Barto – powiedział Ezio. – Uspokój się. Na nic się jej nie przydasz martwy. Przegrupujmy się, a potem zaatakujemy bramę, tak samo jak wtedy w Wenecji, w Arsenale, kiedy ścigaliśmy Silvia Barbarigo.

– To nic nie da – odparł ponuro Bartolomeo. – W wejściu stoi więcej

Francuzów niż mieszka w Paryżu.

– To wespniemy się na mury.

– Nie da się na nie wspiąć. A nawet gdyby się dało, mieliby taką przewagę liczebną, że nawet ty byś sobie z nimi nie poradził. – Zamyślił się. – Pantasilea wiedziałyby, co robić.

Popadł w jeszcze głębsze zamyślenie, a Ezio widział, że jego przyjaciel staje się coraz bardziej przybity.

– Może to już koniec – ciągnął Bartolomeo pośepnie. – Będę musiał zrobić tak, jak powiedział: wejść do ich obozu o świcie, z pojednawczymi darami, i mieć nadzieję, że ten bydlak daruje mi życie. Przeklęty tchórz!

Ezio zastanawiał się nad czymś, a teraz podekscytowany pstryknął palcami.

– *Perché non ci ho pensato prima?* Dlaczego wcześniej na to nie wpadłem?

– Co? Mówiłeś coś?

Eziowi zaświeciły się oczy.

– Wracamy do koszar.

– Co?

– Każ ludziom wracać do koszar. Tam wszystko wyjaśnię. Chodź!

– Oby twój pomysł był dobry – powiedział Bartolomeo i odwrócił się do swoich ludzi. – Wycofać się!

Kiedy wrócili, była już noc. Gdy konie odprowadzono do stajni, a żołnierze się rozeszli, Ezio i Bartolomeo poszli do pomieszczenia sztabowego i usiedli, żeby się naradzić.

– A więc jaki masz plan?

Ezio rozwinął mapę, która przedstawiała szczegółowo *Castra Praetoria* i jego okolicę. Wskazał wnętrze fortecy.

– Jeśli dostaniemy się do środka, twoi ludzie zdołają poradzić sobie z patrolami w obozie, zgadza się?

– Tak, ale...

– Zwłaszcza, jeśli wezmą je całkowicie z zaskoczenia?

– *Ma certo*. Element zaskoczenia jest zawsze...

– A więc musimy zdobyć dużo francuskich mundurów. I ich zbroi. I to szybko. O świcie wejdziemy tam, śmiało i bezczelnie, ale nie ma czasu do stracenia.

Na ogorzałej twarzy Bartolomea zaświtało zrozumienie – zrozumienie i nadzieja.

– Ha! Ty cwany łajdaku! Ezio Auditore, gdzie ja bym znalazł takiego drugiego jak ty! Masz umysł godny mojej Pantasilei! *Magnifico!*

– Daj mi paru ludzi. Zrobię wycieczkę do ich wieży i zdobędę wszystko, czego nam potrzeba.

– Dam ci tylu, ilu zechcesz; mogą zedrzeć mundury z zabitych francuskich żołnierzy.

– Dobrze.

– I, Ezio...

– Tak?

– Postarajcie się ich zabijać najczyściej, jak się da. Niepotrzebne nam mundury uwalane krwią.

– Niczego nie poczują – powiedział Ezio. – Zaufaj mi.

Kiedy Bartolomeo poszedł wybrać ludzi do zadania, Ezio wziął swoją torbę i wyjął z niej zatrute ostrze.

Pojechali w ciszy do Wieży Borgiów, która znajdowała się w rękach Francuzów; kopyta koni owinęli workami, żeby nie hałasowały. Ezio zsiadł w pewnej odległości przed wieżą, nakazał swoim ludziom zaczekać, a sam wspiął się po zewnętrznym murze z wprawą mieszkańca dalekich Alp oraz wdziękiem i zwinnością kota. Jedno zadrapanie zatrutym ostrzem wystarczyło, żeby zabić, a nadmiernie pewni siebie Francuzi nie wystawili licznych straży. Wartownicy, których Ezio napotykał, niczego się nie spodziewali i ginęli, zanim się w ogóle zorientowali, co się stało. Kiedy się ich pozbył, otworzył główną furkę, która zaskrzypiała na zawiasach, sprawiając, że serce szybciej mu zabiło. Znieruchomiał, nasłuchując, ale garnizon spał dalej. Nie wydając dźwięku, ludzie Ezia wbiegli do wieży

i wybili żołnierzy w środku praktycznie bez walki.

Zebranie mundurów trwało trochę dłużej, ale po godzinie wszyscy byli z powrotem w koszarach, a zadanie zostało wykonane.

– Na tym jest trochę krwi – narzekał Bartolomeo, grzebiąc w ich zdobyczy.

– To wyjątek, to był jedyny człowiek, który naprawdę czuwał, musiałem go wykończyć w zwyczajny sposób, mieczem – odparł Ezio.

Najemnicy wybrani do operacji przebierali się we francuskie mundury.

– Cóż – powiedział d’Alviano. – Przynieś mi też lepiej tę ich zboczoną kolczugę.

– Ty nie dostaniesz munduru – oznajmił asasyn, nakładając uniform francuskiego porucznika.

– Co?

– Oczywiście, że nie! Plan jest taki, że się nam poddałeś. Jesteśmy francuskim patrolem, który przyprowadza cię do *général duca de Valoisa*.

– Oczywiście. – Bartolomeo zamyślił się głęboko. – Co potem?

– Barto, najwyraźniej nie uważałeś. Potem twoi ludzie atakują, na mój sygnał.

– *Bene!* – rozpromienił się najemnik. – Ruszać się – warknął na tych żołnierzy, którzy się jeszcze nie przebrali. – Już czuję zapach świtu, a przed nami długa droga.

Cały oddział jechał nocą w ostrym tempie. Konie zostawili w niewielkiej odległości od obozu Francuzów pod opieką giermków. Przed wyruszeniem w dalszą drogę, Ezio sprawdził mały pistolet od Leonarda – jego konstrukcja została ulepszona, tak że mógł wystrzelić więcej niż raz bez ładowania – i dyskretnie przypiął go do przedramienia. Potem razem z grupą „francuskich” żołnierzy pomaszerował w stronę *Castra Praetoria*.

– De Valois myśli, że Cesare pozwoli Francuzom rządzić Italią – wyjaśnił Bartolomeo, maszerujący obok Ezia. Ezio odgrywał rolę dowódcy patrolu i zamierzał sam wydać najemnika generałowi. – Głupiec! Jest tak zaślepiiony tą kroplą królewskiej krwi w swoich żyłach, że nie widzi planu pola walki –

przeklęty, wsobnie spółdzony cherlak! – Bartolomeo przerwał. – Ale ty i ja wiemy, że niezależnie od tego, co wyobrażają sobie Francuzi, Cesare zamierza zostać pierwszym królem zjednoczonej Italii.

– Chyba że go powstrzymamy.

– Tak. – Bartolomeo zamyślił się. – Wiesz, choć twój plan jest genialny, osobiście nie podobają mi się takie sztuczki. Wierzę w uczciwą walkę – niech wygra lepszy.

– Cesare i de Valois może różnią się stylem, Barto, ale obaj walczą nieczysto, a my nie mamy innego wyjścia, jak tylko zwalczać ogień ogniem.

– Hm! „Nadejdzie dzień, kiedy ludzie przestaną się nawzajem oszukiwać. I w tenże dzień przekonamy się, do czego naprawdę jest zdolny rodzaj ludzki” – zacytował.

– Już to gdzieś słyszałem.

– Bo powinieneś! Napisał to twój ojciec.

– Psst!

Zbliżyli się do obozu Francuzów i Ezio zobaczył przed sobą poruszające się sylwetki wartowników.

– Co zrobimy? – spytał Bartolomeo szeptem.

– Zabiję ich, nie ma ich znów tak wielu, ale muszę zrobić to bezszelestnie i bez zamieszania.

– Zostało ci dość trucizny w tej twojej zabawce?

– Są czujni i rozstawieni daleko jeden od drugiego. Jeśli zabiję jednego i zostanę zauważony, może zdarzyć się tak, że któryś wróci i podniesie alarm.

– Po co w ogóle ich zabijać? Mamy francuskie mundury. No, przynajmniej wy macie.

– Będą zadawać pytania. Jeśli dostaniemy się do obozu z tobą w łańcuchach...

– Łańcuchach?

– Tss! Jeśli dostaniemy się do obozu, de Valois będzie tak podekscytowany, że nie przyjdzie mu do głowy pytać, skąd się wzięliśmy. Przynajmniej taką

mam nadzieję.

– Ten kurzy mózdek? Bez obaw! Ale jak się ich pozbędziemy? Nie możemy ich zastrzelić. Wystrzały zadziałyby jak fanfary.

– Zastrzelę ich z tego – powiedział Ezio, wyjmując szybko ładowaną, małą kuszę Leonarda. – Jest ich pięciu, a ja mam sześć bełtów. Światło jest wciąż za słabe, żebym celował stąd, muszę podejść trochę bliżej. Ty zostań tu z resztą.

Ezio podpełzł do przodu, aż znalazł się w odległości dwudziestu kroków od najbliższego francuskiego wartownika. Odciągnął cięciwę, umieścił pierwszy bełt w nacięciu, podniósł łożę kuszy do ramienia, szybko wycelował w pierś mężczyzny i wystrzelił. Rozległ się stłumiony brzęk i świst i żołnierz natychmiast upadł na ziemię niczym marionetka, której ktoś odciął sznurki. Ezio skradał się już przez paprocie do następnej ofiary; brzęk cięciwy kuszy był prawie niesłyszalny. Mały bełt trafił mężczyznę w gardło; raniony wydał z siebie zduszony charkot, a potem ugięły się pod nim kolana. Pięć minut później było po wszystkim. Ezio zużył wszystkie sześć bełtów, bo chybił ostatniego żołnierza przy pierwszym strzale. Na krótką chwilę stracił opanowanie, ale przeładował i wystrzelił drugi raz, tym razem celnie, zanim Francuz zdążył zareagować na dziwny, tępy odgłos, który usłyszał.

Ezio nie miał już amunicji do kuszy, ale w duchu dziękował Leonardowi. Wiedział, że ta broń przyda mu się jeszcze nie raz. Cicho zawlókł zabitych żołnierzy w ustronne miejsce, mając nadzieję, że to wystarczy, by ukryć ich przed wzrokiem każdego, kto mógłby tędy przechodzić. Jednocześnie wyciągnął bełty na następny raz – przypominając sobie poradę Leonarda – a potem schował kuszę i wrócił do Bartolomea.

– Załatwione? – spytał wielkolud.

– Załatwione.

– Następny będzie de Valois – poprzysiął Bartolomeo. – Będzie kwiczał jak zarzynane prosię.

Niebo pojaśniało; świt w swoim rdzawoczerwonym płaszczu stapał po rosie

na dalekich wzgórzach na wschodzie.

– Lepiej ruszajmy – powiedział d’Alviano.

– Chodźmy więc – odparł Ezio, zatraskując przyjacielowi kajdany na nadgarstkach, zanim ten zdołał zaprotestować. – Nie martw się, to sprężynowe imitacje. Wystarczy, że szybko i mocno zaciśniesz pięść, a spadną. Ale, na Boga, zaczekaj na mój sygnał. Przy okazji, „strażnik” po twojej lewej będzie się trzymał blisko ciebie. Ma pod płaszczem Biancę. Wystarczy, że sięgniesz i... – głos Ezia nabrał ostrzegawczego tonu. – Ale tylko na mój sygnał.

– Tak jest – uśmiechnął się Bartolomeo.

Na czele oddziału, z d’Alviano dwa kroki za sobą, w eskorcie czterech żołnierzy, Ezio ruszył śmiało w stronę głównej bramy francuskiego obozu. Wschodzące słońce zaśnięło na ich kolczugach i napierśnikach.

– *Halte-là!* – rozkazał sierżant na bramie, stojący na czele tuzina uzbrojonych po zęby wartowników. Kiedy już zobaczył mundury swoich żołnierzy, rozkazał: – *Declarez-vous!*

– *Je suis lieutenant Guillemot, et j’emmène le général d’Alviano ici présent à Son Excellence le Duc-Général Monsieur de Valois. Le général d’Alviano s’est rendu, seul et sans armes, selon les exigences de Monsieur le Duc* – wyrecytował płynnie Ezio. Bartolomeo uniósł brew.

– Cóż, poruczniku Guillemot, generał będzie bardzo zadowolony, widząc, że generał d’Alviano poszedł po rozum do głowy – powiedział kapitan straży, który pospiesznie przejął dowodzenie. – Ale słyszę coś – choć doprawdy bardzo słabo – w twoim akcencie, przez co nie potrafię go umiejscowić. Powiedz mi, z której części Francji pochodzisz?

Ezio wziął głębszy oddech.

– Z Montréalu – odparł pewnie.

– Otworzyć bramę – rozkazał kapitan swojemu sierżantowi.

– Otworzyć bramę! – krzyknął sierżant.

Po chwili Ezio prowadził już swoich ludzi w samo serce francuskiego

obożu. Cofnął się o krok, by mieć Bartolomea i eskortę „więźnia” obok siebie.

– Pozabijam ich – mruzczał d’Alviano – i zjem ich smażone nerki na śniadanie. Przy okazji – nie wiedziałem, że mówisz po francusku.

– Nauczyłem się we Florencji – rzucił od niechcienia Ezio. – Od paru tamtejszych dziewczyn.

W duchu był zadowolony, że jego akcent zdał egzamin.

– Ty łobuzie! Z drugiej strony, tak właśnie mówią, że to najlepsze miejsce do nauki języków.

– Co, Florencja?

– Nie, głupcze, łóżko!

– Zamknij się.

– Jesteś pewien, że te kajdany to imitacje?

– Jeszcze nie pora, Barto. Bądź cierpliwy i zamknij się!

– Moja cierpliwość jest na wyczerpaniu. Co oni mówią?

– Później ci powiem.

Bardzo dobrze, że francuski Bartolomea ograniczał się do kilku słów – pomyślał Ezio, słuchając wyzwisk i obelg ciskanych w stronę jego przyjaciela. „*Chien d’Italien*” – „włoski kundel”. „*Prosterne-toi devant tes supérieurs!*” – „Ukorz się przed lepszymi od siebie”. „*Regarde-le, comme il a honte de ce qu’il est devenu!*” – „Popatrzcie na niego, jak się wstydzi swojego upadku!”.

Ta męka niedługo się jednak skończyła, dotarli bowiem do podnóża szerokich schodów prowadzących do kwatery francuskiego generała. Sam de Valois stał na czele grupy swoich oficerów, z Pantasileą u boku. Kobieta miała ręce związane za plecami, a na kostkach luźne kajdany, które pozwalały jej chodzić, ale tylko małymi krokami. Na jej widok Bartolomeo nie zdołał powstrzymać gniewnego pomruku. Ezio go kopnął.

De Valois podniósł dłoń.

– Nie ma potrzeby stosowania przemocy, poruczniku, choć winszuję zapału.

– Odwrócił się do Bartolomea. – Mój drogi generale, widzę, że przejrzalesz na oczy.

– Dość tych bzdur! – warknął Bartolomeo. – Uwolnij moją żonę i każ mnie rozkuć.

– No proszę – odparł de Valois. – Taka wyniosłość i to u kogoś, kogo nazwisko zupełnie nic nie znaczy.

Ezio miał już dać sygnał, kiedy Bartolomeo odgryzł się generałowi, podnosząc głos:

– Moje nazwisko to mocna waluta. W przeciwieństwie do twojego, które ma wartość falsyfikatu!

Otaczający ich żołnierze ucichli.

– Jak śmiesz! – syknął de Valois, biały z wściekłości.

– Myślisz, że samo dowodzenie armią przydaje ci pozycji i szlachectwa? Prawdziwa szlachetność ducha bierze się z walki ramię w ramię ze swoimi ludźmi, a nie z porywania kobiet, by wykpić się od bitwy.

– Wy, dzicy, nigdy się nie uczycie – powiedział złowrogo de Valois, wyjął pistolet, odwiódł kurek i wycelował w głowę Pantasilei.

Ezio wiedział, że musi działać szybko, wyciągnął więc pistolet i wystrzelił w powietrze. Jednocześnie Bartolomeo, który nie mógł się już doczekać tej chwili, zacisnął pięści i zrzucił kajdany.

Rozpętało się pandemonium. Przebrani *condottieri* towarzyszący Eziowi natychmiast zaatakowali zaskoczonych francuskich żołnierzy, a Bartolomeo, chwytając Biancę od „strażnika” po lewej, wbiegł na schody. De Valois był jednak dla niego za szybki. Mocno trzymając Pantasileę, wycofał się do swoich komnat i zatrzasnął za sobą drzwi.

– Ezio! – zawołał błagalnie Bartolomeo. – Musisz uratować moją żonę. Tylko ty możesz to zrobić. To miejsce jest jak sejf!

Ezio kiwnął głową i spróbował posłać przyjacielowi dodający otuchy uśmiech. Z miejsca, w którym stał, przyjrzał się budynkowi. Nie był on duży, ale solidny i nowy, wzniesiony przez francuskich architektów wojskowych

i zaprojektowany tak, by być teoretycznie nie do zdobycia. Nie pozostawało nic innego, jak spróbować dostać się do niego z dachu, skąd nikt nie spodziewał się ataku i który mógł mieć jakieś słabe punkty.

Ezio skoczył na schody i wykorzystując fakt, że uwagę wszystkich zaprzętała walka na dole, poszukał miejsca do wspinaczki. Nagle ruszył za nim tuzin Francuzów; ich ostre miecze błyskały w porannym słońcu. W mgnieniu oka jednak drogę zastąpił im Bartolomeo, groźnie wywijając Biancą.

Mury kwatery de Valoisa może i zostały zaprojektowane jako nie do zdobycia, ale było w nich dość szczelin i nierówności, by Ezio mógł wzrokiem zaplanować trasę wspinaczki. Po kilku chwilach znalazł się na dachu. Był płaski, zbudowany z drewna pokrytego ceramicznymi płytkami. Stało na nim pięciu wartowników, którzy przyskoczyli do Ezia, żądając, by podał hasło. Kiedy tego nie zrobił, zaatakowali go z opuszczonymi halabardami. Dobrze, że nie byli uzbrojeni w muszkiety albo pistolety! Ezio zastrzelił pierwszego, następnie dobył miecza i stawiał czoła pozostałym czterem; walczyli rozpaczliwie, otaczając go i dźgając bezlitośnie sztychami swojej broni. Jeden rozciął mu rękaw i drasnął go w łokieć do krwi, ale ostrze ześliznęło się po metalowym karwaszu na lewym przedramieniu, nie czyniąc szkód.

Używając karwasza i miecza, Ezio zasłaniał się skutecznie przed coraz bardziej gorączkową nawałą ciosów. Jego umiejętności szermiercze równoważyła konieczność walki z czterema przeciwnikami jednocześnie, ale myśl o więzionej żonie Bartolomea dodawała mu sił – wiedział, że nie może zawieść; że nie wolno mu zawieść. W końcu szala zwycięstwa przechyliła się na jego korzyść; uchylił się przed dwoma mieczami zmierzającymi ku jego głowie, a trzeci sparował karwaszem, dzięki czemu mógł odbić czwarte ostrze swoim własnym mieczem. Manewr ten dał mu przestrzeń, której potrzebował; zabójcze cięcie na ukos przez twarz powaliło napastnika. Zostało trzech. Ezio przysunął się do najbliższego Francuza, wślizgnął się

w jego zastawę, co zaskoczyło żołnierza, któremu zabrakło miejsca do zamachu. Wtedy Ezio pchnął go ukrytym ostrzem w brzuch. Zostali dwaj – i obaj wyglądali na zdenerwowanych. Pokonanie ich zajęło asasynowi zaledwie kilka chwil – nie mieli już przewagi liczebnej. Ich umiejętności szermiercze nie mogły się równać z mistrzostwem Ezia. Powaliwszy wrogów, oparł się na mieczu i przez chwilę z trudem łapał oddech.

Na środku dachu ział duży, kwadratowy otwór. Ezio przeładował pistolet i ostrożnie się do niego zbliżył. Tak jak się spodziewał, zobaczył pod sobą dziedziniec, niczym nieudekorowany i pozbawiony jakichkolwiek roślin, stołów czy krzeseł, choć wokół wyschniętej fontanny stały dwie czy trzy kamienne ławy.

Kiedy tak patrzył, huknął strzał i obok jego lewego ucha świsnęła kula. Natychmiast odskoczył. Nie wiedział, ile pistoletów ma de Valois. Jeśli tylko jeden, obliczał, że przeładowanie zajmie generałowi jakieś dziesięć sekund. Żałował, że nie ma ze sobą kuszy, ale nic nie mógł na to poradzić. Z tyłu za pasem miał pięć zatrutych rzutek, jednak żeby ich użyć, musiałby bardziej się zbliżyć, a nie chciał robić niczego, co mogłoby narazić na szwank Pantasileę.

– Nie zbliżaj się! – wrzasnął z dołu de Valois. – Bo ją zabiję!

Ezio przysunął się do krawędzi i spojrzał na dziedziniec, ale pole widzenia ograniczał mu skraj dachu. Nikogo nie zobaczył, wyczuł jednak w głosie generała panikę.

– Kim jesteś? – zawołał Francuz. – Kto cię przysłał? Rodrigo? Powiedz mu, że to był plan Cesare.

– Lepiej mów, co wiesz, jeśli chcesz wrócić do Burgundii w jednym kawałku.

– Jeśli powiem, puścisz mnie wolno?

– Zobaczymy. Kobiecie nie może się stać krzywda. Stań tak, żebym cię widział – rozkazał Ezio.

De Valois wyszedł ostrożnie zza kolumnady okalającej dziedziniec i stanął obok wyschniętej fontanny. Pantasilea miała ręce związane za plecami;

generał trzymał ją za ramię przymocowany do obroży na szyi. Ezio zobaczył na jej twarzy ślady łez, ale teraz milczała i starała się unosić wysoko głowę.

Spojrzenie, które rzuciła de Valoisowi było tak przesycone nienawiścią, że gdyby było bronią, przyćmiłoby cały arsenał Kodeksu.

Ilu żołnierzy kryje się tam na dole razem z nim? – pomyślał Ezio. Strach w głosie generała sugerował jednak, że Francuzowi skończyły się możliwości i czuł się zapędzony w kozi róg.

– Cesare przekupywał kardynałów, by przeciągnąć ich od papieża na swoją stronę. Kiedy podporządkowałyby już resztę kraju Rzymowi, miałem zaatakować stolicę i zająć Watykan, a potem aresztować każdego, kto sprzeciwiałby się woli kapitana generalnego.

De Valois wymachiwał dookoła pistoletem. Kiedy się odwrócił, Ezio zobaczył, że ma jeszcze dwa za pasem.

– To nie był mój pomysł – ciągnął generał. – Ja jestem ponad takie intrygi.

W jego głosie pojawiła się dawna próżność. Eziowi przyszło do głowy, że może na zbyt wiele mu pozwolił. Pokazał się i śmiało zeskoczył na dziedziniec, lądując przycupnięty jak pantera.

– Nie podchodź! – wrzasnął de Valois. – Albo...

– Niech tylko spadnie jej choćby jeden włos z głowy, a moi łucznicy na dachu naszpikują cię strzałami gęściej niż świętego Sebastiana – syknął Ezio.

– A teraz, moja ty szlachetna duszyczko, powiedz mi, cóż miałeś z tego mieć?

– Ponieważ pochodzę z rodu Walezjuszy, Cesare da mi Italię. Będę tu rządził, jak przystoi mojemu urodzeniu.

Ezio omal się nie roześmiał. Bartolomeo nie przesadzał – wręcz przeciwnie – kiedy nazywał tego fircyka kurzym mózdzkiem! Ale ten kurzy mózdzek wciąż miał w ręku Pantasileę, a zatem nadal był niebezpieczny.

– Dobrze. A teraz puść tę kobietę.

– Najpierw ty mnie wypuść. Wtedy ją uwolnię.

– Nie.

– Mam przychylność króla Ludwika. Proś, o co chcesz we Francji i będzie twoje. Może posiadłość? Tytuł szlachecki?

– Już mam te rzeczy. Tutaj. A ty nigdy nie będziesz nimi władał.

– Borgiowie próbowali obalić naturalny porządek – de Valois chytrze zmienił temat. – Zamierzam to naprawić. Powinna rządzić królewska krew, a nie taki plugawy, skażony płyn, który płynie w ich żyłach. – Przerwał. – Wiem, że nie jesteś takim barbarzyńcą jak oni.

– Ani ty, ani Cesare, ani papież, ani ktokolwiek inny, komu nie zależy na pokoju i sprawiedliwości, nie będzie rządził Italią, dopóki starczy mi tchu – powiedział Ezio, powoli przesuając się do przodu.

Francuski generał zmartwiał ze strachu. Ręka, która trzymała pistolet przy skroni Pantasilei, zadrżała; de Valois się nie cofnął. Najwyraźniej byli tu sami, nie licząc służących, którzy rozsądnie zdążyli się schować. Rozległ się miarowy, huczący łoskot jednostajnych uderzeń; zewnętrzne drzwi fortu zadygotały. Bartolomeo musiał przepędzić Francuzów i podciągnął tarany.

– Proszę... – załkał generał; cała jego arystokratyczna otoczka nagle przysła. – Zabiję ją.

Zerknął na otwór w dachu, próbując wypatrzeć nieistniejących łuczników Ezia; nie przyszło mu nawet do głowy, czego Ezio się obawiał, że takich formacji nie używa się już w nowoczesnych wojskach, choć łuk przeładowywało się o wiele szybciej niż pistolet czy muszkiet.

Ezio zrobił jeszcze jeden krok do przodu.

– Dam ci, co zechcesz. Są tu pieniądze, mnóstwo pieniędzy; miałem nimi opłacić wojsko, ale możesz je zabrać. A ja... ja... zrobię wszystko, czego zażądasz.

De Valois błagał; jawił się tak żalospną postacią, że Ezio z trudem hamował pogardę. Pomyśleć, że ten oto człowiek naprawdę widział siebie jako króla Italii...

Zdawało się, że nie ma sensu go zabijać...

Ezio był już blisko; obaj mężczyźni patrzyli sobie w oczy. Asasyn powoli wyjął najpierw pistolet, potem rzemień z bezwładnych dłoni generała. Pantasilea z westchnieniem ulgi pokuśtykała na bok, przyglądając się całej scenie szeroko otwartymi oczami.

– Ja... ja tylko pragnąłem szacunku – powiedział cicho generał.

– Tymczasem na prawdziwy szacunek trzeba sobie zasłużyć – rzekł Ezio – nie da się go odziedziczyć ani kupić. I nie można go zdobyć siłą. „*Oderint dum metuant*” – „Niech nienawidzą, byleby się bali” – to chyba najgłupsze powiedzenie, jakie kiedykolwiek ukuto. Nic dziwnego, że przejął je Kaligula i że współczesny Kaligula żyje w myśl tego samego motto. A ty mu służysz!

– Służę mojemu królowi, Ludwikowi XII. – De Valois był zdruzgotany. – Ale być może masz rację. Teraz zaczynam to rozumieć... – W jego oczach błysnęła nadzieja. – Potrzebuję tylko więcej czasu...

Ezio westchnął.

– Niestety, przyjacielu, czasu akurat już nie masz.

Dobyl miecza. Generał zrozumiał i w końcu, okazując godność, ukląkł i pochylił głowę.

– *Requiescat in pace* – powiedział Ezio.

Z ogłuszającym trzaskiem wrota fortu de Valoisa pękły i rozwarły się, ukazując Bartolomea, zakurzonego, zakrwawionego, ale niezranionego, stojącego na czele swoich żołnierzy. D’Alviano pobiegł do żony i uściskał ją tak mocno, że straciła oddech, a potem zaczął zdejmować jej z szyi obrożę; palce tak mu się trzęsły ze zdenerwowania, że Ezio musiał to zrobić za niego. Bartolomeo rozrąbał kajdany na nogach żony dwoma potężnymi ciosami Bianki, i, już spokojniejszy, rozwiązał sznury krępujące jej nadgarstki.

– Och, Pantasileo, ukochana, moje serce, moja najdroższa. Nigdy więcej mi tak nie znikaj. Bez ciebie byłem zgubiony.

– Nie, nie byłeś. Uratowałeś mnie.

Bartolomeo zrobił zawstydzoną minę.

– Nie. To nie ja, to Ezio! To on wymyślił, żeby...

– *Madonna*, cieszę się, że jesteś bezpieczna – przerwał mu Ezio.
– Mój drogi Ezio, jak mam ci się odwdzińczyć? Uratowałeś mnie.
– Byłem tylko narzędziem, zaledwie częścią genialnego planu twojego męża.

Bartolomeo popatrzył na niego z wdzięcznością i zmieszaniem.

– Mój książę! – Pantasilea uściskała męża. – Mój bohaterze!

D'Alviano zaczerwienił się i puścił oko do Ezia.

– Cóż, jeśli mam być twoim księciem, lepiej, żebym zasłużył na ten tytuł – powiedział. – Wiesz, to nie był tylko i wyłącznie mój pomysł...

Kiedy ruszyli do wyjścia, Pantasilea otarła się o Ezia.

– Dziękuję – wyszeptała.

41

Kilka dni później, kiedy Bartolomeo rozprawił się z resztkami rozbitej armii de Valoisa, Ezio spotkał się z La Volpe w drodze na spotkanie, które zarządził w kryjówce asasynów na wyspie.

– Jak się mają sprawy w Rzymie? – brzmiało jego pierwsze pytanie.

– Bardzo dobrze, Ezio. Teraz, kiedy francuska armia jest w rozsypce, Cesare stracił ważny punkt wsparcia. Twoja siostra Claudia donosi, że ambasadorzy Hiszpanii i Świętego Cesarstwa pospiesznie wyjechali, a moi ludzie pokonali *Cento Occhi*.

– Wciąż pozostało dużo do zrobienia.

Dotarli do celu i zastali resztę swoich towarzyszy już zebranych w głównej sali kryjówki, gdzie w palenisku na środku podłogi płonął ogień.

Kiedy przywitali się i zajęli miejsca, Machiavelli wstał i zaintonował po arabsku:

– „*Laa shay’a waqi’un moutlaq bale kouloun moumkine*” – Mądrość naszego Credo przekazują te słowa. Pracujemy w ciemności, by służyć światłu. Jesteśmy asasynami.

Potem wstał Ezio.

– Claudio – zwrócił się do siostry. – Poświęcamy nasze życie, by bronić wolności ludzkiej rasy. Mario Auditore i nasz ojciec Giovanni, jego brat, stali kiedyś przy ogniu podobnym do tego, wypełniając podobne zadanie. Teraz składam ci propozycję: przystąp do nas.

Wyciągnął rękę, a ona położyła dłoń na jego dłoni. Machiavelli wyjął z ognia znajomo wyglądające żelazo do znakowania, zakończone dwoma małymi półkolami w kształcie litery C, które można było złączyć za pomocą

dźwigienki w rączce.

– Wszystko jest dozwolone. Nic nie jest prawdą – powiedział doniosłym tonem. Pozostali – Bartolomeo, La Volpe i Ezio – powtórzyli za nim te słowa.

Tak jak Antonio Magianis uczynił kiedyś Eziowi, tak Machiavelli z powagą przytknął żelazo do serdecznego palca Claudii i zatrzasnął je, wypalając jej na zawsze znamię pierścienia.

Claudia skrzywiła się, ale nie krzyknęła. Machiavelli cofnął żelazo i odłożył je bezpiecznie na bok.

– Witaj w naszym zakonie – w naszym Bractwie – powiedział uroczyście.

– W Siostrzeństwie też? – spytała Claudia, wcierając w spierzony palec kojącą maść z fiołki, którą podał jej Bartolomeo.

Machiavelli uśmiechnął się.

– Jeśli chcesz.

Odwrócił się do Ezia. Spoczęły na nim spojrzenia wszystkich zebranych.

– Nie zgadzaliśmy się w wielu sprawach...

– Niccolò... – przerwał Ezio, ale Machiavelli uciszył go podniesioną dłonią.

– Ale od chwili objawienia pod Kaplicą Sykstyńską, a nawet wcześniej, wiele razy udowodniłeś, że jesteś tym, kogo potrzebuje nasze zgromadzenie. Poprowadziłeś nas przeciwko templariuszom, niosłeś nasz *gonfalon* dumnie i wysoko, i stopniowo odbudowałeś Bractwo po katastrofie w Monteriggioni.

– Rozejrzył się. – Nadeszła chwila, moi przyjaciele, by oficjalnie namaścić Ezia na stanowisko, które za powszechną zgodą już sprawuje: naszego przywódcy. Przedstawiam wam Ezia Auditore di Firenze, Wielkiego Mistrza naszego zakonu.

Odwrócił się do Ezia.

– Mój przyjacielu, od dziś będziesz znany jako *il Mentore*, strażnik naszego Bractwa i jego tajemnic.

Eziowi ze wzruszenia zakręciło się w głowie, choć przez krótki moment zapragnął wyrwać się z tego życia; życia, które wymagało poświęcenia

każdej chwili jednemu dziełu i które nie zostawiało ich wiele nawet na sen. Mimo to wystąpił do przodu i uroczyście powtórzył słowa, będące trzonem Credo:

– Tam, gdzie innych ogranicza moralność bądź prawo, ty pamiętaj: wszystko jest dozwolone. Nic nie jest prawdą. Nic nie jest prawdą. Wszystko jest dozwolone.

Pozostali powtórzyli za nim tę formułę.

– Nadeszła pora – rzekł Machiavelli – by nasz nowy członek oddał skok wiary.

Wspięli się na dzwonnice kościoła Santa Maria in Cosmedin. Prowadzona ostrożnie przez Bartolomea i La Volpe Claudia bez lęku rzuciła się w pustkę w chwili, gdy złocista kula słońca oderwała się od wschodniego horyzontu, dotykając swoimi promieniami srebrnych fałd jej sukni i też barwiąc je na złoto. Ezio patrzył, jak jego siostra bezpiecznie ląduje, po czym udaje się z Bartolomeo i La Volpe w kierunku pobliskiej kolumnady. Został sam na sam z Machiavellim. Ten miał już skoczyć, ale Ezio go powstrzymał.

– Skąd ta nagła odmiana, Niccolò?

Machiavelli uśmiechnął się.

– Jaka odmiana? Zawsze byłem po twojej stronie. Zawsze byłem oddany sprawie. Moją przewiną jest niezależne myślenie. To właśnie zasiało wątpliwości u ciebie i u Gilberta. Teraz uwolniliśmy się już od całej tej nieprzyjemnej sytuacji. Nigdy nie zależało mi na przywództwie. Jestem raczej... obserwatorem. A teraz skoczmy razem, jako przyjaciele i wojownicy sprawy Creda!

Wyciągnął rękę, a Ezio z uśmiechem ją uściskał. Potem razem rzucili się z dachu kampanili.

Ledwie zdążyli wylądować i dołączyć do swoich towarzyszy, kiedy podjechał do nich goniec.

– *Maestro* Machiavelli – oznajmił bez tchu – Cesare wrócił do Rzymu sam ze swojej ostatniej wyprawy do Romanii. Jedzie do Zamku św. Anioła.

– *Grazie*, Alberto – odparł Machiavelli, a goniec zawrócił konia i pogalopował z powrotem tam, skąd przyjechał.

– No i? – spytał Ezio.

Machiavelli rozłożył dłonie.

– Decyzja należy do ciebie, nie do mnie.

– Niccolò, lepiej nie przestawaj mi mówić, co myślisz. Potrzebna mi teraz opinia mojego najbardziej zaufanego doradcy.

Na twarzy Machiavellego pojawił się cień uśmiechu.

– W tej sprawie znasz już moją opinię. Nie zmieniła się. Borgiowie muszą zostać starci z powierzchni ziemi. Idź i ich zabij, *mentore*. Dokończ dzieła, które rozpocząłeś.

– Słuszna rada.

– Wiem.

Niccolò popatrzył na Ezia z namysłem.

– O co chodzi?

– Noszę się z zamiarem napisania dzieła o metodach Cesare. Teraz myślę, że zrównoważę ją analizą twoich.

– Jeśli masz pisać o mnie – powiedział Ezio – pisz krótko!

42

Ezio przybył do Zamku św. Anioła i odkrył, że na przeciwległym brzegu Tybru zebrał się spory tłum. Wmieszał się między ludzi i przecisnął do przodu, gdzie zobaczył, że francuskie oddziały strzegące mostu prowadzącego do zamku i sam zamek pogrążone są w całkowitym chaosie. Niektórzy żołnierze już pakowali sprzęt, podczas gdy oficerowie i porucznicy biegali między nimi i rozkazywali się im z powrotem rozpakować. Rozkazy bywały niejednokrotnie sprzeczne, w wyniku czego tu i tam wybuchały bójkі. Tłum gapiów przyglądał się temu, jak zauważył Ezio, z milczącym zadowoleniem. Ezio własne ubrania miał w torbie na ramieniu – na wszelki wypadek założył znów mundur francuskiego oficera, który nosił podczas szturm na *Castra Praetoria*; teraz zrzucił płaszcz, pod którym go ukrywał, i szybkim krokiem wszedł na most. Nikt nie zwrócił na niego uwagi. Kiedy przechodził między francuskimi żołnierzami, dobiegały go strzępy rozmów.

– Kiedy spodziewamy się ataku d’Alviano i jego najemników?

– Mówią, że już tu idą.

– To dlaczego się pakujemy? Wycofujemy się?

– Mam nadzieję! *Tout cela, c’est rien qu’un tas de merde.*

Jakiś szeregowiec zauważył Ezia.

– Poruczniku! Panie poruczniku! Jakie mamy rozkazy?

– Właśnie idę się dowiedzieć – odparł Ezio.

– Panie poruczniku!

– O co chodzi?

– Kto teraz dowodzi? Skoro generał de Valois nie żyje?

– Bez wątplenia król wyśle jego następcę.

– Czy to prawda, panie poruczniku, że zginął mężnie w boju?

Ezio uśmiechnął się do siebie.

– W rzeczy samej. Na czele swoich ludzi.

Ruszył dalej do zamku.

Wewnątrz wspiął się na blanki i spojrzął z nich na dziedziniec, gdzie wypatrzył Cesare rozmawiającego z kapitanem Gwardii Papieskiej, stojącym pod drzwiami do cytadeli.

– Muszę się zobaczyć z papieżem! – mówił z naciskiem Borgia. – Muszę się natychmiast widzieć z moim ojcem.

– Oczywiście, Wasza Łaskawość. Znajdziesz Jego Świątobliwość w jego prywatnych komnatach na górze zamku.

– To zejdz mi z drogi, głupcze!

Cesare przecisnął się obok bezradnego kapitana, a ten pospiesznie rozkazał otworzyć przed nim furtkę w bramie. Ezio przyglądał się temu przez chwilę, a potem obszedł zamek dookoła, aż znalazł tajemne drzwi. Przypadł do ziemi i otworzył je kluczem Pietra.

W środku rozejrzał się czujnie, a potem, nikogo nie widząc, zanurkował po schodach w stronę cel, z których uratował Caterinę Sforzę. Znalazłszy cichy kąt, szybko zrzucił strój francuskiego porucznika i przebrał się z powrotem we własne ubranie, odpowiednie do zadania, które miał przed sobą. Szybko sprawdził broń, przypiął karwasz oraz zatrute ostrze i upewnił się, że ma przy pasie pełen komplet zatrutych strzałek. Potem, trzymając się przy murze, ruszył w kierunku schodów prowadzących na najwyższe piętro zamku. Droga była strzeżona i musiał posłać do Stwórcy trzech wartowników, nim przedostał się dalej.

W końcu znalazł się w ogrodzie, w którym kiedyś obserwował był Lukrecję i jej kochanka podczas schadzki. W świetle dnia zobaczył, że jej komnaty były częścią większego kompleksu. Jeszcze większa i jeszcze wspanialsza budowla wznosiła się tuż za nimi; Ezio domyślił się, że musiała należeć do papieża. Kiedy jednak ruszył w tamtym kierunku, zatrzymała go rozmowa

dobiegająca z komnat Lukrecji. Bezszelestnie podkraść się do otwartego okna, z którego dobiegały głosy, i zaczął nasłuchiwać. Widział Lukrecję, najwyraźniej zupełnie nieporuszoną przejściami w celi, rozmawiającą z tym samym sługą, któremu poprzednio powierzyła informację o swoim romansie z Pietrem, przekazaną później jej zazdrosnemu bratu – z sukcesem, sądząc po szybkim powrocie Cesare do Rzymu.

– Nie rozumiem tego – mówiła Lukrecja z irytacją. – Zamówiłam świeżą dostawę *cantarelli* zaledwie wczoraj wieczorem. Toffana miała mi ją dostarczyć osobiście przed południem. Widziałeś ją? Co się dzieje?

– Wielce mi przykro, *mia signora*, ale właśnie się dowiedziałem, że dostawę przejął papież. Zabrał wszystko dla siebie.

– Stary łajdak. Gdzie on jest?

– W swoich komnatach. *Madonna*, on ma spotkanie...

– Spotkanie? Z kim?

Służący się zawahał.

– Z Cesare, *madonna*.

Lukrecja przyjęła to w milczeniu.

– To dziwne – powiedziała w końcu. – Ojciec nie mówił, że Cesare znów tu jest.

Głęboko zamyślona wyszła z komnaty.

Pozostawiony sam sobie służący zaczął sprzątać – ustawiał stoły i krzesła, mamrocząc coś pod nosem.

Ezio odczekał chwilę w nadziei, że dowie się jeszcze czegoś przydatnego, ale sługa powiedział tylko:

– Ileż ja mam kłopotów przez tę babę... Dlaczego nie zostałem w stajni, gdzie mi było tak dobrze? To ma być awans?! Zawsze kiedy załatwiam jakąś sprawę, ryzykuję głową. I do tego jeszcze muszę próbować jej jedzenia za każdym razem, kiedy siada do posiłku. – Przerwał na chwilę. – Co za rodzina!

43

Ezio oddalił się, zanim padły te ostatnie słowa, i przekradł się przez ogród do apartamentów papieża. Ponieważ jedyne wejście było strzeżone, a on nie chciał zwracać na siebie uwagi – ciała zabitych na dole strażników mogły lada chwila zostać odkryte – znalazł miejsce, gdzie mógł się ukradkiem wspiąć do jednego z większych okien budynku. Przeczucie, że będzie to jedno z okien komnaty samego papieża, sprawdziło się. Okno miało szeroki, zewnętrzny parapet, na którym Ezio mógł z boku przycupnąć, niewidziany od środka. Ostrzem sztyletu udało mu się uchylić jedno skrzydło na tyle, że słyszał wszystko, co mówiono wewnątrz.

Rodrigo – papież Aleksander VI – był w komnacie sam, stał przy stole i przesuwiał po nim nerwowo misę czerwonych i żółtych jabłek. Wtem otworzyły się drzwi i do środka wparował niezapowiedziany Cesare. Widać było, że jest wściekły; bez wstępów rozpoczął gniewną tyradę.

– Co tu się dzieje, do diabła?

– Nie wiem, o co ci chodzi – odparł z rezerwą jego ojciec.

– Owszem, wiesz. Obcięto mi fundusze i moje wojska się rozproszyły.

– Ach. Cóż, wiesz, że po tragicznym... zgonie twojego bankiera wszystkie jego sprawy przejął Agostino Chigi...

Cesare zaśmiał się bez wesołości.

– Twój bankier! Mogłem się tego domyślić. A moi ludzie?

– Finansowe trudności spotykają od czasu do czasu nas wszystkich, mój drogi chłopcze, nawet tych z nas, którzy mają armie i przerost ambicji.

– Każesz Chigiemu wypłacić mi pieniądze, czy nie?

– Nie.

– Jeszcze zobaczymy!

Cesare ze złością porwał jabłko z misy. Ezio zobaczył, że papież uważnie przygląda się synowi.

– Chigi ci nie pomoże – powiedział Rodrigo spokojnym tonem. – A jest zbyt potężny, byś mógł narzucić mu swoją wolę.

– W takim wypadku – prychnął Cesare – użyję Części Edenu, by dostać to, czego chcę. Twoja pomoc nie będzie mi potrzebna.

Z nieprzyjemnym uśmiechem wgryzł się w jabłko.

– Do tej pory dałeś mi to do zrozumienia aż nadto jasno – powiedział sucho papież. – Przy okazji, pewnie wiesz, że generał de Valois nie żyje?

Uśmiech Cesare zniknął jak zdmuchnięty.

– Nie. Dopiero co wróciłem do Rzymu. – W jego głosie pojawiła się groźba.
– To ty?

Papież rozłożył ręce.

– Jaki mógłbym mieć powód, żeby go zabijać? A może spiskował przeciwko mnie z moim własnym, najdroższym, genialnym, zdradzieckim kapitanem generalnym?

Cesare odgryzł następny kęs jabłka.

– Nie muszę tego słuchać! – warknął.

– Jeśli chcesz wiedzieć, zamordowali go asasyni.

Cesare przełknął, wytrzeszczając oczy. Potem jego twarz pociemniała z gniewu.

– Dlaczego ich nie powstrzymałeś?

– Niby jak? To ty zdecydowałeś o ataku na Monteriggioni, nie ja. Najwyższa pora, żebyś wziął odpowiedzialność za swoje błędy, o ile nie jest za późno.

– Chciałeś powiedzieć: za moje czyny – odparł Cesare z dumą. – Mimo nieustannych przeszkód ze strony takich nieudaczników jak ty.

Młodszy Borgia odwrócił się do wyjścia, ale papież pospiesznie okrążył stół, zastawiając mu drogę.

– Nigdzie nie pójdziesz – warknął. – Do tego łudzisz się. To ja mam Część Edenu.

– Kłamiesz. Zejdź mi z drogi, stary głupcze.

Papież ze smutkiem pokręcił głową.

– Dałem ci wszystko, co mogłem, a tobie zawsze było mało.

W tej chwili Ezio zobaczył Lukrecję wbiegającą do komnaty z szaleństwem w spojrzeniu.

– Cesare! – wrzasnęła. – Uważaj! On chce cię otruć!

Cesare zamarł. Spojrzał na jabłko w ręku i wypluł kęs, który właśnie odgryzł, z twarzą zastygłą jak maska. Mina Rodriga zmieniła się z tryumfalnej w grymas strachu. Papież cofnął się przed synem i schował za stołem.

– Otruć mnie? – powtórzył Cesare, wwiercając spojrzenie w oczy ojca.

– Nie chciałeś... posłuchać głosu rozsądku – wyjąkał Rodrigo.

Cesare uśmiechnął się, bardzo powoli do niego podchodząc.

– Ojcie. Drogi ojcie. Czy nie rozumiesz? To ja wszystko kontroluję. Wszystko bez wyjątku. Jeśli chcę żyć, na przekór twoim wysiłkom, to będę żył. A jeśli jest coś, czego chcę – cokolwiek – wtedy to biorę.

Chwycił papieża za kołnierz, unosząc zatrute jabłko.

– Na przykład, jeśli chcę, żebyś umarł, to umierasz!

Przyciągnął ojca do siebie, wepchnął mu jabłko w usta, zanim ten zdołał je zamknąć, a potem chwycił go za głowę i szczękę, siłą zwierając mu wargi. Rodrigo szarpał się i krztusił, nie mogąc złapać tchu. Upadł na ziemię w agonii; dwójka jego dzieci niewzruszenie patrzyła, jak umiera.

Cesare nie tracił czasu; ukląkł i przeszukał szaty martwego ojca. Nie znalazł nic. Wstał i odwrócił się do siostry, która skuliła się ze strachu.

– Musisz... iść po pomoc! Masz w sobie truciznę! – krzyknęła.

– Nie dość dużo – warknął ochryple Cesare. – Naprawdę myślisz, że jestem takim głupcem, by przed przyjściem tu nie wziąć profilaktycznie antidotum? Wiem, jaką podstępna starą ropuchą był nasz ojciec i jak by zareagował,

gdyby choć przez chwilę podejrzewał, że prawdziwa władza przechodzi w moje ręce. Powiedział, że ma Część Edenu.

– On... on... mówił prawdę.

Cesare uderzył Lukrecję w twarz.

– Dlaczego mi nie powiedziano?

– Nie było cię... kazał ją przenieść... bał się, że asasyni mogą...

Borgia znów uderzył siostrę otwartą dłonią.

– Spiskowałaś z nim!

– Nie! Nie! Myślałam, że wysłał ci wiadomość posłańcem!

– Kłamiesz!

– Mówię prawdę. Naprawdę myślałam, że wiesz, co zrobił.

Cesare uderzył ją po raz trzeci, tym razem mocniej, tak że straciła równowagę i upadła.

– Cesare – powiedziała, z trudem łapiąc oddech, z paniką i strachem w oczach – oszalałeś? To ja, Lukrecja. Twoja siostra. Twoja przyjaciółka. Twoja kochanka. Twoja królowa.

Wstała i lękliwie uniosła dłonie do jego policzków, by je pogłodzić. Cesare jednak chwycił ją za gardło i potrząsnął, jak terier potrząsa fretką.

– Jesteś zwykłą dziwką. – Przysunął twarz blisko do jej twarzy. – A teraz mów – ciągnął niebezpiecznie cichym głosem – gdzie ono jest?

W głosie Lukrecji słychać było niedowierzanie; słowa więzły jej w gardle.

– Ty... ty mnie nigdy nie kochałeś?

W odpowiedzi puścił jej gardło i uderzył ją w twarz, pod oko, zaciśniętą pięścią.

– Gdzie jest Jabłko? Jabłko! – wrzasnął. – Mów!

Lukrecja splunęła mu w twarz. Cesare chwycił ją za ramię i cisnął na podłogę, a potem zaczął mocno kopać, powtarzając raz za razem swoje pytanie. Ezio zeszywniał, siłą powstrzymując się od interwencji – w końcu on też musiał poznać odpowiedź – choć przerażało go to, czego był świadkiem.

– Dobrze. Dobrze – wykrztusiła w końcu Lukrecja zrezygnowanym głosem. Cesare poderwał ją na nogi, a ona przysunęła usta do jego ucha, ku wściekłości Ezia, szepcząc.

Usatysfakcjonowany Borgia odepchnął ją.

– Mądra decyzja, siostrzyczko.

Lukrecja próbowała go objąć, ale odepchnął ją z obrzydzeniem i wyszedł z komnaty.

Kiedy tylko zniknął, Ezio runął przez okno i wylądował blisko Lukrecji, która leżała bezwładnie pod ścianą. Asasyn pospiesznie ukląkł przy nieruchomym ciele Rodriga i sprawdził mu puls.

Nie było go.

– *Requiescat in pace* – szepnął, z powrotem wstając i odwracając się do Lukrecji. Kobieta na jego widok uśmiechnęła się z goryczą; w jej spojrzeniu pojawiła się odrobina dawnego ognia.

– Byłeś tam? Cały czas?

Ezio przytaknął.

– Dobrze – powiedziała. – Wiem, gdzie ten drań idzie.

– Powiedz mi.

– Z przyjemnością. Święty Piotr. Pawilon na dziedzińcu.

– Dziękuję, *madonna*.

– Ezio.

– Tak?

– Uważaj na siebie.

44

Ezio biegł wzdłuż Passetto di Borgo, ciągnącego się przez *rione* Borgo i łączącego Zamek św. Anioła z Watykanem. Żałował, że nie mógł zabrać ze sobą kilku swoich ludzi i że nie miał czasu poszukać konia, ale pośpiech dodawał mu skrzydeł i wszystkich napotykanym strażników asasyn w pędzie po prostu roztrącał na boki.

W Watykanie dostał się do pawilonu na dziedzińcu, gdzie według Lukrecji miało znajdować się Jabłko. Po śmierci Rodriga istniała spora szansa na wybór papieża, na którego Borgia nie miałby wpływu, ponieważ kolegium kardynalskie, nie licząc jego przekupionych członków, miało dość bycia rozstawianym po kątach przez rodzinę cudzoziemców.

Póki co jednak Ezio musiał powstrzymać Cesare, zanim ten dostałby w swoje ręce Jabłko i użył jego mocy – jakkolwiek niejasno mógłby je pojmować – by odzyskać wszystko to, co stracił.

Przyszła pora na decydujące uderzenie we wroga – teraz albo nigdy.

Ezio dotarł na dziedziniec, ale zastał go opustoszałym. Zauważył, że na środku, zamiast fontanny, wznosiła się duża rzeźba z piaskowca, przedstawiająca sosnową szyszkę w kamiennym pucharze na postumencie. Miała może dziesięć stóp wysokości. Ezio rozejrzał się po pozostałej części placu, ale był on pusty; zakurzone kamienne płyty oślepiały swoją bielą. Nie było tu nawet kolumnad, a ściany otaczających budynków nie posiadały żadnych ozdób, choć wysoko w górze ciągnęły się rzędy wąskich okien, a na parterze każdej pierzei widać było po jednych, zamkniętych drzwiach. Było to niezwykle surowe miejsce.

Ezio jeszcze raz popatrzył na szyszkę i podszedł do niej. Przyglądając się

z bliska, dostrzegł biegnącą po całym obwodzie wąską szczelinę między kopułą rzeźby a jej korpusem. Wspiął się na postument, odkrył, że jest w stanie stanąć pewnie na palcach stóp, a potem trzymając się jedną ręką, drugą przesunął wzdłuż szczeliny, macając w poszukiwaniu jakiejś niedoskonałości, zdradzającej ukryty przycisk czy sprężynę.

Jest! Znalazł.

Nacisnął lekko i czubek szyszki odskoczył na niewidocznych dotąd zawiasach z brązu, mocno przymocowanych śrubami do miękkiego kamienia i wzmocnionych cementową zaprawą. Na środku zagłębienia, które się ukazało, leżał ciemnozielony, skórzany worek. Ezio niezdarnie rozsunął ściągający jego wlot rzemień, a bijący z wnętrza słaby blask potwierdził jego nadzieje: znalazł Jabłko!

Z sercem w gardle ostrożnie zabrał sakwę – znał Borgiów i nie było żadnej gwarancji, że nie ma w tym jakiejś pułapki, ale musiał zaryzykować.

Gdzie u diabła był Cesare? Miał nad Eziem kilka ładnych minut przewagi i bez wątpienia przyjechał tu konno.

– Ja to wezmę – zawołał zimny, okrutny głos za asasynem.

Z sakwą w ręku Ezio opadł lekko na ziemię i odwrócił się do Cesare, który właśnie wpadł przez drzwi na południowej ścianie w towarzystwie oddziału swojej osobistej obstawy. Żołnierze rozbiegli się po dziedzińcu, otaczając Ezia.

Oczywiście – pomyślał asasyn – spodziewał się konkurencji, więc poświęcił czas na szukanie wsparcia.

– Byłem szybszy – zadrwił z Cesare.

– Nic ci to nie da, Ezio Auditore. Już zbyt długo jesteś mi solą w oku. Ale tutaj się to skończy. Teraz. Mój miecz odbierze ci życie.

Wyciągnął nowoczesną schiavonę z koszową osłoną dłoni i zrobił krok w stronę Ezia. Nagle jednak poszarzał na twarzy i chwycił się za brzuch, upuszczając broń, gdy ugięły się pod nim kolana. Najwyraźniej antidotum nie było wystarczająco mocne – pomyślał Ezio, oddychając z ulgą.

– Straż! – wychrypiał Cesare, walcząc, by ustać na nogach.

Żołnierzy było dziesięciu, pięciu miało muszkiety. Ezio rzucił się w serię uników, kiedy do niego strzelili; kule z rusznic uderzały w ziemię i ściany, gdy asasyn schował się za postumentem. Wyciągnął zza pasa zatrute strzałki i wyskoczył z kryjówki, skracając dystans dzielący go od muszkieterów na tyle, by cisnąć je jedna po drugiej. Żołnierze Cesare nie spodziewali się ataku i popatrzyli po sobie z zaskoczeniem. Ezio rzucił strzałki; każda z nich odnalazła cel. W kilka sekund trzech gwardzistów już leżało; trucizna szybko wywołała swój zabójczy efekt.

Jeden ze strzelców odzyskał na chwilę panowanie nad sobą i cisnął muszkietem jak maczugą, ale Ezio uchylił się i broń przeleciała, wirując, nad jego głową. Szybko rzucił dwiema ostatnimi rzutkami, aż wszyscy muszkieterzy polegli. Nie miał czasu zebrać swoich pocisków, jak sugerował Leonardo.

Pięciu szermierzy, otrząsnąwszy się z wstępnego szoku – bo zakładali, że ich towarzysze z bronią palną szybko rozprawią się z asasynem – rzuciło się na Ezia, dzierżąc ciężkie falchiony. Ezio niemal tanecznymi uskokami uniknął ich niezdarnych ciosów – broń mieli zbyt nieporęczną, by móc nią sprawnie władać – wysuwając nowe zatrute ostrze i dobywając sztyletu. Wiedział, że nie ma dużo czasu na rozprawę z żołnierzami, zanim do walki wkroczy Cesare, dlatego jego technika walki była bardziej oszczędna i skuteczna niż zwykle – najchętniej blokował ciosy przeciwników sztyletem i dokończył dzieła zatrutym ostrzem. Pierwsi dwaj padli bez jednego szeptu, a wtedy pozostali trzej postanowili zaatakować naraz. Ezio wycofał się pięcioma szybkimi krokami i wysunął sztylet w górę i w przód, szarżując na najbliższego z trzech napastników. Kiedy tylko znalazł się w zasięgu, padł na kolana, sunąc po ziemi pod ostrzem zdezorientowanego gwardzisty. Zatrute ostrze drasnęło w przelocie udo mężczyzny; Ezio przetoczył się w stronę pozostałych dwóch, tnąc sztyletem ścięgna ich nóg. Obaj wrzasnęli i upadli.

Cesare przyglądał się temu wszystkiemu z milczącym niedowierzaniem,

a kiedy Ezio rozprawiał się z ostatnią trójką, Borgia postanowił nie czekać na wynik walki. Doszedł do siebie w wystarczającym stopniu, by rzucić się do ucieczki.

Otoczony przez gwardzistów Ezio mógł go tylko obserwować kątem oka.

Nic się jednak nie stało, wciąż bowiem miał Jabłko i pamiętał, co zrobić, by skorzystać z jego mocy – jak mógłby zapomnieć? – by po skończonej walce wydostać się z Watykanu inną drogą niż ta, którą przyszedł. Domyślał się, że Cesare nie tracił czasu i zamknął Passetto di Borgo. Jaśniejące w skórzanej torbie Jabłko wyświetlało na swojej powierzchni drogę wśród wysokich, malowanych ścian i komnat Watykanu w stronę Kaplicy Sykstyńskiej, a stamtąd przez prowadzący na południe korytarz do samej Bazyliki św. Piotra. Jego moc była tak wielka, że przechodzący obok mnisi i księża odwracali się od Ezia, unikając go, a papiescy gwardziści stali sztywno wyprostowani na swoich posterunkach.

Ezio zastanawiał się, jak szybko wiadomość o śmierci papieża przeniknie do niższych warstw watykańskiej hierarchii. By zapanować nad zamieszaniem, które musiało nastąpić, potrzeba było silnej ręki; Ezio modlił się, by Cesare nie zdołał wykorzystać czyjejkolwiek niepewności, by samemu sięgnąć – jeśli nie po papieżstwo, które pozostawało raczej poza jego zasięgiem – to po zmanipulowanie wyboru, tak by na Stolicy Piotrowej posadzić nowego papieża sprzyjającego jego ambicjom.

Mijając po lewej genialną Pietę autorstwa młodego Michała Anioła, Ezio opuścił Bazylikę i wmieszał się w tłum na brudnym, starym placu przed jej wschodnim wejściem.

45

Kiedy dotarł do kryjówki asasynów na wyspie, w całym Rzymie rozdzwoniły się kościelne dzwony. Wybijały godzinę śmierci papieża.

Przyjaciele Ezia czekali na niego.

– Rodrigo nie żyje – oznajmił im.

– Domyśliliśmy się z dzwonów – powiedział Machiavelli. – Świetna robota!

– Nie zginął z mojej ręki, lecz Cesare.

Wszystkich zaskoczyła ta wiadomość.

– A co z samym Cesare? – spytał w końcu Machiavelli.

– Żyje, choć papież przed śmiercią próbował go otruć.

– Wąż kąsa własny ogon – rzekł La Volpe.

– A więc ostatecznie wygraliśmy! – zawołała Claudia.

– Nie – ostudził ją Machiavelli. – Wolny od ograniczeń narzucanych przez ojca, Cesare może jeszcze odzyskać to, co stracił. Nie możemy pozwolić, żeby zebrał sojuszników, którzy przy nim pozostali. Najbliższe tygodnie będą tu kluczowe.

– Z waszą pomocą go dopadnę – powiedział stanowczo Ezio.

– Niccolò ma rację; musimy działać szybko – wtrącił La Volpe. – Słyszysz te trąby? To wezwanie dla sił Borgiów.

– Wiesz gdzie? – spytał Bartolomeo.

– Najprawdopodobniej zbierają swoje oddziały na placu przed pałacem Cesare na Zatybrzu.

– Moi ludzie będą patrolować miasto – zaoferował d’Alviano – ale potrzebowalibyśmy całej armii, żeby zrobić to dokładnie.

Ezio ostrożnie wyjął z torby Jabłko, które zaśniło matowym blaskiem.

– Mamy armię – rzekł. – Albo coś równie potężnego.

– Wiesz, jak go używać? – spytał Machiavelli.

– Pamiętam wystarczająco dużo z czasów, kiedy dawno temu Leonardo eksperymentował z nim w Wenecji – odparł Ezio. Podniósł w górę dziwny artefakt, skupił się i spróbował skierować w niego swoje myśli.

Przez kilka długich chwil nic się nie działo i już miał się poddać, kiedy z początku powoli, a potem z coraz większą energią, Jabłko zaczęło świecić jaśniej i jaśniej, aż musieli zasłonić oczy.

– Cofnąć się! – ryknął Bartolomeo. Claudia krzyknęła, przestraszona, nawet La Volpe się odsunął.

– Nie – powiedział Machiavelli. – To nauka, tyle że pozostająca poza naszym zrozumieniem. – Spojrzał na Ezia. – Gdyby tylko był tu Leonardo.

– Oby tylko służyło naszym celom – rzekł Ezio.

– Patrzcie – zauważył La Volpe. – Pokazuje nam kampanilę Santa Maria na Zatybrzu. Tam musi być Cesare.

– Miałeś rację – zawołał Bartolomeo. – Ale popatrzcie, ilu ma wciąż żołnierzy.

– Idę tam. Natychmiast – oznajmił Ezio. Wyświetlana scena zblakła, Jabłko znieruchomiało.

– Idziemy z tobą.

– Nie. – Ezio podniósł rękę. – Claudio, ty wracaj do Rosa in Fiore i każ swoim dziewczynom dowiedzieć się jak najwięcej o planach Cesare, a potem zmobilizuj naszych rekrutów. Gilberto, niech twoi złodzieje rozejdą się po całym mieście i przyniosą wieści o kapitułach templariuszy, które Borgia może próbować reorganizować. Nasi wrogowie walczą o życie. Bartolomeo, zbierz ludzi i niech będą gotowi wyruszyć w każdej chwili.

Odwrócił się do Machiavellego.

– Niccolò. Jedź do Watykanu. Kolegium Kardynałów niedługo zbierze się na konklawe, żeby wybrać nowego papieża.

– W rzeczy samej. A Cesare na pewno nie omieszka użyć wszelkich

pozostałych mu wpływów, by posadzić na papieskim tronie kandydata, który mu sprzyja – a przynajmniej takiego, którym mógłby manipulować.

– Ale kardynał della Rovere ma teraz wielki autorytet, a jak wiesz, jest nieprzejednanym wrogiem Borgiów. Gdyby tylko...

– Pójdę i porozmawiam z kardynałem Camerlengo. Wybór może się przeciągać.

– Musimy jak najlepiej wykorzystać to bezkrólewie. Dziękuję, Niccolò.

– Jak zamierzasz poradzić sobie sam, Ezio?

– Nie jestem sam – odparł Ezio, ostrożnie chowając Jabłko do torby. – Zabieram je ze sobą.

– Obyś tylko wiedział, jak je kontrolować – rzekł Bartolomeo z powątpiewaniem. – Gdyby mnie ktoś o to pytał, to powiedziałbym, że to rzecz prosto z warsztatu Belzebuba.

– W niewłaściwych rękach – być może. Ale dopóki to my je mamy...

– A więc nie spuszczaaj go z oka, nie mówiąc już o wypuszczaniu go z ręki.

Rozstali się i rozeszli do przydzielonych przez Ezia obowiązków. Sam Ezio przeszedł na zachodni brzeg rzeki i biegiem pokonał niewielką odległość do kościoła, który La Volpe zidentyfikował w wizji ukazanej im przez Jabłko.

Kiedy dotarł na miejsce, wszystko wyglądało już inaczej, choć zobaczył oddziały żołnierzy w barwach Cesare, opuszczające plac w zorganizowanych czworobokach, jakby pod czyjąś komendą. To byli zdyscyplinowani ludzie, którzy wiedzieli, że klęska będzie oznaczać ich zgubę.

Nigdzie nie było widać Cesare, ale Ezio wiedział, że Borgia wciąż musi cierpieć skutki zażycia trucizny. Zebranie wojsk musiało kosztować go dużo wysiłku. Mógł się schronić tylko w jednym miejscu: swoim ufortyfikowanym *palazzo* niedaleko stąd. Ezio ruszył w tamtym kierunku.

Wmieszał się w grupę służących Borgiów, noszących na ramionach płaszczy osobisty herb Cesare. Byli zbyt podenerwowani, by go zauważyć, nawet gdyby nie uczynił się niewidzialnym za pomocą Jabłka. Ukryty między gwardzistami prześlizgnął się przez bramę *palazzo*, którą szybko

przed nimi otwarto, a potem równie szybko zamknięto.

Ezio skrył się w cieniu kolumnady dziedzińca i ruszył wzdłuż wewnętrznego muru, przystając i zaglądając w każde niezastłonięte okiennicą okno. Potem, przed sobą, zobaczył drzwi pilnowane przez dwóch wartowników. Rozejrzał się. Dziedziniec był pusty. Podszedł cicho, wysuwając ukryte ostrze, i spadł na żołnierzy, zanim zorientowali się, co się dzieje. Jednego zabił od razu. Drugi zdołał zadać cios, który odciąłby Eziowi lewą rękę, gdyby nie karwasz. Zanim gwardzista otrząsnął się z zaskoczenia tym, co wziął za czary, Ezio wbił mu ostrze w gardło i przeciwnik osunął się na ziemię bezwładnie jak wór.

Drzwi nie były zamknięte na klucz, a kiedy Ezio ostrożnie je uchylił, odkrył, że miały dobrze naoliwione zawiasy, więc udało mu się wśliznąć do pomieszczenia za nimi bezgłośnie.

Było duże i ciemne. Asasyn schował się za gobelinem przy wejściu, zawieszonym, by zapobiegać przeciągom, i obserwował mężczyzn siedzących wokół dużego, dębowego stołu na środku. Błat stołu zasłany był papierami i oświetlony świecami z dwóch żelaznych kandelabrow. U jego szczytu siedział Cesare, ze swoim osobistym lekarzem, Gasparem Torellą u boku. Twarz miał poszarzałą i pocił się obficie, patrząc gniewnie na swoich oficerów.

– Musicie ich dopaść – mówił, ściskając mocno poręczę fotela, by utrzymać się prosto.

– Są zarazem wszędzie i nigdzie – odrzekł bezradnie jeden z pozostałych.

– Nie obchodzi mnie jak, macie to po prostu zrobić!

– Nie możemy, *signore*, nie bez twojego dowództwa. Asasyni się przegrupowali. Teraz, kiedy Francuzów już nie ma, albo są rozbici, nasze własne siły nie mogą się z nimi równać. Wszędzie mają szpiegów, a nasza siatka nie jest już w stanie ich wytropić. Ezio Auditore przeciągnął na swoją stronę wielu obywateli.

– Jestem chory, *idioti!* Polegam na waszej inicjatywie. – Cesare westchnął

i opadł na oparcie fotela. – Niewiele brakowało, abym zginął, ale jeszcze mogę ukąsić.

– Panie...

– Utrzymajcie ich tylko na odległość, jeśli to wszystko, na co was stać.

Cesare przerwał, by złapać oddech, a doktor Torella otarł mu czoło szmatką zmoczoną w occie czy jakimś innym mocno pachnącym środku ściągającym, mrużąc przy tym kojąco do swojego pacjenta.

– Już wkrótce – podjął Cesare – już wkrótce Micheletto dotrze do Rzymu z moimi wojskami z Romanii i z północy, a wtedy zobaczycie, jak szybko zetrę asasynów w pył.

Ezio wystąpił naprzód i odsłonił Jabłko.

– Łudzisz się, Cesare – rzekł głosem pełnym autorytetu.

Borgia poderwał się z fotela ze strachem w oczach.

– To ty! Ile masz żyć, Ezio? Ale tym razem zginiesz na dobre. Wezwać strażę! Natychmiast! – ryknął na swoich oficerów, pozwalając lekarzowi wyprowadzić się w bezpieczne miejsce przez wewnętrzne drzwi.

Jeden z oficerów, szybko jak błyskawica, popędził do wyjścia, żeby podnieść alarm, a pozostali wyciągnęli pistolety i wymierzili je w Ezia. Ten równie szybko wyciągnął Jabłko z torby i podniósł je do góry, koncentrując się mocno i naciągając kaptur na oczy.

Jabłko zaczęło pulsować blaskiem, ten zaś przeszedł w światło niedające ciepła, ale oślepiające jak słońce. Całą komnatę zalała biel.

– Co to za czary? – krzyknął jeden z oficerów, strzelając na oślep. Przypadkiem trafił Jabłko, ale kula nie uczyniła artefaktowi więcej szkody niż garstka kurzu.

– Zaprawdę, ten człowiek ma po swojej stronie samego Boga! – jęknął inny, na próżno usiłując osłonić oczy i brnąć w kierunku, w którym wydawało mu się, że są drzwi.

Światło pojaśniało jeszcze bardziej, a oficerowie zbili się w gromadę przy stole, zasłaniając oczy rękami.

- Co się dzieje?
- Jak to możliwe?
- Nie karz mnie, Panie!
- Nic nie widzę!

Ezio zaciskał usta w skupieniu i dalej promieniował swoją wolą przez Jabłko, ale nawet on nie śmiał wyrzeć spod ochronnego czubka kaptura. Musiał wyczuć, kiedy przestać. Kiedy to zrobił, Jabłko – niewidoczne we własnym blasku – nagle zgasło, a Ezia uderzyła fala wyczerpania. W komnacie zaległa niezmacona najcichszym dźwiękiem cisza. Asasyn ostrożnie podniósł kaptur i zobaczył, że prawie nic się tu nie zmieniło. Świece na stole rozświetlały mrok, paląc się spokojnie w nieruchomym powietrzu, jakby nic się nie zdarzyło.

Gobelin stracił wszystkie kolory, a wokół stołu leżeli martwi oficerowie – prócz tego, który na samym początku pobiegł do drzwi. Teraz leżał bezwładnie pod nimi, z ręką wciąż na klamce. Ezio podszedł do niego; musiał go odsunąć, żeby wyjść.

Kiedy przetaczał trupa, mimowolnie spojrzał mu w oczy. Od razu pożałował – nigdy nie miał zapomnieć tego widoku.

– *Requiescat in pace* – powiedział przez ściśnięte gardło. Poczł zimny dreszcz, gdy zrozumiał, że Jabłko rzeczywiście posiada moce, które mogą zapanować nad umysłami ludzi i otworzyć możliwości oraz światy, o których nikomu się nie śniło.

Potrafiły szerzyć straszliwe zniszczenie, przekraczające wszelkie wyobrażenia.

46

Konklawe nie mogło podjąć decyzji. Mimo wysiłków kardynała della Rovere, by go przechytryć, Cesare najwyraźniej wciąż miał dość wpływów, żeby zaszachować opozycję. Strach, czy może egoizm, nie pozwalał kardynałom podjąć decyzji. Machiavelli domyślił się, co próbowali osiągnąć – znaleźć kandydata, który długo się nie utrzyma, ale będzie do zaakceptowania dla wszystkich stronnictw. Papieża tymczasowego, można powiedzieć: stróża, do czasu, aż ustali się równowaga sił.

Pamiętając o tym, Ezio z zadowoleniem, po kilku bezowocnych tygodniach, powitał wieści, które Claudia przyniosła na wyspę.

– Kardynał Rouen, Francuz, Georges d’Amboise, ujawnił pod... przymusem... że Cesare zaplanował spotkanie poza miastem z lojalistami templariuszy. Sam kardynał się tam wybiera.

– Kiedy się ono odbywa?

– Dzisiaj wieczorem.

– Gdzie?

– Miejsce ma pozostać tajemnicą do ostatniej chwili.

– W takim razie udam się do rezydencji kardynała i będę go śledził, kiedy wyruszy.

– Wybrali nowego papieża – oznajmił Machiavelli, wchodząc pospiesznie.

– Twój ulubiony francuski kardynał, Claudio, zanieś dzisiaj wieczorem tę wieść Cesare. Wybiera się z nim niewielka delegacja wciąż sprzyjających Borgiom.

– Kto został nowym papieżem? – spytał Ezio.

Machiavelli uśmiechnął się.

– Tak jak myślałem – powiedział. – Kardynał Piccolomini. Nie jest stary, ma sześćdziesiąt cztery lata, ale szwankuje mu zdrowie. Ogłosił się Piusem III.

– Kogo popiera?

– Jeszcze nie wiemy, ale wszyscy zagraniczni ambasadorzy naciskali Cesare, żeby na czas wyborów opuścił Rzym. Della Rovere jest wściekły, ale potrafi czekać.

Ezio resztę dnia spędził na naradach z Bartolomeo; razem zebrali oddział rekrutów i *condottieri* wystarczająco silny, by stawić czoło Cesare.

– Dobrze się stało, że nie zabiłeś Cesare w jego *palazzo* – powiedział Bartolomeo. – W ten sposób pociągnie swoich sprzymierzeńców za sobą, a my będziemy mogli zgnieść ich wszystkich naraz. – Spojrzał na Ezia. – Muszę ci to przyznać, przyjacielu, wyszło prawie tak, jakbyś to zaplanował.

Ezio uśmiechnął się i wrócił do swojej kwatery, gdzie przypiął pistolet i schował podwójne ostrze do kaletki przy pasie.

Z niewielką grupą wybranych z oddziału ludzi poszedł jako przednia straż, zostawiając resztę sił w pewnej odległości za sobą. Kiedy kardynał Rouen późnym popołudniem wyruszył ze swoimi kompanami i świtą, Ezio i jego konni pojechali za nimi, zachowując bezpieczny dystans. Nie ujechali daleko, kiedy kardynał zatrzymał się w wielkiej, wiejskiej posiadłości; wzniesiona na niej rezydencja stała za umocnionymi murami nad brzegiem jeziora Bracciano.

Ezio samotnie wspiął się na mur rezydencji i poszedł za delegacją kardynałów do Wielkiej Sali, wtapiając się w tłum około setki oficerów Borgii. Było tu obecnych wielu przybyszów z obcych krajów, których Ezio nie znał, ale wiedział, że muszą być członkami Zakonu Templariuszy. Cesare, już całkiem zdrowy, stał na podwyższeniu na środku zatłoczonej sali. Pochodnie świeciły migotliwie z uchwytów na ścianach, rzucając roztańczone cienie i tworząc atmosferę bardziej sabatu czarownic niżli wojskowej narady.

Na zewnątrz zebrali się żołnierze w liczbie, która zaskoczyła Ezia; przypomniał sobie wtedy to, co mówił Cesare: że Micheletto sprowadzi resztę jego sił z innych prowincji. Martwił się, że nawet mając ludzi Bartolomea i własnych rekrutów, których zostawił niecałe pół mili od posiadłości, może mieć twardy orzech do zgryzienia. Teraz było już jednak za późno.

Ezio patrzył, jak słoczzone szeregi rozstępują się, by przepuścić kardynałów do podwyższenia.

– Przyłączcie się do mnie, a odzyskam dla nas Rzym – mówił Cesare, kiedy kardynał Rouen ze swoimi prałatami weszli do środka. Na ich widok Borgia przerwał.

– Jakie wieści z konklawe? – zapytał.

Kardynał zawahał się.

– Dobre... i złe – powiedział.

– Wykrztuście!

– Wybraliśmy Piccolominiego.

Cesare zastanowił się.

– Cóż, przynajmniej to nie ten syn rybaka, della Rovere! – Odwrócił się do kardynała. – Ale to wciąż nie ten, którego chciałem. Potrzebna mi była marionetka. Piccolomini może i jest jedną nogą w grobie, ale wciąż może mi mocno zaszkodzić. Zapłaciłem za twoją nominację. Tak mi się odwdzięczasz?

– Della Rovere to potężny przeciwnik. – Kardynał znów się zawahał. – A Rzym nie jest już taki jak kiedyś. Pieniądze Borgia są zbrukane.

Cesare popatrzył na niego zimno.

– Pożalujecie tej decyzji – powiedział lodowatym tonem.

Kardynał skłonił głowę i odwrócił się do wyjścia, ale jednocześnie zauważył Ezia, który chwilę wcześniej precyzyjnie się do przodu, żeby lepiej widzieć.

– To asasyn! – zawołał. – Przepytywała mnie jego siostra! Tak się tu dostał!

Uciekać! Pozabija nas wszystkich!

Kardynałowie rzucili się do ucieczki pośród ogólnej paniki. Ezio pobiegł za nimi i na zewnątrz wypalił z pistoletu. Huk usłyszały jego wysunięte stráže, rozstawione tuż pod murami; żołnierze wystrzelili z kolei ze swoich muszkietów, dając Bartolomeo sygnał do ataku. Najemnicy zjawili się akurat w chwili, kiedy przed uciekającymi kardynałami otwierano bramę. Obrońcy nie zdążyli jej zamknąć i ulegli przedniej straży, która utrzymała się tam, dopóki Bartolomeo, wywijając Biancą nad głową i ze swoim wojennym okrzykiem na ustach, nie nadjechał z głównymi siłami asasynów. Ezio wystrzelił drugą kulę w brzuch żołnierza Borgiów, który, krzycząc, biegł na niego z groźnie wyglądającą maczugą uniesioną nad głową. Ale asasyn nie zdążył już przeładować. Zresztą do walki w zwarciu idealną bronią było podwójne ostrze. Ezio znalazł zagłębienie w murze, schował się w nim i do perfekcji wyćwiczonym ruchem wymienił pistolet na ostrze. Potem pobiegł z powrotem do środka, szukając Cesare.

Bitwa o posiadłość wewnątrz jej murów była krótka i krwawa. Żołnierze Borgiów i templariuszy byli nieprzygotowani na atak o takiej sile i zostali osaczeni. Walczyli zawzięcie i zanim walka się skończyła, wielu *condottiero* i rekrutów leżało martwych. A asasyni mieli tę przewagę, że uderzyli konno, a mało który z ich przeciwników zdążył wskoczyć na siodło, zanim został ścięty.

Kiedy opadł kurz, było już późno. Ezio, krwawiąc z rany na piersi, rąbał dookoła podwójnym ostrzem tak wściekle, że rozcięło mu rękawicę i skaleczyło głęboko jego własną dłoń. Wokół niego leżała sterta trupów, chyba połowa zebranych – tych, którzy nie zdążyli w mroku nocy uciec na północ.

Wśród nich nie było jednak Cesare. On również zbiegł.

W ciągu następnych tygodni wiele się wydarzyło. Asasyni walczyli z Cesare zaciekle, ale na próżno. Nie wrócił do Rzymu, a miasto faktycznie zdawało się oczyszczone z wpływów Borgiów i templariuszy, choć Ezio i jego towarzysze pozostawali czujni, wiedząc, że dopóki wróg żyje, niebezpieczeństwo wciąż istnieje. Podejrzewali, że w mieście nadal ukrywają się grupki zatwardziałyh borgistów, czekające tylko na sygnał.

Pius III okazał się głęboko religijnym człowiekiem. Niestety, po zaledwie dwudziestu sześciu dniach jego i tak kruche już zdrowie nie wytrzymało dodatkowych obciążeń oraz obowiązków papieżstwa i w październiku zmarł. Nie był, jak Ezio się obawiał, marionetką Borgiów. Przeciwnie – podczas swojego krótkiego pontyfikatu wprowadził w ruch reformy w Kolegium Kardynalskim, które odrzuciły całe zepsucie i cielesność mimowolnie propagowane przez jego poprzednika. Skończyło się sprzedawanie mianowań kardynalskich, skończyło się wykupywanie bogatych morderców od szubienicy. Pragmatyczna doktryna Aleksandra VI – „niech żyją, by mogli odpokutować” – przestała obowiązywać. Co ważniejsze jednak, nowy papież wydał na terenie Państwa Kościelnego list gończy za Cesare Borgią.

Następcę Piusa III wybrano bez zwłoki, do tego głosami przeważającej większości. Tylko trzech kardynałów było przeciw – jednym z nich był Georges d'Amboise, kardynał Rouen, który na próżno miał nadzieję zdobyć potrójną tiarę dla Francuzów.

Podczas krótkiej przerwy w karierze, spowodowanej wyborem Piusa III, Giuliano della Rovere, kardynał Bazyliki św. Piotra w Okowach, nie marnował czasu – skonsolidował swoich zwolenników i zapewnił sobie

wybór na papieża przy najbliższej sposobności, która, jak zapewne wiedział, musiała wkrótce nadejść.

Juliusz II, takie bowiem przybrał imię, był twardym człowiekiem około sześćdziesiątki, wciąż sprawnym na umyśle i na ciele. Posiadał niespożyte zasoby energii, jak Ezio miał się niedługo przekonać, będąc politycznym intrygantem i wojownikiem, do tego dumnym ze swojego skromnego pochodzenia – był synem rybaka – a czyż sam św. Piotr nie był rybakiem?

Borgia jednak wciąż rzucał swój cień.

– Gdyby tylko Cesare się pokazał – warknął Bartolomeo. On i Ezio naradzali się w sali sztabowej jego koszar.

– Pokaże się. Ale dopiero, kiedy będzie gotów.

– Moi szpiedzy donoszą, że planuje zebrać swoich najlepszych ludzi i zaatakować Rzym przez jedną z głównych bram.

Ezio zastanowił się nad tym.

– Jeśli Cesare nadejdzie z północy, co wydaje się prawie pewne, spróbuje się przebić przez bramę przy *Castra Praetoria*. Może nawet spróbować odbić samo *Castra*, bo to ważna strategicznie pozycja.

– Prawdopodobnie masz rację.

Ezio wstał.

– Zbierz asasynów. Razem stawimy czoła Cesare.

– A jeśli nam się nie uda?

– Co to za gadanie, Barto! Jeśli nam się nie uda, stawię mu czoła sam.

Rozdzielili się i umówili na spotkanie w Rzymie później tego samego dnia. Jeśli Cesare zamierza zaatakować, Święte Miasto będzie na to gotowe.

Okazało się, że przeczucie Ezia nie myliło. Kazał Bartolomeo zebrać pozostałych na placu kościoła blisko *Castra*, a kiedy tam przybyli, ruszyli do północnej bramy. Była już gęsto obsadzona obrońcami, bo Juliusz II z radością przyjął poradę asasyna. Widok, który ich powitał, kilkaset kroków dalej, ostudził ich optymizm. Cesare, na jasnym koniu, otoczony był grupą oficerów w mundurach jego prywatnej armii, a za nim stał przynajmniej

batalion żołnierzy.

Nawet z tej odległości czuły słuch Ezia wychwytywał nadętą przemowę Cesara – najdziwniejsze było to, że jego ludzie wciąż dawali się na to nabierać.

– Zjednoczę całą Italię, a wy będziecie nią władać u mojego boku! – tokował Borgia.

Odwrócił się i dostrzegł Ezia oraz pozostałych asasynów na blankach nad bramą. Potem samotnie podjechał trochę bliżej, choć nie na tyle, by znaleźć się w zasięgu strzału z muszkietu lub kuszy.

– Przyszliście obejrzyć mój tryumf? – krzyknął. – Bez obaw. To nie wszystkie moje siły. Niedługo przybędzie Micheletto z moją armią, ale wtedy będziecie już martwi. Mam dość ludzi, by się z wami rozprawić.

Ezio popatrzył na niego, a potem odwrócił się i spojrzał na czekające w bramie zwarte szeregi wojsk papieskich, rekrutów asasynów i *condottieri*. Podniósł rękę; żołnierze przy bramie wyciągnęli drewniane zasuwę i przygotowali się, by otworzyć ją na następny sygnał. Ezio trzymał rękę uniesioną.

– Moi ludzie nigdy mnie nie zawiodą! – zawołał Cesare. – Wiedzą, co ich czeka w przeciwnym razie! Niedługo odejdziecie z tej Ziemi, a moje dominia wrócą do mnie.

Ezio zastanawiał się, czy Nowa Zaraza nie pomieszała Borgii w głowie. Opuścił rękę. Brama pod nim otworzyła się i rzymskie siły runęły do przodu, najpierw kawaleria, za nią biegiem piechota. Cesare ściągnął desperacko wodze, wrzynając wędzidło w pysk konia i zawracając go. Jednak gwałtowne szarpnięcie sprawiło, że wierzchowiec potknął się i Borgia został szybko dopędzony. Jego batalion złamał szyki i, na widok zbliżających się rzymskich brygad, rzucił się do ucieczki.

Proszę, proszę – pomyślał Ezio. Oto odpowiedź na moje pytanie. – Ci ludzie byli gotowi walczyć za pieniądze, ale nie z wierności. Wierności nie da się kupić.

– Zabić asasynów! – wrzeszczał gorączkowo Cesare. – Za honor Borgiów!
Wszystko jednak na próżno. Był otoczony.

– Rzuć broń, Cesare – zawołał do niego Ezio.

– Nigdy!

– To miasto nie należy już do ciebie. Nie jesteś już jego kapitanem generalnym. Rody Orsinich i Colonnów są po stronie nowego papieża, a jeśli niektórzy z nich deklarowali poparcie dla ciebie, to były to jedynie puste deklaracje. Oczekiwali tylko odzyskania miast i posiadłości, które im ukradłeś.

Z bramy wyjechała niewielka delegacja – sześciu rycerzy w czarnych zbrojach. Jeden z nich miał na proporcu herb Juliusza II – gruby dąb. Na ich czele, na jabłkowitym koniu (wręcz przeciwieństwie bojowego rumaka) jechał elegancko ubrany mężczyzna, w którym Ezio natychmiast rozpoznał Fabia Orsiniego. Podjechali prosto do pyszniącego się Cesare.

Zapadła cisza.

– Cesare Borgia, znany jako Valentino, czasami jako kardynał Walencji i książę Walencji... – zaczął głośno Orsini. Ezio dostrzegł tryumfalny błysk w jego oku. – Z rozkazu Jego Świątobliwości, papieża Juliusza II, aresztuję cię za morderstwo, zdradę i kazirodztwo!

Sześciu rycerzy otoczyło Cesare, po dwóch z boków, jeden z przodu i jeden z tyłu. Odebrano mu wodze i przywiązano je do siodła.

– Nie, nie, nie, nie! – zawył Cesare. – Tak się to nie skończy!

Jeden z rycerzy klepnął jego konia w zad, a ten ruszył stępa do przodu.

– Tak się to nie skończy! – krzyknął butnie Borgia. – Łańcuchy mnie nie powstrzymają! – Jego głos podniósł się do wrzasku. – Nie zginę z ręki człowieka!

Wszyscy go słyszeli, ale nikt nie słuchał.

– Jedziemy – powiedział krótko Orsini.

48

– Zastanawiałem się, co się z tobą stało – powiedział Ezio. – A potem zobaczyłem kredowy rysunek wskazującej dłoni i od razu wiedziałem, że dajesz mi sygnał, dlatego wysłałem ci wiadomość. I proszę, oto jesteś! Myślałem, że może wymknąłeś się do Francji.

– Nie, nie... Jeszcze nie! – odparł Leonardo, strzepując kurz z krzesła w kryjówce asasynów na wyspie, zanim usiadł. Słońce świeciło przez wysokie okna.

– Cieszę się. Tym bardziej, że nie padłeś ofiarą obławy, którą urządził papież w poszukiwaniu wszelkich ocalałych popleczników Borgii.

– Cóż, tak łatwo się nie poddaję – rzekł da Vinci. Był ubrany szykownie jak zawsze i sprawiał wrażenie, jakby ostatnie wydarzenia nie miały na niego żadnego wpływu. – Papież Juliusz nie jest głupcem – wie, kto będzie mu przydatny, a kto nie, nieważne, co robił w przeszłości.

– Dopóki okazuje szczerą skruchę.

– Skoro tak mówisz – odparł sucho Leonardo.

– Jesteś gotów być przydatny dla mnie?

– A nie byłem zawsze? – Da Vinci uśmiechnął się. – Czy jest się czym martwić, skoro Cesare jest pod kluczem? To już tylko kwestia czasu, kiedy go wywloką i spalą na stosie. Spójrz na listę zarzutów! Długa jak moja ręka.

– Może masz rację.

– Oczywiście, świat nie byłby światem bez kłopotów – powiedział Leonardo, zmieniając temat. – Bardzo dobrze, że Cesare został obalony, ale straciłem wartościowego mecenasa, a widzę, że zamierzają tu sprowadzić z Florencji tego młodego nicponia, Michała Anioła. Proszę cię! Przecież on

umie tylko dłubać w kamieniu.

– Z tego co słyszałem, jest też niezgorszym architektem. I niezłym malarzem.

Leonardo popatrzył na niego z urazą.

– Pamiętasz ten wskazujący palec, który narysowałem? Już niedługo, mam nadzieję, będzie na środku portretu człowieka, Jana Chrzyciela, wskazującego na niebo. To dopiero będzie obraz!

– Nie powiedziałem, że jest tak dobrym malarzem jak ty – dodał szybko Ezio. – A co do wynalazków...

– Powinien się trzymać tego, w czym jest najlepszy, jeśli chcesz znać moje zdanie.

– Leo, jesteś zazdrosny?

– Ja? Skądże.

Przyszła pora zająć się problemem, który trapił Ezia i był powodem, który skłonił go do odpowiedzi na wiadomość Leonarda. Miał tylko nadzieję, że może mu zaufać, choć znał da Vinciego wystarczająco długo, by wiedzieć, co nim powoduje.

– Twój ostatni pracodawca... – zaczął.

– Cesare?

– Tak. Nie podobało mi się, jak powiedział: „Łańcuchy mnie nie powstrzymają”...

– Daj spokój, Ezio. Siedzi w najgłębszym lochu Zamku św. Anioła. Jak nisko upadają wielcy, co?

– Wciąż ma przyjaciół.

– Może i paru zaślepionych nieszczęśników wciąż jeszcze uważa, że jest przed nim jakaś przyszłość, ale skoro Micheletto i jego armie jakoś się nie zmaterializowały, nie sądzę, żeby groziło nam jakiegokolwiek prawdziwe niebezpieczeństwo.

– Nawet jeśli Michelettowi nie udało się utrzymać reszty wojsk Cesare, co wydaje się prawdopodobne, skoro żaden z naszych szpiegów za miastem nie

zameldował o żadnych ruchach oddziałów...

– Posłuchaj, Ezio, kiedy doszła ich wiadomość o wyborze della Rovere na papieża i aresztowaniu Cesare, armia Borgiów na pewno rozpierzchła się jak mrówki z mrowiska polanego wrzątkiem.

– Nie zaznam spokoju, dopóki nie będę wiedział na pewno, że Cesare nie żyje.

– Cóż, jest sposób, by się tego dowiedzieć.

Ezio spojrzał na Leonarda.

– Mówisz o Jabłku?

– Gdzie ono jest?

– Tutaj.

– To je przynieś, zapytamy.

Ezio zawahał się.

– Nie, jest zbyt potężne. Muszę je ukryć przed ludzkością raz na zawsze.

– Jak to? Coś tak cennego? – Leonardo potrząsnął głową.

– Sam powiedziałaś, wiele lat temu, że nie można dopuścić, by wpadło w niepowołane ręce.

– A więc musimy tylko zadbać, żeby nie wpadło.

– Nie ma gwarancji, że będzie się nam zawsze udawało.

Leonardo spoważniał.

– Posłuchaj, Ezio, jeśli postanowisz kiedyś pogrzebać je na zawsze, obiecaj mi jedno.

– Tak?

– No dobrze... Dwie rzeczy... Po pierwsze, zatrzymaj je tak długo, jak będzie ci potrzebne. Potrzebujesz każdej dostępnej przewagi, jeśli twoim celem jest zniszczenie Borgiów i templariuszy na zawsze. Ale kiedy skończysz i będziesz ukrywał je przed światem, pomyśl o tym jak o zasadzaniu nasiona. Zostaw jakąś podpowiedź co do tego, gdzie je schowałeś, dla tych, którzy byliby w stanie je znaleźć. Przyszłe pokolenia – być może przyszli asasyni – mogą stanąć któregoś dnia przed koniecznością

użycia mocy Jabłka, by wykorzystać je po stronie dobra.

– A jeśli wpadnie w ręce następnego Cesare?

– Widzę, że wciąż do niego wracamy. Posłuchaj, może przestań się zadrećzać i sprawdź, czy Jabłko może ci coś podpowiedzieć?

Ezio zmagął się sam ze sobą jeszcze przez chwilę.

– W porządku – powiedział w końcu. – Zgadzam się.

Zniknął na moment i wrócił, niosąc kwadratową, obitą łożem skrzynkę z masywnym zamkiem. Spod tuniki wyjął klucz, zawieszony na srebrnym łańcuszku na jego szyi, i otworzył ją. W środku, na wyściółce z zielonego aksamitu, leżało Jabłko. Wyglądało pospolicie i szaro, jak zawsze, kiedy nie działało; miało rozmiar niewielkiego melona i dziwnie miękką, elastyczną powierzchnię, bardzo podobną do ludzkiej skóry.

– Zapytaj je – ponaglił Leonardo, podekscytowany widokiem artefaktu. Ezio wiedział, że jego przyjaciel walczy z pokusą, by porwać Jabłko i uciec; rozumiał, czym było ono dla uczonego, któremu żądza wiedzy nigdy nie dawała spokoju, a czasem zdawała się go wprost rozsadzać.

Ezio podniósł Jabłko i zamknął oczy, koncentrując myśli i formułując pytania. Jabłko zaświeciło prawie natychmiast, a potem zaczęło rzucać na ścianę obrazy.

Były niewyraźne i szybko się zmieniały, ale Ezio – i tylko Ezio – zobaczył, jak Cesare ucieka z więzienia i z Rzymu. To było wszystko; potem niejasne obrazy na ścianie zestaliły się i pokazały gwarny morski port, wodę migoczącą w promieniach południowego słońca i flotę statków. Wizja się rozmyła i przeszła w daleki zamek, a może ufortyfikowane miasto na wzgórzu. Ezio skądś wiedział, że leży ono bardzo daleko – sądząc po krajobrazie i natężeniu palącego słońca, nie było to Kościelne Państwo w Italii. Architektura budowli również wyglądała obco, ale ani Ezio, ani Leonardo nie umieli jej skojarzyć z żadnym znanym im miejscem. Potem Ezio zobaczył cytadelę Maria w Monteriggioni. Obraz poruszył się i przeskoczył do sekretnego gabinetu Maria – Sanktuarium – w którym

zbierano karty z Kodeksu. Prowadzące do niego ukryte drzwi były zamknięte; na ich zewnątrz Ezio zobaczył tajemne znaki i litery. Następnie Jabłko ukazało widok z lotu orła nad ruinami dawnej twierdzy asasynów. Potem niespodziewanie zgasło i znów jedynym źródłem światła w pomieszczeniu były łagodne promienie słońca.

– On ucieknie! Muszę iść!

Ezio odłożył Jabłko do skrzyni i wstał tak gwałtownie, że przewrócił krzesło.

– A twoi przyjaciele?

– Bractwo musi przetrwać, ze mną lub beze mnie. Takim je zbudowałem. – Asasyn wyjął Jabłko z powrotem i włożył je do skórzanej torby. – Wybacz, Leo, nie mam czasu do stracenia.

Miał już przypięte ukryte ostrze i karwasz. Do kaletki przy pasie spakował pistolet i trochę amunicji.

– Poczekaj. Musisz pomyśleć. Ułożyć plan.

– Moim planem jest wykończyć Cesare. Powinienem był to zrobić już dawno temu.

Leonardo rozłożył ręce.

– Widzę, że cię nie powstrzymam. Ale nie zamierzam wyjeżdżać z Rzymu i wiesz, gdzie jest moja pracownia.

– Mam dla ciebie prezent – powiedział Ezio. Na stole między nimi leżała mała, opancerzona szkatułka. Ezio położył na niej dłoń. – Proszę.

Leonardo wstał.

– Jeśli to pożegnanie, to zatrzymaj swoje pieniądze. Nie chcę ich.

Asasyn uśmiechnął się.

– Oczywiście, że to nie pożegnanie i oczywiście, że chcesz te pieniądze. Są ci potrzebne do pracy. Weź je. Możesz uważać mnie za swojego mecenasa, dopóki nie znajdziesz sobie lepszego.

Obaj mężczyźni serdecznie się uściskali.

– Jeszcze się zobaczymy – powiedział Ezio. – Masz na to moje słowo.

Buona fortuna, mój najstarszy przyjacielu.

Na to, co ukazało Jabłko, nie można było wpłynąć, bo artefakt pokazywał przyszłość niezmienną tak samo, jak niezmienna jest przeszłość.

Kiedy Ezio zbliżył się do Zamku św. Anioła, zobaczył nowych żołnierzy Papieskiej Gwardii, teraz już w barwach Juliusza II, którzy wybiegli ze starożytnej twierdzy i rozproszyli się zorganizowanymi grupami po sąsiednich ulicach na obu brzegach rzeki. Ezio wiedział, co się stało, zanim jeszcze zdyszany kapitan, którego zatrzymał, zdążył cokolwiek mu oznajmić.

– Cesare uciekł!

– Kiedy?

– Podczas zmiany wartowników. Jakies pół godziny temu.

Pół godziny! Dokładnie wtedy, kiedy Jabłko to pokazywało!

– Wiecie, w jaki sposób?

– Nie mam pojęcia, chyba że umie przechodzić przez ściany. Ale wygląda na to, że miał w zamku przyjaciół.

– Kogo? Lukrecję?

– Nie. Ona nie ruszyła się ze swoich komnat od chwili, kiedy to wszystko się stało. Papież zamknął ją w areszcie domowym z chwilą objęcia urzędu. Aresztowaliśmy też dwóch strażników, którzy pracowali kiedyś dla Borgiów. Jeden to były kowal, który mógł otworzyć zamek, choć drzwi celi nie są uszkodzone, więc prawdopodobnie użył klucza... Nie wiemy, czy są winni.

– Czy Lukrecja sprawia wam jakieś kłopoty?

– To dziwne, ale nie. Wydaje się... pogodzona z losem.

– Nie ufajcie jej. Niech jej zachowanie nie uśpi waszej ostrożności. Kiedy jest taka spokojna, może być najbardziej niebezpieczna.

– Pilnują jej szwajcarscy najemnicy. Są twardzi jak skała.

– Dobrze.

Ezio zaczął się zastanawiać. Jeśli Cesare miał w Rzymie jeszcze jakichś przyjaciół, a najwyraźniej miał, musieli go jak najszybciej wywieźć z miasta. Ale bramy były już zamknięte, a z tego, co Ezio widział, Cesare – bez Jabłka

i bez umiejętności asasynów – nie zdołałby ująć obławom i kordonom rozstawionym w całym Rzymie.

Zostawała jedna możliwość.

Rzeka!

Tyber wpływał do Rzymu od północy i opuszczał go na zachodzie, by po kilku zaledwie milach wpaść w Ostii do morza. Ezio przypomniał sobie handlarzy niewolników, których zabił, i to, że byli na liście płac Cesare. Nie mogli być jedynymi! Potrafiliby załatwić mu łódź albo niewielki statek morski, przebrać go za marynarza albo ukryć pod brezentem w ładowni. Statek pod żaglami lub wiosłowy, płynący z prądem, nie potrzebowałby wiele czasu, by wypłynąć na Morze Tyrreńskie, a stamtąd... Cóż, to zależało już tylko od planów Cesare. Najważniejsze było to, by go dogonić, zanim zacznie je realizować.

Ezio najkrótszą trasą udał się do doków w środku miasta, położonych najbliżej od zamku. Przy nabrzeżu tłoczyły się łodzie i statki najróżniejszych typów i rozmiarów. Szukanie Cesare tutaj przypominałoby szukanie igły w stogu siana. Pół godziny. Nie zdążył jeszcze odbić od brzegu, a przyływ dopiero się zaczynał.

Ezio znalazł odludne miejsce, przykucnął i tym razem bez wahania wyjął Jabłko z torby. Nie miało tu gdzie wyświetlać swoich obrazów, ale asasyn przeczuwał, że jeśli mu zaufa, artefakt znajdzie inny sposób komunikowania się z nim. Przysunął Jabłko najbliżej siebie, jak się odważył, i zamknął oczy, w myślach prosząc o odpowiedź na swoje pytanie.

Jabłko nie zaświeciło, ale poczuł przez rękawice, że zrobiło się ciepłe i zaczęło pulsować. Jednocześnie dobieły się z niego dziwne dźwięki – a może Ezio słyszał je tylko w swojej głowie? Nie wiedział. Damski głos, niejasno znajomy, choć nie umiał go umiejscowić, a zarazem brzmiący dość odległe, powiedział cicho, lecz wyraźnie:

– Mała karawela z czerwonymi żaglami przy szóstej kei.

Ezio pobiegł wzdłuż nabrzeża. Zajęło mu to trochę czasu, bo musiał

przeciskać się przez tłum zapracowanych, przeklinających marynarzy, ale w końcu zlokalizował keję szóstą, a kiedy tam dotarł, statek odpowiadający opisowi Jabłka właśnie odbijał. On też wyglądał znajomo. Na jego pokładzie piętrzyły się worki i skrzynie z ładunkiem – dość duże, by ukrył się w nich człowiek – a obok nich wstrząśnięty Ezio rozpoznał żeglarza, którego pozostawił w objęciach śmierci po nieudanej próbie ratowania *madonny* Solari. Mężczyzna mocno utykał; podszedł do jednej ze skrzyń i wraz z bosmanem przesunął ją. Ezio zauważył, że skrzynia na każdej ścianie miała nawiercone otwory. Uskoczył za łódź wiosłową, leżącą na kozłach i czekającą na pomalowanie, bo żeglarz na pokładzie obejrzał się na nabrzeże, być może wypatrując pościgu.

Asasyn jeszcze przez chwilę patrzył bezradnie na karawelę, która wypłynęła na środek rzeki i postawiła jeden żagiel, by złapać wiejący tam wiatr. Nawet konno nie mógłby ścigać jej brzegiem, bo drogę tarasowały budynki postawione nad samą wodą. Musiał znaleźć łódź.

Wrócił na nabrzeże i ruszył pospiesznie wzdłuż niego. Zobaczył barkę, którą załoga właśnie skończyła rozładowywać i która miała wciąż niezdjęte żagle. Ezio podszedł do marynarzy.

– Muszę wynająć wasz statek – powiedział szybko.

– Dopiero co przybiliśmy.

– Dobrze zapłacę.

Sięgnął do sakiewki i pokazał im garść złotych dukatów.

– Najpierw musimy zająć się ładunkiem – odparł jeden z żeglarzy.

– Dokąd chcesz płynąć? – spytał drugi.

– W dół rzeki – oznajmił Ezio. – I to teraz.

– Zajmijcie się ładunkiem – powiedział nowy mężczyzna, który dopiero się pojawił. – Ja zabiorę *signore*. Jacopo, ty chodź ze mną. Nas dwóch wystarczy, żeby popłynąć.

Ezio odwrócił się do nowoprzybyłego i z zaskoczeniem rozpoznał w nim Claudia, młodego złodzieja, którego uratował kiedyś przed Borgiami.

Claudio uśmiechnął się do niego.

– W ten sposób mogę ci podziękować, *messere*, za uratowanie życia. Schowaj swoje pieniądze.

– Co ty tu robisz?

– Nie nadawałem się na złodzieja – odrzekł Claudio. – La Volpe to widział. Zawsze byłem dobrym żeglarzem, więc pożyczył mi pieniądze, żebym mógł sobie kupić tę łódź. Jestem jej kapitanem i nieźle zarabiam na handlu z Ostią.

– Musimy się spieszyć. Cesare Borgia uciekł.

Claudio odwrócił się i krzyknął rozkaz do swojego bosmana. Jacopo wskoczył na pokład i zaczął szykować żagle. Potem Claudio i Ezio weszli na pokład, a reszta załogi odepchnęła ich od brzegu.

Barka, bez ładunku, lekko sunęła po wodzie. Kiedy wypłynęli na środek rzeki, Claudio postawił wszystkie żagle i wkrótce karawela, ciężiej załadowana, przestała być tylko punkcikiem w oddali.

– Czy to ją ścigamy? – spytał Claudio.

– Tak, proszę, na Boga!

– Lepiej się schowaj. My jesteśmy dobrze znani na tym odcinku, ale jeśli zobaczą ciebie, zorientują się, o co chodzi. Znam tamten statek. Pływa nim dziwna gromada; nie spoufalają się z nikim.

– Wiesz, ilu ludzi mają w załodze?

– Zazwyczaj pięciu. Może mniej. Ale nie martw się. Nie zapomniałem, czego nauczył mnie La Volpe – czasami mi się to przydaje – a Jacopo dobrze sobie radzi z pałką.

Ezio schował się za niską burtą, co jakiś czas wychylając głowę, by sprawdzić odległość dzielącą dwa statki. Mimo cięższego ładunku karawela płynęła bardzo szybko i zanim Claudio zdołał się z nią zrównać, widać już było Ostię. Mimo to śmiało krzyknął w jej stronę.

– Nieźle macie zanurzenie! Co wy tam wieziecie, złoty kruszec?

– Nie twoja sprawa – warknął kapitan karaweli, stojący przy sterze. – I odsuń się. Nie pchaj się w moją wodę.

– Przepraszam, stary – odparł Claudio, kiedy Jacopo przysunął barkę burta w burtę z drugim statkiem, uderzając w jego odbojniki. – Teraz! – krzyknął do Ezia.

Ezio wyskoczył z kryjówki i przesadził niewielką odległość dzielącą burty. Kulawy żeglarz rozpoznał go, wydał z siebie stłumiony ryk i zaatakował bosakiem; ostrze zaczepiło o karwasz asasy, a ten przyciągnął napastnika do siebie i zakończył walkę mocnym pchnięciem ukrytego ostrza w jego bok. Nie zauważył, że z tyłu zakrada się do niego inny marynarz, dzierżący kordelas. Odwrócił się w ostatniej chwili, nie mogąc już uchylić się przed spadającym ostrzem, kiedy huknął wystrzał i mężczyzna wygiął plecy, upuścił broń i zwałił się na deski.

– Uwaga! – krzyknął Jacopo, utrzymując barkę burta w burtę z karawelą, której kapitan usiłował się oddalić. Trzeci marynarz wychynął spod pokładu i łomem zaczął otwierać pionową skrzynię z otworami wzdłuż górnej krawędzi, czwarty zaś kuczał u jego boku i osłaniał go pistoletem z zamkiem kołowym. Żaden zwykły żeglarz nie miałby dostępu do takiej broni – pomyślał Ezio, przypominając sobie starcie z handlarzami ludźmi. Claudio dał susa z barki na pokład karaweli i rzucił się na mężczyznę z łomem, a Ezio skoczył i przebił nadgarstek dłoni trzymającej pistolet swoim ukrytym ostrzem. Broń wypaliła, nie czyniąc nikomu krzywdy, a żeglarz się cofnął, łkając i ściskając rękę, krwawiącą obficie z przeciętej żyły.

Kapitan statku, widząc swoich ludzi w odwrocie, sam wyciągnął pistolet i strzelił do Ezia, ale w tym samym momencie prąd rzeki szarpnął karawelą i kula chybiła, kalecząc tylko asasy w ucho, z którego popłynęła krew. Ezio potrząsnął głową, wycelował w kapitana swój własny pistolet i przestrzelił mu czoło.

– Szybko! – powiedział do Claudia. – Łap koło sterowe, a ja zajmę się naszym przyjacielem.

Claudio kiwnął głową i pobiegł za ster. Czując, jak krew z ucha przesiąka mu kołnierz, Ezio mocno wykręcił rękę przeciwnika, by ten puścił łom.

Potem uderzył go kolanem w krocze, chwycił go za kołnierz i na wpół powlókł, na wpół zapędził kopnięciami do burty, gdzie wyrzucił go do wody.

W ciszy, która zapadła po walce, dało się słyszeć wściekłe krzyki oraz obelgi, dobiegające z wnętrza skrzyni.

– Zabiję cię za to. Będę ci wiercił mieczem w brzuchu, sprawię ci większy ból, niż możesz sobie wyobrazić.

– Mam nadzieję, że ci wygodnie, Cesare – powiedział Ezio. – A jeśli nie, to nie martw się. Jak tylko dopłyniemy do Ostii, załatwimy ci jakiś bardziej cywilizowany transport na drogę powrotną.

– To niesprawiedliwe – zawołał Jacopo z barki. – Nie miałem okazji choćby raz machnąć pałką!

CZEŚĆ DRUGA

Wszystko jest dozwolone. Nic nie jest prawdą.

Dogma Sicarii, I, i.

49

Była późna wiosna roku pańskiego 1504. Papież otworzył list, który właśnie przyniósł mu goniec, przejrzał go, a potem tryumfalnie uderzył mięsistą pięścią w biurko. Drugą dłonią podniósł list, z którego zwisały ciężkie pieczęcie.

– Niech Bóg błogosławi króla Ferdynanda i królową Izabelę z Aragonu i Kastylii! – zawołał.

– Dobre wieści, Wasza Świątobliwość? – spytał Ezio, siedzący na fotelu naprzeciw niego.

Juliusz II uśmiechnął się złowrogo.

– Tak! Cesare Borgia został bezpiecznie dostarczony do jednej z ich najmocniejszych i najbardziej odludnych *rocca*!

– Gdzie?

– Ach, to informacja zastrzeżona, nawet dla ciebie. Z Cesare nie można ryzykować.

Ezio przygryzł wargę. Czyżby Juliusz domyślał się, co by zrobił, gdyby znał położenie zamku?

– Nie rób takiej smutnej miny, Ezio – ciągnął papież pocieszająco. – Powiem ci tyle: to wielka forteca, zagubiona na równinach gdzieś w północno-wschodniej Hiszpanii, całkowicie nie do zdobycia.

Ezio wiedział, że Juliusz ma swoje powody, by nie palić Cesare na stosie – papież nie chciał zrobić z niego męczennika – i zgadzał się, że to dobre rozwiązanie, choć nie dawały mu cały czas spokoju słowa Borgii: „Łańcuchy mnie nie powstrzymają”. W głębi serca czuł, że jedynym, co mogło powstrzymać Cesare na dobre, była śmierć. Mimo to uśmiechem wyraził

gratulacje.

– Trzymają go w celi na szczycie wewnętrznej cytadeli, w wieży wysokiej na sto czterdzieści stóp – ciągnął Juliusz. – Jeśli o niego chodzi, nie mamy się już czym kłopotać.

Popatrzył uważnie na Ezia.

– Przy okazji: to, co właśnie powiedziałem, to również tajna informacja, więc nie wyobrażaj sobie nie wiadomo czego. Tak czy inaczej, na jedno moje słowo przeniosą go gdzieś indziej, na wypadek, gdyby ktoś pojechał go szukać, a ja bym się o tym dowiedział.

Ezio zmienił temat:

– A Lukrecja? Mamy jakieś wieści z Ferrary?

– Cóż, trzecie małżeństwo wydaje się jej służyć, choć muszę przyznać, że z początku się martwiłem. Rodzina d'Este to taka zgraja snobów, że myślałem, że stary książę nie uzna jej za żonę odpowiednią dla swojego syna. Poślubić Borgię! To dopiero mezalians! Dla nich to tak, jakby zaproponować im ożenek z kuchcią! – Papież zaśmiał się serdecznie. – Ale ustatkowała się. Nawet nie piśnie. Zaczęła wymieniać miłosne listy, a nawet wiersze, ze swoim dawnym przyjacielem o nazwisku Pietro Bembo – oczywiście nic nieprzyzwoitego... – tu Juliusz puścił oko – ...ale ogólnie rzecz biorąc, jest raczej dobrą i wierną żoną księcia Alfonsa; ucęszcza nawet do kościoła i wyszywa gobeliny. Oczywiście, nie ma mowy, żeby wróciła do Rzymu – kiedykolwiek! Dokona swoich dni w Ferrarze i powinna być wdzięczna, że zachowała głowę. Koniec końców można chyba bezpiecznie powiedzieć, że pozbyliśmy się tych katalońskich zbrojeńców na dobre.

Ezio zastanawiał się, czy watykańska siatka szpiegowska jest tak samo dobrze poinformowana o templariuszach, co o Borgiach. Cesare był ich wodzem i miał nim pozostać nawet w więzieniu. Ale na ten temat papież się nie wypowiadał.

Ezio musiał przyznać, że w Italii nie działo się najgorzej. Mieli silnego papieża, który posiadał dość rozsądku, by zachować Agostina Chigiego jako

swojego bankiera; Francuzi byli w defensywie. Król Ludwik nie wyjechał z Italii, ale przynajmniej wycofał się na północ, gdzie się okopał. W dodatku scedował Neapol na króla Ferdynanda Aragońskiego.

– Taką mam nadzieję, Wasza Świątobliwość – odrzekł Ezio.

Juliusz spojrzał na niego uważnie.

– Posłuchaj, Ezio, nie jestem głupcem, więc mnie za takiego nie bierz. Jak myślisz, po co wzięłem cię na doradcę? Wiem, że w okolicy wciąż są enklawy lojalistów Borgiów, zostało nawet kilku ich zatwardziałych zwolenników w samym mieście, ale teraz mam na głowie innych wrogów.

– Borgiowie wciąż mogą być groźni.

– Nie sądzę.

– A co Wasza Świątobliwość robi w sprawie tych innych wrogów?

– Reformuję Gwardię Papieską. Widziałeś, jakimi dobrymi żołnierzami są Szwajcarzy? To najemnicy najlepsi ze wszystkich! A odkąd pięć czy sześć lat temu zdobyli niepodległość od Cesarstwa i Maksymiliana, wynajmują się. Są całkowicie lojalni i niezbyt porywczy – miła odmiana po naszych drogich krajanach – i zamierzam nająć ich brygadę jako swoją osobistą straż przyboczną. Uzbroję ich w zwyczajowe halabardy i tak dalej, ale wydam im też muszkiety Leonarda. – Przerwał. – Potrzebna mi tylko nazwa – spojrzał pytająco na Ezia. – Jakiś pomysł?

– Może Gwardia Szwajcarska? – odparł Ezio, który był już trochę zmęczony.

Papież się zastanowił.

– Cóż, nie powala to oryginalnością, Ezio. Szczerze mówiąc, bardziej podobała mi się Gwardia Juliańska, ale nie wypada wychodzić na zbyt wielkiego egoistę. – Uśmiechnął się szeroko. – Dobrze, użyję twojej propozycji. Przynajmniej na razie.

Przerwało im stukanie młotków i inne odgłosy budowy, dobiegające z różnych części Watykanu.

– Przekłęci budowniczo – skomentował papież. – Ale trzeba to zrobić.

Pociągnął za sznur dzwonka.

– Każę komuś iść i ich uciszyć, dopóki nie skończymy rozmawiać. Czasem myślę, że budowniczy to największa niszczycielska siła, jaką wynalazł człowiek.

Natychmiast zjawił się służący, a papież wydał mu polecenia. Niedługo potem, wśród stłumionych przekleństw, narzędzia zostały z hałasem porzucone.

– Co Wasza Świątobliwość buduje? – spytał Ezio, wiedząc, że architektura i sztuka wojenna to dwie największe pasje papieża.

– Zabijam deskami wszystkie apartamenty i biura Borgii – odparł Juliusz. – Za dużo w nich przepychu, przystoją raczej Neronowi, niż głowie Kościoła. I wyburzam ich budynki na dachu Zamku św. Anioła. Zrobię tam jeden wielki ogród – może nawet postawię tam mały letni domek.

– Dobry pomysł – powiedział Ezio, uśmiechając się w duchu. Letni domek bez wątpienia byłby prawdziwą kopułą rozkoszy, jeśli nie godną króla, to przynajmniej wystarczającą, by papież mógł tam urządzać sobie schadzki z kochankami – czy to kobietami, czy mężczyznami. Ale prywatne życie Juliusza asasy na nie interesowało. Liczyło się tylko to, że był dobrym człowiekiem i lojalnym sojusznikiem. Do tego w porównaniu z Rodrigem jego grzechy były niewinne niczym dziecinne kaprysy. Co więcej, cały czas kontynuował moralne reformy swojego poprzednika, Piusa III.

– Odnawiam też Kaplicę Sykstyńską – ciągnął papież. – Jest taka nudna! Zleciłem temu zdolnemu, młodemu malarzowi z Florencji, Michałowi Aniołowi jak-mu-tam, namalowanie na sklepieniu jakichś fresków. Dużo scen religijnych, wiesz, i tak dalej. Myślałem, czy nie poprosić Leonarda, ale on ma głowę tak nabitą pomysłami, że rzadko udaje mu się skończyć choćby jeden duży obraz. Szkoda. Ten jego portret żony Francesca del Giocondy całkiem mi się podobał...

Juliusz otrząsnął się i spojrzał na Ezia.

– Ale nie przyszedłeś tu rozmawiać o moim zainteresowaniu nowoczesną

sztuką.

– Nie.

– Jesteś pewny, że nie traktujesz groźby powrotu Borgiów zbyt poważnie?

– Wydaje mi się, że właśnie powinniśmy traktować ją poważnie.

– Posłuchaj – moja armia zajęła dla Watykanu większą część Romanii. Borgia nie ma już kim wojować.

– Cesare wciąż żyje! Z nim jako symbolem...

– Mam nadzieję, że nie kwestionujesz mojego osądu, Ezio? Znasz powody, dla których darowałem mu życie. Tak czy inaczej, tam, gdzie przebywa teraz, jest jakby pogrzebany żywcem.

– Micheletto wciąż jest na wolności.

– Ba! Bez Cesare Micheletto jest nikim.

– Micheletto dobrze zna Hiszpanię.

– Jest nikim, mówię ci.

– Zna Hiszpanię. Urodził się w Walencji. Jest bratankiem Rodriga z nieprawego łoża.

Papież, który mimo swojego wieku był potężnym i żywotnym mężczyzną wciąż w pełni sił, podczas ostatniej wymiany zdań przechadzał się w tę i z powrotem po komnacie. Teraz wrócił za biurko, oparł na nim swoje duże dłonie i nachylił się groźnie nad Eziem. Był bardzo przekonujący.

– Pozwalasz się ponieść swoim najgorszym obawom – powiedział. – Nie wiemy nawet, czy Micheletto żyje.

– Uważam, że powinniśmy się upewnić, raz na zawsze.

Papież zastanowił się nad tym i trochę rozluźnił. Usiadł. Postukał prawym palcem wskazującym w ciężki sygnet na lewej dłoni.

– Co chcesz zrobić? – spytał ze znużeniem. – Nie oczekuj ode mnie żadnej pomocy. Budżet i bez tego jest napięty.

– Pierwsza rzecz to zlokalizować i zniszczyć ostatnich popleczników Borgii w samym Rzymie. Może znajdziemy kogoś, kto wie coś o Micheletcie, jego miejscu pobytu lub losie, a wtedy...

– Wtedy co?

– Jeśli on wciąż żyje...

– Zniszczysz go?

– Tak – odpowiedział Ezio i pomyślał: Chyba że bardziej przyda mi się żywy.

Juliusz opadł na oparcie fotela.

– Twoja determinacja jest zaiste imponująca, Ezio. Prawie przerażająca. I cieszę się, że sam nie jestem wrogiem asasynów.

Ezio gwałtownie podniósł wzrok.

– Wasza Świątobliwość wie o Bractwie?

Papież zetknął przed sobą palce opuszkami.

– Zawsze musiałem wiedzieć, kim są wrogowie moich wrogów. Ale wasz sekret jest u mnie bezpieczny. Jak już ci powiedziałem, nie jestem głupcem.

50

Dobrze przeczuwasz. Będę cię prowadzić i strzec, ale nie należę do ciebie i wkrótce będziesz musiał pozwolić mi odejść. Nie mam władzy nad tym, który mnie kontroluje. Muszę słuchać woli Pana Jabłka.

Kiedy tajemniczy głos znów się odezwał, Ezio był sam w swojej sekretnej komnacie, trzymał Jabłko w rękach i próbował przy jego pomocy zlokalizować swoją ofiarę w Rzymie. Tym razem nie umiał określić, czy głos należy do mężczyzny, czy do kobiety, ani czy dochodzi z Jabłka, czy może rozlega się wprost w jego głowie.

„Dobrze przeczuwasz”. Ale też: „Nie mam władzy na tym, który mnie kontroluje”. Dlaczego więc Jabłko pokazało mu tylko niewyraźne obrazy Micheletta – tyle tylko, by się upewnić, że pomocnik Cesare żyje? I nie mogło – albo nie chciało – wskazać położenia Borgii. Przynajmniej na razie.

Nagle Ezio coś sobie uświadomił, coś, co w głębi ducha wiedział zawsze: że nie powinien nadużywać mocy artefaktu, ani zanadto się od niego uzależniać. Wiedział, że to jego własna wola zaćmiła odpowiedzi, których szukał. Nie może być leniwy. Musi sam zająć się swoimi sprawami. W końcu, któregoś dnia, i tak by to nastąpiło.

Pomyślał o Leonardzie. Czegóż by nie dokonał, gdyby miał Jabłko? A Leonardo, najlepszy z ludzi, mimo wszystko projektował zabójczą broń z równą łatwością, jak malował natchnione obrazy. Czyżby więc Jabłko miało nie tylko moc pomagania ludzkości, ale też szkodzenia jej? W rękach Rodriga czy Cesare – gdyby któryś z nich zdołał nad nim zapanować – stałoby się narzędziem nie zbawienia, lecz zniszczenia!

Władza to silny narkotyk, a Ezio nie chciał paść jego ofiarą.

Jeszcze raz spojrzął na Jabłko. Leżało teraz nieruchomo w jego rękach, ale kiedy odłożył je do skrzynki, odkrył, że nie może zamknąć wieka. Jakież ścieżki mogłoby przed nim otworzyć!

Nie, musi je ukryć. Musi nauczyć się żyć według Credo bez niego. Ale jeszcze nie teraz!

Zawsze w sercu czuł, że Micheletto żyje. Teraz wiedział to na pewno. A dopóki Corella będzie żył, zrobi wszystko, co w jego mocy, by uwolnić swojego niegodziwego pana, Cesare.

Ezio nie zdradził papieżowi Juliuszowi całości swojego planu: zamierzał odnaleźć Cesare i zabić go, albo zginać próbując. To był jedyny sposób.

Będzie używał Jabłka tylko w razie konieczności. Nie mógł pozwolić, by jego instynkt i logika zardzewiały w oczekiwaniu na dzień, kiedy Jabłko nie będzie już w jego posiadaniu. Postanowił dopaść popleczników Borgii w Rzymie bez jego pomocy. Dopiero gdyby nie udało mu się to w ciągu trzech dni, uciekłyby się znów do użycia artefaktu. Wciąż miał swoich przyjaciół – dziewczyny z Rosa in Fiore, złodziei La Volpe i asasynów z Bractwa – a z ich pomocą jak mogłoby mu się nie udać?

Ezio wiedział, że Jabłko będzie mu pomagać sposobami, których nie umiał w pełni pojąć, o ile on będzie szanował jego potencjał. Może to właśnie na tym polegał sekret artefaktu. Może nikt nie mógł nad nim w pełni zapanować, nikt oprócz członka starożytnej rasy Adeptów, którzy powierzyli świat ludzkości, by postąpiła z nim wedle woli.

Zamknął wieko i przekręcił klucz w zamku skrzynki.

Tego samego wieczora zwołał w kryjówce na Tybrze zebranie Bractwa.

– Przyjaciele – zaczął – wiem, jak ciężko pracowaliśmy i wierzę, że zwycięstwo może być w zasięgu ręki, ale wciąż mamy zadanie do wykonania.

Pozostali, wszyscy oprócz Machiavellego, popatrzyli po sobie z zaskoczeniem.

– Przecież Cesare jest uwięziony! – zawołał La Volpe. – I to na dobre!

– No i mamy nowego papieża, który zawsze był wrogiem Borgiów – dodała Claudia.

– Francuzi się wycofują – wtrącił Bartolomeo. – Okolica miasta jest bezpieczna. A Romania wróciła do rąk papieża.

Ezio podniósł rękę, by ich uciszyć.

– Wszyscy wiemy, że zwycięstwo nie jest zwycięstwem, dopóki nie jest całkowite.

– A Cesare być może i jest uwięziony, ale żyje – powiedział cicho Machiavelli. – A Micheletto...

– Otóż to – rzekł Ezio. – Dopóki istnieją enklawy zwolenników Borgii, tu i w całym Państwie Kościelnym, wciąż istnieje ziarno, z którego może z powrotem wykiełkować ich potęga.

– Jesteś zbyt ostrożny, Ezio. Wygraliśmy – zawołał Bartolomeo.

– Barto, wiesz tak samo dobrze jak ja, że garstka miast-państw w Romanii pozostaje lojalna wobec Cesare. Są silnie ufortyfikowane.

– W takim razie pojedę i zrobię z nimi porządek.

– Obronią się. Armia Cateriny Sforzy nie jest dość silna, by zaatakować ich z Forlí, ale wysłałem posłańcem wiadomość, by miała na nich oko. Dla ciebie mam pilniejsze zadanie.

Mój Boże – pomyślał Ezio. – Dlaczego serce ciągle bije mi mocniej, kiedy wymawiam jej imię?

– Mianowicie jakie?

– Chcę, żebyś udał się z wojskiem do Ostii i pilnował portu. Chcę wiedzieć o wszystkich podejrzanych statkach, które wypływają i wpływają do portu. Chcę, żebyś miał cały czas gotowych konnych posłańców, którzy zameldują mi, kiedy tylko coś się wydarzy.

Bartolomeo prychnął.

– Warta! To nie jest zadanie dla takiego człowieka czynu jak ja.

– Będziesz miał czynów pod dostatkiem, kiedy przyjdzie czas ruszyć przeciwko zbuntowanym miastom, o których wspominałem. Póki co, żyją

nadzieją i czekają na sygnał. I dobrze, nie będą się burzyć. Naszym zadaniem jest zdusić tę nadzieję na zawsze.

Machiavelli uśmiechnął się.

– Zgadza się z Eziem.

– No, dobrze. Skoro nalegacie – odparł markotnie Bartolomeo.

– Pantasilei po jej przejściach dobrze zrobi morskie powietrze.

D'Alviano rozpromienił się.

– O tym nie pomyślałem.

– Dobrze. – Ezio odwrócił się do siostry. – Claudio, rozumiem, że zmiana władzy nie wpłynęła zanadto na interesy w Rosa in Fiore?

Claudia wyszczerzyła się w uśmiechu.

– To zabawne, że nawet książęta Kościoła nie mogą utrzymać diabła między nogami na wodzy – nieważne, ile to niby biorą zimnych kąpiei.

– Powiedz dziewczynom, by nadstawiły uszu. Juliusz trzyma Kolegium Kardynalskie w garści, ale wciąż ma dużo wrogów z własnymi ambicjami; niektórzy z nich mogą być dość szaleni, by sądzić, że gdy uwolnią Cesare, będą mogli go wykorzystać do własnych celów. Miejcie też oko na Johanna Burcharda.

– Co? Na mistrza ceremoniału Rodriga? Przecież on jest nieszkodliwy. Nie znosił organizowania tych wszystkich orgii. To zwykły urzędnik.

– Mimo wszystko, cokolwiek usłyszysz, zwłaszcza o frakcjach lojalistów Borgiów w Rzymie, daj mi znać.

– Teraz będzie łatwiej, skoro żołnierze Cesare nie siedzą nam całymi dniami na karku.

Ezio uśmiechnął się, nieco roztargniony.

– Muszę ci zadać jeszcze jedno pytanie. Co u naszej matki? Byłem zbyt zajęty, by ją odwiedzić i martwi mnie to...

Claudia spochmurniała.

– Dbaj o księgi, ale... Ezio, obawiam się, że źle z nią. Rzadko wychodzi. Coraz częściej mówi o Giovannim, Federicu i Petrucciu.

Ezio przez chwilę milczał, wspominając straconego ojca i braci.

– Przyjdę, kiedy będę mógł – rzekł. – Przekaż jej wyrazy miłości i poproś, by wybaczyła moje zaniedbanie.

– Ona rozumie, co musisz zrobić. Wie, że to nie tylko dla dobra nas wszystkich, ale też w imię naszych zmarłych krewnych.

– Zniszczenie tych, którzy ich zabili, będzie ich pomnikiem – powiedział Ezio twardym głosem.

– A co z moimi ludźmi? – spytał La Volpe.

– Gilberto, twoi ludzie są dla mnie bardzo ważni. Moi rekruci są lojalni, ale widzą, że powraca spokój i tęsknią do dawnego życia, które wiedli, zanim namówiliśmy ich, by włączyli się do walki z jarzmem Borgiów. Zachowują swoje umiejętności, ale nie są zaprzysiężonymi członkami Bractwa i nie mogę od nich wymagać, by dźwigali to samo brzemię, co my, bo nas uwolni od niego dopiero śmierć.

– Rozumiem.

– Wiem, że mężczyźni i kobiety pod twoimi rozkazami urodzili się w mieście. Wiejskie powietrze będzie dla nich odmianą.

– Co masz na myśli? – spytał La Volpe podejrzliwie.

– Wyślij swoich najlepszych ludzi do miasteczek i wsi wokół Rzymu. Nie będą musieli jechać dalej niż do Viterbo, Terni, L’Aquila, Avezzano i Nettuno. Wątpię, czy znajdziemy cokolwiek poza kręgiem, które te osady z grubsza tworzą wokół Rzymu. Zatwardziałych lojalistów Borgii nie mogło zostać wielu, a ci, którzy zostali, czekają w odległości, z której mogliby zaatakować.

– Trudno będzie ich znaleźć.

– Musicie spróbować. Sam wiesz, że nawet mała siła przyłożona w odpowiednim miejscu potrafi wyrządzić nieopisane szkody.

– Wyślę swoich najlepszych złodziei, przebiorę ich za obwoźnych sprzedawców.

– Melduj mi o wszystkim, czego się dowiecie, zwłaszcza o Micheletcie.

– Naprawdę sądzisz, że on gdzieś tam cały czas jest? Może wrócił do Hiszpanii albo do królestwa Neapolu? To znaczy, o ile jeszcze żyje.

– Jestem przekonany, że żyje.

La Volpe wzruszył ramionami.

– Mi to wystarczy.

Kiedy pozostali wyszli, Machiavelli odwrócił się do Ezia.

– A co ze mną?

– Będziemy działać razem.

– Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności, ale zanim przejdziemy do szczegółów, mam pytanie.

– Pytaj.

– Czemu nie użyjemy Jabłka?

Ezio westchnął i wyjaśnił tę kwestię najlepiej, jak umiał.

Kiedy skończył, Machiavelli popatrzył na niego, wyjął swój mały, czarny notes i długo coś w nim zapisywał. Potem wstał, przeszedł przez pokój i usiadł obok Ezia, z uczuciem ściskając jego ramię. Takie gesty były u niego niezwykle rzadkie.

– Przejdźmy do rzeczy – powiedział w końcu.

– Oto, co przyszło mi do głowy.

– Słucham.

– W mieście są kobiety, które mogłyby nam pomóc. Musimy je wyszukać i porozmawiać z nimi.

– Cóż, wybrałeś właściwego człowieka do tego zadania. Jestem dyplomatą.

Dotarcie do pierwszej było proste – zadbał o to papież Juliusz – ale nakłonienie jej do mówienia już nie.

Przyjęła ich w bogato urządzonym salonie na *piano nobile* swojego wielkiego domu, z którego okien na wszystkie cztery strony rozciągał się wspaniały widok na wielkie niegdyś miasto, teraz po części zrujnowane, ale wciąż imponujące tam, gdzie kilku ostatnich papieży pompowało pieniądze w pomniki własnej pychy.

– Nie wiem, jak miałabym wam pomóc – powiedziała, wysłuchawszy ich, choć Ezio zauważył, że nie chciała im spojrzeć w oczy.

– Jeśli w mieście są enklawy borgistów, musimy o nich wiedzieć, *altezza*, i potrzebujemy twojej pomocy – powiedział Machiavelli. – A jeśli dowiemy się później, że coś przed nami zataiłaś...

– Nie groź mi, młody człowieku – odparowała Vannozza. – *Dio mio!* Wiesz, ile lat temu Rodrigo i ja byliśmy kochankami? Ponad dwadzieścia!

– Może wasze dzieci?... – podsunął Ezio.

Uśmiechnęła się ponuro.

– Pewnie się zastanawiasz, jak kobieta taka jak ja mogła wydać na świat takie potomstwo – powiedziała. – Ale powiem wam, że w ich żyłach płynie bardzo mało krwi Cattaneich. No, może u Lukrecji, ale Cesare...

Przerwała i Ezio dostrzegł w jej oczach ból.

– Wiesz, gdzie on jest?

– Nie wiem więcej niż wy i nie chcę wiedzieć. Minęły lata, odkąd go widziałam, choć mieszkaliśmy w tym samym mieście. Dla mnie nie istnieje.

Najwyraźniej papież bardzo starannie utrzymywał w sekrecie miejsce pobytu Cesare.

– A może twoja córka wie?

– Jeśli ja nie wiem, to skąd ona ma wiedzieć? Teraz mieszka w Ferrarze. Możecie tam pojechać i ją zapytać, ale to długa droga na północ, a Ojciec Święty zabronił jej kiedykolwiek wracać do Rzymu.

– Widujesz się z nią? – spytał Machiavelli.

Vannozza westchnęła.

– Jak powiedziałam, Ferrara jest daleko na północy, a ja już nienajlepiej znoszę podróże.

Rozglądała się po komnacie, zerkając na służących, stojących przy drzwiach, i co jakiś czas na wodny zegar. Nie zaproponowała im żadnego poczęstunku i sprawiała wrażenie, jakby chętnie się już ich pozbyła. Nieszczęśliwa kobieta; wydawała się niespokojna i bez przerwy wykręcała sobie palce – czy

to dlatego, że coś ukrywała, czy może dlatego, że była zmuszana do mówienia o ludziach, o których wyraźnie mówić nie chciała?

– Mam, czy raczej miałam, ośmioro wnucząt – rzuciła zniechęcona. Ezio i Machiavelli wiedzieli, że Lukrecja urodziła kilkoro dzieci swoim kolejnym mężom, ale mało które przeżyło dzieciństwo. Ludzie mówili, że nigdy nie traktowała ciąży zbyt poważnie i że miała zwyczaj bawić się i tańczyć aż do samego porodu. Czy to właśnie oddaliło ją od matki? Cesare miał córkę, Louise, czteroletnią.

– Widujesz je? – spytał Machiavelli.

– Nie. Louise chyba wciąż jest w Rzymie, ale jej matka zadbała, żeby zrobić z niej bardziej Francuzkę niż Włoszkę.

Wstała, a służący, jakby na znak, otworzyli zdobione, podwójne drzwi komnaty.

– Chciałabym móc bardziej pomóc...

– Dziękujemy za poświęcony nam czas – rzekł sucho Machiavelli.

– Są inni ludzie, z którymi moglibyście chcieć porozmawiać.

– Zamierzamy odwiedzić *princessę* d'Albret.

Vannozza zacisnęła usta.

– *Buona fortuna* – powiedziała bez przekonania. – I lepiej się pospieszcie. Słyszałam, że szykuje się do wyjazdu do Francji. Może, jeśli będę miała szczęście, przyjdzie się pożegnać.

Ezio i Machiavelli również wstali i pożegnali się.

– Chyba będziemy musieli użyć Jabłka, Ezio – stwierdził Niccolò na ulicy.

– Jeszcze nie.

– Jak chcesz, ale uważam, że głupio robisz. Chodźmy zobaczyć się z księżniczką. Na szczęście obaj mówimy po francusku.

– Charlotte d'Albret dziś nie wyjeżdża do Francji – moi ludzie obserwują jej *palazzo*. Najpierw chciałbym się spotkać z kimś innym. Właściwie jestem zdziwiony, że Vannozza o niej nie wspomniała.

– O kim?

- O Giulii Farnese.
 - A ona przypadkiem nie mieszka teraz w Carbognano?
 - Moi szpiedzy twierdzą, że jest w mieście, więc powinniśmy to wykorzystać.
 - Dlaczego uważasz, że wydostaniemy z niej więcej niż z Vannozzy?
- Ezio uśmiechnął się.
- Giulia była ostatnią kochanką Rodriga, a on za nią szalał.
 - Pamiętam, jak ją pojмали Francuzi. Wychodził z siebie.
 - A potem Francuzi głupio oddali ją za trzy tysiące dukatów. Zapłaciliby dwadzieścia razy tyle, żeby ją odzyskać. Prawdopodobnie zgodziliby się na wszystko, czego by zażądali. Pewnie właśnie tak to jest, kiedy twoja kochanka jest ponad czterdzieści lat młodsza od ciebie: człowiek głupieje.
 - Ale to mu nie przeszkodziło rzucić ją, kiedy skończyła dwadzieścia pięć lat.
 - Owszem. Zrobiła się dla niego za stara! Pospieszmy się.
- Ruszyli wąskimi uliczkami na północ, w kierunku Kwirynału.
- Po drodze Machiavelli zauważył, że Ezio robi się coraz bardziej niespokojny.
- Co się dzieje? – spytał.
 - Niczego nie zauważyłeś?
 - Co?
 - Nie oglądaj się! – rzucił krótko Ezio.
 - Nie.
 - Chyba ktoś nas śledzi... kobieta.
 - Od kiedy?
 - Odkąd wyszliśmy z *palazzo Vannozzy*.
 - Któraś z jej kobiet?
 - Być może.
 - Sama?
 - Chyba tak.

– W takim razie lepiej ją zgubmy.

Choć spieszno im było do celu, zwolnili kroku, zaczęli zaglądać w sklepowe witryny, a nawet przystanęli przy kramie z winem. Tam, znad krawędzi kubka, Ezio zauważył wysoką, atletycznie zbudowaną blondynkę w drogiej, ale nierzucającej się w oczy ciemnozielonej szacie z lekkiego materiału. W takim ubraniu mogłaby się poruszać bardzo szybko, gdyby zaszła potrzeba.

– Widzę ją – szepnął.

Obaj przyjrzeni się ścianie budynku, pod którym postawiono kram. Był nowy, wzniesiony w modnym wiejskim stylu, z dużych, grubo ciosanych kamieni o głębokich spoinach. W mur w regularnych odstępach wprawione były żelazne pierścienie do przywiązywania koni.

Nadawał się idealnie.

Przeszli w głąb kramu, ale nie było stamtąd wyjścia.

– Musimy działać szybko – powiedział Machiavelli.

– Patrz! – odparł Ezio, odstawiając kubek na stół przy wejściu. Chwilę później był już w połowie wysokości ściany, a Niccolò tuż za nim. Ludzie dookoła z otwartymi ustami przyglądali się, jak dwaj mężczyźni, powiewając pelerynami na wietrze, zniknęli na dachach. Asasyni przeskakiwali ulice i zaułki, strącając dachówki, które rozbijały się na bruku lub grzęzły w błocie. Przechodnie na dole uchylali się albo uskakiwali na boki.

Nawet gdyby to potrafiła, kobieta nie zdołałaby się wspiąć na pionową ścianę w długiej sukni, ale Ezio spostrzegł, że jej spódnica miała starannie zamaskowane rozcięcie do pół uda z jednej strony, co umożliwiło jej bieg; nieznajoma popędziła ulicami za nimi, odtrącając każdego, kto stanął jej na drodze. Kimkolwiek była, dobrze ją wyszkolono.

W końcu ją zgubili. Ciężko dysząc, zatrzymali się na dachu kościoła San Niccolò de Portiis i położyli na brzuchach, uważnie przepatrując ulice w dole. Wśród przechodniów nie zobaczyli nikogo podejrzanego, choć Eziowi wydawało się, że widzi pracujących w tłumie dwóch złodziei La

Volpe, ostrymi nożykami odcinających sakiewki. Prawdopodobnie byli to dwaj, których nie wybrano do wyprawy poza miasto, ale na razie musiał tę sprawę odłożyć na później.

– Schodzimy – powiedział Machiavelli.

– Nie, łatwiej nie rzucać się w oczy tu na górze, a nie mamy już daleko.

– Śledziła nas bez większych trudności. Na szczęście trafił się nam ten dach z wysokim murkiem dookoła, gdzie mogliśmy zmienić kierunek, tak żeby nas nie zauważyła.

Ezio kiwnął głową. Kimkolwiek była ta kobieta, na pewno składała już meldunek. Żałował, że nie grała po ich stronie. W obecnej sytuacji musieli dostać się do dużego rzymskiego apartamentu Giulii, a potem szybko wydostać się z Kwirynału. Być może Ezio powinien rozkazać paru rekrutom pilnować sobie pleców podczas wszelkich przyszłych wypraw. Stronnicy Borgiów nie podnosili głów pod twardymi rządami nowego papieża, ale tylko po to, by uspić czujność nowej władzy.

Pierwszy mąż Giulii, Orsino Orsini, z radością przymykał oko na romans swojej dziewiętnastoletniej żony z sześćdziesięciodwuletnim Rodrigem Borgią. Giulia miała córkę, Laurę, ale nikt nie wiedział, czy to dziecko Orsina czy Rodriga. Borgia, choć urodzony w Walencji, robił karierę w kościele, aż zdobył kontrolę nad watykańskimi finansami, a wdzięczność dla swojej rozkosznej, młodziutkiej kochanki okazał instalując ją w nowo wybudowanym domu (który już dawno musiała opuścić) w dogodnej odległości od Watykanu, a także mianując jej brata Alessandro kardynałem. Inni kardynałowie nazywali go za plecami „Kardynałem Spódniczką”, choć oczywiście nigdy w obecności Rodriga. Giulie zaś zwali „Oblubienicą Chrystusa”.

Ezio i Machiavelli zeskoczyli na ziemię na placu, przy którym mieściła się kamienica księżniczki. W pobliżu stało dwóch papieskich gwardzistów, ale poza tym nie było nikogo. Tuniki żołnierzy miały na ramionach naszyte herby rodu della Rovere: potężny dąb z koroną i korzeniami, teraz

zwieńczony potrójną tiarą i kluczami św. Piotra. Ezio rozpoznał obu gwardzistów – pół roku wcześniej służyli w barwach Borgiów. Czasy bardzo się zmieniły; zaszalowali mu, a on ich pozdrowił.

– Co za skurwysyny – mruknął Machiavelli pod nosem.

– Muszą z czegoś żyć – odparł Ezio. – Dziwię ci się... Kto jak kto, ale ty nie powinieneś przejmować się takimi drobiazgami.

– Chodź.

Przyszli bez zapowiedzi i niełatwo było im przekonać służbę Farnese – na ich płaszczach widniało sześć niebieskich lilii na złotym tle – by ich wpuściła, ale, o czym Ezio wiedział, *signora* Farnese była w domu. Przyjęła ich w komnacie o połowę mniej krzykliwej, za to dwa razy gustowniejszej niż Vannoza. W wieku trzydziestu lat zachowała pełnię swojej urody z młodości oraz inteligencji, która się za nią kryła. Choć byli niezapowiedzianymi gośćmi, *signora* kazała im natychmiast podać *moscato* i *panpetati e mielati*.

Szybko stało się jasne, że o niczym nie wiedziała i że jest wolna od jakiegokolwiek skazy Borgiów, mimo dawniejszych bliskich związków z tą odrażającą rodziną (jak określał ją Machiavelli). Niccolò zobaczył, że zostawiła te czasy za sobą, i kiedy razem z Eziem spytali ją o jej bliską niegdyś zażyłość z Lukrecją, odparła jedynie:

– Widziałam w niej jej dobrą stronę. Myślę, że zbyt mocno uległa złym wpływom swojego brata i ojca. Dziękuję Bogu, że się ich pozbyła. – Przerwała. – Gdyby tylko wcześniej poznała Pietro Bembo... To pokrewne dusze. Mógłby ją zabrać do Wenecji i uratować przed jej ciemną stroną.

– Wciąż się z nią widzisz?

– Niestety, Ferrara leży zbyt daleko na północ, a ja mam pełne ręce roboty z zarządzaniem Carbognano. Nawet takie przyjaźnie umierają, Ezio Auditore.

Przed oczami Ezia, zanim zdążył go wymazać, wybuchł obraz Cateriny Sforzy. Och, Boże, na myśl o niej wciąż przystawało mu serce.

Kiedy wyszli, było już późne popołudnie. Uważnie wypatrywali, czy ktoś

ich nie śledzi, ale nikogo nie zobaczyli.

– Musimy użyć Jabłka – powiedział znów Machiavelli.

– To dopiero pierwszy dzień z trzech. Musimy nauczyć się polegać na sobie i własnej inteligencji, a nie opierać na tym, co nam powierzono.

– To pilna sprawa.

– Mamy dziś jeszcze jedno spotkanie, Niccolò. A potem... może... Zobaczymy.

Princesse d'Albret, dame de Chalus, księżna Valentinois była, według odzwierciedlenia jej bogatej willi w dzielnicy Pinciano, nieobecna. Jednak Ezio i Machiavelli, zniecierpliwieni i zmęczeni, przepchnęli się obok nich i zastali Charlotte w jej *piano nobile*, zajętą pakowaniem. W na wpół pustym salonie stały ogromne skrzynie pełne kosztownych lnów, książek i biżuterii, a w rogu spłoszona czteroletnia Louise, jedyna prawowita dziedziczka Cesare, bawiła się drewnianą lalką.

– Cholerni natręci – oznajmiła blondynka o chłodnej urodzie, odwracając się do nich i błyskając ogniem z piwnych oczu.

– Mamy upoważnienie od samego papieża – skłamał Ezio. – Oto dokument.

Podniósł pusty kawałek pergaminu, z którego zwisały imponująco wyglądające pieczęcie.

– Dranie – powiedziała chłodno kobieta. – Jeśli myślicie, że wiem, gdzie jest uwięziony Cesare, to jesteście głupcami. Nie chcę go nigdy więcej widzieć i modłę się, by nic z jego *sang maudit* nie przeniknęło do żył mojej niewinnej córeczki.

– Szukamy także Micheletta – rzekł Machiavelli, nieporuszony.

– Kataloński wieśniak – splunęła. – Skąd miałabym wiedzieć, gdzie teraz jest?

– Może mąż mówił ci, jak mógłby uciec, gdyby go pojmano – zasugerował Niccolò. – Polegał na tobie.

– Tak myślicie? Bo ja nie! Może Cesare zwierzał się którejś z dziesiątków swoich kochanek. Może tej, która zaraziła go *malattia venerea*?

– Czy ty, pani?...

– Nawet go nie dotknęłam, odkąd pojawiły się pierwsze pęcherze, a on miał dość przyzwoitości, by od tamtej pory trzymać się ode mnie z dala i tarzać w rynsztoku ze swoimi kurwami. I spłodzić z nimi jedenaścioro bękartów. Przynajmniej jestem czysta i moja córka też. Jak widzicie, wynoszę się stąd. Francja jest o wiele lepszym krajem niż ta nieszczęsna dziura. Wracam do La Motte-Feuilly.

– Nie do Nawarry? – spytał Machiavelli podstępnie.

– Widzę, że próbujecie mnie podejść. – Odwróciła do nich swą zimną, kościstą twarz, a Ezio zobaczył, że jej uroda jest skażona – a może wzbogacona – dołkiem na środku brody. – Nie zamierzam jechać do tej prowincji tylko dlatego, że mój brat ożenił się z następczynią tronu i został przez to królem.

– Czy twój brat pozostaje wierny Cesare? – spytał Ezio.

– Wątpię. Może przestaniecie marnować mój czas i spytacie jego?

– Nawarra jest daleko.

– Otóż to. Dlatego wolałabym, żebyś ty i twój posępny przyjaciel byli w drodze właśnie tam. A teraz jest już późno, a ja mam co robić. Proszę, wyjdźcie.

– Zmarnowany dzień – skomentował Machiavelli, kiedy wyszli z powrotem na ulicę. Nadchodził wieczór, cienie się wydłużały.

– Nie sądzę. Wiemy, że nikt z osób najbliższych Cesare nie ukrywa go ani nie chroni. – Ezio przerwał. – Wszystkie najważniejsze kobiety w jego życiu nienawidzą go; nawet Giulia nie przepadała za Rodrigem.

Machiavelli skrzywił się.

– Wyobraź sobie, że rżnie cię mężczyzna tak stary, że mógłby być twoim dziadkiem.

– Cóż, źle na tym nie wyszła.

– Wciąż nie wiemy, gdzie jest Cesare. Użyj Jabłka.

– Nie, jeszcze nie. Musimy sobie poradzić własnymi siłami.

– Cóż – westchnął Machiavelli. – Przynajmniej Bóg dał nam sprawne umysły.

W tym momencie podbiegł do nich jeden ze szpiegów Machiavellego, cały zdyszany. Był to drobny, łysy człowieczek o czujnych oczach i dzikiej twarzy.

– Bruno? – spytał Niccolò, zaskoczony i zatroskany.

– *Maestro* – wysapał tamten. – Dzięki Bogu, że cię znalazłem.

– Co się stało?

– Zwolennicy Borgiów! Wysłali kogoś, żeby śledził ciebie i *maestro* Ezia...

– I?

– Kiedy byli pewni, że was nie ma, porwali Claudię!

– Moją siostrę! Słodki Jezu! Jak? – zachłysnął się Ezio.

– Była na placu przed Bazyliką św. Piotra, wiecie, tam gdzie są te spróchniałe, drewniane kolumnady, które papież chce rozebrać?

– Do rzeczy!

– Porwali ją... Organizowała dziewczyny, kazała im infiltrować...

– Gdzie jest teraz?

– Mają kryjówkę w Prati, niedaleko na wschód od Watykanu. Tam ją zabrali.

Bruno szybko podał im dokładny adres miejsca, w którym przetrzymywano Claudię. Ezio popatrzył na Machiavellego.

– Chodźmy!

– Przynajmniej dowiedzieliśmy się, gdzie są – powiedział Niccolò sucho jak zwykle, a potem obaj wspięli się z powrotem na dachy i pobiegli, skacząc z domu na dom, aż dotarli do Tybru, gdzie przeszli *ponte della Rovere* i znów pospieszyli w stronę celu.

Miejsce, które wskazał im Bruno, było zapuszczoną willą kawałek na północ od targu dzielnicy Prati. Obłazący tynk kontrastował z nowymi, okutymi żelazem drzwiami, a kraty na oknach były niedawno wstawione i świeżo pomalowane.

Zanim Machiavelli zdołał go powstrzymać, Ezio podbiegł do drzwi i załomotał w nie.

Judasz w drzwiach się uchylił, spojrzano na nich paciorkowate oko, a potem, ku ich zdumieniu, drzwi otworzyły się bezgłośnie na dobrze naoliwionych zawiasach.

Znaleźli się na nijakim dziedzińcu, gdzie nikogo nie było. Ktokolwiek otworzył im wrota – a potem je za nimi zamknął – zniknął. Z trzech stron dziedzińca widać było kolejne przejścia. To naprzeciwko nich było otwarte. Nad nim wisiał poszarpany sztandar z czarnym bykiem na złotym tle.

– Pułapka – powiedział krótko Machiavelli. – Jaką masz broń?

Ezio miał swoje zaufane ukryte ostrze, swój miecz i sztylet. Niccolò – lekki miecz i *stiletto*.

– Wejdźcie, panowie, serdecznie zapraszam – rozległ się głos z okna nad dziedzińcem, gdzieś wysoko nad otwartymi drzwiami. – Myślę, że mamy czym pohandlować.

– Papież wie, gdzie jesteśmy – odparł głośno Machiavelli. – Jesteście zgubieni. Poddajcie się. Służycie przegranej sprawie.

Odpowiedzią był głuchy śmiech.

– Czyżby? Nie sądzę. Ale wejdźcie. Wiedzieliśmy, że połkniecie przynętę. Bruno pracował dla nas już od roku.

– Bruno?

– Zdrada jest rzeczą dziedziczną, a drogi Bruno nie jest tu wyjątkiem. Jedyne, czego chciał, to trochę więcej pieniędzy, niż wy mu płaciliście. Jest tego wart. Udało mu się zwabić Claudię pod pozorem spotkania z jednym z angielskich kardynałów. Siedzą okrakiem na barykadzie, jak to Anglicy, a Claudia miała nadzieję przeciągnąć go na waszą stronę i wydobyć z niego jakieś informacje. Niestety kardynała Shakeshafta spotkał okropny wypadek – został potrącony przez powóz i zginął na miejscu – ale twoja siostra, Ezio, wciąż żyje – jeszcze – i jestem pewien, że się za tobą stęskniła.

– *Calma* – powiedział Machiavelli, kiedy obaj mężczyźni po sobie

popatrzeli. W Ezio wrzała krew. Cały dzień spędził, próbując wysledzić borgistów, a teraz został do nich zaprowadzony.

Wbił paznokcie w dłoń.

– Gdzie ona jest, *bastardi*? – wrzasnął.

– Wejdźcie.

Dwaj asasyni ostrożnie zbliżyli się do ciemnego wejścia.

Za drzwiami znajdowało się słabo oświetlone pomieszczenie, na środku którego stało na postumencie popiersie papieża Aleksandra VI dłuta Adkingnona (jak Machiavelli się domyślił); szorstkie rysy – haczykowany nos, cofnięty podbródek, grube wargi – Rodrigo został uchwycony jak żywy. Nie było tam żadnych mebli, a na każdej ze ścian znów znajdowały się drzwi; tylko te na wprost były otwarte. Ezio i Machiavelli ruszyli w ich stronę, a za nimi znaleźli następną surowo urządzoną komnatę. Stał tam stół, na którym na poplamionej szmacie leżały różne zardzewiałe narzędzia chirurgiczne, lśniąca w świetle pojedynczej świecy. Obok stołu, na krześle, siedziała Claudia, na wpół rozebrana i związana, z rękami na kolanach, posiniaczoną twarzą i piersiami oraz kneblem w ustach.

Z ciemności pod przeciwległą ścianą wychynęło trzech mężczyzn. Ezio i Machiavelli wyczuwali też obecność innych, kobiet i mężczyzn, za sobą i po bokach. Ci, których widzieli w półmroku, mieli na sobie brudne barwy Borgiów i byli uzbrojeni po zęby.

Claudia przemówiła do Ezia oczami. Udało się jej wyswobodzić oznakowany palec na tyle, by mu go pokazać: nie poddała się mimo tortur. Była prawdziwą asasynką. Dlaczego kiedykolwiek w nią wątpił?

– Wiemy, co dla ciebie znaczy rodzina – rzekł przywódca borgistów, wychudzony człowiek w wieku może pięćdziesięciu lat, którego Ezio nie rozpoznawał. – Swojemu ojcu i braciom pozwoliłeś zginąć. O twoją matkę nie musimy się kłopotać, i tak umiera. Ale wciąż możesz uratować siostrę. Jeśli zechcesz. Choć jest już posunięta w latach i nie ma dzieci, więc może nie będzie ci się chciało zawracać nią głowy.

Ezio zapanował nad sobą.

– Czego chcecie?

– W zamian? Masz opuścić Rzym. Może wróc do Monteriggioni i odbuduj zamek? Zaczynj uprawiać ziemię. Zostaw grę o władzę tym, którzy się na niej znają.

Ezio splunął.

– Ojej... – powiedział chudy. Chwycił Claudię za włosy, wyciągnął mały nóż i zranił ją w pierś.

Claudia wrzasnęła.

– W tej chwili to wybrakowany towar, ale jestem pewien, że pod twoją czułą opieką wróci do siebie.

– Zabiorę ci ją, a potem cię zabiję. Powoli.

– Ezio Auditore! Dałem ci szansę, ale ty mi grozisz – a nie jesteś w pozycji do rzucania gróźb. Jeśli ktoś tu kogoś zabije, to ja. Zapomnij o Monteriggioni – zresztą taka światowa dama jak *madonna* Claudia i tak bez wątpienia by się tam męczyła. Twoje przeznaczenie jest tutaj: jest nim umrzeć w tej komnacie.

Mężczyźni i kobiety po obu stronach zbliżyli się, dobywając mieczy.

– Mówiłem ci, to pułapka – powiedział Machiavelli.

– Przynajmniej znaleźliśmy tych drani – odparł Ezio, patrząc mu w oczy. – Masz! – Rzucił towarzyszowi garść zatrutych strzałek. – Niech się przydadzą.

– Nie mówiłeś mi, że przyszedłeś przygotowany.

– Nie pytałeś.

– Pytałem.

– Zamknij się.

Ezio przykucnął. Borgiści nacierali, ich wódz przyłożył wąskie ostrze do gardła Claudii.

– Teraz!

Jak jeden, obaj asasyni dobyli mieczy, a drugimi rękami z zabójczą celnością rzucili strzałkami.

Borgiści padli po obu stronach. Machiavelli rzucił się na nich, tnąc i rąbiąc mieczem i sztyletem, napierając na wrogów, którzy nadaremnie usiłowali zgnieść go przewagą liczebną.

Ezio miał jeden cel – zabić chudego, zanim ten zdąży rozplatać gardło Claudii. Skoczył do przodu i chwycił mężczyznę za szyję, ale jego przeciwnik był śliski jak piskorz i wykręcił mu się w bok, nie puszczając ofiary.

Eziowi w końcu udało się go powalić na podłogę. Schwycił lewą ręką jego prawą i przysunął ostrze trzymanego przez niego noża do jego własnego gardła. Czubek klingi dotknął arterii szyjnej.

– Litości – wybełkotał chudy. – Służyłem sprawie, którą uważałem za słuszną.

– Ile litości okazałbyś mojej siostrze? – warknął Ezio. – Ty gnido! Jesteś skończony.

Nie było potrzeby wysuwać ukrytego ostrza.

– Powiedziałem ci, że to będzie powolna śmierć. – Ezio przeciągnął nóż w dół, do krocza mężczyzny. – Ale okażę ci łaskę.

Szarpnął ostrze z powrotem w górę i rozkroił mężczyźnie gardło.

– *Bastardo!* – zagulgotał ten. – Zginiesz z ręki Micheletta!

– *Requiescat in pace* – mruknął Ezio, pozwalając opaść jego głowie, choć tym razem wymówił te słowa bez wielkiego przekonania.

Pozostali borgiści leżeli martwi albo umierający. Machiavelli i Ezio pospieszili rozwiązać grube sznury, którymi skrupowana była Claudia.

Została mocno pobita, ale jej oprawcy nie posunęli się przynajmniej do zhańbienia jej czci.

– Och, Ezio.

– Nic ci nie jest?

– Mam nadzieję.

– Chodź. Musimy się stąd wydostać.

– Ostrożnie.

– Oczywiście.

Ezio wziął siostrę w ramiona i z zasepionym Machiavellim wyszedł na gasnące światło dnia.

– Cóż – powiedział Niccolò. – Przynajmniej wiemy na pewno, że Micheletto żyje.

51

- Znaleźliśmy Micheletta – oznajmił La Volpe.
- Gdzie? – w głosie Ezia słychać było niecierpliwość.
- Przyczaił się w Zagarolo, niedaleko stąd, na wschód.
- A więc chodźmy po niego.
- Nie tak szybko. Ma pod sobą kontyngenty wojsk z Romanii, wciąż lojalne Cesare. Będzie się bronił – ostrzegł Lis.

- Niech się broni.
- Musimy się zorganizować.
- A więc się zorganizujemy. W tej chwili!

Ezio wraz z Machiavellim i La Volpe zwołali tego wieczora spotkanie na wyspie. Bartolomeo był wciąż w Ostii, obserwował port, a Claudia, pod opieką matki, dochodziła do siebie w Rosa in Fiore po swoich strasznych przejściach. Złodziei i rekrutów wystarczyło, by zebrać setkę mężczyzn i kobiet zdolnych nosić broń i nie było potrzeby ściągać dodatkowych *condottieri*.

- Rozbił obóz w starej szkole gladiatorów, Ludus Magnus, i ma ze sobą około dwustu pięćdziesięciu ludzi.
- Co zamierza zrobić? – zastanawiał się Ezio.
- Nie mam pojęcia. Wyrwać się, wyruszyć na bezpieczną północ do Francuzów, kto wie?
- Jakikolwiek ma plany, zduśmy je w zarodku.

Wczesnym świtem Ezio zebrał konny oddział. Pojechali do nieodległego Zagarolo i o świcie otoczyli obozowisko Micheletta. Ezio na jednym ręku, na karwaszu, miał kuszę, na drugim – zatrute ostrze. Nie zamierzał dawać

pardonu, chociaż chciał wziąć Micheletta żywcem.

Obrońcy stawiali zacięty opór, ale ostatecznie siły Ezia zwyciężyły, ścierając borgistów pod dowództwem Corelli w pył.

Wśród rannych, zabitych i umierających stał dumnie Micheletto, nieugięty do końca.

– Micheletto Corella, bierzemy cię do niewoli – powiedział Machiavelli. – Nie będziesz już zatruwał tego kraju swoimi knowaniami.

– Łańcuchy mnie nie powstrzymają – prychnął Micheletto. – Tak samo, jak nie zatrzymają mego pana.

Zabrali go do Florencji, gdzie osiadł w murach *signorii*, w tej samej celi, w której spędził ostatnie godziny Giovanni, ojciec Ezia. Tam namiestnik miasta, Piero Soderini, wraz z przyjacielem i doradcą Amerigo Vespuccim i Machiavellim przesłuchiwali go i torturowali, ale nic z niego nie wydobyli. Dlatego, póki co, zostawili go w celi, by zgnił. Jego dni jako mordercy wydawały się przeszłością.

Ezio wrócił do Rzymu.

– Wiem, że w duszy jesteś florentczykiem, Niccolò – powiedział przyjacielowi, kiedy się rozstawali – ale będę za tobą tęsknił.

– Jestem też asasynem – odparł Machiavelli. – I moja lojalność w pierwszej kolejności należy się Bractwu. Daj mi znać, kiedy będziesz mnie potrzebował, a przybędę bez zwłoki. Poza tym – dodał z zawziętością w głosie – nie straciłem jeszcze całej nadziei, że wycisnę coś z tego odrażającego człowieka.

– Życzę powodzenia – rzekł Ezio.

Nie miał pewności, czy uda się im złamać Corellę. Micheletto może i był złym człowiekiem, ale miał też bardzo silną wolę.

– Ezio, musisz przestać myśleć o Micheletcie – powiedział mu Leonardo, kiedy usiedli w gabinecie Ezia w Rzymie. – W mieście panuje spokój. Papież jest silny. Podporządkował sobie Romanię. Jest żołnierzem w takim samym stopniu, jak sługą Bożym, i być może pod jego rządami Italia w końcu zazna pokoju. A chociaż Hiszpanie kontrolują południe, Ferdynand i Izabela są naszymi przyjaciółmi.

Ezio wiedział, że Leonardo jest szczęśliwy w swojej pracy. Papież Juliusz zatrudnił go jako wojskowego inżyniera i da Vinci dłużej przy licznych nowych projektach, choć czasami tęsknił za swoim ukochanym Mediolanem, wciąż pozostającym we francuskich rękach. W chwilach głębszego smutku mówił, że wyjedzie do d’Amboise, gdzie zaproponowano mu wszystko, czego by potrzebował, na jedno skinienie. Zapowiadał, że uda się tam, kiedy skończy pracę dla papieża.

Co do Romanii, myśli Ezia często wędrowały do Cateriny Sforzy, którą wciąż kochał. W liście, który mu przysłała, napisała, że jest związana z florenckim ambasadorem. Ezio wiedział, że w jej życiu wciąż panuje chaos; mimo wsparcia Juliusza została wypędzona z Forlí przez własnych poddanych za okrucieństwa, których się dopuściła, tłumiąc rebelię przeciwko jej zmarłemu, nieustępliwemu drugiemu mężowi, Girolamo Feo. Starzała się teraz we Florencji. Z początku listy Ezia do niej były gniewne, potem pełne wyrzutów, później błagalne, ale nie odpowiedziała na żaden i w końcu Ezio pogodził się z faktem, że go wykorzystała i że nigdy więcej jej nie zobaczy.

Tak to już jest ze związkami. Te szczęśliwe trwają, ale bardzo często, kiedy się kończą, to na dobre, a głęboką bliskość zastępuje pustynia.

Ezio był zraniony i upokorzony, ale nie miał czasu rozpamiętywać swojego nieszczęścia. Praca w Rzymie nad konsolidowaniem Bractwa, a przede wszystkim utrzymywaniem go w gotowości, zapewniała mu pod dostatkiem zajęć.

– Uważam, że dopóki Micheletto żyje, zrobi, co będzie mógł, by uciec, uwolnić Cesare Borgię i pomóc mu odbudować jego siły – utrzymywał.

Leonardo miał własne problemy ze swoim lekkomyślnym kochankiem Salaim i słuchał przyjaciela jednym uchem.

– Nikt jeszcze nie zbiegł z więzienia we Florencji – rzekł. – Nie z tych cel.

– Dlaczego go nie zabijają?

– Pewnie wciąż uważają, że mogą coś z niego wydobyć, choć osobiście w to wątpię – powiedział Leonardo. – Tak czy inaczej, Borgiowie są skończeni. Powinieneś odpocząć. Może zabierz swoją biedną siostrę i wróć z nią do Monteriggioni?

– Pokochała Rzym i teraz nie zgodzi się wrócić do takiej małej miejsciny, a poza tym nowy dom Bractwa jest tutaj.

To było kolejne utrapienie w życiu Ezia. Po długiej chorobie zmarła jego matka Maria. Claudia, po uwolnieniu jej z rąk borgistów, zrezygnowała z Rosa in Fiore i dom publiczny był teraz kontrolowany przez szpiegowską siatkę Juliusza, która korzystała z usług innych dziewczyn. La Volpe wynegocjował ze swoim kolegą Antoniem z Wenecji, by ten przysłał Rosę, starszą i bardziej stateczną, ale nie mniej porywczą, niż wtedy kiedy Ezio poznał ją w *La Serenissime*. To ona miała kierować lupanarem.

Pojawił się także problem z Jabłkiem.

Tyle się zmieniło, że kiedy Ezio został wezwany do Watykanu na rozmowę z papieżem, był zupełnie nieprzygotowany na to, co usłyszał.

– Intryguje mnie to twoje urządzenie – powiedział Juliusz, jak zwykle przechodząc od razu do rzeczy.

– O co chodzi Waszej Świątobliwości?

Papież uśmiechnął się.

– Nie wykręcaj mi się, mój drogi Ezio. Mam swoje źródła, a one mi mówią, że posiadasz coś zwanego Jabłkiem, co znalazłeś pod Kaplicą Sykstyńską wiele lat temu. Podobno ma wielką moc.

Myśli pędziły w głowie Ezia. Skąd Juliusz dowiedział się o Jabłku? To Leonardo mu powiedział? Leonardo potrafił być czasami niewiarygodnie naiwny, a bardzo zależało mu na nowym mecenasie.

– Zostało mi powierzone w okolicznościach, które trudno mi wytłumaczyć, przez siłę ze starożytnego świata. Miało nam pomóc i pomogło, ale lękam się jego potencjału. Nie sądzę, by ludzkie ręce były gotowe na coś takiego, ale jest znane jako Część Edenu. Są też inne części, niektóre utracone, inne być może ukryte.

– Wygląda na to, że to bardzo przydatna rzecz. Jak działa?

– Potrafi kontrolować ludzkie myśli i pragnienia. Ale to nie wszystko: potrafi także ukazywać rzeczy, o których się nikomu nie śniło.

Juliusz zamyślił się.

– Mogłoby bardzo mi się przydać. Ale w niewłaściwych rękach mogłoby także zostać wykorzystane przeciwko mnie.

– To właśnie Jabłkiem posługiwali się Borgiowie, kiedy próbowali zdobyć całkowitą władzę. Na szczęście Leonardo, któremu dali je do przebadania, nie zdradził im jego najmroczniejszych sekretów.

Papież milczał przez chwilę, zamyślony.

– W takim razie będzie chyba lepiej, jeśli zostawię je w twoich rękach – powiedział w końcu. – Skoro zostało ci powierzone przez taką moc, jaką opisujesz, nierozsądnie byłoby ci je zabierać. – Przerwał. – Uważam, że kiedy uznasz, że nie jest ci już potrzebne, powinieneś je ukryć w bezpiecznym miejscu i może, jeśli zechcesz, zostawić jakiś trop dla godnego następcy. Na przykład twojego potomka, który będzie w stanie je zrozumieć, tak by przysłużyło się znów światu przyszłych pokoleń. Wierzę bowiem, Ezio Auditore, i być może jest w tym palec Boży, że w obecnych czasach nie powinien się nim opiekować nikt inny niż ty. Może posiadasz

jakiś wyjątkowy zmysł, cechę, która pozwala ci używać go odpowiedzialnie.

Ezio skłonił się i nic nie odrzekł, ale w duchu rozumiał mądrość Juliusza i zgadzał się całym sercem z jego osądem.

– Przy okazji – powiedział papież – nie przepadam za tym przyjacielem Leonarda, jak on się nazywa, Salai? Robi na mnie wrażenie bardzo chytrego i nie ufałbym mu. Szkoda, że Leo jest tak w niego wpatrzony, bo oprócz tej jednej słabostki da Vinci to geniusz. Czy wiesz, że opracowuje dla mnie lekką, kuloodporną zbroję? Nie mam pojęcia, skąd on bierze te pomysły.

Ezio pomyślał o karwaszu z Kodeksu, który Leonardo dla niego odtworzył, i uśmiechnął się w duchu.

Teraz domyślał się już źródła informacji papieża o Jabłku i wiedział, że papież zdradził je rozmyślnie. Na szczęście Salai był raczej głupcem niż łotrem, ale mimo to trzeba było go obserwować, a w razie konieczności usunąć.

W końcu Ezio wiedział, co oznacza pseudonim Salai: „mały szatan”.

Ezio wrócił do pracowni Leonarda wkrótce po audiencji u papieża, ale nie zastał Salaiego, a Leonardo wstydził się za kochanka. Wysłał go na wieś i żadne argumenty nie mogły go zmusić, by wyjawiał dokąd. To należało ustalić z pomocą La Volpe i jego Gildii Złodziei. Widać było wyraźnie, że da Vinci jest zakłopotany. Może nauczy się na przyszłość trzymać gębę zamkniętą przy swoim kochanku, wiedział przecież, że Ezio może mu zgotować nie lada kłopoty. Na szczęście Leonardo wciąż był większą pomocą niż przeszkodą, do tego dobrym przyjacielem i Ezio bardzo jasno dał mu to do zrozumienia. Ale jeśli nastąpiłyby jeszcze jakieś naruszenia bezpieczeństwa i przecieki – cóż, nikt nie był niezastąpiony.

Leonardo chciał to jakoś Eziowi wynagrodzić.

– Myślałem o Cesare – powiedział ze swoim zwykłym zapałem.

– Tak?

– Właściwie to bardzo się cieszę, że przyszedłeś. Znalazłem kogoś, kogo moim zdaniem powinieneś poznać.

– Ten ktoś wie, gdzie jest Cesare? – spytał Ezio.

Jeśli tak – pomyślał – Micheletto przestałby być ważny. Jeśli nie, Ezio był nawet gotów pozwolić Corelli uciec z więzienia – bo dobrze znał *signorię* – i wykorzystać go, by zaprowadził go do swojego pana. Był to ryzykowny plan, owszem, ale użycie Jabłka pozostawało ostatnią deską ratunku. Brzemie tej Części Edenu ciążyło Eziowi coraz bardziej, miewał ostatnio dziwne sny o krajach, budynkach i technologiach, które nie mogły jeszcze istnieć... Potem przypomniał sobie wizję zamku, samotnego zamku w dalekim kraju. Przynajmniej on zdawał się pochodzić z jego własnych czasów. Ale gdzie

mógł się znajdować?

Leonardo wyrwał go z tych rozmyślań.

– Nie wiem, czy wie, gdzie jest Cesare. Ale nazywa się Gaspar Torella i był jego osobistym lekarzem. Ma kilka interesujących moim zdaniem pomysłów. Wybierzemy się do niego?

– Każdy trop jest dobry.

Dottore Torella przyjął ich w przestronnym gabinecie przy Appenine. Z sufitu zwisały zioła, ale też dziwne stworzenia: ususzone nietoperze, zeschnięte truchelka ropuch, a nawet mały krokodyl. Torella był pomarszczony i trochę się garbił, ale miał mniej lat, niż wyglądał, a jego oczy spoglądały bystro zza okularów. Był wreszcie kolejnym Hiszpanem na emigracji, ale cieszył się reputacją geniusza, więc papież Juliusz go oszczędził – w końcu Torella był naukowcem niezainteresowanym polityką.

Co go interesowało i o czym mógł godzinami rozprawiać, to Nowa Zaraza.

– Wiecie, mieli ją obaj: mój dawny pan i jego ojciec. W ostatnich etapach jest naprawdę paskudna i moim zdaniem wpływa na umysł, więc zarówno Cesare, jak i byłemu papieżowi mogła uszkodzić mózg. Żaden nie znał umiaru. W przypadku Cesare choroba wciąż może być silna – gdziekolwiek go umieścili.

– Domyślasz się, gdzie to może być?

– Moim zdaniem najdalej, jak to było możliwe, w miejscu, z którego nigdy nie zdołałby uciec.

Ezio westchnął. To akurat było oczywiste.

– Nazwałem tę chorobę *morbis gallicus* – chorobą francuską – ciągnął z entuzjazmem Torella. – Nawet obecny papież ma jej wczesne stadium. To oczywiście epidemia. Uważamy, że przywlekli ją z Nowe Świata żeglarze Kolumba, i pewnie też Vespucciego, jakieś siedem czy osiem lat temu.

– W takim razie czemu nazywać ją francuską? – spytał Leonardo.

– Cóż, nie chciałbym obrażać Włochów, a Portugalczycy i Hiszpanie to nasi przyjaciele. A na początku wybuchła wśród francuskich żołnierzy

w Neapolu. Zaczyna się od pęcherzy na genitaliach i potrafi zniekształcić dłonie, plecy i twarz, właściwie całą głowę. Kuruję ją rtęcią, podawaną doustnie lub wcieraną w skórę, ale chyba nie znalazłem naprawdę skutecznego lekarstwa.

– To bardzo interesujące – stwierdził Ezio. – Ale czy ta choroba zabija Cesare?

– Nie wiem.

– A więc muszę go znaleźć.

– Fascynujące – rzekł Leonardo, podekscytowany możliwością kolejnego nowego odkrycia.

– Pracuję nad czymś jeszcze – powiedział Torella – co moim zdaniem jest jeszcze bardziej interesujące.

– Cóż to takiego? – spytał drugi naukowiec.

– Otóż uważam, że ludzkie wspomnienia mogą być dziedziczone – zachowywane – z pokolenia na pokolenie we krwi. Podobnie jak niektóre choroby. Pochlebiam sobie, że znajdę lekarstwo na *morbus gallicus*, ale mam wrażenie, że może ona pozostać z nami jeszcze na wieki.

– Czemu tak sądzisz? – spytał Ezio, dziwnie poruszony wzmianką o wspomnieniach dziedziczonych z pokolenia na pokolenie.

– Bo uważam, że jest przenoszona przede wszystkim przez spółkowanie – a wszyscy byśmy wyginęli, gdybyśmy mieli się bez niego obejść.

Ezio stracił cierpliwość.

– Dziękujemy za poświęcony nam czas – powiedział.

– Nie ma za co – odparł Torella. – Przy okazji, jeśli rzeczywiście chcecie znaleźć mojego dawnego pana, niegłupim pomysłem byłoby poszukać w Hiszpanii.

– W Hiszpanii? Gdzie konkretnie?

Doktor rozłożył ręce.

– Jestem Hiszpanem, Cesare też. Czemu nie wysłać go do domu? Ale to tylko przecucie. Przykro mi, że nie umiem powiedzieć nic bardziej

konkretnego.

To jest jak szukanie igły w stogu siana – pomyślał Ezio. – Ale od czegoś trzeba zacząć.

54

Ezio nie utrzymywał już położenia swojej kwatery w całkowitej tajemnicy, ale tylko nieliczni wiedzieli, gdzie się znajduje. Jednym z nich był Machiavelli. Którejś nocy Ezia o czwartej nad ranem obudziło mocne stukanie do drzwi.

– Niccolò! Co ty tu robisz? – Ezio natychmiast odzyskał czujność, jak kot.

– Byłem głupcem.

– Co się stało? Działaleś we Florencji, nie mogłeś wrócić tak szybko.

Ezio już wiedział, że musiało wydarzyć się coś bardzo złego.

– Byłem głupcem – powtórzył Machiavelli.

– Co się dzieje?

– W swojej arogancji zostawiłem Micheletta przy życiu – westchnął Niccolò. – W bezpiecznej celi, żeby go przesłuchiwać.

– Lepiej mów, co się stało.

– Uciekł! W przeddzień egzekucji!

– Z *Signorii*? Jak?

– Dachem. Borgiści wspięli się na twierdzę w nocy, zabili strażników i spuścili linę. Ksiądz, który wysłuchiwał jego ostatniej spowiedzi, był zwolennikiem Borgiów – dzisiaj spłonie na stosie – i przemycił do jego celi pilnik. Micheletto przepiłował w nocy jeden pręt kraty. To potężny mężczyzna, ale tyle wystarczyło, żeby się precisnął i wspiął po linie. Wiesz, jaki jest silny. Kiedy podniesiono alarm, nie było go już nigdzie w mieście.

– Musimy go odnaleźć i... – Ezio przerwał, nagle widząc jasną stronę tej porażki – ...zobaczyć, dokąd ucieknie. Może nas doprowadzić do Cesare. Jest obłąkańczo lojalny, a bez wsparcia Cesare jego własne siły są niczym.

- Lekka jazda cały czas przeczesuje okolicę.
- Ale zostało mnóstwo małych enklaw borgistów, takich jak jego wybawiciele, którzy chętnie go ukryją.
- Moim zdaniem jest w Rzymie. Dlatego tu przyjechałem.
- Dlaczego w Rzymie?
- Byliśmy zbyt pewni siebie. Tutaj też są zwolennicy Borgiów. Wykorzystaj ich, by dostać się do Ostii, i spróbuje wsiąść tam na statek.
- W Ostii jest Bartolomeo; nikt się nie wymknie jemu i jego *condottieri*. Poślę jeźdźca, by go zaalarmował.
- Ale dokąd popłynie Micheletto?
- Dokąd by indziej, jeśli nie do Walencji, swojego rodzinnego miasta.
- Ezio, musimy mieć pewność. Musimy użyć Jabłka, teraz, w tej chwili, i sprawdzić, czy uda się nam go zlokalizować.

Ezio odwrócił się i w sypialni swojej kwatery, tak by Machiavelli nie widział, wyciągnął Jabłko z kryjówki. Dłońmi w rękawicach ostrożnie wyjął je ze skrzynki i położył na stole. Potem się skupił. Z początku Jabłko rozświetlało się bardzo powoli, ale jego blask wzmógł się, tak że całą komnatę zalało zimne światło. Później na ścianie zamigotały obrazy, z początku niewyraźne i zamglone, w końcu układając się w coś, co Ezio już widział.

– To dziwny, samotny zamek na tle burego, pustynnego krajobrazu; bardzo stary, z wielkim barbakanem, czterema głównymi basztami i niezdobytą twierdzą na środku – wyjaśnił Ezio Machiavellemu.

– Gdzie jest ta *rocca*? Co mówi nam Jabłko? – krzyknął Machiavelli z drugiej komnaty.

– To może być wszędzie – mruknął pod nosem Ezio. – Sądząc po krajobrazie, może Syria? Albo – tu poczuł nagły przyptyw podniecenia, wspominając słowa doktora Torelli – Hiszpania! – krzyknął. – Hiszpania!

– Micheletto nie może być w Hiszpanii.

– Jestem pewien, że zamierza się tam udać.

– Nawet jeśli, nie wiemy dokąd. W Hiszpanii jest mnóstwo zamków, wiele podobnych do tego. Spytaj Jabłko raz jeszcze.

Kiedy jednak Ezio spróbował ponownie, obraz pozostał niezmieniony: solidnie zbudowany zamek na wzgórzu, mający co najmniej trzysta lat, otoczony niewielkim miasteczkiem. Obraz był praktycznie pozbawiony kolorów – wszystkie domy, twierdza i okolica miały prawie jednakowy odcień brązu. Jediną kolorową plamą była flaga na maszcie na samym szczycie cytadeli.

Ezio przyjrzał się jej uważnie.

Biała flaga z czerwonym, nierównym krzyżem w kształcie litery X.

Jego podniecenie wzrosło.

– Wojskowy sztandar króla Ferdynanda i Izabeli hiszpańskiej!

– Widzisz ich sztandar! – zawołał Machiavelli z sąsiedniej komnaty głosem zduszonym z ekscytacji. – Dobrze. Teraz wiemy, który to kraj. Ale wciąż nie mamy pojęcia, gdzie to jest. Ani dlaczego ukazuje się nam ten obraz. Micheletto tam jedzie? Spytaj Jabłko raz jeszcze.

Wizja zbladła i została zastąpiona umocnionym miastem na wzgórzu. Na forcie powiewała biała flaga przecięta ukośnymi czerwonymi łańcuchami o ogniwach wypełnionych złotym kolorem, w której Ezio rozpoznał flagę Nawarry. Potem pojawiła się trzecia i ostatnia wizja: wielki, bogaty port morski, ze statkami na migoczącym morzu i zbierającą się armią. Ale wizje nie pokazały niczego, co by podpowiadało, gdzie należy szukać tych miejsc.

56

Wszyscy byli na swoich miejscach. Gońcy jeździli codziennie między założonymi przez Bractwo bazami. Bartolomeowi zaczynało podobać się w Ostii, a Pantasilea wprost ją uwielbiała. Antonio de Magianis wciąż trzymał fort w Wenecji. Claudia wróciła, póki co, do Florencji. Zamieszkała u dawnej przyjaciółki Paoli, dalej prowadzącej ekskluzywny dom rozkoszy, na którym wzorowano Rosa in Fiore. La Volpe i Rosa czuwali w Rzymie.

Nadeszła pora, by Machavelli i Ezio ruszyli na łowy.

57

Leonardo nie chciał wpuścić Ezia i Machiavellego do swojej pracowni, ale w końcu ustąpił.

– Leo, potrzebujemy twojej pomocy – powiedział Ezio, przechodząc od razu do rzeczy.

– Kiedy widzieliśmy się ostatnio, nie byłeś ze mnie zbytnio zadowolony.

– Salai nie powinien był mówić nikomu o Jabłku.

– Upił się w kramie z winem i chciał zrobić wrażenie. Większość ludzi wokół nie miała pojęcia, o czym mówi, ale w pobliżu znalazł się agent papieża Juliusza. Salaiemu jest bardzo przykro.

– Gdzie jest teraz? – spytał Ezio.

Leonardo wyprostował się.

– Jeśli chcesz mojej pomocy, musisz mi zapłacić.

– O czym ty mówisz? Jak to: zapłacić?

– Chcę, żebyś dał mu spokój. Bardzo dużo dla mnie znaczy, jest młody, przy mnie się poprawi.

– To mały szczur z kanałów – powiedział Machiavelli.

– Chcecie skorzystać z mojej pomocy czy nie?

Ezio i Niccolò popatrzyli po sobie.

– Dobrze, Leo, ale trzymaj go krótko, bo Bóg mi świadkiem, następnym razem nie będzie litości.

– Dobrze. A teraz – co mam dla was zrobić?

– Mamy problemy z Jabłkiem. Nie jest tak dokładne, jak dawniej. Czy to możliwe, że zepsuł się jego mechanizm? – spytał Machiavelli.

Leonardo pogładził brodę.

– Macie je ze sobą?

Ezio wyjął skrzynkę.

– Proszę.

Położył ją ostrożnie na blacie roboczym Leonarda.

Da Vinci obejrzał Jabłko z uwagą.

– Nie wiem tak naprawdę, czym ono jest – przyznał w końcu. – Jest niebezpieczne, tajemnicze i bardzo, bardzo potężne, a mimo to tylko Ezio wydaje się być w stanie je kontrolować. Bóg mi świadkiem, kiedy było w moich rękach za czasów Cesare, próbowałem, ale udało mi się tylko częściowo. – Przerwał. – Nie, nie sądzę, by słowo „mechanizm” pasowało do tego urządzenia. Gdybym nie był bardziej naukowcem niż artystą, powiedziałbym, że ma własny rozum.

Ezio przypomniał sobie głos dobiegający z Jabłka. A jeśli Leonardo miał rację?

– Micheletto ucieka – rzekł z naciskiem. – Musimy go zlokalizować, i to szybko, wpaść na jego trop, zanim będzie za późno.

– Jak sądzicie, co zamierza?

– Jesteśmy prawie pewni, że postanowił udać się do Hiszpanii, by znaleźć i uwolnić swojego pana, Cesare; potem spróbują wrócić do władzy. Musimy ich powstrzymać – odpowiedział Machiavelli.

– A Jabłko?

– Pokazuje nam zamek, gdzieś w Hiszpanii, bo powiewa nad nim hiszpańska flaga, ale Jabłko nie chce – albo nie może – wskazać nam jego dokładnego położenia. Widzieliśmy także miasto pod nawarską flagą i port z armią szykującą się do zaokrętowania, ale Jabłko nie zdradziło nam, gdzie znajdziemy Micheletta – powiedział Ezio.

– Cóż... – odparł da Vinci. – Cesare nie mógł uciec, bo nikt nie jest aż tak sprytny, więc Jabłko postanowiło – jak by to ująć? – więcej wam nie pomagać.

– Ale dlaczego?

– Może je spytamy?

Ezio znów się skupił i tym razem jego uszu dobiegła niebiańska muzyka, podniosła i melodyjna.

– Słyszycie? – spytał.

– Co takiego? – odparli pozostali.

Przez muzykę rozległ się głos, który Ezio słyszał już wcześniej.

– Ezio Auditore... Dobrze się spisałeś, ale moja rola w twym życiu jest już wypełniona z nawiązką i musisz mnie oddać. Zanieś mnie do krypty, którą znajdziesz pod Kapitołem, i pozostaw tam, by mogli mnie znaleźć przyszli członkowie Bractwa. Ale spiesz się! Potem musisz jechać jak najszybciej do Neapolu, gdzie Micheletto wsiada na statek do Walencji. Ta wiedza to mój ostatni dar dla ciebie. Masz wystarczająco dużo własnych mocy, by nie korzystać już z moich. Spocznię w ziemi, aż będę potrzebne przyszłym pokoleniom, więc musisz zostawić znak wskazujący miejsce mojego spoczynku. Żegnaj, mentorze Bractwa! Żegnaj... Żegnaj...

Jabłko przestało świecić i wyglądało na martwe, przypominając starą, skórzaną piłkę.

Ezio szybko opowiedział przyjaciółom, co mu zdradzono.

– Neapol? Czemu Neapol? – spytał Leonardo.

– Bo leży na hiszpańskim terytorium, dokąd nie sięga już nasza jurysdykcja.

– I dlatego, że Micheletto skądś wie, że Bartolomeo pilnuje Ostii – powiedział Ezio. – Musimy się spieszyć. Za mną!

Zapadał zmrok, kiedy Machiavelli i Ezio znieśli Jabłko w skrzynce do katakumb pod Koloseum. Przeszli przez budzące grozę, ponure komnaty ruin Złotego Domu Nerona i z pochodniami w rękach zagłębili się w labirynt korytarzy pod starym rzymskim forum, do miejsca blisko kościoła San Nicola in Carcere. Tam znaleźli w krypcie ukryte drzwi, a za nimi niewielkie, sklepione pomieszczenie, na środku którego stał postument. Postawili na nim Jabłko i wyszli. Drzwi, kiedy tylko je zamknęli, jak za sprawą czarów zniknęły, ale wiedzieli, gdzie są i obok nich nakreślili święte, sekretne

symbole, które mógł zrozumieć wyłącznie członek Bractwa. Te same symbole zostawili w regularnych odstępach w drodze powrotnej, aż do wylotu tunelu przy Koloseum, z którego się wyłonili.

Zobaczyli się raz jeszcze z Leonardem, który uparł się, że pojedzie z nimi, i co koń wyskoczy popędzili do Ostii. Tam wyruszyli statkiem w długą morską podróż wzdłuż wybrzeża na południe, do Neapolu. Przybyli tam w dzień św. Jana roku Pańskiego tysiąc pięćset piątego – w czterdzieste szóste urodziny Ezia.

Nie zagłębili się w gwarne miasto na wzgórzach, lecz zostali w umocnionych dokach, gdzie się rozdzielili. Rozpytywali żeglarzy, handlarzy i podróżników, krzątających się przy swoich łódkach rybackich, barkach i karawelach, karakach i kogach; odwiedzali tawerny i burdele, a wszystko to w gorączkowym pośpiechu, bo nikt, Hiszpan, Włoch ani Arab nie umiał odpowiedzieć na ich pytanie: „Czy widziałeś wysokiego, szczupłego mężczyznę, o olbrzymich dłoniach i przeoranej bliznami twarzy, który szukał przeprawy do Walencji?”.

Po godzinie zebrali się na głównym nabrzeżu.

– Płynie do Walencji. Musi tam płynąć – powiedział Ezio przez zaciśnięte zęby.

– A jeśli nie? – spytał Leonardo. – Jeśli wynajmiemy statek i popłyniemy do Walencji nie odnalazłwszy go tutaj, możemy stracić wiele dni, nawet tygodni, i zgubić Micheletta na dobre.

– Masz rację.

– Jabłko nie kłamało. On tu był – albo wciąż jest, jeśli mamy szczęście. Musimy tylko znaleźć kogoś, kto o tym wie.

Podeszła do nich szeroko uśmiechnięta ladacznica.

– Nie jesteśmy zainteresowani – warknął Machiavelli.

Kobieta była ładną blondynką w wieku około czterdziestu lat – drobną i szczupłą, o ciemnych, piwnych oczach. Miała długie, kształtne nogi, małe piersi, szerokie ramiona i wąskie biodra.

– Ale jesteście zainteresowani Michelettem Corellą.

Ezio odwrócił się do niej. Z twarzy była tak podobna do Cateriny, że aż zakręciło mu się w głowie.

– Co wiesz?

– A ile to dla was warte? – rzuciła ostrym tonem ulicznicy. Potem wrócił jej zawodowy uśmiech. – Nawiasem mówiąc, jestem Camilla.

– Dziesięć dukatów.

– Dwadzieścia.

– Dwadzieścia?! Mniej zarabiasz przez tydzień leżąc na plecach! – nie zdzierzył Machiavelli.

– Jakiś ty uroczy. Chcecie tę informację czy nie? Widzę, że się wam spieszy.

– Niech będzie piętnaście – rzucił Ezio, wyciągając sakiewkę.

– Już lepiej, *tesoro*.

– Najpierw informacja – powiedział Machiavelli, kiedy Camilla wyciągnęła rękę po pieniądze.

– Połowa z góry.

Ezio wręczył jej osiem dukatów.

– Nie skąp, nie skąp... – powiedziała kobieta. – Dobrze, Micheletto był tu wczoraj wieczorem. Spędził ze mną noc i to były najciężej zarobione przeze mnie pieniądze w życiu. Był pijany, pobił mnie i uciekł rano nie płacąc. Pistolet za pasem, miecz, paskudny sztylet. Do tego okropnie cuchnął, ale wiem, że miał pieniądze, bo domyśliłam się, co zrobi i wyjęłam swoją zapłatę z jego sakiewki, kiedy w końcu zasnął. Oczywiście ochrona z lupanaru poszła za nim, choć chyba trochę się bali, więc zachowywali dystans.

– No i? – spytał Machiavelli. – Jak dotąd nie powiedziałaś nic, co by się nam przydało.

– Ale mieli go na oku. Musiał wynająć statek poprzedniego wieczora, bo wsiadł prosto na karakę o nazwie Marea di Alba i wypłynął z porannym przyływem.

– Opisz go – powiedział Machiavelli.

– Wielkie, olbrzymie dłonie... Miałam je na szyi, więc wiem... Złamany nos, twarz z bliznami, niektóre z nich sprawiały wrażenie, jakby cały czas się uśmiechał. Mało mówił.

– Skąd wiesz, jak się nazywał?

– Spytałam, ot tak, żeby nawiązać rozmowę, a on mi powiedział – odparła po prostu ładacznicą.

– I dokąd płynął?

– Jeden z ochroniarzy znał jednego z marynarzy i zapytał go, kiedy odbijali.

– Dokąd?

– Do Walencji.

Walencja. Micheletto wracał do swojego rodzinnego miasta – rodzinnego także dla rodziny Borgiów.

Ezio podał kobiecie jeszcze siedem dukatów.

– Zapamiętam cię – powiedział. – Jeśli okaże się, że kłamałaś, pożałujesz.

Było już południe. Potrzebowali jeszcze godziny, by znaleźć pierwszą karawelę do wynajęcia i uzgodnić cenę. Kolejne dwie godziny zeszły na ładowaniu zapasów i przygotowywaniu statku, a potem musieli poczekać na przyptyw. Karawela była szybsza niż karaka, ale mimo wszystko żagle postawili dopiero wczesnym wieczorem, a morze było niespokojne i wiał niesprzyjający wiatr.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin – powiedział Leonardo do Ezia.

Los również im nie sprzyjał. Ich statek spisywał się dobrze, ale morze pozostawało wzburzone i szkwały poszarpały im żagle. Nadzieja na dogonienie Micheletta na morzu dawno w nich zgasła; kiedy pięć dni później sponiewierana karawela przybiła do portu w Walencji.

Było to rozwijające się i bogate katalońskie miasto, ale żaden z nich – Ezio, Leonardo ani Machiavelli – nic o nim nie wiedział. Niedawno wzniesiona Giełda Jedwabna konkurowała wielkością z dzwonnica, Torres de Quart i Palau de la Generalitat. W tamtym okresie Walencja, jeden z najważniejszych portów handlowych Morza Śródziemnego, przytłaczała zgiełkiem i roila się od *Valencianos*, którzy, wymieszani z Włochami, Holendrami, Anglikami i Arabami, tworzyli na ulicach mieszankę języków godną wieży Babel.

Na szczęście Marea di Alba stała na kotwicy niedaleko, a obaj kapitanowie się znali.

– *Ciao, Alberto!*

– *Ciao, Filin!*

– Zła podróż? – spytał Alberto, przysadzisty mężczyzna w wieku trzydziestu lat, który stał na tylnym pokładzie swojego statku i nadzorował załadunek jedwabiu i rzadkiej, drogiej kawy na podróż powrotną.

– *Brutissimo.*

– Widzę po stanie twojego statku. Ale przez najbliższy tydzień morze będzie spokojne, a wiatr sprzyjający, więc wracam najszybciej jak mogę.

– Ja nie będę miał tyle szczęścia. Kiedy tu przypłynąłeś?

– Dwa dni temu.

– A twój pasażer? – spytał Ezio, włączając się do rozmowy.

Alberto splunął.

– *Che tipo brutto* – ale przynajmniej dobrze zapłacił.

– Gdzie jest teraz?

– Zszedł na brzeg. Wiem, że był w mieście i zadawał pytania, ale jest tu dobrze znany i chyba ma wielu przyjaciół, wierzcie lub nie. – Alberto znów splunął. – Też nie najlepszego sortu.

– Zaczynam żałować, że tu przy płynąłem – szepnął Leonardo. – Jeśli czegoś nie lubię, to przemocy.

– Wiesz, dokąd się udał?

– Mieszkał w Lobo Solitario, możecie tam zapytać.

Zeszli na nabrzeże i poszli prosto do gospody Samotny wilk, po tym, jak Alberto powiedział im, jak tam trafić, dodając ponuro:

– To nie jest miejsce dla mężczyzn z klasą.

– Dlaczego uważasz, że nimi jesteśmy? – spytał Machiavelli.

Żeglarz wzruszył ramionami.

Ezio rozejrzał się po gwarным nabrzeżu. Kątem oka dostrzegł kilku podejrzanych typów, którzy się im przyglądali; sprawdził karwasz i ukryte ostrze. Zrzucił torbę na ramię, by mieć wolne ręce do miecza i sztyletu. Na ten widok Machiavelli zrobił to samo, a Leonardo spojrział na nich z ukosa.

Razem zagłębili się w miasto, pozostając czujni, choć podejrzane typy zniknęły.

– Zatrzymajmy się w tej samej gospodzie, co nasza ofiara – zaproponował Ezio. – Tam najprędzej dowiemy się, gdzie jest.

Gospoda znajdowała się przy wąskiej, krętej uliczce, wśród wysokich kamienic, niedaleko jednej z głównych ulic miasta. Był to niski, ciemny budynek, kontrastujący z błyskiem nowości dużej części reszty Walencji. Ciemne, drewniane drzwi były otwarte i ukazywały mroczne wnętrza. Ezio wszedł pierwszy; Leonardo, niechętnie, ostatni.

Doszli do środka sali, w której ledwie widać było meble i długi, niski bar,

kiedy drzwi zatrzasnęły się za nimi z hukiem. Dziesięciu mężczyzn, którzy czaili się w cieniu i których oczy zdążyły przywyknąć już do ciemności, rzuciło się na nich z gardłowym krzykiem. Ezio i Machiavelli natychmiast odrzucili torby; Niccolò tym samym ruchem dobył miecza oraz sztyletu i zwarł się z pierwszym napastnikiem. Ostrza zabłyśły w półmroku sali, która była wystarczająco duża, by obie strony miały przestrzeń do ruchu.

– Leonardo! – krzyknął Ezio. – Pędź za bar i łap to!

Rzucił swój miecz do Vinciemu, który złapał go, upuścił i znów podniósł. Ezio wysunął ukryte ostrze i dźgnął w bok pierwszego atakującego, przebijając mu wnętrzności. Mężczyzna zachwiał się i złapał za brzuch; pomiędzy palców wypłynęła mu krew. Tymczasem Machiavelli natarł w przód, trzymając miecz w górze. Szybko jak błyskawica wbił jego sztych w gardło pierwszego przeciwnika, jednocześnie drugim ostrzem rozcinając pachwinę następnego. Mężczyzna runął na ziemię z rykiem cierpienia, daremnie łapiąc się za ranę i wijąc w agonii. Machiavelli doskoczył do niego i wymierzył mu siarczyste kopnięcie, uciszając go w jednej chwili.

Napastnicy cofnęli się na chwilę, zaskoczeni tym, że ich zasadzka nie przyniosła spodziewanego efektu oraz zawziętością swoich niedoszłych ofiar, a potem znów zaatakowali ze zdwojoną siłą. Machiavelli krzyknął, cięty z tyłu w ramię trzymające miecz, ale Ezio w jednej chwili dopadł jego przeciwnika i wbił mu sztylet prosto w twarz.

Zanim się zorientował, potężny mężczyzna śmierzący więzienną słomą i zastarzałym potem zakradł się do niego od tyłu i zarzucił mu na szyję garotę. Ezio zakrztusił się, upuścił sztylet i sięgnął dłonią do sznura zaciśniętego na jego tchawicy. Machiavelli przyskoczył i dźgnął wielkoluda, raniąc go i dobywając z niego okrzyk nagłego bólu, ale w ciemności chybił i tamten zdołał go odepchnąć. To jednak wystarczyło, by poluzował uchwyt na garocie i Ezio zdołał mu się wyrwać.

Światło było zbyt słabe, by rozróżnić postacie ocalałych napastników w czarnych płaszczach, ale niepowodzenie napaści zbiło ich z tropu.

– Brać ich! – zawołał nieprzyjemny, gardłowy głos. – Ciągle jest nas pięciu na trzech!

– *Sancho dieron en el pecho!* – krzyknął inny, kiedy Ezio wbił swój ciężki sztylet w mostek jednej z tłustych kreatur, rozplątując go jak pierś kurczaka.

– Czterech na trzech! *Nos replegamos!*

– Nie! – rozkazał ten pierwszy. – *Aguantels mentres que m’escapi!*

Mówił po katalońsku. Był to potężny mężczyzna, który próbował udusić Ezia. Wciąż trącił więzieniem. Micheletto.

Chwilę później drzwi na ulicę otworzyły się i zatrzasnęły, a Corella uciekł, przelotnie oświetlony blaskiem słońca z ulicy. Ezio rzucił się za nim, ale drogę zastawił mu jeden z trzech ocalałych napastników, trzymający w górze *scimitar* i gotowy opuścić mu go na głowę. Ezio był za blisko, by skutecznie zasłonić się którąkolwiek ze swoich broni, więc odskoczył w bok. *Scimitar* opadł, ale mężczyzna spodziewał się, że na drodze klingi znajdzie się ciało i uderzył tak mocno, że wbił ją sobie w genitalia. Z wyciem upuścił broń i padł na ziemię, chwytając swoją męskość i próbując zatamować tryskającą z niej krew.

Dwaj ostatni przepychali się, który pierwszy dobiegnie do drzwi. Jednemu się to udało, ale drugi, już ranny w walce, został podcięty przez Machiavellego i runął na ziemię. Leonardo rzucił się na niego, by nie pozwolić mu wstać. Kiedy stało się jasne, że powalony nie ucieknie, da Vinci wstał, a Ezio przyklęknął, przewrócił jeńca na plecy i przystawił mu do nosa czubek ukrytego ostrza.

– Jestem Ezio Auditore, mentor asasynów – powiedział. – Powiedz mi, dokąd ucieka twój pan, a okażę ci łaskę.

– Nigdy! – zaskrzeczał zbir.

Ezio nacisnął ostrzem mocniej. Jego ostre jak brzytwy krawędzie zaczęły powoli rozcinać nos pojmanego.

– Mów!

– Dobrze! Kieruje się do Castillo de la Mota.

– Co tam jest?

– Tam właśnie więzią Cesare.

Ezio nacisnął jeszcze mocniej.

– Zlituj się! Mówię prawdę, ale nigdy nie uda się wam pokrzyżować nam szyków. Borgiowie wrócą do władzy i żelazną ręką będą rządzić całą Italią. Runą na południe i wyrzucą plugawą hiszpańską monarchię, a potem zniszczą królestwa Aragonu i Kastylii i też je podbiją.

– Skąd wiesz, gdzie jest Cesare? To mroczny sekret, znany tylko papieżowi Juliuszowi i jego radzie, oraz królowi Ferdynandowi i jego doradcom.

– Myślisz, że nie mamy własnych szpiegów? Nawet w Watykanie? Są bardzo dobrzy. Tym razem okazali się lepsi niż wasi.

Nagłym ruchem podniósł prawą rękę. Miał w niej mały nóż, którym mierzył w serce Ezia. Ezio w ostatniej chwili zdążył zablokować cios lewą ręką; ostrze ześliznęło się nieszkodliwie po jego karwaszu na podłogę.

– Niech żyje królewski ród Borgiów! – krzyknął mężczyzna.

– *Requiescat in pace* – powiedział Ezio.

– Witamy w Walencji – mruknął Leonardo.

59

Gospoda Samotny Wilk była pusta, ale znalazły się tam w miarę porządne łóżka, a ponieważ było późno, Ezio i jego towarzysze nie mieli innego wyjścia, jak spędzić tam noc. Znaleźli wino, wodę i jedzenie – chleb, cebulę i trochę salami. Nawet Leonardo był zbyt głodny, by nim wzgardzić.

Następnego ranka Ezio wstał wcześniej, chcąc jak najszybciej znaleźć konie na czekającą ich podróż. Kapitan ich statku, Filin, doglądał w dokach napraw swojej poobijanej karaweli. Słyszał o dalekim zamku La Mota i dał im wskazówki, jak do niego trafić; miała to być długa, trwająca wiele dni i męcząca podróż. Filin pomógł im też zorganizować konie, ale mimo to przygotowania zajęły następne czterdzieści osiem godzin, ponieważ musieli zaopatrzyć się w zapasy dla siebie. Ich trasa wiodła na północny zachód przez brązowe wyżyny środkowej Hiszpanii. Nie było map, więc musieli podróżować od wioski do wioski, posługując się listą nazw, którą dał im Filin.

Wyjechali z Walencji i po kilku dniach ostrej jazdy na pierwszym komplecie koni – przy wtórze gorzkiego narzekania Leonarda – wjechali w piękną, górską okolicę maleńkiego miasteczka Cuenca. Potem zjechali na równiny Madrytu i przecięli samo królewskie miasto. Bandytów, którzy próbowali ich obrabować w drodze, spotkała śmierć. Z Madrytu udali się na północ do Segowii, zdominowanej przez Alkazar; tam spędzili noc jako goście seneszala królowej Izabeli Kastylijskiej.

Ich droga wiodła dalej przez równiny, na których napadła ich i prawie obrabowała banda mauryjskich rozbójników, którzy jakimś cudem prześlizgnęli się przez sieć króla Ferdynanda i przeżyli dwanaście lat

w głuszy. Ferdynand, król Aragonii, Sycylii, Neapolu i Walencji, był założycielem hiszpańskiej inkwizycji i – co przyniosło opłakane skutki gospodarce jego kraju – pogromcą Żydów za pośrednictwem Wielkiego Inkwizytora Tomasza Torquemady. Jednak dzięki małżeństwu z równie paskudną co on Izabelą połączył Aragonię i Kastylię, rozpoczynając długi proces jednoczenia Hiszpanii. Ferdynand miał również ambicje dotyczące Nawarry, choć Ezio zastanawiał się, jak duży wpływ miałyby knowania króla bigota na kraj, gdzie Cesare miał bliskich krewnych, jako przyrodni brat tamtejszego francuskiego władcy.

Walcząc ze znużeniem, jechali dalej i modlili się, by zdążyli pokrzyżować plany Micheletta. Ale choć spieszyli się, jak mogli, miał nad nimi sporą przewagę.

60

Micheletto i jego niewielki oddział borgistów ściągnęli wodze koni i stanęli w strzemionach, żeby popatrzeć na zamek La Mota. Twierdza dominowała nad małym miastem Medina del Campo i została wzniesiona dla jego obrony przed Maurami.

Micheletto miał dobry wzrok i nawet z tej odległości zobaczył czerwoną szarfę, którą Cesare wywiesił z okna swojej celi. Było to najwyższe okno w środkowej baszcie; nie potrzebowało krat, bo z La Mota nikt jeszcze nigdy nie uciekł. Każdy, kto ujrzał zamek, od razu wiedział, dlaczego. Mury budowali utalentowani, jedenastowieczni murarze i powierzchnia kamiennych bloków była gładka jak szkło.

Dobrze, że wpadli na pomysł z szarfą, w przeciwnym razie Micheletto mógłby mieć kłopot ze znalezieniem swojego pana. Ich łącznik, sierżant zamkowej straży, zwerbowany przez Borgiów w Walencji jakiś czas wcześniej, spisywał się doskonale i kiedy go przekupiono, okazał się całkowicie godny zaufania.

Wydostanie Cesare wciąż jednak pozostawało trudnym zadaniem. Drzwi jego celi nieustannie pilnowało dwóch szwajcarskich gwardzistów wypożyczonych od papieża Juliusza, jak wszyscy Szwajcarzy całkowicie nieprzejednanych i nieprzekupnych. Dlatego wyciągnięcie Borgii w najprostszy ze sposobów było niemożliwe.

Micheletto wzrokiem zmierzył wysokość środkowej baszty. Kiedy dostaliby się do środka, musieliby wspiąć się po idealnie gładkiej ścianie do celi położonej sto czterdzieści stóp wyżej. To nie wchodziło w grę. Corella zastanowił się nad tą trudnością. Był człowiekiem praktycznym, ale jego

specjalnością było zabijanie, a nie rozwiązywanie problemów, więc jego myśli skierowały się ku jego podstawowemu narzędziu: sznurowi.

– Podjedźmy trochę bliżej – rzekł do swoich towarzyszy. Wszyscy mieli na sobie stroje myśliwskie zamiast zwyczajowej czerni, by nie wzbudzać podejrzeń. Micheletto przyprowadził dziesięciu ludzi, a każdy z nich miał przy sobie, w ramach zwykłego ekwipunku, odcinek liny.

– Nie powinniśmy podjeżdżać za blisko – powiedział jego porucznik. – Zobaczą nas strażnicy na blankach.

– I co zobaczą? Grupę myśliwych, którzy przyjeżdżają do Medyny, żeby uzupełnić zapasy. Nie przejmuj się, Girolamo.

Ta uwaga zrodziła w głowie Micheletta załączek pomysłu.

– Wjeżdżamy do miasta – zarządził.

Droga zajęła im około pół godziny. Przez ten czas Micheletto stał się jeszcze bardziej niż zwykle milczący i marszczył pobrużdżone czoło. Kiedy zbliżyli się do murów miasta, jego twarz się rozpromieniła.

– Stać.

Zatrzymali się, a Corella powiódł po nich wzrokiem. Najmłodszy z mężczyzn, osiemnastolatek o imieniu Luca, miał gładki podbródek bez zarostu i zadarty nos. Był już zahartowanym mordercą, ale posiadał niewinną twarz cherubina.

– Wyciągnijcie liny i zmierzcie je.

Posłuchali. Każda lina miała dwanaście stóp długości – sto dwadzieścia stóp, kiedy mocno związali je razem. Ze sznurem Micheletta – sto trzydzieści. Cesare musiały zeskoczyć z ostatnich dziesięciu, ale to nie byłoby dla niego żadnym wyzwaniem.

Następną trudnością było dostarczenie mu liny. W tym celu musieli skontaktować się ze swoim rekrutem, sierżantem straży Juanem, co nie było zbyt trudne, ponieważ znali jego trasę i godziny służby. To miało być zadanie Luki, ponieważ jako niewinnie wyglądający młody mężczyzna zwróciłby na siebie najmniej uwagi – reszta bandy, choć przebrana za myśliwych,

wyglądała na ludzi, którymi byli – na zatwardziałych opryszków. Juanowi trzeba będzie posmarować, ale Micheletto zawsze woził ze sobą dwieście pięćdziesiąt dukatów na nieprzewidziane wydatki, a jedna dziesiąta tej sumy powinna była wystarczyć. Za całe zadanie.

Juan mógł dostać się do celi Cesare i przekazać mu linę – szwajcarscy gwardziści by go nie podejrzewali. Micheletto mógł nawet sfałszować list z oficjalnie wyglądającą pieczęcią, by posłużył jako pretekst.

Barbakan był jednak potężny i Cesare, kiedy znalazłby się już na wewnętrznym dziedzińcu, musiałyby się z niego wydostać przez jedyną bramę.

Pewnym ułatwieniem w całej tej sytuacji było to, że główna funkcja zamku La Mota sprowadzała się w ostatnim czasie do pilnowanie jego jedyne go więźnia. Pierwotnym przeznaczeniem twierdzy było odpierać ataki Maurów, ale to zagrożenie już dawno minęło i olbrzymią fortecę traktowano, wyjąwszy więzienie Cesare, jako zabytek, więc Micheletto od Juana wiedział, że to dość dogodne do odbicia więźnia miejsce.

Od czasu do czasu Cesare musiał dostawać ubrania na zmianę, więc Corella przemyślał możliwość zorganizowania przez Juana takiej „zmiany ubrania” – podstępem, by zmylić wartowników – i uznał, że mogło się to udać. Nie przychodził mu do głowy żaden inny sposób oprócz wdarcia się do zamku i wydostania Cesare siłą.

– Luca – powiedział w końcu. – Mam dla ciebie zadanie.

Okazało się, że Juan zażądał za całą robotę pięćdziesiąt dukatów; Micheletto zbił cenę do czterdziestu, choć nie targował się zbyt zawzięcie. Luca potrzebował trzech wypraw w tę i z powrotem, by wszystko załatwić, ale w końcu zameldował:

– Umówione. Dostarczy Cesare linę i przebranie strażnika, kiedy będzie towarzyszył człowiekowi przynoszącemu mu kolację o szóstej. Tylna brama będzie pilnowana przez Juana, który obejmie także wartę od północy do szóstej. Z zamku do miasta jest pięć minut pieszo...

Noga Cesare Borgii bolała go od pęcherzy Nowej Zarazy, ale nie bardzo; tępy ból przyprawiał go jedynie o lekkie utykanie. O drugiej w nocy, kiedy przebrał się w mundur strażnika, przywiązał mocno linę do środkowego szprosu okna swojej celi i ostrożnie opuścił ją w ciemność. Kiedy cała się rozwinęła, przerzucił zdrową nogę przez parapet, przeciągnął drugą i mocno chwycił sznur. Spocony, mimo chłodu, zaczął opuszczać się na rękach, aż kostkami poczuł koniec liny. Ostatnie dziesięć stóp spadł – lewa noga zaboląła go przy lądowaniu – ale otrząsnął się i pokuśtykał przez pusty, wewnętrzny dziedziniec, a potem przez zewnętrzny, gdzie zaspani wartownicy nie zwrócili na niego uwagi, biorąc go za jednego ze swoich.

Zatrzymano go przy bramie. Serce stanęło mu w gardle, ale na ratunek przyszedł Juan.

– W porządku. Zabiorę go na wartownię.

O co chodziło? Był już tak blisko, a przy tym tak daleko.

– Nie martw się – mruknął Juan pod nosem.

Wartownia była zajęta przez dwóch śpiących strażników. Juan obudził jednego z nich kopnięciem.

– Obudź się, Domingo. Ten człowiek ma przepustkę na miasto. Zapomnieli zamówić dodatkowego siana do stajni i potrzebują więcej, zanim wyjadą na poranny patrol. Zabierz go do bramy, wyjaśnij warcie, o co chodzi i wypuść go.

– Tak jest!

Cesare wyszedł za strażnikiem przez bramę, którą za nim zamknięto, i pokuśtykał w świetle księżyca do miasta. Cóż to była za radość, po tak długim czasie czuć wokół siebie chłodne, nocne powietrze. Tkwiał w tej norze od tysiąc pięćset czwartego roku, lecz teraz był już wolny. Przecież miał dopiero trzydzieści lat; jeszcze wszystko odzyska, a na swoich wrogach dokona takiej zemsty – zwłaszcza na Bractwie Asasynów – że czystki Cateriny Sforzy w Forlí będą wyglądać przy tym jak dziecinna zabawa.

W umówionym miejscu usłyszał i poczuł konie. Dzięki Bogu za Micheletta.

Potem ich zobaczył: byli tam wszyscy, sylwetki w cieniu kościelnego muru. Przyprawdzili dla niego pięknego, czarnego rumaka. Micheletto zsiadł z konia i pomógł Cesare wsiąść na siodło.

– Witaj z powrotem, *Excellenza* – powiedział. – Teraz musimy się spieszyć. Ten bękart *assassino*, Ezio Auditore, depcze nam po piętach.

Cesare milczał. Myślał o najpowolniejszej śmierci, jaką mógł wymyślić dla asasyna.

– Wprowadziłem już w ruch sprawy w Walencji – ciągnął Micheletto.

– Dobrze.

Odjechali w noc, kierując się na południowy wschód.

61

– Uciekł!?! – Ezio przejechał ostatnie mile dzielące go od La Moty nie szczczędząc siebie, towarzyszy ani koni, z coraz większą obawą w sercu. – Po ponad dwóch latach? Jak?

– To zostało starannie zaplanowane, *signore* – odparł nieszczęsny porucznik zamkowej straży, pulchny człowieczek około sześćdziesiątki z bardzo czerwonym nosem. – Prowadzimy oficjalne dochodzenie.

– I co odkryliście?

– Jak na razie...

Ale Ezio już nie słuchał. Rozglądał się po zamku La Mota. Wyglądał dokładnie tak, jakim ukazało mu go Jabłko. Ta myśl przypomniła mu inną powierzona mu wizję: armię gromadzącą się w porcie... Tym portem była Walencja!

Myśli w jego głowie zaczęły mu gorączkowo ścigać jedna drugą.

Musiał jak najszybciej dostać się na wybrzeże.

– Dajcie mi świeże konie! – ryknął.

– Ale *signore*...

Machiavelli i Leonardo popatrzyli po sobie.

– Ezio, cokolwiek się stało, musimy odpocząć, przynajmniej jeden dzień – powiedział Niccolò.

– Tydzień – jęknął da Vinci.

Ostatecznie opóźniła ich choroba Leonarda. Wynalazca był wyczerpany i bardzo tęsknił za Italią. Ezia kusilo, żeby go zostawić, ale Machiavelli doradzał powściągliwość.

– To twój stary przyjaciel, a oni nie mogą zebrać armii i floty szybciej niż

w dwa miesiące.

Ezio ustąpił.

Dalsze wydarzenia pokazały, że Machiavelli miał rację – i dowiodły nieocenionej wartości Leonarda.

62

Ezio i jego towarzysze wrócili do Walencji w niecały miesiąc później i zastali ją w stanie wielkiego poruszenia. Machiavelli nie docenił szybkości, z jaką sprawy mogły się toczyć w tak bogatym mieście.

Potajemnie werbowano żołnierzy i teraz, tuż pod murami Walencji, rozciągał się olbrzymi wojskowy obóz, mieszczący ich około tysiąca. Borgiowie oferowali najemnikom dobre stawki, a wieść szybko się rozeszła. Nowi żołnierze nadciągali nawet z Barcelony i Madrytu, a także z całych prowincji Murcji i La Manchy. Pieniądze Borgiów sprawiły, że flota około piętnastu statków – szybkich transportowców wojskowych z pół tuzinem mniejszych okrętów dla ochrony – była już w budowie.

– Cóż, nie potrzebujemy Jabłka, żeby wiedzieć, co planuje nasz stary przyjaciel Cesare – powiedział Machiavelli.

– To prawda. Nie musi dysponować dużą armią, by zdobyć Neapol, a kiedy tam utworzy przyczółek, zwerbujecie o wiele więcej ludzi dla swojej sprawy. Planuje podbić królestwo Neapolu, a potem całą Italię.

– Co w tej sprawie zrobią Ferdynand i Izabela? – spytał Machiavelli.

– Zbiorą siły, żeby go zmiażdżyć. Dlatego wystąpimy do nich o pomoc.

– To zajmie za dużo czasu. Ich armia musiałaby maszerować z Madrytu. Tutejszy garnizon został wyeliminowany. Ale widzisz, że Cesare się spieszy.

– Może nawet nie będzie to konieczne – zadumał się Leonardo.

– Co masz na myśli?

– Bomby.

– Bomby? – powtórzył Machiavelli.

– Nieduże, ale wystarczająco skuteczne, żeby, powiedzmy, zniszczyć statki,

albo rozpędzić obozowisko.

– Cóż, jeśli nam to zapewnią... – powiedział Ezio. – Czego potrzebujesz, żeby je zrobić?

– Siarki, węgla drzewnego i saletry indyjskiej. A także stali. Cienkiej stali. Elastycznej. Do tego małej pracowni i paleniska.

Zajął im to chwilę, ale szczęśliwie dla nich statek kapitana Alberta, Marea di Alba, stał przycumowany tam gdzie zwykle. Kapitan przywitał ich przyjaznym machaniem.

– Witajcie ponownie – powiedział. – Ci ludzie, o których wam mówiłem... ci, co „nie mają klasy”. Pewnie nie słyszeliście o awanturze w Samotnym wilku niedługo po waszym przyjeździe?

Ezio uśmiechnął się i powiedział mu, czego potrzebują.

– Hm. Znam tu człowieka, który będzie mógł wam pomóc.

– Kiedy wracasz do Italii? – spytał Leonardo.

– Przywiozłem ładunek grappy, z powrotem zabieram jedwab. Może dwa, trzy dni. Dlaczego pytasz?

– Powiem ci później.

– Możesz szybko załatwić nam to, czego potrzebujemy? – spytał Ezio, którego nagle ogarnęły złe przeczucia, choć nie mógł mieć pretensji do Leonarda, że ten chce wracać.

– Oczywiście!

Alberto dotrzymał słowa i po kilku godzinach wszystko zostało załatwione. Leonardo mógł zasiać do pracy.

– Ile ci to zajmie? – spytał Machiavelli.

– Dwa dni, bo nie mam żadnych asystentów. Mam tu dość materiałów, by zrobić dwadzieścia, może dwadzieścia jeden bomb. To po dziesięć na każdego.

– Po siedem – poprawił Ezio.

– Nie, mój przyjacielu, po dziesięć – jedna dziesiątka dla ciebie, druga dla Niccolò. Mnie nie liczcie.

Dwa dni później bomby były gotowe. Rozmiarami i kształtem przypominały grejpfruta, obłożone były stalą i wyposażone w zapadkę na górze.

– Jak działają?

Leonardo uśmiechnął się z dumą.

– Przystawiasz tę małą zapadkę – właściwie to raczej dźwigienka – liczysz do trzech, a potem rzucasz w cel. Każda sztuka wystarczy, by zabić dwudziestu ludzi, a jeśli trafisz nią statek we właściwe miejsce, unieruchomisz go całkowicie, może nawet zatopisz. – Przerwał. – Szkoda, że nie mamy czasu zbudować okrętu podwodnego.

– Czego?

– Nieważne. Pamiętaj, żeby rzucić po doliczeniu do trzech. Nie trzymaj dłużej, bo ciebie samego rozerwie na kawałki! – Wstał. – A teraz do widzenia i powodzenia.

– Co?

Leonardo uśmiechnął się smutno.

– Mam już dość Hiszpanii, więc opłaciłem podróż u Alberta. Wyrusza dziś, z popołudniowym przypiływem. Do zobaczenia z powrotem w Rzymie – o ile się wam uda.

Ezio i Machiavelli popatrzyli po sobie, a potem uroczyście uściskali Leonarda.

– Dziękuję, mój drogi przyjacielu – powiedział Ezio.

– Nie ma za co.

– Dzięki Bogu, że nie skonstruowałeś tego dla Cesare – zauważył Machiavelli.

Kiedy Leonardo już odszedł, ostrożnie spakowali bomby – dokładnie po dziesięć każdy – w lniane torby, które zarzucili sobie na ramiona.

– Ty weź obóz najemników, ja wezmę port – powiedział Ezio.

Machiavelli ponuro kiwnął głową.

– Kiedy skończymy, spotkamy się na rogu ulicy, przy której znajduje się

Samotny wilk – ciągnął Ezio. – Domyślam się, że to tam Cesare będzie miał swoje centrum operacyjne. Kiedy rozpęta się chaos, tam właśnie się uda, żeby się przegrupować ze swoimi najbliższymi doradcami. Spróbujemy ich osaczyć, zanim uciekną po raz kolejny.

– Ten jeden raz poprę twoje przeczucie. – Machiavelli uśmiechnął się szeroko. – Cesare jest tak próżny, że nie przyjdzie mu do głowy porzucić kryjówkę swoich popleczników. A ona jest bardziej dyskretna niż *palazzo*.

– Powodzenia, przyjacielu.

– Będzie potrzebne nam obu.

Uścisnęli sobie dłonie i każdy ruszył wykonać swoją misję.

Ezio postanowił najpierw zabrać się za transportowce. Wtopił się w tłum, dotarł do portu i na nabrzeżu wybrał pierwszy cel. Wyjął pierwszą bombę, zwalczył zdradziecką obawę, że nie zadziała, a potem, wiedząc, że musi działać szybko, pstryknął w zapadkę, policzył do trzech i rzucił.

Z tak niewielkiej odległości jego celność była zabójcza. Bomba wylądowała ze stukotem we wnętrzu kadłuba statku. Przez chwilę nic się nie działo i Ezio zaklął w duchu – a jeśli plan zawiodł? – potem jednak rozległa się przepotężna eksplozja, maszt statku pękł i runął, a w górę wystrzeliły wysoko odłamki drewna. Korzystając z chaosu, który zapanował, Ezio pobiegł wzdłuż nabrzeża, wybrał następny statek i rzucił następną bombę. W kilku przypadkach po pierwszym wybuchu następował drugi, większy, ponieważ niektóre transportowce były już załadowane skrzyniami z prochem. Jeden z nich, wybuchając, zniszczył dwóch swoich sąsiadów.

Jeden po drugim Ezio wysadził dwanaście statków, ale chaos i panika, które wybuchły, były równie cenne. W oddali słychać było eksplozje, krzyki i wrzaski – to Machiavelli robił swoje.

Zmierzając do umówionego punktu spotkania, Ezio miał nadzieję, że jego przyjaciel ocalał.

Cała Walencja była wzburzona, ale przeciskając się pod prąd przez tłum ludzi, udało mu się dotrzeć na miejsce w dziesięć minut. Machiavellego tam

jeszcze nie było, ale Ezio nie musiał długo czekać. Drugi asasyn nadbiegł wkrótce, trochę rozchełstany i z poczerniałą twarzą.

– Niech Bóg wynagrodzi Leonardowi da Vinci – powiedział.

– Sukces?

– Nigdy nie widziałem takiego pandemonium – odparł Machiavelli. – Ocalali uciekają z miasta najszybciej, jak potrafią. Myślę, że większość z nich będzie od teraz wołała pług od miecza.

– Świetnie! Ale to jeszcze nie koniec.

Ruszyli wąską ulicą i dotarli do drzwi Samotnego wilka. Były zamknięte. Bezgłośnie jak koty wspięli się na dach. Budynek był parterowy, ale większy niż wyglądał z frontu, a przy szczycie pochyłego dachu znajdował się otwarty świetlik. Podeszli do niego i ostrożnie zajrzeli do środka.

Zobaczyli salę inną niż ta, w której ich napadnięto. Było w niej dwóch ludzi: Micheletto stał przy stole, a naprzeciw niego siedział Cesare Borgia. Jego przystojna niegdyś twarz, teraz zniszczona Nową Zarazą, była biała z wściekłości.

– Pokrzyżowali moje plany! Przekłęci asasyni! Dlaczego ich nie zniszczyłeś? Dlaczego mnie zawiodłeś?

– *Excellenza*, ja... – Micheletto wyglądał jak zbity pies.

– Muszę uciekać. Pojadę do Viany w Nawarze, to tuż za granicą. Niech tam spróbują mnie pojmać. Nie będę tu czekać, aż ludzie Ferdynanda przyjdą i zawloką mnie z powrotem do La Moty. Mój przyrodni brat jest królem Nawarry i z pewnością mi pomoże.

– Ja ci pomogę, tak jak zawsze. Pozwól mi tylko jechać z tobą.

Cesare wykrzywił okrutne usta.

– Owszem, wydostałeś mnie z La Mota i dałeś nadzieję. Ale popatrz, co mi teraz zgotowałeś!

– Panie, wszyscy moi ludzie nie żyją, zrobiłem, co mogłem.

– I zawiodłeś!

Micheletto zbladł.

– Oto moja nagroda? Za tyle lat wiernej służby?!

– Psie, zejdź mi z oczu. Gardzę tobą! Idź i znajdź sobie jakiś rynsztok, w którym zdechniesz.

Z rykiem wściekłości Micheletto rzucił się na Cesare, wyciągając swoje olbrzymie dłonie dusiciela ku gardłu byłego pana. Nie sięgnęły celu. Z szybkością błyskawicy Cesare wyszarpnął zza pasa jeden z pistoletów i strzelił z bliskiej odległości.

Strzał zmasakrował twarz Micheletta nie do poznania. Jego ciało runęła na stół. Cesare odskoczył, zrywając się z krzesła, by nie zbrudziła go krew.

Ezio wycofał się, tak by był niewidoczny, ale słyszał wszystko; przygotowywał się, by zeskoczyć z dachu i chwycić Cesare, kiedy ten będzie wychodził frontowymi drzwiami gospody. Ale Machiavelli wychylił się, by lepiej widzieć okropne zajście i niechcący strącił luźną dachówkę, alarmując Cesare.

Borgia spojrział w górę i wyciągnął drugi pistolet. Machiavelli nie zdążył się cofnąć; Cesare wypalił i przestrzelił mu bark, gruchocząc obojczyk, a potem uciekł.

Ezio chciał się rzucić w pogoń, ale tylko przez chwilę. Słyszał, że Cesare zamierzał jechać do Viany i mógł udać się tam za nim; najpierw jednak musiał się zająć rannym przyjacielem.

Machiavelli zaczął jękliwie przeproszać. Eziowi udało się go ściągnąć z dachu. Przynajmniej Niccolò mógł chodzić, choć rana była ciężka.

Kiedy znaleźli się na głównej ulicy, Ezio zatrzymał jakiegoś przechodnia – musiał go przytrzymać siłą w szalejącym wokół chaosie.

– Potrzebny mi lekarz – powiedział z naciskiem. – Gdzie go znajdę?

– Wielu ludzi potrzebuje teraz lekarza! – odparł tamten.

Ezio potrząsnął nim.

– Mój przyjaciel jest ciężko ranny. Gdzie znajdę lekarza? Mów!

– Puszczaj! Możesz spróbować u *el médico* Acosty. Jego gabinet jest tam, kawałek dalej. Nad wejściem wisi szyld.

Ezio chwycił omdlewającego Machiavellego i podparł go. Zdjął szarfę z tuniki i, najlepiej jak mógł, zatamował upływ krwi. Niccolò dużo jej tracił.

Kiedy tylko Acosta zobaczył ranę, posadził Machiavellego w fotelu. Wziął butelkę alkoholu, trochę bandaży i ostrożnie opatrzył ranę.

– Kula przeszła na wylot przez bark – wyjaśnił łamanym włoskim. – Przynajmniej nie muszę jej wydłubywać. I rana jest czysta. Ale co do obojczyka, będę musiał go nastawić. Mam nadzieję, że nie planowaliście żadnych podróży w najbliższym czasie?

Ezio i Machiavelli wymienili spojrzenia.

– Znów zrobiłem z siebie głupca – powiedział Niccolò z wymuszonym uśmiechem.

– Zamknij się.

– Jedź. Jedź za nim. Dam sobie radę.

– Może zostać u mnie, mam wolną małą przybudówkę dla pacjentów – powiedział Acosta. – A kiedy wyzdrowieje, wyślę go za tobą.

– Kiedy?

– Za dwa tygodnie, może później.

– Do zobaczenia w Rzymie – powiedział Machiavelli.

– Dobrze – odparł Ezio. – Uważaj na siebie, przyjacielu.

– Zabij go dla mnie – poprosił Niccolò. – Choć przynajmniej oszczędził nam zachodu z Michelettem.

CZEŚĆ TRZECIA

Oto ostatni wiek proroczej pieśni. Czas porodził i rozpoczyna się od nowa wielkie następstwo epok. Dziewica Sprawiedliwość powraca, by zamieszkać między nami, i Saturn jak dawniej zasiada na tronie. Pierworodny Nowej Ery zmierza już z wysokich niebios na ziemię.

Wergiliusz, *Bukoliki*, Ekloga IV.

63

Ezio po raz kolejny ruszył przez Hiszpanię w długiej i samotnej podróży, niemal wprost na północ do Viany. Dotarł tam w marcu roku Pańskiego tysiąc pięćset siódmego. Miasto, które zobaczył, oddalone o około milę, wyglądało dokładnie tak, jak w wizji ukazanej mu przez Jabłko – miało grube mury i ufortyfikowaną cytadelę w środku, z jedną jednak różnicą.

Zanim jeszcze przekroczył granicę Nawarry, jego wyćwiczony zmysł obserwacji podpowiedział mu, że miasto jest oblężone. Kiedy dotarł do wioski, większość jej mieszkańców tylko tępo kręciła głowami, gdy ich wypytywał. Potem jednak odszukał księdza, z którym był w stanie się porozumieć po łacinie, i wszystkiego się dowiedział.

– Być może wiesz, że nasz król i królowa mają plany co do Nawarry. To bogaty kraj i chcą go włączyć do Hiszpanii.

– Dlatego chcą zdobyć Vianę?

– Już ją zdobyli. Jest okupowana przez hrabiego Lerin w ich imieniu.

– A oblegający?

– To wojska nawarskie. Myślę, że zwyciężą.

– Czemu tak sądzisz?

– Bo dowodzi nimi przyrodni brat króla Nawarry, a to doświadczony generał.

Serce Ezia zabiło mocniej, ale wciąż potrzebował potwierdzenia.

– Jak się nazywa?

– Podobno jest bardzo sławny. To książę Walencji, Cesare Borgia. Mówią, że kiedyś dowodził armią samego papieża. Ale hiszpańscy żołnierze są dzielni. Stawili czoła wrogowi i na polach wokół miasta stoczono wiele

krwawych bitew. Nie szedłbym dalej w tym kierunku, mój synu: czeka tam tylko zniszczenie i śmierć.

Ezio podziękował mu i popędził konia.

Dotarł na miejsce i zastał toczącą się przed miastem, zaciętą bitwę. Walczących spowijała mgła. Na samym środku bronił się Cesare Borgia, powalając każdego, kto się do niego zbliżył. Nagle sam Ezio musiał stawić czoła innemu jeźdźcowi – nawarczykowi z herbem przedstawiającym czerwoną tarczę przeciętą na ukos złotymi łańcuchami. Ezio ciał go mieczem, ale napastnik uchylił się w ostatniej chwili i asasyn omal nie runął, pociągnięty własnym rozpędem. Odzyskał równowagę i zawrócił konia w stronę wroga. Konny zamachnął się mieczem, by zadać cios w odsłonięty bok Ezia, ale asasyn zaatakował go szybkim jak błyskawica cięciem miecza. Czubek klingi rozciął nawarczykowi pierś; mężczyzna skulił się z bólu, co pozwoliło Eziowi zadać potężny cios z góry i rozrąbać mu prawy bark aż po pierś. Jeździec runął bez głosu i został dobity przez hiszpańskich piechurów.

Cesare nie miał konia i Ezio uznał, że łatwiej będzie zbliżyć się do niego niezauważenie, jeśli zsiądzie ze swego, więc zeskoczył z siodła i pobiegł ku niemu przez chaos bitwy.

W końcu stanął twarzą w twarz ze swoim śmiertelnym wrogiem. Twarz Cesare była pokrwawiona i brudna, wykrzywił się z wysiłku, ale kiedy zobaczył Ezia, w jego oczach pojawiła się nowa determinacja.

– Asasyn! Jak mnie znalazłeś?

– Zaprowadziło mnie do ciebie pragnienie pomszczenia Maria Auditore.

Zaczęli zwierać miecze, aż Eziowi udało się wytrącić Cesare broń z ręki. Potem schował własną i skoczył na Borgia, chwytając go za szyję. Jednak Cesare nauczył się od Micheletta kilku rzeczy o sztuce duszenia i udało mu się uwolnić, odtrącając ręce Ezia. Asasyn wysunął ukryte ostrze, ale Cesare przechwycił jego cios i znów skutecznie się obronił. Dookoła toczyła się zażarta bitwa.

W tym momencie hiszpańscy trębacze odtrąbili odwrót.

– Zabić go! – wrzasnął Cesare tryumfalnie do najbliższych nawarskich żołnierzy. – Zabić asasyna! Rozedrzeć tego *maldito bastardo* na strzępy!

Mgła zgęstniała. Cesare w niej zniknął, a nawarczycy otoczyli Ezia. Walczył z nimi długo i zaciekle, aż wyczerpanie sprawiło, że upadł na ziemię, prawie niewidoczny w zamieszaniu i mgle, a żołnierze zostawili go, by skonał.

Kiedy się ocknął, jakiś czas później, leżał na plecach na środku poboju; musiał zepchnąć z siebie zwłoki, zanim zdołał usiąść.

Pole bitwy rozciągało się pod zachmurzonym, krwawoczerwonym niebem. W oddali płonęło gniewne słońce. Kurz unosił się w powietrzu nad szeroką, zrytą drogą, zasłaną trupami.

Ezio zobaczył kruka, siedzącego na brodzie zabitego żołnierza i łapczywie wydziobującego mu oko. Obok przebiegł galopem koń bez jeźdźca, oszalały od unoszącego się w powietrzu odoru krwi. Poszarpane chorągwie łopotały na wietrze.

Jęcząc z wysiłku, Ezio wstał i pokonując straszliwy ból, ruszył przez poboju. Odkrył, że stracił miecz i sztylet, ale ukrytego ostrza i karwasza mu nie zabrano.

Pierwszym zadaniem było uzupełnienie broni. Niedaleko zobaczył wieśniaka zbierającego bitewne łupy. Mężczyzna popatrzył na niego.

– Częstuj się – powiedział. – Starczy dla wszystkich.

Ezio rozjerzał się za zabitymi oficerami i rycerzami – ci byli lepiej uzbrojeni, ale zawsze ktoś był przy nich już wcześniej. W końcu znalazł martwego kapitana z dobrym mieczem i sztyletem podobnym do jego własnego. Wziął oba z wdzięcznością.

Potem ruszył na poszukiwanie konia, ponieważ w ten sposób mógłby się szybciej przemieszczać. Dopisało mu szczęście. Niecałe pół mili od skraju poboju, daleko od obozu nawarczyków, natknął się na rumaka w pełnym rzedzie, skubiącego trawę. Koń miał zakrwawiony grzbiet, ale nie była to jego krew. Ezio zaczął do niego łagodnie przemawiać, a potem wsiadł

na siodło. Rumak z początku trochę wierzgał, ale asasyn szybko go uspokoił i pojechał z powrotem tam, skąd przybył.

Wróciwszy na pobojuwisko, napotkał więcej wieśniaków, ogałających zwłoki ze wszystkiego, co się dało. Minał ich i pogalopował w górę zbocza, skąd dobiegały odgłosy kolejnej bitwy. Ze szczytu rozciągał się widok na płaską równinę, gdzie wznowiono walki. Z pobliskich murów miasta grzmiał ogień artylerii.

64

Ezio pokierował konia w bok, przez oliwne gaje, gdzie natknął się na patrol nawarskich żołnierzy. Zanim zdążył zawrócić, wypalili do niego z muszkietów. Nie trafili go, ale zabili pod nim konia.

Udało mu się zbiec między drzewa i dalej ruszył pieszo, uważając na grasujących wszędzie hiszpańskich żołnierzy. Podkradając się bliżej, trafił na polanę, na której jeden z Hiszpanów leżał ranny na ziemi, a drugi robił, co mógł, by mu dodać otuchy.

– *Por favor* – powiedział ranny. – Moje nogi. Czemu krwawienie nie ustaje?

– *Compadre*, zrobiłem dla ciebie, co mogłem. Teraz musisz zaufać Bogu.

– Pablo, boję się. *Mis piernas! Mis piernas!*

– Cicho, Miguel. Pomyśl o pieniądzach, które dostaniemy po wygranej bitwie. I o łupach!

– Kim jest ten starzec, dla którego walczymy?

– Kto? *El conde Lerin*?

– Tak. Walczymy dla niego, prawda?

– Tak, przyjacielu. Służy naszemu królowi i królowej, a my służymy jemu, dlatego walczymy.

– Pablo, jedyne, o co teraz walczę, to moje życie.

Z drugiej strony polany zjawił się patrol.

– Ruszaj – powiedział sierżant. – Musimy ich zająć z flanki.

– Mój przyjaciel jest ranny – odparł Pablo. – Nie może chodzić.

– To go zostaw. Idziemy.

– Dajcie mi parę chwil.

– Dobrze. Idziemy na północ. Idź za nami. I pilnuj się, żeby cię nie

zobaczyli żadni Nawarczycy.

– Będziemy wiedzieli, kiedy ich zaszliśmy z flanki?

– Usłyszymy wystrzały. Wytniemy ich, kiedy będą się tego najmniej spodziewali. Chowaj się za drzewami.

– Chwila, sierżancie.

– O co chodzi?

– Pójdę z wami już teraz.

– Od razu?

– Tak, sierżancie. Mój towarzysz Miguel nie żyje.

Kiedy poszli, Ezio odczekał kilka chwil, a potem ruszył na północ i skręcił na wschód, w kierunku, w którym leżała Viana. Wyszedł z oliwnych gajów i zobaczył, że minął pole bitwy i znajduje się teraz na jego północnej stronie. Zastanawiał się, co się stało z hiszpańskimi żołnierzami, bo nigdzie nie widział ani śladu żadnych ataków z flanki, a bitwa wydawała się iść po myśli Nawarczyków.

Po drodze napotkał spustoszoną wioskę. Obszedł ją dookoła, bo dostrzegł hiszpańskich strzelców wyborowych, ukrytych w zgliszczeniach domów, skąd z długich muszkietów z kołowymi zamkami strzelali do nawarskich żołnierzy na skraju pola bitwy.

Natknął się na żołnierza o tunice tak zakrwawionej, że nie dało się stwierdzić, po której walczył stronie. Mężczyzna siedział oparty plecami o samotne drzewo oliwne i obejmował się rękami w agonii, cały rozdygotany. Obok, na ziemi, leżała jego broń.

Na skraju miasta, wśród domów przycupniętych pod jego bastionami, Ezio w końcu zobaczył swoją ofiarę. Cesare stał z nawarskim sierżantem i wyraźnie obmyślał najlepszy sposób podkopania lub zniszczenia grubych murów Viany.

Hiszpanie, którzy pozostali w twierdzy, byli tak pewni siebie, że pozwolili swoim cywilom osiedlić się w tutejszych domach, ale teraz nie byli w stanie ich ochronić.

Nagle z jednej z chat wybiegła jakaś kobieta i z krzykiem zagroziła drogę Cesare i sierżantowi.

– *Ayúdenme!* – zawołała. – Pomocy! Mój syn! Mój syn jest ranny!

Sierżant podszedł do niej, chwycił ją za włosy i odciągnął z drogi.

– *Ayúdenme!* – wrzasnęła.

– Ucisz ją, dobrze? – powiedział Cesare, mierząc ją zimnym spojrzeniem.

Sierżant dobył sztyletu i poderznął kobiecie gardło.

65

Śledząc Cesare, Ezio był świadkiem kolejnych scen okrucieństwa, którego Nawarczycy dopuszczali się na znienawidzonych hiszpańskich najeźdźcach.

Zobaczył młodą kobietę, maltretowaną przez nawarskiego żołnierza.

– Zostaw mnie! – wołała.

– Bądź grzeczna – powiedział brutalnie żołdak. – Nie zrobię ci krzywdy! Właściwie może nawet ci się to spodoba, hiszpańska kurwo.

Nieco dalej mężczyzna, z wyglądu kucharz, stał zrozpaczony, a dwóch żołnierzy trzymało go i zmuszało do patrzenia, jak dwaj inni podpalają mu dom.

Jeszcze gorszym widokiem był człowiek – bez wątpienia ranny Hiszpan, któremu amputowano nogi – którego dwóch nawarskich szeregowców kopnięciem zrzuciło z wózka. Stali i śmiali się, gdy on rozpaczliwie próbował odczołgać się od nich ścieżką.

– Biegnij! Dalej! – wołał jeden.

– Szybciej nie możesz?

Bitwa najwyraźniej toczyła się po myśli Nawarczyków, bo Ezio zobaczył, że przytaczają do murów miasta wieże oblężnicze. Nawarscy żołnierze wspinali się po nich jak mrówki, a na blankach toczyła się już zażarta walka. Jeśli Cesare gdzieś tu był, to na czele swoich ludzi, bo jego zawziętość i odwaga dorównywały jego okrucieństwu.

Gdzieś z tyłu hiszpański ksiądz wygłaszał kazanie swoim zrozpaczonym parafianom:

– Sami to na siebie ściągnęliście przez swoje grzechy. Tak oto karze was Pan. Bóg jest sprawiedliwy, a to jest Jego sprawiedliwość. Chwalmy Pana!

Dziękujemy ci, Boże, za tę lekcję pokory. Za to, że za tą karą widzimy Twoją rękę, wezwanie do duchowości. Pan daje i Pan odbiera. Tak głosi Słowo. Amen!

Jedyna droga do miasta prowadzi przez jedną z tych wież – pomyślał Ezio. Najbliższa została dopiero co podtoczona pod mur. Asasyn w biegu dołączył do wspinających się na górę żołnierzy, wtapiając się w tłum, choć nie było takiej potrzeby, bo wśród ryków i wrzasków podekscytowanych oblegających, którzy w końcu zwęszyli zwycięstwo, nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Obrońcy byli już gotowi i zaczęli wylewać na wroga w dole mieszankę smoły i oleju, którą nazywali greckim ogniem. Wrzaski płonących ludzi dotarły do tych, którzy byli już w wieży, tak jak Ezio, a pęd w górę, z dala od płomieni trawiących dół konstrukcji, stał się jeszcze bardziej gorączkowy. Dookoła siebie asasyn widział, jak żołnierze spychają swoich towarzyszy z drogi, żeby przeżyć; niektórzy spadali z wyciem w szalejący w dole ogień.

Ezio wiedział, że musi dostać się na szczyt, zanim dogonią go płomienie. Wspiął się w górę i oddał długi skok wiary w ostatniej chwili przed tym, jak wieża runęła, wywołując śmiertelny chaos.

Na blankach toczyły się zaciekle walki, ale setki nawarskich żołnierzy dostały się już do samego miasta, a hiszpańscy trębacze ogłaszali odwrót do cytadeli w centrum Viany. Miasto było już praktycznie odbite.

Cesare musiał tryumfować, a jego bogaty przyrodni brat z pewnością hojnie go wynagrodzi. Ezio nie mógł na to pozwolić.

Biegając wzdłuż wysokiego muru, uskakiwał i uchylał się między walczącymi. Nawarczycy zabijali hiszpańskich żołnierzy, którzy zostali odcięci podczas odwrotu. Ezio wypatrzył Cesare, który powalał wrogów jak dziecko ścinające kijem wysoką trawę. Borgii spieszo było do zajęcia cytadeli i kiedy pozbył się tych, którzy stali mu na drodze, zbiegł po schodach po wewnętrznej stronie muru i dalej przez miasto. Ezio był kilka sekund za nim.

Przed nimi cytadela otworzyła już swoje wrota. Hiszpanie stracili całą wolę walki, a hrabia Lerin był gotów pertraktować. Ale Cesare nie był litościwym człowiekiem.

– Zabić ich! Zabić! – krzyknął do swoich ludzi. Z nadludzką prędkością wbiegł do cytadeli po wąskich, kamiennych schodach w środku, ścinając każdego, kogo napotkał.

Ezio dotrzymywał mu kroku, aż znaleźli się na najwyższych blankach twierdzy, gdzie Cesare samotnie zrąbał maszt z hiszpańską flagą. Kiedy się odwrócił, jedyną drogę powrotną zagradzał mu jego wróg.

– Nie masz dokąd uciec, Cesare – powiedział asasyn. – Pora spłacić swoje długi.

– A więc chodź, Ezio! – warknął Borgia. – Zniszczyłeś moją rodzinę. Zobaczmy, jak sam spłacasz to, coś winien!

Gniew ich obu był tak wielki, że zwarli się natychmiast, piersią w pierś, używając wyłącznie pięści.

Cesare zadał pierwszy cios, prawą pięścią mierząc w głowę Ezia. Ezio uchylił się, ale o ułamek sekundy za późno, i kłykcie Borgii musnęły jego skroń. Zatoczył się.

Cesare krzyknął tryumfalnie.

– Cokolwiek zrobisz, ja i tak zdobędę wszystko, ale najpierw zabiję ciebie i wszystkich twoich bliskich. Sam nigdy nie zginę, bo Fortuna mnie nie zawiedzie!

– Wybiła twoja godzina, Cesare – odparł Ezio. Odzyskał równowagę, zrobił krok w tył i dobył miecza.

Cesare w odpowiedzi wyciągnął własny i zaczęli ze sobą walczyć ze wszystkich sił. Ezio ciął wściekle w głowę przeciwnika, jego ostrze zatoczyło zabójczy, płaski łuk. Cesare był zaskoczony szybkością ataku, ale udało mu się podnieść własną broń w niezdarnym bloku. Ręka zadygotała mu od wstrząsu. Miecz Ezia odbił się i Borgia sam pchnął, odzyskując równowagę i skupienie. Obaj okrążali się na szczycie muru, błyskając sztychami mieczy

w krótkich erupcjach zaciętej szermierki. Ezio postąpił szybko w przód, zbijając ostrze Cesare w prawo, a potem wykręcił nadgarstek i posłał sztych klingi w jego odsłonięty lewy bok. Borgia był jednak za szybki i odbił jego miecz. Potem sam uderzył; Ezio zablokował cięcie karwaszem na lewym ręku. Obaj odskoczyli od siebie, znów czujni. Nowa Zaraza najwyraźniej nie osłabiła szermierczych umiejętności Cesare.

– Cóż, starcze. Twoje pokolenie jest skończone. Teraz moja kolej, a ja nie będę dłużej czekał. Wasze przestarzałe reżimy, wasze zasady i hierarchie – to wszystko musi odejść.

Obaj byli zmęczeni; stali naprzeciw siebie i dyszeli.

– Twój nowy reżim przyniesie wszystkim tyranie i okrucieństwo – powiedział Ezio.

– To ja wiem, co jest najlepsze dla ludu Italii, a nie zgraja starców, którzy zużyli całą swoją energię wiele lat temu, by dostać się na szczyt.

– Popełniasz gorsze błędy niż oni.

– Ja nie popełniam błędów. Jestem oświecony!

– Oświecenie bierze się z lat rozmyślań, a nie ze ślepego przekonania.

– Ezio Auditore, wybiła twoja godzina!

Cesare ciął mieczem, zadając niespodziewany i tchórzowski cios, ale Ezio zdążył go sparować, a potem, zanim Borgia odzyskał równowagę, chwycił go za nadgarstek i wyrwał mu z ręki broń, która ze stukotem upadła na kamienie.

Stali na krawędzi muru. Daleko w dole nawarscy żołnierze zaczęli świętować, choć nie plądrowali, bo zdobyte miasto było ich własnym.

Cesare sięgnął po sztylet, ale w tej samej chwili Ezio ciął go mieczem w nadgarstek; ręka zwisała bezwładnie na rozplątanych ścięgnach. Borgia zatoczył się w tył, wykrzywiony z bólu i wściekłości.

– Tron należał do mnie! – powiedział tonem dziecka, które straciło zabawkę.

– To, że czegoś chcesz, nie daje ci prawa, by to brać.

- Skąd wiesz? Pragnąłeś kiedyś czegokolwiek tak bardzo?
- Prawdziwy przywódca dzieli się władzą ze swoimi poddanymi.
- Wciąż mogę poprowadzić ludzkość w nowy wiek.

Widząc, że Cesare stoi o włos od krawędzi, Ezio podniósł miecz.

- Niech twoje imię zostanie zapomniane na wieki. *Requiescat in pace.*
- Nie zdołasz mnie zabić! Żaden człowiek mnie nie zgładzi!
- A więc zostawię cię w rękach losu – odparł Ezio.

Opuścił miecz, chwycił Cesare Borgię i jednym, szybkim ruchem strącił go z blanków. Borgia runął na bruk sto stóp niżej, ale Ezio za nim nie patrzył – brzemień długoletnich zmagania zostało w końcu zdjęte z jego serca.

66

Znów był dzień św. Jana – czterdzieste ósme urodziny Ezia. On sam, Machiavelli i Leonardo zebrali się w odnowionej siedzibie na wyspie na Tybrze – teraz dumnym gmachu, widocznym dla wszystkich.

– To bardzo małe przyjęcie urodzinowe – zauważył Leonardo. – Gdybyś pozwolił mi coś zorganizować, miałbyś prawdziwe widowisko...

– Zostawmy to na za dwa lata – powiedział Ezio. – Zaprosiliśmy cię z innego powodu.

– To znaczy? – spytał Leonardo z przejęciem.

Machiavelli, z nieco krzywym, ale zdrowym już ramieniem, rzekł:

– Leo, chcemy ci złożyć zaproszenie.

– Jeszcze jedno?

– Chcemy, żebyś się do nas przyłączył – rzekł uroczyście Ezio. – Byś został pełnoprawnym członkiem Bractwa Asasynów.

Leonardo uśmiechnął się ponuro.

– A więc moje bomby zadziałały. – Przez chwilę milczał. – Panowie, bardzo dziękuję. Wiecie, że szanuję wasze cele i będę je wspierał, póki żyję. Nigdy nie wyjawię nikomu sekretów asasynów. – Przerwał. – Ale podążam inną ścieżką, a to samotna droga. Wybaczcie.

– Twoje wsparcie jest niemal tak samo cenne, jak twoje przystąpienie. Ale czy nie zdołamy cię przekonać, przyjacielu?

– Nie, Ezio. Poza tym wyjeżdżam.

– Wyjeżdżasz? Dokąd?

– Wracam do Mediolanu, a potem ruszam do d’Amboise.

– Do Francji?

– Mówią, że to szlachetny kraj i tam postanowiłem dokonać swoich dni.
Ezio rozłożył ręce.

– A więc musimy pozwolić ci odejść, stary przyjacielu. – Przerwał. –
A zatem... Nadeszła chwila naszego pożegnania.

– Jak to? – spytał Leonardo.

– Wracam do Florencji – rzekł Machiavelli. – Moja praca nie jest
bynajmniej skończona. – Puścił oko do Ezia. – Poza tym muszę ukończyć
moje dzieło.

– Jak je zatytułujesz?

Machiavelli popatrzył na Ezia nieporuszony.

– *Książę* – odparł.

– Przyślij do mnie Claudię.

– Tak zrobię. Tęskni za Rzymem i wiesz, że będzie cię wspierać tak długo,
jak długo będziesz kontynuował swoje dzieło jako mentor Bractwa.

Machiavelli zerknął na wodny zegar.

– Już pora.

Wszyscy trzej wstali i uroczyście się uściskali.

– Żegnajcie.

– Żegnajcie.

– Żegnajcie.

Spis postaci

Mario Auditore – wuj Ezia i przywódca Bractwa Asasynów

Ezio Auditore – asasyn

Maria Auditore – matka Ezia

Claudia Auditore – siostra Ezia

Angelina Ceresa – przyjaciółka Claudii

Federico – stajenny Maria

Annetta – gospodyni rodziny Auditore

Paola – siostra Annetty, asasynka

Ruggiero – sierżant straży Mario Auditore

Niccolò di Bernardo dei Machiavelli (1469–1527) – asasyn, filozof i pisarz

Leonardo da Vinci (1452–1519) – malarz, naukowiec, rzeźbiarz, inżynier

Antonio – asasyn

Fabio Orsini – asasyn

Bartolomeo d'Alviano (1455–1515) – włoski kapitan i asasyn

Pantasilea Baglioni – żona Bartolomea

Baldassare Castiglione – sprzymierzony asasyn

Pietro Bembo – sprzymierzony asasyn

Gilberto Lis, La Volpe – asasyn, przywódca Gildii Złodziei

Benito – członek Gildii Złodziei

Trimalchio – członek Gildii Złodziei

Claudio – złodziej i syn Trimalchia

Paganino – złodziej plądrujący Monteriggioni

Madonna Solari – prowadząca lupanar współniczka asasynów

Agnella – prostytutka z Rosa in Fiori

Lucia – prostytutka z Rosa in Fiori
Saraghina – prostytutka z Rosa in Fiori
Margherita degli Campi – rzymska arystokratka, stronniczka asasynów
Jacopo – marynarz
Camilla – prostytutka z Neapolu
Filin – kapitan statku
Alberto – kapitan Marea di Alba
Acosta – doktor w Walencji
Hrabia Lerin (1430–1508) – hiszpański hrabia
Caterina Sforza (1463–1509) – księżna Forlì, córka Galeazza
Lorenzo Medici (1449–1492)– Lorenzo Wspaniały, włoski mąż stanu
Piero Soderini (1450–1522) – gubernator Florencji
Amerigo Vespucci (1454–1512) – kupiec, podróżnik morski, przyjaciel
i doradca Soderiniego

Rodrigo Borgia (1431–1503) – papież Aleksander VI
Cesare Borgia (1475–1507) – syn Rodriga
Lukrecja Borgia (1480–1519) – córka Rodriga
Vannozza Cattanei (1442–1518) – matka Cesare i Lukrecji Borgiaów
Giulia Farnese (1475–1524) – kochanka Rodriga
Charlotte d’Albret (1480–1514) – żona Cesare
Juan Borgia (1474–1497) – arcybiskup Monreale i bankier Cesare, syn
Rodriga
Octavien de Valois – francuski generał, sojusznik Borgiaów
Micheletto Corella – prawa ręka Cesare
Luca – zwolennik Micheletta
Agostino Chigi (1465–1520) – bankier papieża Aleksandra VI, mecenas
sztuki
Luigi Torcelli – agent bankiera Cesare
Toffana – służąca Lukrecji
Gaspar Torella – osobisty lekarz Cesare

Johann Burchard – mistrz ceremoniału papieża Aleksandra VI

Juan – strażnik w zamku La Mota

Egidio Troche – rzymski senator

Francesco Troche – brat Egidia i szambelan Cesare

Michał Anioł Buonarroti (1475–1564) – malarz, rzeźbiarz

Vinicio – informator Machiavellego

Kardynał Giuliano della Rovere (1443–1513) – papież Juliusz II

Kardynał Ascanio Sforza (1455–1505)

Agniolo i Innocento – asystenci Leonarda da Vinci

Pietro Benintendi – rzymski aktor

Dottore Brunelleschi – rzymski lekarz

Kardynał Rouen (1460–1510) – Georges d'Amboise

Papież Pius III (1439–1503) – kardynał Piccolomini

Bruno – szpieg

Słowniczek wyrażeń włoskich, francuskich, hiszpańskich i łacińskich

aiutateme! pomóż mi!

aiuto! pomocy!

albergo hotel

Altezza Wasza Wysokość

altrettanto a lei nawzajem

andiamo chodźmy

arrivederci do widzenia

assassini asasyni

attenzione bądź ostrożny

aut Cesar, aut nihil albo (być) Cezarem, albo nikim

ayúdenme pomóż mi

bastardo/bastardi drań/dranie

bellissima bardzo piękna

bene dobrze, świetnie

ben trovato tu: coś takiego, nie może być

bestiarii gladiatorzy

birbante łajdak, łotr

bordello burdel, lupanar

brutissimo bardzo brzydki, okropny, straszny

buona questa to dobre

buona fortuna powodzenia

buonasera dobry wieczór

buongiorno, fratellino dzień dobry, braciszku

calma/calmatevi uspokój/uspokójcie się

campione czempion

cantarella – odmiana arszeniku stosowana jako trucizna przez Rodriga Borgia

capisci? rozumiesz?

capitano kapitan

caro padre drogi ojciec

cazzo fiut/gówno

che cosa fate qui? co ty tu robisz?

cher ami drogi przyjacielu

che tipo brutto co za prostak

che diavolo? co to, do diabła?

che sobbalzo co za kretyn

comè usciamo di qui? jak się stąd wydostać?

commendatore dowódca

campanile dzwonnica

compadre towarzysz

condottieri najemnicy

con piacere z przyjemnością

consummatum est dokonano się

contessa księżna/hrabina

corri! biegnij/uciekaj!

cosa diavolo aspetti na co czekasz, do diabła

coup de grâce cios kończący, dobiecie

Curia rzymskie sądy

déclarez-vous przedstaw się

diavolo diabeł

dio mio mój boże

dio, ti prego, salvaci Panie, błagam, wybaw nas
dottore doktor

è la politica taka jest polityka
el médico lekarz

Eminenze Eminencja

Excellenza Ekscelencja

ferraiolo płaszcz, peleryna

figlio mio mój synu

figlio di puttana skurwysyn

Firenze Florencja

fortune szczęście, fortuna

forze armate siły zbrojne

fottere pierdolić

fotutto Francese pierdolony Francuz

furbacchione chytry stary łotr

gonfalon sztandar

grazie, madonna dzięki, pani

halte-là stać

idioti idioti

il doppio gioco podwójna gra

il Magnifico Wspaniały

inferno piekło

insieme per la vittoria razem do zwycięstwa

*intesi*oczywiście/zrozumiałem

ipocrita hipokryta

ladro złodziej

La Serenissima Republika Wenecka

lieta di conoscervi miło mi cię poznać

luridi codardi śmierdzący tchórze

ma attenzione ale uważaj

ma certo ależ oczywiście

ma che meraviglia cóż to za cud

Madonna moja pani

madre matka

maestro pan, mistrz

mais franchement, je m'en doute ale szczerze mówiąc, wątpię

malattia venerea choroba weneryczna

maldito bastardo przeklęty drań

maledette przeklęty

mausoleo mauzoleum

medico doktor

merda gówno/cholera

messer pan

mille grazie tysiąckrotne dzięki

miracolo cudowny

mis piernas moje nogi

molto bene bardzo dobrze

molte grazie bardzo dziękuję

momentino, contessa jedną chwilę, księżno

morbus gallicus choroba francuska

moscato muszkatel

nessun problema bez problemu

nomenclatura, Borgia wpływowi Borgia

nos replegamos wycofać się

onoratissima najczcigodniejsza

ora, mi scusi, ma przepraszam

padrone ojciec

papa papież
palazzo pałac
panpetati e mielati pierniki i miód
perdone, Colonnello przepraszam, panie pułkowniku
perdonatemi, signore przepraszam, panie
perfetto doskonałe
pezzo di merda gnojek
piano nobile parter dużego domu
piazze plac
pollo ripieno nadziewany kurczak
por favor proszę
pranzo drugie śniadanie
presidente prezydent
puttana dziwka

requiescat in pace spoczywaj w pokoju
rione dzielnica
rocca twierdza

Sancho dieron en el pecho Sancho oberwał w pierś
salve, messere dzień dobry, panie
sanctum sanctorum najświętsze miejsce
sang maudit klątwa krwi
santò cielo wielkie nieba
scorpioni skorpiony
Senatore senator
ser pan
sì tak
Signoria władza zwierzchnia
signore panie
signora pani
si, zio mio tak, wuju

sul serio? poważnie?

tesora mia mój skarbie

tesora, tesoro ukochana, najdroższa

torna qui, maledetto cavallo chodź tu, przeklęta chabeto

uffizi biura

un momento jedną chwilę

va bene w porządku

Valencianos Walencjanie

vero to prawda

vi ringrazio di tutto quello che avete fatto per me, buona contessa dzięki za
wszystko, co dla mnie zrobiłaś, dobra księżno

vittoria agli Assassini zwycięstwo asasynom

virtù cnota

Volpe Addormentata, La Śpiący Lis

zio wuj

Od autora

Większość przekładów z języków obcych w niniejszym tekście jest mojego autorstwa, z wyjątkiem cytatów z *Księcia Machiavellego* i *Bukolik* Wergiliusza (choć te drugie bardzo nieznacznie zaadaptowałem). Za nie jestem dłużnikiem nieodżałowanych uczonych, odpowiednio George'a Bulla (1929–2001) oraz E. V. Rieu (1887–1972).

Oliver Bowden, Paryż 2010

Podziękowania

Podziękowania specjalne

Yves Guillemot

Jeffrey Yohalem

Corey May

Ethan Petty

Matt Turner

Jean Guesdon

A także

Alain Corre

Laurent Detoc

Sebastien Puel

Geoffroy Sardin

Sophie Ferre-Pidoux

Xavier Guilbert

Tommy François

Cecile Russeil

Christele Jalady

Dział prawny Ubisoftu

Charlie Patterson

Chris Marcus

Eric Gallant

Maria Loreto

Guillaume Carmona